

AGNIESZKA ZAKRZEWSKA

Do jutra w Amsterdamie

Miłość nie zna granic



AGNIESZKA ZAKRZEWSKA

Do jutra w Amsterdamie

Miłość nie zna granic



EDIPRESSE
Książki

Rozdział pierwszy

– Ludzie, opanujcie się! Powoli! Wszyscy się zmieszczą! A pani co w tych torbach wiezie? Wołu z kopytami? – Młody wąsaty kierowca międzynarodowego busa relacji Szczecin–Amsterdam załamał ręce nad górą tobołków pyzatej kobiety w długiej, kwiecistej spódnicy.

– A co! Wałówkę wiozę! Dla syna! Już od roku na emigracji bieduje i ciągle jeść woła. Wołu może nie mam, ale kopytka, a jakże. Świeżuchne, prosto żem ze stolnicy ściągnęła! – Uśmiechnęła się z rozanieleniem zapobiegliwa gospodyni i dodała: – Mój Tadzik kochany, wygnaniec za chlebem. – Otarła zamasyście skrajem spódnicy łzę matczynej tęsknoty, po czym z energią zaczęła wpychać tobołki do przeładowanego na amen bagażnika busa.

Ściągnęłam mocniej paski pamiętającego jeszcze czasy liceum plecaka i wrzuciłam go beztrąsko na górę innych bagaży spoczywających cierpliwie na chodniku. Kierowca, mrużąc pod nosem jakieś nieparlamentarne słowa, dwoił się i troił, wkładał, wykładał, przekładał, a góry waliz i plecaków nie ubywało. Szybko wskoczyłam do środka autobusu, który pomimo panującego na zewnątrz wieczornego chłodu nagrzanym był jak kocioł piekielny i wypełniony, jak mamę kocham, drażniącym nozdrza zapachem jajek na twardo!

Zajęłam ostatnie wolne miejsce przy oknie. Z podręcznej torby wyciągnęłam małą podróżną poduszkę i discmana, nacisnęłam przycisk play i po chwili otoczyły mnie mocne bity piosenki *Chciałbym być sobą*. W końcu mogłam spokojnie pomyśleć. Zamknęłam oczy i jeszcze raz przeanalizowałam w myślach wczorajsze, zaskakujące wydarzenia...

– Aga! Telefon! – Mama stała w drzwiach łazienki, trzymając w ręku moją nowiutką komórkę wibrującą natarczym sygnałem dzwonka.

– Mam ręce całe w mydlinach. – Podniosłam głowę znad miski z gorącą wodą, w której odmałyły moje ukochane džinsy. Cała prawa nogawka załatywała lekko piwem, które wylała na mnie przedwczoraj najlepsza przyjaciółka Gośka, kiedy to rozgestykulowane rozprawiłyśmy nad oplakany stanem swoich finansów i brakiem pracy.

– Odbierz, proszę!

Spojrzałam na mamę, ale ta położyła wibrujący aparat na pralce i wyszła z łazienki.

– *Shit* – mruknęłam pod nosem. Wytarłam mokre ręce w obszerny T-shirt i chwyciłam telefon. – Halo!

– W KOŃCU! Gdzie ty się podziewasz?! – Po drugiej stronie odezwał się niecierpliwy głos mojej starszej siostry Julii. – Mam do ciebie pilną sprawę! Niecierpiącą zwłóokki! – Jak zwykle przeciągała wyrazy, co nie zwiastowało niczego dobrego.

– Co za panika! W domu jestem, piore!

– PRZEPRASZAM, ŻE CO? PIERZESZ? TY? – Julka zaśmiała się szyderczo. – Od kiedy?

– Nie mów do mnie drukowanymi literami! – weszłam jej w słowo zniecierpliwiona. – O co chodzi?

– Mam do ciebie romans. Musisz mi pomóc. Właściwie nie masz wyjścia! – Zawiesiła się na moment Julka, by po sekundzie kontynuować: – Jutro jedziesz do Holandii! Wszystko już załatwiłam, bilet odbierzesz w kasie na... – paplała coraz szybciej.

– Moment! – Przerwałam tę radosną tyradę. – Jak to do Holandii? – Usiadłam z wrażenia na zamkniętej, na szczęście, klapie sedesu. – Ja?

Julia już od ponad trzech lat pracowała jako wyrobnik pańszczyźniany, jak sama to określała, w domach dobrze sytuowanych „tulipanów” w okolicach Amsterdamu. Mądra, obrotna, świetnie wykształcona dziewczyna, która przeinwestowała beztrąsko na giełdzie uczuć i do tej pory przyszło spłacać jej odsetki od naiwności. Te, jak wiadomo, bolą najbardziej, ale Julka nie narzekała. Pani magister filologii polskiej i klasycznej dzielnie zamieniła uniwersyteckie skrypty na mopa i ścierki i bez słowa skargi regulowała cudze długi.

– Julia, skarbie – odblokowałam się w końcu – cóżeś ty wymyśliła? – Energicznie westchnęłam prosto w wiszącą na uchwycie rolkę papieru toaletowego, który malowniczo rozwinął się i spłynął bladoniebieską wstęgą do moich stóp.

– Aga! Jest nadzieja, że w końcu się odkuję i porzucę jarzmo życia służebnicy pańskiej. Mam już dość prania cudzych gaci! – Głos Julii zdrzął niebezpiecznie, ale ja znałam doskonale jej sprytne metody zmiękczenia przeciwnika.

– Dobra, dobra, nie bierz mnie na litość – parsknęłam ironicznie. – Kawa na ławę! Bo mi dzinsy w kąpielii doszczętnie się rozpuszczą. – Udawałam obojętność, ale w gruncie rzeczy ogromnie ciekawiło mnie, co ma mi do powiedzenia.

Siostra zaśmiała się cicho, po czym wyłuszczyła mi genialny, w swoim mniemaniu *of course*, plan.

Od jakiegoś czasu Julia pracowała w domu niezwykle zamożnych holenderskich architektów. Państwo byli bezproblemowi, cisi i bezwonnii. Nie narzekali i nie wisieli jej nad głową, a raczej mopem z tego prostego powodu, że nigdy nie było ich w domu. Wielka, nowoczesna willa z zewnątrz wyglądała niepozornie. Zgodnie z holenderskimi regułami architektonicznymi wszystkie fasady domów na reprezentacyjnych ulicach miast i wsi miały wyglądać identycznie, łącznie z kolorem drzwi wejściowych, które pomalowane były w tej właśnie okolicy na butelkową zieleń. Za zielonymi wrotami kryła się urządzona z niezwykłym smakiem industrialna, otwarta przestrzeń z minimalną liczbą mebli,

za to z powalającym księgozbiorem liczącym około dwunastu tysięcy woluminów.

Państwo architektki bardzo często wyjeżdżali w podróże służbowe, ciągnące się niekiedy tygodniami. Wówczas praca siostry ograniczała się do przejechania odkurzaczem kilometrów betonowych i drewnianych podłóg oraz podlania dwóch imponujących i niezwykle rzadkich odmian kaktusów sprowadzonych na specjalne zamówienie właścicieli z Ameryki Południowej. Sumienni pracodawcy zawsze zostawiali dla siostry skrupulatnie odliczoną sumę pieniędzy oraz drobne napiwki lub prezenty.

W miniony piątek wezwali ją na poważną rozmowę.

– Nie domyślisz się w życiu, co mi zaproponowali! – Siostra uczyniła dramatyczną pauzę w celu wzmocnienia efektu bomby, jaką miała mi do przekazania.

Wzruszyłam ramionami i przesunęłam koniuszkiem palca u nogi zwój papieru na podłodze, kombinując, jak uniknąć wkrótce mozolnego nawijania go ponownie na rolkę.

– Zaproponowali, żebym tym razem pojechała RAZEM Z NIMI!

Mogę przysiąc na pamięć naszego dziadka, że Julka w tym momencie wypięła w geście zwycięzcy swoją bujną pierś.

– Jak to razem? Dokąd? – Entuzjazm siostry udzielał się powoli i mnie. Podniosłam się w ekspresowym tempie z deski klozetowej i przeniosłam swoje ponad sześćdziesięciopięciokilogramowe ciało na skraj wanny, patrząc z niepokojem na kompletnie zapomniane džinsy w zimnej już kąpieli wodnej.

– Do AFRYKI! Masz pojęcie?! Ja w życiu nie wystawiłam stopy poza Europę, ba! w życiu nie leciałam samolotem! – bujała już w obłokach Julia.

– Byłaś na wczasach w Bułgarii i na Węgrzech – mruknęłam cicho. – Małym fiatem! To przeżycia mogące równać się co najmniej z safari w Kenii! Wliczając w to biegające na wolności lwy! Ale czekaj, czekaj, a co ja mam właściwie z tym wszystkim wspólnego?

– Tu dochodzimy do sedna sprawy – oświadczyła uroczyście Julka i w końcu dowiedziałam się, w jakim celu w takim pośpiechu mam pakować manatki i jechać do Holandii, zwanej przez ludność napływową mało zachęcająco: krainą deszczowców.

Małżeństwo architektów otrzymało niezwykle intratny kontrakt w RPA na zaprojektowanie luksusowego kompleksu hotelowego. Ponieważ praca wymagałaby od nich absolutnego skupienia na wykonywanym projekcie, nie miałoby naturalnie głowy do zajmowania się tak przyziemnymi sprawami zwykłych śmiertelników jak pranie, gotowanie czy – nie daj Boże – prasowanie. Nikt nie potrafił tak dopieścić żelazkiem idealnie białych, firmowanych logo znanego projektanta koszulek polo pana domu, jak właśnie Julia.

– Kto by pomyślał, że najlepsza na roku z łaciny może sobie co najwyżej jej

wersji podwórkowej poużywać nad stertą ralphów laurenów czy lacostów – rzekła z przekąsem siostra.

– *Pecunia non olet*, jak mawiali najstarsi Rzymianie. – Użyłam swojej ulubionej sentencji jeszcze z czasów podstawówki: pieniądze nie śmierdzą. – Ale myślę, że nie o prasowanie tu chodzi. Pan szanowny architekt może na miejscu znaleźć dziesiątki chętnych do usługiwania państwu z Europy, nie musi ciągnąć ze sobą pomocy domowej z biednego kraju nad Wisłą. Tu chodzi o twoje gołąbki i pierogi ruskie. Ja ci to mówię. Jego holenderskie podniebienie, przyzwyczajone do rozkosznego smaku naszych rodzimych polskich dań, nie da rady przeżyć na afrykańskich specjałach. Co oni tam jedzą? Bawołu? – Próbowałam, bezskutecznie, przypomnieć sobie lekcje geografii o Czarnym Łądzie.

– Oszalałaś! Żarcie podobnie jak u Holendrów. Frykadele i bobotie! – obruszyła się Julka.

– Cokolwiek to jest, brzmi ohydnie. Wolę żurek! – Poczułam nagle głód i nieodpartą ochotę na naleśniki mamy, które na kolację smażyła w ilościach hurtowych.

Julia zakaszłała znacząco i nieco już zniecierpliwiona ponownie przystąpiła do ofensywy.

– Do rzeczy, siostra, bo gadamy i bijemy pianę jak w tanim serialu, a konkretów ciągle brak. Przyjedziesz na sześć miesięcy, żeby zastąpić mnie u pozostałych rekinów holenderskiej finansjery? Szkoda by mi było tracić te domki, płacą nieźle, nie marudzą, robota lekka, łatwa i przyjemna, szybko się przyuczysz! Przecież teraz siedzisz bezproduktywnie w domu. Zarobiłabyś! – kusiała.

– Nie ściemniaj mi tu, bo i tak nie uwierzę! I pamiętaj jedno: na pranie brudnych gaci się nie piszę. Nawet za milion euro, bejbe! *No way!* – Postanowiłam być twarda i stanowcza jak nigdy.

– *Deal!* Żadnych męskich gaci. No może parę stringów! Koronkowych! – chichotała siostra.

– Że ja się na to godzę! Na kiedy zorganizowałaś ten mój wyjazd? – Zrezygnowana wyrzłam za okno, bo zachmurzyło się nagle. Poczułam chłód na odkrytych ramionach.

– Mówiłam już. Na jutro... Mamy mały niedoczas!

Złapałam się za głowę, próbując wyobrazić sobie logistycznie całe to przedsięwzięcie.

Do dziś nie wiem, jakim cudem udało się to wszystko zorganizować i dograć, ale słowo ciałem się stało. Niespełna dwadzieścia cztery godziny po naszej rozmowie wylądowałam w busie mającym powieźć mnie w nieznane. Julka obiecała odebrać mnie na przystanku końcowym – Amsterdam Centraal. Na wdrożenie w obowiązki doświadczonej gospodyni domowej miałam siedem dni.

Siostra poleciła mnie w trzech domach, które uznała, według siebie tylko znanych kryteriów, za najbardziej atrakcyjne.

Pierwszy należy do znanego prokuratora specjalizującego się w ściganiu przemytników żywego towaru do znanych na całym świecie amsterdamskich burdeli. Dlatego bez problemu zgodził się na zaufaną Polkę, nawet jeżeli jej doświadczenie w kategorii mopy, ścierki i odplamiacze było bardzo ograniczone. Najważniejsza była dyskrecja. Druga willa wystawiona jest na nazwisko dyrektora dużej prywatnej firmy chlubiącej się montażem w hotelach instalacji przeciwpożarowych jedną z najnowocześniejszych technik. Właściciel – jak powiedziała Julia – jest niegroźny, zresztą nigdy go nie ma domu. Ale jest jego żona... ją mamy ogarnąć na miejscu! A trzeci luksusowy obiekt, który miałam „przejąć”, usytuowany jest nad samym Morzem Północnym. Należy do byłej wdowy po potentacie kawowym z Brazylii. Niezwykle eteryczna i wrażliwa staruszka, pianistka i wielbicielka Fryderyka Chopina. „Poczytaj sobie trochę o jego życiu i twórczości, a będzie twoja! – zachęciła mnie Julia. I słusznie, bo jedyne, co w tej chwili wiedziałam na temat Chopina, to miejsce, w którym się urodził, i nazwisko ekscentrycznej francuskiej pisarki, z którą romansował.

Moje rozmyślania o życiu polskiego wirtuoza, czym miałam zaczarować swoją nową chlebodawczynię, przerwał nagle niesprecyzowany harmider niebezpiecznie blisko mojego autobusowego fotela. Niechętnie otworzyłam oczy i wyjęłam słuchawki discmana z uszu. Obok mnie rozsiadała się właśnie, i to z impetem, właścicielka długiej kwiecistej spódnicy i obfitego biustu, na którym bez użycia tacy mogła spokojnie serwować skrzynkę piwa. Jej ciekawskie spojrzenie bez pardonu przewiercało mnie na wylot. „No tak, zatem podróż zapowiada się niezwykle interesująco”, pomyślałam zrezygnowana. Długo czekać nie musiałam.

– A paniusia ile ma sztang? – zagaiła konfidencjonalnym szeptem.

– ...? – Chyba po raz pierwszy z życia kompletnie straciłam rezon. – Przepraszam, czego?

– Nie ma pani za co przeproszać, to wyłącznie pani strata – zaśmiała się z lekką pogardą. – Sztanga. Marlboro. Cygarety. Co ty, dziewczyno, nie z tego świata? – Widocznie uznała mnie za nadto głupią, żeby tytułować mnie panią, więc gładko przeszła na per ty.

– Nie palę – mruknęłam niewyraźnie w odpowiedzi.

– To tak jak my wszyscy! – rozpromieniła się Kwiecista. – Marlborasy na handel wieziemy. Do krajów zgniłego kapitalizmu. Kto handluje, ten piję wódeczkę!

– Chyba szampana – odważyłam się skorygować.

– Co za różnica? – zdziwiła się. – Chłooopaki, chodźcie tu! – Nad moim uchem rozległ się okrzyk niczym wystrzał z armaty. – Mamy tutaj pierworódkę!

Ganc nieświadomiona, co w wielkim świecie piszczy!

Przy naszych fotelach szybko zmaterializowało się dwóch mężczyzn nikczemnego wzrostu, ubranych w identyczne koszulki. Stanęli mi przed oczami Daltonowie w swoich więziennych pasiakach i mimowolnie zaśmiałam się pod nosem.

– Panienska, jak widzę, wesola z natury. – Błysnął złotym zębem pierwszy z Daltonów. – To też moja dewiza. Jak to się mówi po łacińsku: Karpia zjem! Dla nieświadomych znaczy: łap życie za jaja. Tylko nie wiem, czemu akurat niewinnego karpia tu wplątali... – Zamyślił się.

O mało co nie zakrztusiłam się mineralną popijaną z butelki – nagrzana w torbie, smakowała jak letnia przegotowana woda ze starego czajnika.

– Karpia zjem? Ma pan na myśli carpe diem? – skorygowałam ostrożnie ową sentencję.

– Co za różnica! – wtrącił Dalton numer dwa. – I to, i to brzmi bez sensu, i znaczy to samo! Ale panienska, jak widzę, kształcona, po łacińsku rozmawia, nie pali, delikatna, niedzisiejsza. Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Romek! – I wyciągnął do mnie rękę. Po męsku uściśnęłam prawicę swojego nowego kumpla i spojrzałam pytająco na jego towarzysza.

– A ty, Jerzyk, nie przedstawisz się? – Romek szturchnął kumpla i sztucznie ściszone szeptem dodał: – To brachol. Musi nabrać trochę ogłady, dlatego zabieram go w wielki świat. Może jeszcze będą z niego ludzie. Jerzyk skinął tylko głową.

W tym momencie do busa wskoczył zziębnięty kierowca i oznajmił gromko:

– Ludziska! Wszyscy są? No, to jedziemy!

Ruszyliśmy powoli z dworca autobusowego Szczecin Główny...

Rozdział drugi

Amsterdam. Nazywana Wenecją Północy, stolica Królestwa Niderlandów. Miasto perła, położone częściowo poniżej poziomu morza i poprzecinane pajęczą siecią kanałów. Amsterdamskie kanały i wyspy to serce i dusza tego miasta, odwiecznego symbolu niezależności, tolerancji i liberalizmu. Stolica Holandii z otwartymi ramionami przyjmowała zawsze wszelkie przejawy inności. Może dlatego, że sama przeżyła w przeszłości wiele plag: głód, choroby i wojny. Poraniona i wielokrotnie rozgrabiana, rozkwitała za każdym razem ponownie, uparcie podnosiła się z kolan i w magiczny sposób odradzała niczym Feniks z popiołów.

Bracia Daltonowie i ich kwiecista towarzyszką zdawali się idealnie pasować do kolorowego tłumu, jaki spodziewałam się spotkać na ulicach rozbawionego, bez względu na porę roku, Amsterdamu. Co do nieograniczonych możliwości szybkiej i bezbolesnej identyfikacji moich współpodróżnych z holenderską mentalnością nie miałam żadnych obaw, bałam się trochę o siebie samą, chociaż, wbrew pozorom, umiałam odnaleźć się w każdej, nawet najdziwniejszej sytuacji. Byłam zwykłą prowincjuszka, a potem słoikiem, pochodziłam bowiem z malowniczego miasteczka na Pomorzu Zachodnim, skąd w wieku osiemnastu lat wyjechałam na studia do Poznania. Moje serce przesiąknięte mentalnością małej miejscowości, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą, do najbliższego teatru jest ponad sto kilometrów, a centrum życia mieszkańców stanowi mała biblioteka oraz budynek szumnie i dumnie nazywany miejskim ośrodkiem kultury. W takiej bibliotece się wychowałam, a swoją pierwszą książkę przeczytałam pośród zakurzonych półek bibliotecznego magazynu, siedząc pod, nomen omen, dziełami zebranymi Adama Mickiewicza. Prowincja mnie ukształtowała, a późniejszy wyjazd do stolicy Wielkopolski dał solidnie po głowie, nauczył samodzielności i wytrwałości.

Siedzę dziś w autobusie do „wielkiego świata”, w którym mam być zdana wyłącznie na siebie, czując na barkach podwójny ciężar i obawy dziewczyny z prowincji. Czy dam sobie radę? Czy jestem wystarczająco silna i zaradna? Decyzję o wyjeździe do „krajny deszczowców” podjęłam bardzo szybko, ale z pełną premedytacją. Pomimo tych wątpliwości wierzę w siebie, w swój głód nowych doświadczeń, a za drogowskazy w nieznaną, emigracyjną dżungli postanowiłam obrać otwartość, tolerancję, ciekawość świata i życzliwość do ludzi. Muszę przewyciężyć pojawiające się coraz częściej w miarę zbliżania się do celu mojej podróży: strach, tęsknotę i samotność. Chcę wyjść w końcu poza swoją *comfort zone*. Szczyt to kwestia umowna, a jego wierzchołek to siła naszej woli. Przekonuję w duchu sama siebie, by dodać sobie animuszu, że prowincjuszka i twarda dziewczyna, jaką jestem, ma wystarczająco dużo siły, żeby poradzić sobie wszędzie tam, gdzie zaprowadzi ją przeznaczenie. Limit nie istnieje. To my sami

go sobie wyznaczamy.

Moje filozoficzne rozważania tak mnie zmęczyły, że bezwiednie przysnęłam z głową opartą o niezbyt czystą szybę autobusu mknącego rączo niemiecką autostradą A1.

Obudził mnie nagły rozgardiasz i gwałtowne szturchanie Kwiecistej z sąsiedniego fotela.

– Wstawaj, dziewczyno! Ostatnia kontrola paszportowa! – Nie wiem, jakim cudem przegapiłam pierwszą! – Zaraz wjeżdżamy do Holandii! Wyciągaj papiery! – Moja towarzyszka w popłochu grzebie w wielkim torbiszczu i klnie na czym świat stoi. – Gdzie ja wsadziłam ten cholerny... a, jest! – Zamachała mi przed nosem paszportem i z ukontentowaniem poprawiła się na siedzeniu.

Do autobusu weszli ubrani w ciemnozielone uniformy funkcjonariusze niemieckiej służby granicznej^[1].

– *Zeigen Sie bitte Ihre Reisepass!*^[2] – rozległo się stanowcze polecenie służbistów.

W autobusie zapadła cisza. Słyszać było tylko dobiegające zewsząd odgłosy otwierania zamków błyskawicznych w torbach podróżnych i szelesty wertowanych w pośpiechu dokumentów.

Kontrola przesuwała się systematycznie w naszym kierunku, w końcu stanęła przy fotelu Kwiecistej.

– *Haben Sie etwas zu verzollen?* – zwrócił się do mojej towarzyszki niemiecki celnik.

Zdenerwowana kobieta szturchnęła mnie lekko i zapytała dramatycznym szeptem:

– Czego on chce?

– Pyta, czy ma pani coś do oclenia – mówię cicho.

– Władzuchno kochana, a jakże! – rozgadała się nagle Kwiecista. – Nic drożnego nie wiozę. Mam tylko parę, tam tego, papierosków, *Zigaretten* po waszemu. Na potrzeby własne, naturalnie! – zastrzegła, oczywiście po polsku, sąsiadka.

Przetłumaczyłam szybko celnikom odpowiedź kobiety. Popatrzyli na nią przez chwilę, po czym zażądali, by otworzyła swoją torebkę, odpowiadającą z grubsza rozmiarowi wora na ziemniaki.

Kwecista pobladała nagle i z ociąganiem rozsunała zamek torbiszcza.

Celnicy poszperali chwilę w niezmiernych otchłaniach jasnobrązowej, skajowej torby, po czym wyciągnęli z dumą cztery sztuki charakterystycznych białoczerwonych sztang z napisem „Marlboro”...

– Powiedz im, że dwie są twoje – wysyczała w moją stronę Kwecista. – Błagam! Potem się rozliczymy!

– *Die zwei Marlboro Stangen sind von mir* – przetłumaczyłam

automatycznie na niemiecki, złościąc się w duchu na samą siebie za uległość, która mogła zaowocować problemami, na które nie miałam najmniejszej ochoty.

– Jeżeli należą do pani – odezwał się do mnie surowo jeden z celników – to dlaczego przewozi je pani w bagażu innej pasażerki?

Zakłęłam siarczyście w duchu, ale odpowiedziałam pewnie:

– Koleżanka ma więcej miejsca! – Wzmocniłam prawdziwość stwierdzenia efektem wizualnym, podnosząc swoją niewielkich rozmiarów torbę podróżną i triumfalnie machając nią przed oczami celników.

Funkcjonariusze szeptali przez chwilę coś między sobą, popatrzyli na nas z rezygnacją, po czym przeszli w kierunku kolejnego fotela.

Kwiecista łypnęła na nich złym okiem, a kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, zajęci przetrząsaniem kłopotów innych podróżnych, zagadała do mnie poufale:

– Dzięki... eee, jak masz na imię?

– Agnieszka. Nie ma za co! Choć wolałabym być uprzedzona wcześniej o twoich ewentualnych planach przemytniczych. – Przeszłam automatycznie z Kwiecistą na „ty”.

– Oj tam, zaraz przemytniczych! – obruszyła się kobieta. – Nigdy mi wcześniej do torby nie zaglądali, france jedne! A tak w ogóle to jestem Bożena! Ty chyba pierwszy raz do Holandii, bo jakaś taka jesteś... nedorobiona, za przeproszeniem.

Ponownie westchnęłam, nie miałam wyboru, a chciałam w końcu z kimś pogadać, nawet jeżeli miała to być Bożena od Marlboro. Jechała do swojego dziecka, dorosłego syna, który już od roku pracował w kraju tulipanów przy pielęgnacji i „kręceniu” sadzonek papryki. Nadopiekuńcza mamusia nazywała go wygnańcem za chlebem. Zaprezentowała mi z dumą cały wachlarz zdjęć potomka, ocierając przy tym brzegiem dłoni łzy, które pojawiły się na rumianych policzkach od razu, gdy tylko wymówiła imię synka: Tadeusz, Tadzik.

– Jest prawie tak samo przystojny jak ten, no, ten aktor, który Tadeusza grał w *Panu Tadeuszu*, jak mu tam było?

– Michał Żebrowski – odpowiedziałam szybko, przypatrując się podobnie Tadzika na podsunętym jeszcze raz przez Bożenę zdjęciu. Patrzył z niego na mnie ogolony prawie na zero, mocno umięśniony, średniego wzrostu chłopak, który stał na tle jednego z amsterdamskich, jak się domyśliłam, coffee shopów, triumfalnie paląc skręta i patrząc buńczucznie w obiektyw aparatu. Próbowałam dopatrzeć się choćby nikłego podobieństwa do Żebrowskiego, ale poza imieniem nie łączyło ich kompletnie nic. Równie dobrze mogłabym siebie porównywać do Cindy Crawford lub Claudii Schiffer.

Tadzik był dzieckiem miłości. Platonicznej, jak to określiła jego matka. Jej były oblubieniec nosił zaszczytne miano kierownika kolonii letniej w szkole, gdzie

Bożena dorabiała jako kucharka i konserwatorka powierzchni płaskich. Szkoła znajdowała się kilkaset metrów od Bałtyku, romantyczna lokalizacja sprzyjała więc rozwojowi bujnego romansu kierownika z podwładną. Owocem upojnych nocy na plaży był właśnie Tadeusz.

– Po ojcu, nicponiu – chlipnęła Bożena. – Chciałam chłopakowi z początku nadać imię Bohun, bo ślepiec czarne jak węgiel miał i od razu zaprezentował kozacki temperament, ale urzędnik, gbur, do którego poszłam dzieciaka zarejestrować, wyśmiał moje plany i zarzucił mi, że dziecko moje rodzone unieszczęśliwić chce. Cóż było robić. Bohunek został Tadeuszkiem juniorem, szkoda tylko, że senior wykazywał zerowe zainteresowanie synem.

Po zakończeniu turnusu ojciec Tadzika wyjechał do Sosnowca, skąd pochodził. Wkrótce potem Bożena zadzwoniła z budki przy plaży, na której wspólnie poczęli synka, by z radością oznajmić ukochanemu, że zostanie ojcem, ale ten bez słowa odłożył słuchawkę i wszelki ślad po nim zaginął. Kobieta pochlipała tydzień w poduszkę, poużalała się nad losem biednej, opuszczonej w potrzebie matki in spe, po czym zakasała rękawy i wzięła sprawy w swoje ręce. Pracowała z brzuchem pod brodą jeszcze pod koniec ósmego miesiąca ciąży, dorabiała jako bileterka, sprzedawczyni lodów, kucharka, sprzątaczką, słowem: kobieta orkiestra. Tadeuszka urodziła, wychowała i wykształciła sama. Był jej całym światem, radością i miłością największą. Tęskniła teraz za nim tak, że nie zastanawiając się długo, postanowiła pojechać dorobić do Holandii, gdzie pracował synek, i przy okazji dopilnować go, a tak naprawdę porozpieszczać tak, jak tylko matka potrafi.

Słuchałam opowieści Bożeny z zaciekawieniem i złapałam się na tym, że zupełnie inaczej zaczęłam postrzegać tę prząsłą, jaką wydawała mi się na początku, kobietę. Ile siły i determinacji wymagało od niej sprostanie tej niełatwej sytuacji w przeszłości. A jednak sobie poradziła! W myślach zakiełkowała mi nieśmiała nadzieja, że skoro ona dała radę, to i ja sobie poradzę. W końcu mam łatwiej, bez dziecka przy piersi, bez tyłu wydatków i widma niepewnego jutra. Nie ciąży na mnie paralizująca odpowiedzialność za drugiego człowieka. Musi być dobrze. I będzie!

Poprawiłam się w fotelu, spojrzałam na przemykające za szybą autobusu holenderskie równiny i spontanicznie uścisnęłam rękę dzielnej kobiety. Źle ją oceniłam i poczułam wyrzuty sumienia. Bożena dodała mi odwagi i animuszu, pewności siebie, której było mi brak. Nigdy nie lubiłam osób fanatycznie zafiksowanych, zarozumiałych, zadzierających nosa i pozbawionych pokory. Bożena wymykała się jakimkolwiek schematom. Była prostą kobietą, bez konkretnego zawodu, jednak hartu ducha i wiary we własne możliwości mógłby jej pozazdrościć niejeden świetnie wykształcony i odczytany bufon. Poczulałam nagłą sympatię do tej barwnej postaci, pełnej ciepła, kochającej świat i ludzi.

Obserwowałam dyskretnie, jak dzieli się stosem kanapek z towarzyszami podróży siedzącymi tuż za nami, jak szczerze śmieje ze sprośnego dowcipu, który – rechocząc na cały autobus – opowiadał jeden z Daltonów, jak wyciąga z torby-worka ciepły sweter i podaje go starszej kobiecie siedzącej po drugiej stronie przejścia, która skarżyła się cicho, że jej za chłodno w wyziębionym po nocy pojeździe.

W tej trosce o drugiego człowieka Bożena przypominała mi mojego zmarłego tatę, który również miał serce na dłoni i wrodzoną empatię. Kiedy tak sobie o nim myślałam, za szybą autobusu zobaczyłam malowniczo rozpościerające się pola kwiatowe, które lśniły tysiącem różnokolorowych barw w pierwszych promieniach holenderskiego słońca. Zaśmiałam się cicho. Gdziekolwiek był teraz mój tata, właśnie dał mi znak, że jest ze mną. Lubiłam go wspominać. Rankiem wczesną wiosną przynosił mi do łóżka całe naręczą żółtych narcyzów, za domem mieliśmy plantację tych kwiatów – tata siał spustoszenie wśród zagonów, bo wiedział, że to moje ulubione. Przywołałam w pamięci jego spracowane dłonie, w których trzymał całe morze narcyzowego kwiecica. Kładł je na mojej kołdrze i śmiał w głos z mojego udawanego zaskoczenia. Zawsze te detale w mojej głowie... zniszczone dłonie taty, kolor jego koszuli, nawet wzór dywanu, który leżał wtedy na podłodze w pokoju. Minęło tyle lat, a ja ciągle widziałam cień jego uśmiechu, zblakły błękit oczu, w których widać było cały ocean miłości, czułości i troski, których teraz tak cholernie mi brak. Tęskniłam za nim, szczególnie dzisiaj, ale wierzyłam, że czuwa nade mną i nie da mi zginąć.

– Wszystko dobrze? – Bożena patrzyła mi uważnie w oczy. – Nie bój się, Aga! Jakby co, pamiętaj, zawsze możesz do mnie zadzwonić. Podam ci swój numer telefonu, będę w okolicach Amsterdamu. Na początek załatwiłam sobie pracę na dwa miesiące, potem zobaczmy. Obiecuj mi, że jakby co, dasz znać.

– Obiecuję... – szepnęłam cicho.

W tej samej chwili oślepiło nas ostre światło jarzeniówek. Właśnie dotarliśmy do międzynarodowego dworca autobusowego Amsterdam Centraal, celu naszej podróży.

Rozdział trzeci

Od zawsze byłam osobą pogodną. Mój pozytywny charakter i wrodzony optymizm ułatwiały bycie szczęśliwą. Czasem wystarczyło wypić dobrą kawę, poczuć ciepły promień słońca na twarzy, uśmiechnąć się na przekór zabobonom do czarnego kota, który niespodziewanie przebiegł drogę. Im więcej drobiazgów wrzucałam do worka pozytywnych emocji, tym szybciej się wypełniał i mogłam czerpać z niego energię do działania. Jednak w momencie kiedy mój autobus stał pośród dziesiątków innych na rozległym *busstation* Amsterdam, w dalekim od domu obcym kraju, czułam, że ciągnę na rezerwie, a energia zmagazynowana w worku pozytywnych emocji po rozmowie z Bożeną ulotniła się ponownie gdzieś cichcem, nie racząc dać mi nawet najmniejszego ostrzeżenia, że zostawia mnie całkiem samą na placu boju.

W autobusie panował nieopisany harmider. Wszyscy naraz wstawali z miejsc, ściągali z półek tobołki i inne podręczne bagaże. Chwyciłam swoją torbę i zaczęłam przepychać się w kierunku wyjścia. Pierwszą osobą, na którą natknęłam się po zejściu ze stopni autobusu, była Bożena. Kobieta na przemian płakała i śmiała się, tuląc w objęciach ukochanego Tadzika.

– Aga, poznaj mojego synka! – Rozpromieniona machała w moim kierunku.

– Matka, jakiego synka? – śmiał się Tadzik o iście Bohunowym spojrzeniu. – Jestem już dorosły facet! Tadeusz! – Chłopak skłonił się przede mną galantnie. Od razu go polubiłam. Roztaczał wokół siebie pozytywne wibracje i miał wyjątkowo ciepły uśmiech.

– Aga, możemy ci jeszcze w czymś pomóc, dokądś podwieźć? – Bożena złapała mnie za ramię i popatrzyła znacząco na mój plecak, który kierowca autobusu wytaszczył właśnie z przepastnego bagażnika i postawił na chodniku przy mojej nodze.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam szybko, bo nagle, nie wiadomo czemu, zachciało mi się płakać. – Moja siostra powinna być lada chwila. – Rozejrzałam się prędko wokół, ale nigdzie nie dostrzegłam jasnej głowy Julii. Nie wiedziałam, czemu się spóźniała, to było do niej niepodobne.

– Dobra, my musimy już iść. Jakby co, masz mój numer telefonu. – Bożena objęła mnie szybko, po męsku. – Aaa, poczekaj! – Zaczęła myszkować w swojej sławetnej torbie-worku i po chwili wyciągnęła z niej dwie sztangi Marlboro. – To dla ciebie! Są przecież twoje! I nie dyskutuj, bierz! Kasa się zawsze przyda! – Poklepała mnie po ramieniu, zakręciła kwiecistą spódnicą i już jej nie było.

Plac wokół mnie opustoszał. Kierowca autobusu zamknął z hukiem klapę bagażnika, pomachał mi szybko na pożegnanie, wskoczył do szoferki i odjechał, zostawiając za sobą mgłę cuchnących spalin.

Usiadłam zrezygnowana na plecaku, wyjęłam z torby telefon i wystukałam

numer do Julii. Byłam już poważnie zaniepokojona. Po dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałam głos siostry świergoczący coś w języku tubylców, którego ni w ząb nie rozumiałam.

– Julka, gdzie ty jesteś?! – krzyknęłam do telefonu i w tym momencie zauważyłam zbliżającego się kurcgalopkiem w moim kierunku czarnego mężczyznę w dziwnym przebraniu.

– Agnes? TY TO? – zdyszany facet wyhamował tuż przed moim nosem.

– Tak, to ja! – odpowiedziałam zdumiona. – A ty kto? I gdzie, do cholery, jest moja siostra?

– Nie nerwuj! Ja od Julki! Twój *friend*! Nie bój, wszystko powiem tu! – Machał zamaszycie rękami nieznamy. – Jestem Prosper. Ty Aga! Znamy się! To możesz iść ze mną! – Mężczyzna chwycił dziarsko za ucho mojego plecaka.

– Chwila! – wrzasnęłam! – Nigdzie z tobą nie idę! Kim ty właściwie jesteś? Albo dowiem się tego teraz, albo wracam z powrotem do Polski. Jeszcze dziś! – Po czym rozplakałam się rzewnie z żalu i niemocy!

Prosper patrzył na mnie wzrokiem bezpańskiego psa i szeptał cicho:

– Ja *friend*, nie płakaj, nie płakaj...

Chociaż samej trudno było mi w to uwierzyć, po chwili zrobiło mi się go szkoda. Był jeszcze bardziej przerażony niż ja.

– Naprawdę znasz Julkę? – Łypnęłam na niego podejrzliwie zapłakany, ale już przychylniejszym okiem.

– *I swear!* Znaczy... przysięgać! Znam! To moja *neighbour*! – Uderzył się w wątlą pierś, odzianą w kanarkową szatę, Prosper.

– Aha, to twoja sąsiadka! Dobra! Nie wiem czemu, ale ci wierzę. Mów, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś. – Z rezygnacją usiadłam ponownie na plecaku. Miałam dużo czasu.

Mężczyzna westchnął ciężko, po czym rozpoczął swoją opowieść.

Pochodził z Senegalu. Był najstarszym synem rybaka z nadmorskiego kurortu na południu tego biednego afrykańskiego kraju. Od najmłodszych lat wychowywany na następcę swojego ciężko pracującego ojca, w odpowiednim czasie miał go odciążyć i sam zacząć zarabiać na utrzymanie i wyżywienie licznej rodziny. Familia Prospera była bardzo biedna, mieszkali w lepiance krytej bambusem. Bardzo często za jedyny posiłek na cały dzień musiały im starczyć jedna suszona ryba, którą ojciec rodziny z dumą wręczał żonie, a ta patrzyła na niego z miłością i wdzięcznością w swoich czarnych jak noc nad Saharą oczach. Nikt się nie skarżył, nie narzekał, nie buntował. Wszyscy przyjmowali swój los z pokorą. Każdy nowy dzień był jak cenny podarunek, za który należało być wdzięcznym niebiosom. Pomimo demokracji i pozornej wolności Senegal borykał się z biedą i masowym bezrobociem.

– Ciągłe pokutuje u nas widmo kolonialnej przeszłości i handlu

niewolnikami – opowiadał Prosper. – Senegalczycy to bardzo pogodni ludzie. W każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji potrafią znaleźć choćby cień nadziei i trzymają się jej ze wszystkich sił. Kochają życie, taniec, muzykę, w ich żyłach płyną gorące rytmy reggae. Są rozmowni, otwarci i gościnni. Dużo tańczą, śpiewają, często zbierają się w grupach i zasiadają z bardzo popularnym w tym kraju piwem z manioku pod rozległym cieniem prastarych baobabów.

Właśnie podczas takiego spotkania, kiedy zachodziło słońce, kryjąc się leniwie za horyzontem nagrzaną afrykańską ziemi, Prosper usłyszał opowieść jednego ze współbraci o dalekim miniaturowym państwie w Europie, które bohatercko zwyciężyło w walce z wodnym żywiołem. Z wypiekami na twarzy słuchał o kraju położonym głównie na terenach poniżej poziomu morza, u ujścia trzech wielkich rzek: Renu, Mozy i Skaldy. Dzięki nieprawdopodobnej, wręcz magicznej umiejętności osuszania zbiorników wodnych przez ludność tubylczą terytorium tego państwa mogło rozrastać się bez konieczności dokonywania krwawych podbojów. „Jeżeli nie możesz pokonać wroga, zaprzyjaźnij się z nim” – to motto mieszkańców dalekiej krainy zapadło Prosperowi głęboko w pamięć, poruszyło jego serce i duszę. Zapragnął nagle, tak mocno jak nigdy wcześniej, wyruszyć do Europy i zobaczyć na własne oczy efekt triumfu człowieka nad żywiołem. Wtedy też po raz pierwszy usłyszał wypowiedzianą w miejscowym języku wolof nazwę egzotycznego miejsca, które zawładnęło nim całkowicie.

Olaand.

Holandia.

– Oczywiście musiałem stoczyć walkę, co ja mówię, prawdziwą bitwę z całą rodziną, która uważała mój pomysł za kompletnie szalony. – Prosper zamyślił się na chwilę. – Zebrała się cała starszyzna i trzy dni debatowano nad tym, jak odwieść mnie od szalonych planów. Stwierdzono kategorycznie, że opętał mnie zły duch, którego jak najszybciej trzeba się pozbyć. Odprawiano nade mną rytuały najlepszych w kraju czarowników, znoszono amulety rigi rigi, smarowano uzdrawiającymi maściami i pojono miksturami, które miały osłabić wewnętrznego demona sączącego do moich uszu herezje o wyjeździe do Holandii.

Zasłuchałam się bez pamięci w niezwykłej historii Prospera. Opowiadał tak barwnie, tak plastycznie. Patrzyłam na jego czarną jak heban, pooraną głębokimi bruzdami twarz, z której biła nieprawdopodobna radość i głód życia. Był bardzo szczupły, wręcz chudy, gestykulował żywo długimi kościstymi rękami, podkreślając ekspresję wypowiedzi. Jego kanarkowa szata, przypominająca damską tunikę, zwisała luźno na szpiczastych ramionach, ogromne stopy obute były w skórzane sandały.

– Kiedy po tygodniach bezskutecznych prób odgonienia złych czarów nadal upierałam się przy wyjeździe do Olaand, rodzina niechętnie skapitulowała. Od tej chwili zaczęli mnie wspierać i dopingować w moich planach, – Prosper się

uśmiechnął. – Uwierzyli w końcu w to, że dopnę swego, nie na darmo noszę przecież imię oznaczające pomyślność i szczęście^[3]. Największy problemem stanowiły oczywiście pieniądze. Moi rodzice nie byli w stanie sfinansować mi nawet podróży do stolicy naszego kraju, a co dopiero do Europy. Sytuacja zdawała się patowa. Wtedy, niczym czarny anioł dobrej nowiny, pojawił się daleki krewny mojego ojca, mieszkający w Dakarze. Zaproponował mi pomoc w znalezieniu pracy jako sprzątacznik na Léopold Sédar Senghor International Airport, największym porcie lotniczym w Senegalu. *Mon oncle*^[4] pożyczył mi pewną sumę pieniędzy, pozwalającą na podróż do stolicy, i zapewnił miejsce do spania u znajomego wynajmującego kwatery pracownikom sezonowym w dakarskim porcie. Miejscem do spania okazał się cienki materac rozkładany na noc w pomieszczeniu, które służyło jako kuchnia. Za dnia musiałem go zwijać i wkładać do worka, który oprócz materacowego futerału pełnił funkcję szafy i sejfu. – Prosper popatrzył przed siebie z nostalgią. – Nie skarżyłem się jednak. Miałem obrany konkretny cel i żadne drobne przeciwności losu, jakimi zdawały się warunki mieszkaniowe i katorżnicza wręcz praca na lotnisku, nie mogły mnie do niego zniechęcić. Nie zawsze przecież droga, którą idziemy przez życie, jest gładka i prosta. Nie zawsze pusta i łatwo przejezdna. – Zamyślił się. – Nie wiem dlaczego, ale od dziecka nęciły mnie boczne, kręte i wyboiste szosy. Takie, na których obijałem sobie tyłek i często plątałem kierunek jazdy. Idąc pod prąd, spotkałem najwartościowszych ludzi. Niektórzy pojawili się w mojej historii zaledwie niczym błysk, inni pozostali w niej na zawsze. Nie lubię przewidywalności i po dziś dzień chętniej skręcam w nieprzejezdne. Tylko tam, droga Agnies – wymówił z francuska pięknie moje imię – możemy znaleźć prawdę i ludzi bez masek. Takich, jakich spotkałem w moim „hotelu pracowniczym”. Zbieranina dziwołągów z całego świata, pokrzywionych trudnym losem, pobrudzonych życiem, trochę na bakier, na przekór, bez fajerwerków. Już pierwszego dnia, wiedząc, że jestem głodny i prawie bez grosza przy duszy, poczęstowali mnie ciepłą zupą i kawałkiem chleba. Czas, który tam spędziłem, nauczył mnie ludzi. Teraz wystarczy tylko, że spojrzę im w oczy i już wiem. I widzę... Twoje oczy są szczerze, Agnies – powiedział cicho. – Nie bój się mnie, chcę ci pomóc.

– Nie boję się ciebie, Prosper – odpowiedziałam prawie szeptem. – Wierzę ci. Ja też mam intuicję i szósty zmysł, który właśnie teraz mi mówi, że jesteś uczciwym człowiekiem i że mnie nie skrzywdzisz.

Między nami nastąpiła cisza. Słyszeć było tylko dochodzący z niedaleka warkot silników autobusów, które właśnie wjeżdżały lub wyjeżdżały z tętniącego życiem dworca autobusowego. Mijali nas ludzie z plecakami, walizkami, zamyśleni, rozgadani, smutni, radośni, pełni werwy i wiary, że właśnie tu, w stolicy Królestwa Niderlandów, przeżyją przygodę swojego życia. Ja też chciałam ją przeżyć. Dlatego dziarsko wstałam z plecaka, rozprostowałam ścierpnięte nieco długim

siedzeniem nogi, po czym rzekłam stanowczo do mojego nowego towarzysza niedoli:

– A teraz zaprowadź mnie do domu.

Rozdział czwarty

Deus mare, Batavus litora fecit. „Bóg stworzył morze, ale Holender wybrzeża” – mawiali średniowieczni mieszkańcy Niderlandów. Także współcześni zwykli z dumą powtarzać, że Bóg stworzył świat, ale swój kraj oni sami. Na przestrzeni wieków zdołali poskromić groźny morski żywioł i stali się cenionymi na całym świecie specjalistami od technologii wodnych.

Patrząc zza okna autobusu miejskiego na przesuwany się za szybą imponujący, panoramiczny widok amsterdamskiego portu, zanuciłam pod nosem piękną piosenkę Jacquesa Brela:

*Jest port wielki jak świat, co się zwie Amsterdam,
marynarze od lat pieśni swe nucą tam.*

Jest jak świat wielki port, marynarze w nim śpią.

Jak daleki śpi fiord, nim szum fal zbudzi go.

Prosper patrzył na mnie z uśmiechem w czarnych oczach.

Autobus lawirował zgrabnie pomiędzy setkami innych pojazdów, wśród których królowały rowery. Były wszędzie, wyrastały znikąd na ceglasterkowych, doskonale oznakowanych ścieżkach, na przejściach dla pieszych, przystankach i chodnikach. Ludzie poruszający się na nich byli kolorowi, w większości oryginalnie ubrani, jedni uśmiechnięci, inni zestresowani, widocznie spóźnieni, gdyż gnali na swoich jednośladach na łeb na szyję. Ze zdumieniem spostrzegłam, że niektórzy przewozili na bagażnikach swoich „mustangów” rzeczy, których transport na rowerze w Polsce byłby nie do pomyślenia. Widziałam i przytroczony do bagażnika parcianym paskiem ogromny telewizor, i starą poobijaną pralkę, a nawet dwudrzwiową szafę (!), która chwiała się niebezpiecznie na uginającym się pod jej ciężarem jednośladzie.

Kiedy wyjechaliśmy w końcu poza rogatki miasta, spojrzałam pytająco na Prospera.

– To wy nie mieszkanie w Amsterdamie?

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – odpowiedział zdziwiony Senegalczyk. – Nigdy nie rozmawiałaś z Julią na temat jej pracy i tego, gdzie żyje? Nie interesowało cię to? Trochę to dziwne, nie uważasz?

Poczułam nagle wyrzuty sumienia i w duchu musiałam przyznać Prosperowi rację. Nie oskarżał mnie ani niczego nie zarzucał. Był po prostu zdziwiony faktem, że można tak mało wiedzieć o swojej własnej siostrze.

– *You're absolutely right.* Tak, masz absolutną rację – powtórzyłam po polsku skruszona. – Nawet nie będę próbowała ci tego wyjaśniać, bo nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Poza tym mój angielski nie uniesie stopnia trudności takich wynurzeń. – Położyłam rękę na sercu i żeby rozładować trochę napiętą atmosferę, puściłam do Prospera oko.

Julia była starsza ode mnie o czternaście lat. Kiedy ja poszłam do pierwszej klasy podstawówki, ona już wyfrunęła z domu na studia. Przyjeżdżała bardzo rzadko, zajęta swoim życiem, nauką, nowym środowiskiem. Była bardzo towarzyska i łatwo nawiązywała kontakty. Piękna blondynka o doskonałej, kobiecej figurze, oczytana, z poczuciem humoru, zawsze w centrum wydarzeń. Mogła mieć każdego faceta... wybrała Eryka. Ten diabelsko przystojny i równie inteligentny chłopak tak zawrócił jej w głowie, że niepomna przestrog rodziny i przyjaciół, nieprzytomnie zakochana, wyszła za niego za mąż na drugim roku studiów. Już wtedy Eryk wykazywał niepokojące skłonności do alkoholu i hazardu. Miłość jest jednak ślepa i głucha. Zauroczona żona kryła męża, spłacała z własnej kieszeni (korepetycje!) jego coraz większe długi i dyskretnie, w jej mniemaniu, wynosiła po każdym weekendzie na śmietnik naręcza butelek po najtańszym winie. Nie wiem, jakim cudem skończyła studia. Jej mąż przerwał edukację na czwartym roku, tuż przed dyplomem, i wyjechał na saksy do Niemiec. Na początku dorabiał głównie na budowach, a że praca była zbyt ciężka i mało płatna, szybko przerzucił się na przemysł do Polski szwajcarskich rolexów.

Mijały lata. Julia pracowała jako nauczycielka w liceum, Eryk lawirował w sobie tylko wiadomy sposób w szarej strefie. Wybudowali spory dom, który moja siostra przepięknie i ze smakiem urządziła. Bomba wybuchła, kiedy okazało się, że Eryk wplątał się wraz z grupą kumpli w szemrany handel autami. Przykrywką dla tej działalności był kantor wymiany walut, który prowadził „legalnie”, by zamydlić oczy rodzinie i urzędowi podatkowemu. Po godzinach on i jego szajka zajmowali się zgoła czym innym. Plan był zadziwiająco prosty... Podstawiony niemiecki właściciel auta „odsprzedawał” swój samochód przestępcom po niższej cenie, a następnie zgłaszał kradzież pojazdu, za który otrzymywał odszkodowanie z firmy ubezpieczeniowej. Po odliczeniu kosztów łupem dzielili się po połowie. Wszystko, co dobre, w końcu się kończy, a może raczej wszystko, co nielegalne, kiedyś w końcu wychodzi na jaw. Eryk trafił do więzienia, Julia z kupą wierzycieli na głowie została na lodzie. Z nauczycielskiej pensji nie była w stanie spłacić nawet dziesiątej części całego zadłużenia, a dochodziły jeszcze odsetki. Nie pozostało nic innego, jak wyruszyć za chlebem za granicę, co też uczyniła. W ten oto sposób znalazła się w Holandii, gdzie sprzątając domy zamożnych tubylców, zarabiała na spłatę zobowiązań.

Nasz kontakt ostatnimi czasy był luźny, przyznaję, że zbyt rzadko pytałam, co u niej, jak sobie daje radę. W końcu jednak – pocieszałam się w duchu – nie odmówiłam, tylko przyjechałam, żeby jej pomóc! I wszystko wskazywało na to, że to ona tym razem nawaliła!

Popatrzyłam podejrzliwie na Prospera.

– Julia czeka na mnie w domu, tak?

Prosper nawet na mnie nie spojrział. Zainteresował się nagle stanem swoich

skórzanych sandałów, w które uparcie zaczął się wpatrywać.

– Zaraz zobaczy! Dom już. Tuż-tuż – wydukał łamaną polszczyzną i zamachał gwałtownie rękami.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Prosper, kto cię nauczył mówić po polsku? Moja siostra?

Senegalczyk ponownie się rozpromienił i gwałtownie przytaknął.

– Tak. Ja teraz mówić po polski. To bardzo ładne! – Na czarnej jak heban twarzy Prospera pojawił się śnieżnobiały uśmiech od ucha do ucha.

Nasze dialogi były przekomiczne. Ja mówiłam do niego po angielsku, on odpowiadał w swoim miksie angielsko-polsko-francusko-holenderskim. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem dogadywaliśmy się bezbłędnie. Jak to określiła Ania z Zielonego Wzgórza, moja ulubiona bohaterka powieści Lucy Maud Montgomery, najwyraźniej byliśmy „ludźmi, którzy znają Józefa”.

Kątem oka zauważyłam, że wjechaliśmy właśnie do bardzo malowniczej miejscowości. Odnowione z wielkim pietyzmem charakterystyczne kamienice stały w równych rzędkach, a pomiędzy nimi wiła się srebrna nitka poprzecinanej gdzieniegdzie drewnianymi mostkami rzeki. W oddali kręcił się majestatycznie wielki wiatrak, jakie do tej pory dane mi było oglądać jedynie na pocztówkach.

Pociągnęłam Prospera za rękaw jego szaty.

– Błagam, powiedz mi, że to tutaj się zatrzymamy! Przepiękne miejsce! Jestem zachwycona – paplałam trzy po trzy, kompletnie zaczarowana urokiem miasta.

Prosper roześmiał się w głos.

– Tak, Agnies, to tutaj jest kres twojej wyprawy. Wsiadamy!

Przewiesiłam przez ramię podróżną torbę. Prosper chwycił mój plecak, po czym wyszliśmy na zewnątrz i znaleźliśmy się na brukowanym trotuarze tuż przed wejściem do monumentalnej budowli w stylu gotyckim.

– Chodź za mną. – Prosper złapał mnie za rękę. – Na zwiedzanie jeszcze przyjdzie czas. Pora odpocząć! Na pewno jesteś głodna – zaniepokoił się nagle. – Zaraz przygotuję ci coś pysznego do jedzenia!

Popatrzyłam z wdzięcznością na mojego towarzysza i w duchu dziękowałam Bogu, że przyszło mi trafić na kogoś takiego jak on.

Ruszyliśmy przed siebie, aby po krótkiej chwili znaleźć się przed dość sporym białym budynkiem z wielkim szyldem: Italiaans Restaurant. Przed restauracją rozstawionych było kilka stolików z parasolkami. Nie było tłoku, tylko przy jednym z nich siedziała para młodych ludzi i zaśmiewając się do rozpuku, popijała kawę w małych filiżankach.

– Będziemy tutaj jeść? – Spojrzałam pytająco na Prospera.

– Boże broń! – Popatrzył na mnie z przestrawieniem w oczach. – Tylko spać. Właściciel tego przybytku wynajmuje nam tutaj pokoje na piętrze. Chodź za mną –

powiedział szybko, po czym ruszył w kierunku restauracji.

Po chwili znaleźliśmy się na tyłach budynku. Na górę prowadziły bardzo wąskie blaszane schody przeciwpożarowe. Wdrapaliśmy się na szczyt schodów i weszliśmy do wąskiego i ciemnego pomieszczenia na poddaszu. Po obu stronach znajdowały się pomalowane na błękitno drzwi. Prosper wydobyl z przepastnej kieszeni szaty klucz, po czym otworzył pierwsze z nich.

Rozdział piąty

Haarlem. Piękne zabytkowe miasto położone dwadzieścia kilometrów na zachód od Amsterdamu. Romantyczne uliczki z urokliwymi domami tworzą tu niezwykle, niespieszny klimat małej miejscowości nad płynącą leniwie rzeką Spaarne.

– Czy wiesz, że słynna murzyńska dzielnica Harlem w Nowym Jorku wzięła swoją nazwę właśnie stąd? – Prosper się uśmiechnął i postawił przy ścianie mój przeładowany plecak. – Holenderscy koloniści nazwali Nowy Jork, założony na początku jako faktoria handlowa, Nowym Amsterdamem, a jedną z jego dzielnic Harlemem, właśnie na cześć naszego miasta. Tylko po latach Amerykanom zgubiło się w nazwie jedno „a”! Zabaw... – nie dokończył Senegalczyk, gdyż przerwałam mu w pół słowa, czując coraz większą irytację.

– Bardzo to szlachetne z twojej strony, mój drogi, że bombardujesz mnie tymi niezwykle przydatnymi w tej chwili informacjami, ale chcę w końcu wiedzieć, gdzie, do cholery, jest Julia!

Byłam zła, zmęczona i głodna. Rozejrzałam się niecierpliwie wokół. Stałam na środku małego pokoju, do którego przylegał aneks kuchenny. Z lewej strony pomieszczenia, na jasnej podłodze z laminatu, stało metalowe łóżko z podwieszoną u sufitu moskitierą. Obok piętrzyła się góra książek i czasopism. Na parapecie nagiego okna widniał miniaturowy przenośny telewizor, a pod ścianą biała dwudrzwiowa szafa z wymalowanymi na froncie ręką Julii czerwonymi tulipanami (wszystkie szafy w swoim domu w Polsce przerabiała zawsze na „kwiatową” modłę).

Na środku pokoju królował solidny, drewniany, okrągły stół przykryty obrusem w kratkę. Na stole pysznił się stary kryształowy wazon naszej babci Leokadii, który moja siostra dostała od niej w prezencie ślubnym. Nie było w nim żadnych kwiatów. Zauważyłam za to opartą o kryształ białą dużą kopertę z wypisanym drukowanymi literami imieniem: AGNIESZKA.

Poczułam nagły lęk. Musiało wydarzyć się coś złego i Prosper nie wiedział, jak mi o tym powiedzieć. Jednym susem dopadłam stołu i rozdarłam drżącymi ze zdenerwowania dłońmi papier. W środku znajdował się list napisany ręką Julii.

Aga!

Wiem, że będziesz na mnie zła, ale nie mogłam inaczej. Musiałam to zrobić. Proszę, wybac mi i spróbuj zrozumieć. Dzwoniłam do Ciebie przedwczoraj już z lotniska Schiphol w Amsterdamie. Wyjazd moich pracodawców do RPA nastąpił dwa tygodnie wcześniej, niż planowali. Nie mogłam czekać, zapłacili już za bilet, ponieważ byli przekonani, że rozmawiałam z Tobą i wszystko ustaliłam... A ja po prostu bałam się, że się nie zgodzisz, że nie przyjedziesz. Nie martw się, wszystko

przygotowałam. Uprzedziłam ludzi, u których będziesz pracować, że potrzebujesz więcej czasu na wdrożenie się we wszystkie obowiązki. Prosper ma wszystkie adresy, zaprowadzi Cię do nich. Dojedziesz wszędzie moim rowerem albo komunikacją miejską. Pieniądże leżą pod pojemnikiem na sztućce w prawej górnej szufladzie w kuchni.

Prosper pomoże Ci we wszystkim, zresztą już na pewno go polubiłaś. Tutaj to jest mój dobry duch, na wskroś uczciwy, pomocny, kochany. Z nim będziesz bezpieczna. Nie da Cię skrzywdzić, będzie się Tobą opiekował i pomagał we wszystkim. Tak, jak pomógł mnie...

Wybacz mi, siostrzyczko. Będzie dobrze. Wiem to.

Kocham Cię

Julia

Usiadłam ciężko na jednym z czterech krzeseł stojących przy stole. Prosper stał w miniaturowej kuchence i patrzył na mnie bez słowa.

– A to mnie kochana siostra urządziła! – mruknęłam pod nosem sama do siebie po polsku i ponownie zerknęłam na Prospera. – *Okay. So what now?* – rzuciłam pytająco w jego stronę.

Wzruszył ramionami.

– Nic! Poradzimy sobie. Wiesz, że ci pomogę. Mieszkam w Holandii już parę lat, w Haarlemie od ponad roku. Zaprzyjaźniłem się z Julką, wiem, gdzie pracuje, znam tutejsze zwyczaje. Wszystko ci objaśnię i pokażę. Nie masz się czego bać.

– Wiem, że nie mam się czego bać, Prosper. Nie jestem już dzieckiem. To nie o to chodzi! – Ponownie poczułam złość na Julkę. – Tak się po prostu nie robi! Mogła mi przecież powiedzieć prawdę.

– Przyjechałabyś wtedy? – Popatrzył na mnie wymownie Senegalczyk. – Zastanów się, czy zdecydowałabyś się podjąć to ryzyko, gdyby siostra powiedziała ci, że nie będzie na ciebie czekać na dworcu, a w zamian przyśle czarnego dziwaka z dzikiego kraju?

Popukałam się znacząco w głowę.

– Co ty za bzdury gadasz, już ja prędzej jestem dzikusiem, a nie ty! – Ale w duchu musiałam przyznać mu rację. W życiu nie ruszyłabym się z domu, znając scenariusz mających na mnie czekać na obczyźnie atrakcji. – Dobra, mleko się rozlało, nie ma rady – westchnęłam z taką siłą, że list Julki sfrunął malowniczo na

ziemię. Schyliłam się, aby go podnieść. Pod stołem siedział, patrząc na mnie z przerażeniem, wielki szary kocur.

– Czy to kolejna niespodzianka? Co tu, na Boga, robi ten zwierz? Nagle zaczęłam się śmiać. Kot prychnął z pogardą i wolnym krokiem udał się do kuchni, gdzie na podłodze w rogu stała mała srebrna miseczka z jakimś żarciem.

– On jest niegroźny – zastrzegł Prosper i pogładził wielki puszysty koci ogon. – Julka go kocha nad życie!

– Od razu powiedz mi, że w szafie siedzi jeszcze kochanek mojej siostry, a wtedy zaoszczędzisz mi kolejnego zaskoczenia! – Patrzyłam z rozbawieniem na Senegalczyka, który nerwowo skubał nitki swojego żółtego chałata.

– Kochanek? Jaki kochanek? – zaniepokoił się Prosper i obejrzał trwożnie za siebie.

– Prosper, to tylko żart! – zapewniłam solennie, po czym zapytałam z nadzieją w głosie: – Masz dla mnie coś do jedzenia, bo umieram z głodu i jak tak dalej pójdzie, to dobiorę się kotu do miski. Jak temu kociemu księciu właściwie na imię?

– Kociołek – rozpromienił się Prosper. – Bardzo przyzwoita kota z niego.

– Wierzę – zaśmiałam się. – A teraz pokaż mi, mój kochany, zawartość kotła z prowiantem dla mnie.

Senegalczyk z dumą otworzył małą lodówkę.

– Julia ugotowała całe dania! – oznajmił. – Twoje ulubione! Gowombki i pierogi! *Z blueberries!* Będą ciarne zombki! – zachichotał jak mały urwis.

– Oj tak, po pierogach z jagodami będą czarne. Uwielbiam twoją osobliwą polską mowę – mruknęłam cicho i zabrałam za podgrzewanie Julkowych specjałów.

Powiedzenie, że najlepsze decyzje podejmuje się o pełnym żołądku, miało swój głęboko uzasadniony sens, który pojęłam po zjedzeniu trzech wyśmienitych gołąbków i sześciu pierogów z jagodami. Poezja smaku i zapachu nastroiła mnie pozytywnie i widziałam teraz swoją przyszłość w Holandii w nieco mniej czarnych barwach niż na początku.

Prosper nie zjadł prawie nic, sącył tylko powoli mocną i ciemną jak marokańska noc herbatę Earl Grey z niesamowitą ilością cukru. Przypatrywał się mnie i mojemu wilczemu apetytowi z niezwykłym ukontentowaniem i mrucał coś tam pod nosem w sobie tylko znanym języku.

– Agnies – zagadnął mnie po dłuższej chwili. – Mogę cię o coś zapytać?

– Dawaj! – Oblizyłam ze smakiem widelec z cukru i śmietany i popatrzyłam na niego z ciekawością.

– Czym właściwie zajmujesz się w Polsce? Jesteś nauczycielką jak Julia?

– Nie. Jako jedyna w rodzinie wyłamalam się z wiekowej tradycji i nie zostałam belfrem – odpowiedziałam. – Ale nie ma się czym chwalić – dodałam

ponuro. – Właściwie to splamiłam rodzinne dobre imię, bo zamiast studiować kierunek dający mi konkretne zatrudnienie od ręki, wybrałam fach, jak to określała moja babcia, ni z puchu, ni z pierza, czyli dziennikarstwo.

– Przecież to bardzo dobry zawód? – zdziwił się Prosper. – Przyszłościowy!

– Też tak myślałam – westchnęłam cicho. – Ale życie okazało się bardziej skomplikowane, niż przypuszczałam.

Przypomniałam sobie siebie samą tuż po obronie pracy magisterskiej i rozdaniu dyplomów. Świeżo upieczona pani magister, w białej bluzce, przekonana, że zawojuje świat, a wszystkie redakcje najbardziej popularnych gazet będą stać przed nią otworem i zaproponują jej na dzień dobry niezwykle atrakcyjną i świetnie płatną pracę. O młodości chmurna i durna!

Brutalne zderzenie z rzeczywistością nastąpiło szybciej, niż myślałam. Po dwóch miesiącach kilometrowych wycieczek po redakcjach czołowych, a później tych drugorzędnych poznańskich tytułów prasowych i po wysłaniu świeżo napisanego, pięknego, acz trochę krótkiego CV w liczbie pięćdziesięciu egzemplarzy wszędzie słyszałam takie same formułki: „Nie, nikogo nie potrzebujemy, planujemy redukcję, kryzys, czy pani oszalała, nie zna pani realiów, bez doświadczenia nie ma szans, chyba że jako stażystka lub goniec. Chyba nie muszę dodawać, że proponowana mi stawka, jeżeli w ogóle o niej wspomiano, była tak głodowa, że nie dałabym rady wysupłać z niej nawet połowy czynszu za wynajem mieszkania, nie mówiąc już o innych opłatach. Studia sfinansowali mi w całości rodzice, w wakacje dorabiałam sobie wprawdzie jako barmanka w knajpach nad morzem, ale były to kwoty pozwalające co najwyżej na szaleństwa typu nowe martensy, płyty Depeche Mode czy poprzecierane na kolanach oryginalne levisy. Nie miałam w związku z tym żadnych oszczędności, a rodzice nie po to inwestowali lata całe w edukację upartej i krnąbrnej córki (ojciec oszczędził mi wprawdzie sakramentalnego: „a nie mówiłem”, ale i tak czułam gigantyczne wyrzuty sumienia), żeby teraz, kiedy już miałam dyplom w kieszeni, nadal opłacać moje wydatki. Zacisnęłam więc zęby, pożyczyłam parę groszy od bardziej majątnych znajomych i szukałam dalej. Byłam tak zdesperowana, że w pewnym momencie przyjąłam nawet propozycję pracy „przejściowej” jako roznosiciel ulotek, a potem niezwykle skuteczny samozwańczy copywriter w sąsiadującej z moim mieszkaniem na poznańskich Ratajach, superhipernowoczesnej i całkowicie zautomatyzowanej myjni samochodowej. Ekstrapremię dostałam za nowe hasło reklamowe, mające przyciągnąć świeżą i dzianą klientelę. W tym czasie niezwykle popularnością cieszył się film z Czarkiem Pazurą *Kiler*, wykorzystałam to, wymyślając chwytliwy slogan: Myj u nas swojego kara, a będziesz miał furę jak Siarzewski Siara.

Moja kariera w myjni rozwijałaby się zapewne po dziś dzień, ale pewnego pięknego wiosennego poranka jej właściciel został zaaresztowany za malwersacje

podatkowe i pranie brudnych pieniędzy. Moje hasło okazało się aż nadto prorocze, gdyż głównymi jego klientami były miejscowe poznańskie Siary, przypominające do złudzenia granego przez Janusza Rewińskiego warszawskiego bossa mafii. Z tą różnicą, że on był fikcyjny, a oni jak najbardziej prawdziwi.

Z dnia na dzień zostałam bez środków do życia, gdyż szef wisiał mi jeszcze wynagrodzenie za ostatni miesiąc. Chcąc nie chcąc, musiałam z podkulonym ogonem wrócić na garnuszek rodziców na Pomorze. Mama przebąkiwała coś o propozycji pracy w redakcji miejscowej „Gazety Pomorskiej”. Redaktor naczelny szukał dziennikarzy „w terenie”, którzy w miarę sprawnie posługiwali się piórem i byli w posiadaniu prawa jazdy. Dla świeżo upieczonej absolwentki prestiżowego wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu praca w redakcji prowincjonalnej gazetki była swoistą degradacją, ale nie miałam wyboru i musiałam schować dumę do kieszeni. Z czegoś przecież trzeba było opłacać rachunki.

W „Gazecie Pomorskiej” przyjąłam więc funkcję latającego reportera. Miałam wolną rękę. Sama wyznaczałam sobie nowe zadania i wynajdywałam interesujące i chwytliwe tematy. Hitem stał się mój cykl reportaży o działalności miejscowych urzędów państwowych, takich ja skarbowka, ZUS czy poczta. Ośmieszałam przestarzałe i skostniałe mechanizmy działania tychże instytucji, kumoterstwo i politykę *manus manum lavat*, znaczy: ręka rękę myje. Mieszkańcy mojego miasteczka bardzo chwalili przystępny i pełen humoru styl moich reportaży, zatrzymywali na ulicy, klepali po plecach i dopingowali do dalszej pracy „wykrywacza afer i nieprawidłowości”.

Rozochociłam się i naiwnie myślałam, że wolność słowa oznacza, że mogę pisać bez żadnego nadzoru i cenzury o każdym, nawet jeśli jest burmistrzem czy naczelnikiem miejscowego urzędu skarbowego. Bez ogródek i bez pardonu. Moje ideały legły w gruzach, kiedy wezwał mnie do siebie na dywanik redaktor naczelny i surowo nakazał stępienie pazurków. Byłam właśnie na tropie śmierdzącej afery w urzędzie miejskim. Już od dawna pracowałam nad dokumentacją dotyczącą przetargów na niezwykle atrakcyjne turystycznie tereny nad chlubą naszego regionu, niezwykle malowniczym jeziorem Zgubie. Chodziło o grube miliony. W aferę wplątane były wszystkie znaczące miejscowe fisze. Już byłam w ogródku i witałam się z gąską, gdy nagle szast-prast – koniec kariery. Szef postanowił, że od teraz będę zajmowała się mało znaczącym i spychanym zawsze na koniec kolumny działem „Ciekawostki z okolicy”. Opisywane tu były śmiertelnie nudne „rekordy” mieszkańców miasta i gminy typu: kto złowił największą rybę w miniony piątek czy upiekł najwięcej pączków na szykującą się imprezę dożynkową. Nie widziałam się w roli miejscowego buchaltera regionalnych wypieków czy połowów, złożyłam więc rezygnację z zajmowanej dotychczas funkcji, ze skutkiem natychmiastowym. Miałam trochę oszczędności, poza tym udzielałam korepetycji z angielskiego

uczniom miejscowej podstawówki. Wieczorami żaliłam się przy piwie najlepszej przyjaciółce z czasów dzieciństwa, Goście, na podły świat i ogólnie niesprawiedliwość dziejową. Razem planowałyśmy z rozmachem wyjazd do pracy do Londynu. Rozmach był tym większy, im więcej piw zdążyłyśmy obalić. Pod koniec wieczoru, zaśmiewając się do rozpuku, przyjmowałyśmy nawet propozycje pracy jako osobiste asystentki księcia Karola, jeżeli oczywiście bardzo ładnie by nas poprosił.

Właśnie po jednym z takich zakrapianych wieczorów zadzwoniła do mnie Julka z propozycją nie do odrzucenia.

– Resztę znasz. – Spojrzałam znacząco na Prospera i ziewnęłam szeroko. – Przepraszam cię, padam z nóg. Gdzie jest łazienka?

– WC jest wspólne, na korytarzu – odpowiedział szybko Prosper, nie patrząc na mnie. – Miniaturowa kabina prysznicowa znajduje się w kuchni za kotarą. Akurat starczy miejsca dla małej, drobnej Agnies – uśmiechnął się szelmowsko, sprytnie ukrywając zakłopotanie.

– Drobnej! Mam sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu! – obruszyłam się. Czułam jednak takie zmęczenie, że było mi naprawdę wszystko jedno, choć wizja wspólnej toalety z obcym bądź co bądź współlokatorem napawała mnie lekkim przerażeniem.

– Jutro pokażę ci, gdzie zaczynasz pracę od poniedziałku – powiedział Prosper. – Na dziś wystarczy tych opowieści. Jestem pod wrażeniem. – Uśmiechnął się ciepło, po czym, życząc mi dobrej nocy, wyszedł z mieszkanca.

Wymknęłam się jeszcze cichcem chwilę po nim, aby skorzystać z toalety. Była mała i schludna, przy umywalce wisiał czysty ręcznik, a obok muszli klozetowej, na stojaku, znalazłam dwie rolki dobrej jakości papieru toaletowego.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się potem jeszcze wejść pod prysznic dla krasnoludków. Umyłam się w każdym razie szybko i z ulgą wskoczyłam pod moskitierę. Materac był miękki, a pościel czysta. Pachniała płynem do płukania o zapachu lawendy. Po krótkiej chwili zapadłam w twardy sen.

Rozdział szósty

Obudził mnie obłądny zapach kawy i delikatne pukanie do drzwi. Wyskoczyłam z łóżka i wyjrzałam na korytarz. Prosper stał przede mną boso, uśmiechając się promiennie, ubrany tym razem w błękitną tunikę w białe pasy. W dłoniach trzymał sporą tacę z kolorowymi owocami, ciemnym, pokrojonym w grube pajdy pieczywem i małym poobijanym czajniczkiem.

– *Goedemorgen! Lekker geslapen?*^[5] – Prosper błysnął swoimi śnieżnobiałymi zębiskami.

– Nie wiem, o czym do mnie mówisz, ale na wszystko się zgadzam! – Ziewnęłam szeroko. – Królestwo za kawę! Wchodź, dobry człowieku. – Poklepałam Prospera po chudych plecach.

Sięgałam mu zaledwie do ramienia. Prosper postawił tacę na stole i uciekł wzrokiem w bok. Spojrzałam zdziwiona na niego, a potem na siebie. *Shit!* Byłam odziana jedynie w kusą koszulkę na ramiączkach, która zdecydowanie więcej odsłaniała, niż przysłaniała. Złapałam rzucony wczoraj w pośpiechu na oparcie krzesła puchaty różowy szlafrok Julii, owinęłam się nim dokładnie i mrugnęłam zawiadaczająco do Prospera.

– Teraz lepiej? Chodź, napijemy się twojego napoju bogów! – Z lubością wciągnęłam w nozdrza aromatyczny zapach dobrej kawy, unoszący się cieniutką strużką pary nad załadowaną tacą.

Mogę przysiąc na pamięć dziadka Wincentego, że Prosper zarumienił się lekko, ale nie zaprzętałam sobie tym długo głowy. Rozlałam kawę do kubeczków, po czym zatopiłam zęby w soczystym miększym pokrojonego w duże kostki mango. Prosper smarował starannie kromki chleba truskawkową marmoladą.

– Rower Julii stoi na dole, pod schodami – powiedział. – Pamiętaj, musisz go zawsze przypinać do stojaka. Julka ciągle o tym zapomina i już parę razy spotkała ją przykra niespodzianka. Jednoślady kradną tu na potęgę! – westchnął Prosper, po czym wręczył mi zapięcie do roweru wraz z miniaturową kłódką. Nagle zaczął się spieszyć. – Ubierz się szybko, za piętnaście minut czekam na ciebie na dole. Pojeździmy po okolicy i pokażę ci, co i jak.

– Prosper, litości! Piętnaście minut?! Nie zdążę umyć włosów, o pomalowaniu facjaty nie wspomnę! – Złożyłam ręce jak do modlitwy.

– Okay, to dwadzieścia i ani minuty dłużej! – roześmiał się głośno. – Facjaty? Co to jest? Po co masz ją malować?

– Potem ci wyjaśnię! – Machnęłam ręką i zajrzałam do plecaka w poszukiwaniu czystych ciuchów.

Byłam na dole punktualnie. Wilgotne kosmyki włosów przyklepiły mi się do policzka, gdyż nie zdążyłam ich dobrze wysuszyć. Założyłam biały T-shirt z napisem „amazing” i poszarpane dżinsowe spodnie. Prosper patrzył na mnie jak

na ducha.

– Wyglądasz dokładnie tak jak Julia...

Roześmiałam się.

– Prosper! Jesteśmy zupełnie inne! Julka to wybujała blondynka! – Poklepałam się znacząco po biuście. – Ja jestem przecież brunetką i mam z pewnością dłuższe nogi! Dostałam w spadku po dziadku ułanie! – dodałam z dumą i z ukontentowaniem popatrzyłam na swoje opalone, szczupłe kończyny obute w czerwone conversy.

– Lubię, jak ten... kobieta jest... jak to mówisz... wybujała. – Prosper wykonał niesprecyzowany ruch rękami w okolicach klatki piersiowej i tym razem na pewno się zaczerwienił!

Popatrzyłam na niego podejrzliwie i popukałam się znacząco w głowę. Prosper wznosił oczy ku niebu i pokazał mi język. Roześmialiśmy się oboje, po czym ruszyliśmy w drogę.

Haarlem oczarowało mnie od pierwszej chwili, w której je zobaczyłam. Kocham stare, zabytkowe miasta z sercem i duszą. Prawie osiemsetletnia dusza Haarlemu miała się tutaj wyjątkowo dobrze. Unosiła się delikatną i niewidzialną chmurką ponad dachami kamieniczek przy Grote Markt, otulała czule ramionami wody płynącej leniwie rzeki Spaarne, dotykała nieśmiało monumentalnej budowli kościoła Świętego Bawona z jego imponującą, górującą nad miastem prawie osiemdziesięciometrową wieżą.

– Jeżeli lubisz shopping – powiedział Prosper – to znalazłaś w Haarlemie raj na ziemi. Od placu głównego odchodzą w trzech kierunkach bardzo popularne, również wśród turystów, ulice, wzdłuż których usytuowane są butikiki znanych marek.

Prychnęłam jak kot mojej siostry.

– Czy ja wyglądam na kobietę, która ubiera się w luksusowych butikach? Mam nadzieję, że normalne sklepy też tu są!

– Oczywiście! Jak najbardziej! Wszystko, czego pragniesz, *princess!* – Prosper uśmiechał się tajemniczo. – A teraz w drogę! Pokażę ci domy twoich pracodawców.

Najchętniej pobawiłabym się w turystkę i pozwiedzała okolicę. Nie było jednak rady.

– Im szybciej, tym lepiej – oznajmiłam. – Czyń, kacie, swoją powinność!

Prosper spojrział na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział.

Ruszyliśmy dalej ścieżką rowerową na południe, wzdłuż rzeki Spaarne.

Pierwszy dom, którym miałam się zajmować, znajdował się w oddalonym o sześć kilometrów miasteczku Heemstede. Należał do wspomnianego już zamożnego prokuratora z Amsterdamu, który całe swoje zawodowe życie poświęcił walce z przemytnikami żywego towaru, głównie młodych dziewczyn

z krajów Europy Wschodniej. Pan prokurator żył od wielu lat jako wdowiec i samotnik. Jego największą miłością był niderlandzki kodeks karny, który recytował z pamięci nawet wyrwany w nocy z najgłębszego snu.

– Nie jest wymagający – mówił Prosper, pedałując zawzięcie na swoim wysłużonym batavusie. – Zresztą bardzo rzadko przebywa w Heemstede. Miejscami świętymi w jego domu są biblioteka i gabinet. W bibliotece przechowuje drogocenne manuskrypty, białe kruki, jest podobno w posiadaniu pierwszych wydań dzieł samego Erazma z Rotterdamu.

– I nie boi się, że ktoś go okradnie? – Zaspąłem się trochę na mojej damce, choć droga była gładka i płaska jak stół.

– Ma ochronę. Bardzo dyskretną. Wykonuje niebezpieczny zawód. Sama wiesz... – ściszył głos. – Pamiętaj, Julka pracuje u niego legalnie. Ma do niej bezgraniczne zaufanie. Załatwił jej na początku wszystkie pozwolenia na pobyt i pracę, ciągle pomaga we wszelkich formalnościach prawno-podatkowych. To służbista o nieskazitelnej opinii. Rzadkość w dzisiejszym świecie. – Prosper zamyslił się, a po chwili dodał: – Nie wiem, jak Julka przeforsowała pomysł, żeby zatrudnił ciebie. Szczegółów tej „operacji”, niestety, nie znam.

– A według moich obserwacji wiesz prawie wszystko! – zaśmiałam się niedyskretnie. Prosper spłonął brązowym rumieńcem i mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Popatrzyłam na niego przez chwilę, zastanawiając się, co tak właściwie łączy go z Julką.

Pedałowaliśmy zgodnie ramię w ramię, miałam na szczęście niezłą kondycję. Rower był moim ulubionym środkiem transportu. Przyjeżdżając do Holandii, trafiłam niewątpliwie do rowerowego rajy. Liczba jednośladów w tym kraju przekraczała nawet liczbę jego mieszkańców, a rozbudowana infrastruktura ścieżek rowerowych, jak już zdążyłam zauważyć, była naprawdę imponująca.

Postanowiłam zabawić się w Sherlocka Holmesa i rozwiązać zagadkę dotyczącą stopnia zażyłości mojej siostry z egzotycznym sąsiadem, potrzebowałam jednak na to więcej czasu. „Zagadnę go w domu”, postanowiłam w duchu i przyspieszyłam nagle, mocniej dociskając pedały. Ucichło między nami, ale tak było dobrze.

Zamyśliłam się tak bardzo, że przegapiłam moment, w którym znaleźliśmy się w kolejnym malowniczym miasteczku. Jechaliśmy wolno wzdłuż ciągnących się szeroką wstęgą uliczek z pięknymi, zadbanymi kamienicami, przed którymi znajdowały się miniaturowe ogródki pełne kwiatów. Ceglaste domy stały ciasno jeden przy drugim, wyglądały bardzo podobnie. Ozdabiały je od frontu wysokie, wąskie okna i małe balkony z pomalowanymi na biało balustradami.

Właśnie przed jednym z takich domów zatrzymał się nagle Prosper.

– Tutaj mieszka pan prokurator – powiedział cicho. – W mieszkaniu Julki, w kuchni wisi grafik dyżurów, łatwo możesz sprawdzić, kiedy i o której wypada ci

praca tutaj. Woląłem pokazać ci osobiście wszystkie domy, żebyś potem nie błędziła. Nazwiska i adresy zapisane są w grafiku.

– A jak nazywa się pan prokurator? – Spojrzałam pytająco na Prospera.

– Jan van der Linden.

Ruszyliśmy dalej.

– Następną willa, w której będziesz pomagać w obowiązkach domowych, jest w pobliżu, około pięciuset metrów stąd. Należy do właściciela firmy specjalizującej się w instalacjach przeciwpożarowych. Nowobogacy! Z pewnością najmniej lubiani pracodawcy Julki. Zawsze wraca stamtąd zła jak osa. Mówi, że pani domu, Charlotte, poprzewracało się od dobrobytu w głowie. Jakbyś miała z nią problemy, od razu dawaj znać, coś wymyślimy! – próbował dodać mi otuchy Prosper.

– Nie bój się, poradzę sobie! Mam doświadczenie w obsłudze takich laluniek – prychnęłam z przekąsem. – Żona mojego redaktora naczelnego jest dokładnie taka sama. Jej głównym zadaniem zawsze było leżeć i pachnieć, i wydawać pieniądze męża na podrobione vuittony i inne chanele. Tak że niestraszna mi jakaś tam jej holenderska wersja. – Machnęłam ręką z lekceważeniem.

W tym momencie u zbiegu dwóch ulic ujrzałam imponujące domostwo należące, jak się domyśliłam, do nielubianych pracodawców Julki. Na podjeździe stał czarny jeep i czerwony kabriolet. W ogrodzie przed posiadłością pracowało dwóch ogrodników. Jeden podlewał idealnie gładki trawnik, a drugi delikatnie przycinał żywopłot otaczający willę ze wszystkich stron. W pewnym momencie z domu wyszła drobna, ubrana w białą sukienkę kobieta, przystanęła na chwilę i zajrzała do torby (a jakże Chanel!). Wyciągnęła z niej lustro oraz pomadkę i przejechała nią szybko po wydatnych ustach. Nawet nie spojrzawszy na pracujących w ogrodzie ludzi, wsiadła do kabrioletu i z piskiem opon ruszyła w kierunku miasta.

Prosper i ja spojrzeliśmy na siebie, po czym oboje, nie wiadomo dlaczego, wybuchliśmy śmiechem.

– To była na pewno zapracowana pani domu. Co za zaszczyt nas kopnął, mój przyjacielu. – Mrugnęłam do Prospera.

– Nie wiem, czy to ona, znam ją tylko z opowiadań Julki – odpowiedział. – Ale sądząc po aparycji i obfitej chmurce perfum, którą czuć aż tutaj – Prosper pociągnął znacząco nosem – ujrzeliśmy właśnie Charlotte... – Klasnął w dłonie i zawołał: – Na rower! Czekają nas teraz ostatnia, najprzyjemniejsza przejażdżka. Ruszamy nad Morze Północne!

Wsiedliśmy ponownie na nasze rumaki i popedałowaliśmy dalej, w kierunku Zandvoort, gdzie mieszkała trzecia, ostatnia pracodawczyni Julki.

Zandvoort był jednym z najpopularniejszych kurortów wypoczynkowych Holandii i ulubionym miejscem wypoczynku mieszkańców sąsiadujących z nim

wielkich miast. Na wczasowiczów czekała tutaj przepiękna, szeroka, piaszczysta plaża, wzdłuż której pobudowano kompleks luksusowych hoteli i apartamentów dla zamożnych Holendrów. Wraz z Prosperem skierowaliśmy się w stronę usytuowanego trzy kilometry od Zandvoortu kąpieliska Bloemendaal aan Zee, gdzie wśród cienia sosnowego lasu miała swój dom Annemarie, pianistka i wdowa po potentacie kawowym z Brazylii.

Willa była niewielka, biała, porośnięta winoroślą. Od ulicy oddzielał ją pas przystrzyżonego starannie trawnika i kute w wymyślne wzory ogrodzenie z automatycznie otwierającą się bramą. Okiennice i drzwi wejściowe willi pomalowano na ciemnozielony kolor. Z prawej strony do domu przylegała duża przeszklona weranda, tonąca w kwiatkach. Na zwirowanym podjeździe stał wielki srebrno-czarny motor marki Harley Davidson.

– To właśnie tutaj mieszka ulubienica Julii – rzekł cicho Prosper. – Starsza pani jest niezwykle sympatyczna, otwarta i pomimo podeszłego wieku pełna życia i wigoru.

Patrzyłam w milczeniu na dom Annemarie. Nie znałam jeszcze mieszkanki willi w sosnowym lesie, a już czułam podskórnie, że ją pokocham. Nie będzie jedyną osobą w tym domu, która skradnie moje serce...

Rozdział siódmy

Już od ponad pół godziny próbowałam otworzyć miniaturowym kluczykiem kłódkę od stalowego pałaka, który zabezpieczał mój rower przed kradzieżą. Wyglądało na to, że zacięło się coś w zamku. Ze złością szarpnęłam za pałak i przeklełam głośno i siarczyście po polsku. Pat! Prosper miał dziś nocną zmianę na lotnisku Schiphol w Amsterdamie, wrócił nad ranem i nie chciałam go budzić z powodu takiej bzdury. Musiałam jednak podjąć jakieś sensowne działania, gdyż od dawna powinnam już być w drodze do Heemstede, gdzie zaczynałam swój pierwszy dzień pracy u Charlotte i jej męża, potentata na rynku instalacji przeciwpożarowych. Rozejrzałam się wokół z desperacją i nagle pod schodami dostrzegłam skrzynkę z narzędziami. Zostawił ją tu zapewne właściciel restauracji, który był złotą rączką i non stop coś konserwował, naprawiał, przybijał i malował. Podeszłam do skrzynki wypełnionej po brzegi najróżniejszymi gadżetami wytrawnego majsterkowicza. Wyciągnęłam ze stosu narzędzi dosyć spore nożyce do blachy, po czym jednym stanowczym ruchem przecięłam metalowy pałak. Teraz mogłam bez problemu wsiąść na rower. Pedalowałam szybko, z przerażeniem spoglądając od czasu do czasu na zegarek. Byłam haniebnie spóźniona! Pani dyrektorowa będzie miała używanie. Cholera, pierwszy dzień i taka wtopa! Lekki wietrzyk rozwiewał mi włosy. Wystawiłam buzię do słońca i próbowałam dodać sobie w myślach otuchy. Nie będzie tak źle. W końcu każdemu może się zdarzyć.

Na podjazd przed willą zajechałam dokładnie czterdzieści dwie minuty po czasie. Przed wejściem stała Charlotte z zaciętą miną i trzymała w ręku najnowszy model telefonu komórkowego Nokia.

– Dzień dobry – powiedziałam przyjaźnie po angielsku. – Przepraszam panią...

Kobieta przerwała mi w pół słowa.

– Juliet NIGDY się nie spóźnia! Wiedziałam, że to nie był dobry pomysł, żebyś ją zastępowała! – Zlustrowała mnie od stóp do głów, po czym, pozornie zdziwiona, dodała: – Nie mówisz po holendersku?

„Damn!”, rzuciłam w myślach, a głośno powiedziałam:

– Niestety, nie... Jestem po raz pierwszy w Holandii.

– Trudno! Mam nadzieję, że z resztą obowiązków poradzisz sobie wzorcowo – rzekła zimno kobieta. – Spóźnienie będzie oczywiście odliczone od twojej dniówki! – Spojrzała na mnie znacząco.

– Oczywiście! – potaknęłam szybko.

– W takim razie chodź za mną. Pokażę ci naszą rezydencję i zapoznam pokrótce z obowiązkami. Ehm, jak właściwie masz na imię?

– Agnes. – Uśmiechnęłam się promiennie, pomimo że w sercu czułam chłód

i niechęć.

Kobieta skrzywiła się nieznacznie.

– Agnes... takie germańskie imię! – Po czym dodała: – Ja mam na imię Charlotte. Charlotte van der Vegt. Możesz się do mnie zwracać madame. Jestem wielbicielek Francji i niezwykle bogatej kultury tego kraju, poza tym myślę, że zwrot „madame” idealnie do mnie pasuje. – Poprawiła władczy gestem włosy. – Co roku jeździmy z mężem i córkami na Côte d’Azur – powiedziała, wymawiając bardzo z francuska głoskę „r”.

„Ha, ha...”, zaśmiałam się drwiąco w myślach. „Zapewne twoja znajomość bogatego dziedzictwa kulturowego Francji zaczyna się i kończy na torebce Coco Chanel!”.

Charlotte otworzyła polakierowane na biało drzwi, weszła do domu, a ja posłusznie podążyłam za nią. Znalazłyśmy się w dużym kwadratowym holu z ogromnym lustrem w połączanej ramie, wiszącym na ścianie naprzeciw wejścia. Po obu stronach lustra znajdowały się drewniane drzwi z kolorowymi szybkami. Były zamknięte. Po lewej stronie pięły się dumnie schody z ozdobną czarną balustradą. Na każdym stopniu, pokrytym czerwonym chodnikiem, leżały jakieś drobiazgi: książki, damskie szpilki na niebotycznych obcasach, lalki Barbie, stał nawet duży, ciemny flakon perfum. Charlotte spostrzegła, że patrzę z ciekawością na górę, więc objaśniła szybko:

– Na piętrze są nasze sypialnie, pokoje dziewczynek, garderoba, pokój gościnny oraz łazienka. Tutaj, na parterze, znajduje się obszerny living room. – Otworzyła drzwi prowadzące do salonu. Był rzeczywiście bardzo przestronny. Na pierwszym planie wisiał ogromny obraz olejny przedstawiający mężczyznę w mundurze, siedzącego na koniu.

– To mój mąż, Henk. – Patrzyła rozanielonym wzrokiem na ukochanego. – Obraz namalował wybitny portrecista z Amsterdamu. To sztuka najwyższej próby! Henk co prawda nigdy nie był w wojsku, ale przyznasz sama, że wygląda w tym uniformie nadzwyczaj nobliwie! Mój portret oraz podobizny dziewczynek są jeszcze nieskończone. Ale właściwie po co ja ci to wszystko mówię?! – Spojrzała na mnie pretensjonalnie. – Przecież ty się na sztuce nie znasz, jesteś tylko pomocą domową z Polski. Nie traćmy już więcej czasu! Następnym razem pokażę ci resztę domu. Dzisiaj będziesz myła okna! Umiesz? – W jej głosie dało się wyczuć powątpiewanie.

Skinęłam potwierdzająco głową, zostałam więc zaprowadzona do małego pomieszczenia gospodarczego tuż przy kuchni, gdzie znajdowały się wszelkie niezbędne do sprzątnia utensylia.

– Zacznij od okien frontowych! – poleciła Charlotte. – A potem umyj te wychodzące na ogród! Jakbyś czegoś potrzebowała, zawołaj. Będę na górze, położę się, mam dzisiaj wyjątkowo dokuczliwą migrenę. – Kobieta pomasowała się

znacząco po skroniach. Obrzuciłam ją badawczym wzrokiem. Była idealnie umalowana. Na jej twarzy lalki, otoczonej chmarą blond loków, nie zauważyłam nawet śladu choroby. – Tak więc nie hałasuj zbytnio – dodała i udała się na piętro.

Zostałam sama. W końcu mogłam rozluźnić się nieco i odetchnąć z ulgą. Lustrowałam szybko zawartość półek w pomieszczeniu przy kuchni. Były pełne kolorowych butelek wypełnionych różnorodnymi płynami. Nalepki na butelkach nic mi nie mówiły, same obce nazwy, których znaczenia nie rozumiałam. „Muszę się podszkolić u Prospera”, pomyślałam rozbawiona, ale właściwie nie było mi wcale do śmiechu. Bałam się o cokolwiek pytać Charlotte, pardon, madame, wołałam zostawić ją dziś w spokoju. Musiałam radzić sobie sama. Z tyłu każdej butelki były obrazki, z których od biedy mogłam wyczytać, do czego służy dany detergent. Na dolnej półce wypatrzyłam jeden, ze spryskiwaczem, który idealnie pasował mi na płyn do mycia szyb. Pachniał dość przyjemnie, rozpyłał się bez problemu na szklanej tafli gigantycznych rozmiarów okien, zabrałam się więc dziarsko do roboty. Znalazłam nawet ułatwiającą pracę ściągaczkę do wody, która wyglądała na nigdy nieużywaną. Problem pojawił się wtedy, kiedy moje ramiona okazały się za krótkie, by dosięgnąć do górnej partii okien. Ale i na to znalazłam radę. Za półką z plastikową skrzynką na ścierki dostrzegłam bowiem wciśnięty kij teleskopowy, który idealnie nadawał się do akrobacji na wysokościach. Rozłożyłam go szybko, miał z pewnością co najmniej trzy i pół metra długości. Zamontowałam na nim zmywak i bez problemu dokładnie wypucowałam wszystkie szyby. Nie dziwił mnie już brak firan w oknach, Prosper wyjaśnił mi wczoraj ten dziwny, jak wydawało mi się na początku, zwyczaj.

Wszystko zaczęło się w dziewiętnastym wieku, kiedy protestanci zamieszkujący Holandię zaczęli masowo propagować hasło: „Nie mamy nic do ukrycia, Bóg i tak wszystko widzi”. W myśl tej zasady Holendrzy zaczęli masowo odsłaniać okna, udowadniając, że żyją zgodnie z przykazaniami i mają czyste sumienia. Chodziło tu głównie o marynarzy, którzy z racji swojego zawodu często opuszczali domostwa, wyruszali w długie rejsy na Morze Północne, zostawiając swoje żony. Brak firan w oknach był zatem metodą dyscyplinowania i kontrolowania ukochanych, które mogły być bez problemu obserwowane w nagich oknach przez „życziwych” sąsiadów.

Rozmyślając o holenderskich tradycjach, machałam zawzięcie myjką do szyb i przyglądałam się z ukontentowaniem pięknemu ogrodowi Charlotte, który rozpościerał się przede mną w całej okazałości. Pod oknami kwitła pachnąca nieziemsko lawenda, na idealnie przystrzyżonym trawniku nie było ani jednego listka, a pod płotem z drewnianych sztchet pysznił się purpurowy hibiskus. W rogu ogrodu, pod obszernym płóciennym parasolem, stał komplet wypoczynkowy z rattanu. Na kanapie leżały wielkie poduchy, wygodne siedziska zapraszały, aby na nich spocząć, poprzeglądać leżące na stoliku czasopisma i ukoić pragnienie

łykiem stojącej w szklanym dzbanku cytrynowej lemoniady.

Nagle strasznie zachciało mi się pić, ale nie miałam śmiałości, by poprosić Charlotte o wodę. Nie wiedziałam, jakie są przyjęte zwyczaje, jeżeli chodzi o jadło i napoje w miejscu pracy. Postanowiłam, że następnego dnia zabiorę ze sobą kanapki i butelkę mineralnej oraz szczegółowo wypytam Prospera, jak w przypadku pracodawców Julii ma się kwestia poczęstunku. Zdałam sobie ponownie sprawę, że bez życzliwej pomocy mojego sąsiada z Senegalu przepadłabym w Holandii z kretesem. Cierpliwie odpowiadał na każde moje pytanie, tłumaczył i objaśniał miejscowe zwyczaje i dziwactwa, a wszystko robił z życzliwym i pełnym ciepła uśmiechem na twarzy. Wczoraj próbowałam wyciągnąć z niego, jakie relacje łączą go z moją siostrą, ale poza zdawkowym „po prostu bardzo się lubimy” nie dowiedziałam się niczego. Prosper był bardzo dyskretny i tajemniczy. Musiałam to uszanować, nie było innego wyjścia...

Nagle w szybie, którą przecierałam dla pewności na sucho ściereczką z mikrofibry, dostrzegłam odbicie stojącej za mną Charlotte. Przyglądała mi się w milczeniu, marszcząc brwi. Odwróciłam się szybko w jej stronę i zapytałam niepewnie:

– Wszystko w porządku, madame?

Kobieta podeszła do mnie i bez słowa wskazała butelkę z płynem do mycia szyb.

– Co to jest? – rzuciła oskarżycielsko w moją stronę, unosząc wysoko wyskubane brwi.

– Środek do czyszczenia okien – powiedziałam, patrząc jej prosto w oczy.

Prychnęła jak rozzłoszczona kotka.

– To jest ONTVETTER! Spray przeciwko tłuszczowi! Na pewno nie do okien! Nie umiesz czytać? Kogo mi tu Juliet przysłała, analfabetę?! – mówiła podniesionym głosem Charlotte.

Spojrzałam na trzymaną przez nią w dłoni żółtą butelkę ze środkiem do czyszczenia. *Shit!* Rzeczywiście! Mogłam lepiej przyjrzeć się obrazkom. Choć na pierwszym z nich zdecydowanie widniało okno przysłonięte roletą... Na pewno chodziło o tę roletę, a nie o szyby... Czułam się potwornie głupio, choć szyby, które już umyłam, wyglądały na nieskazitelnie czyste!

Charlotte badała wzrokiem z milimetrowej odległości stan „zmasakrowanych” przeze mnie szyb.

– Ile smug! Ile zadrapań! – Zadrapań? Od odtłuszczacza? Kotłowało mi się w głowie. – Niewiarygodne! Jak to Henk zobaczy! Twoja siostra myje okna gorącą wodą z dodatkiem octu! Potem dla pewności poleruje jeszcze dokładnie szyby gazetą, żeby nie było śladów! Specjalnie pocięłam stare czasopisma! – Tu wskazała stos gazet leżący równo na podłodze przy wyjściu na taras.

– Przepraszam panią... znaczy madame, ale dlaczego nie powiedziała mi

pani tego wcześniej? – Spojrzałam na nią pytająco.

– Jak śmiesz! Jeszcze podnosisz na mnie głos i pouczasz?! – Kobieta poczerwieniała gwałtownie na twarzy.

– Co się tu dzieje, Char? Co to za krzyki? – Do salonu wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w jasnym garniturze, w którym rozpoznałam widocznego na portrecie z koniem pana domu.

– Henk! *Gelukkig ben je terug! Die stomme meid, zus van Juliet, heeft vandaag onze ramen gelapt. Met een ontvetter!! Ongelofelijk!! Ik betaal haar niet hoor!*^[6] – Żywo gestykulując, obmawiała mnie w języku tubylców pani domu. Czułam się, jakbym co najmniej podpaliła im dom.

Henk popatrzył na mnie znacząco i zaczął się śmiać.

– Kochanie, nie rób afery! Przecież nic takiego się nie stało! Mówisz po angielsku? – zagadnął mnie zachęcająco mężczyzna. – Potwierdziłam skinieniem głowy. Henk przeszedł więc płynnie na angielski i zwrócił się do żony: – Następnym razem objaśnij dokładnie, o co ci chodzi. Skąd dziewczyna miała wiedzieć, jakim środkiem umyć okna, skoro niczego jej nie pokazałaś ani nie wytłumaczyłaś?

– A więc to wszystko moja wina? – zaperzyła się Charlotte.

– Nikt tak nie twierdzi, skarbie! – Uśmiechnął się przymilnie do żony Henk. – Tyle masz na głowie, że nie sposób wszystkiego spamiętać. Dom, ogród, dzieci, zakupy. Następnym razem obgadacie na spokojnie z... – Spojrzał na mnie pytająco.

– Agnes! – pospieszyłam z odpowiedzią.

– Właśnie z Agnes – dokończył. – Obgadacie, co i jak, a jestem pewien, że ten przykry incydent już się nie powtórzy! – Wzniósł komicznie oczy ku niebu Henk i patrząc ze źle udawanym niepokojem na Charlotte, dodał szybko: – Kochanie, wyglądasz tak blado, idź się położyć. Na pewno miałaś dzisiaj atak migreny, tak? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. Był zabawny i niegroźny, a poza tym doskonale umiał radzić sobie z własną żoną.

– Tak, *schatje*^[7]. Masz rację, pójdę się położyć. Tyle stresu przez to wszystko. – Spojrzała na mnie oskarżycielsko, po czym bez słowa pożegnania wyszła z salonu.

Henk uśmiechnął się ciepło i położył mi rękę na ramieniu.

– Nie przejmuj się Char! Ma taki szorstki sposób bycia, ale to w gruncie rzeczy dobra dziewczyna!

„Jasne!”, pomyślałam z przekąsem, ale nic nie powiedziałam.

– To co, nie gniewasz się? – Popatrzył mi w oczy.

– Nie! – roześmiałam się. – A już na pewno nie na pana.

– Mów mi Henk. Napijesz się czegoś? – Henk zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela. – Jestem wykończony! – dodał i ruszył do kuchni.

– Dziękuję – rzuciłam za nim. Strasznie chciało mi się pić, ale marzyłam tylko o jednym: żeby jak najszybciej wrócić do domu.

Zaczęłam sprzątać bałagan na parapecie, po czym odniosłam wszystkie utensylia do pomieszczenia gospodarczego.

Kiedy wróciłam, Henk siedział już w pokoju i sącył powoli jakiś drink z oszronionej szklanki.

– To ja już sobie pójdę – powiedziałam pojednawczo.

– Poczekaj, Agnes. – Wstał z fotela, podszedł do małej skórzanej aktówki stojącej przy stole i wyciągnął z niej gruby portfel. – Ile ci jestem winien?

Spojrzałam na niego pytająco i uświadomiłam sobie z przerażeniem, że ja kompletnie nie wiem, ile zarabia w tej pracy Julia.

– Stawka taka, jaką płacimy twojej siostrze, jak rozumiem – stwierdził i wyciągnął kilka banknotów z portfela. Po krótkim namyśle dodał jeszcze jeden. – Za straty moralne. – Uśmiechnął się łobuzersko i wręczył mi pieniądze.

Podziękowałam grzecznie, powiedziałam „do widzenia” i wyszłam na zewnątrz.

Czułam się, jakbym przekopła cały zagon pola. Westchnęłam ciężko i wskoczyłam na rower.

Nie mogłam się doczekać, kiedy usiądę z Prosperem do wspólnej kolacji. Bardzo potrzebowałam dziś życzliwej duszy.

Rozdział ósmy

Siedziałam w pokoju Prospera na grubym materacu przykrytym pomarańczową narzutą z frędzlami i piłam gorącą, niesamowicie słodką herbatę. Prosper wychodził z założenia, że im więcej cukru, tym lepiej. Cukier był bowiem według niego najlepszym antidotum na stres czy smutki.

W całym pomieszczeniu nie było ani jednego krzesła, ba, nie posiadał nawet miniaturowej szafy. Jego kolorowe ubrania wisiały na metalowym stojaku w kącie pokoju, obok starej wieży stereofonicznej. Przy stojaku stały w równym rzędzie trzy pary sandałów i jedna para adidasów. Na lewo od drzwi wejściowych, na plecionym chodniczku, spoczywał największy skarb Prospera, gitara. Sznurkowe chodniczki oraz miękkie poduchy (wyłącznie zielone, żółte i czerwone!) leżały praktycznie w każdym kącie. Pomimo widocznej ascezy w umeblowaniu było przytulnie oraz nieskazitelnie czysto.

– Prosper, dlaczego w niewątpliwie uroczym wystroju twojej komnaty przeważają tylko trzy kolory? – Siorbnęłam łyk herbaty z wielkiego kubka z napisem: „My boss my hero”.

Prosper uśmiechnął się z rozrzewnieniem.

– *Raaya wu Senegaal...* flaga mojej ojczyzny. Zielony, żółty, czerwony. Zielony to las – bujne sawanny na południu kraju, eukaliptusy, baobaby. Żółty to Sahel ciągnący się od Senegalu aż po Sudan. Żółte piaski Sahary. Niekończąca się przestrzeń i wolność. Wreszcie czerwony to ogień. Piekło suszy siejącej spustoszenie i śmierć. – W ciemnych oczach Prospera pojawiły się nagle łzy.

Poderwałam się szybko i podeszłam do niego. Delikatnie objęłam jego wychudłe ramiona i wyszeptałam cicho:

– Kiedyś tam wrócisz, Prosper.

Senegalczyk otarł oczy wierzchem dłoni i uśmiechnął się z przymusem.

– Przecież to ja ciebie miałem pocieszać. Charlotte dała ci się we znaki, prawda?

Machnęłam ręką i wróciłam na swoje miejsce na materacu.

– To wariatka! Patrzy na mnie z góry jak na ubogą emigrantkę z krajów Trzeciego Świata. Nieczytą i niepisatą.

– Kraje Trzeciego Świata? Czyli to o mnie mowa? Ale przecież ja i czytać, i pisać jako tako umiem! – Patrzył na mnie z udawanym wyrzutem.

Rzuciłam w niego poduszką. Zaczęliśmy się śmiać.

– Jesteś świetnym facetem! Skąd się tacy biorą? – Upiłam ponownie łyk herbaty i spojrzałam na niego.

– Z dalekiego kraju – odpowiedział powoli. – Ale nie wiem, czy jestem aż taki fajny, jak myślisz. Ciężko pracuję, pomagam rodzinie, płacę podatki, żyję spokojnie i uczciwie. Nie narzekam. Przyjazd do Holandii to był mój wybór.

Wymarzyłem sobie, że będę tu mieszkał. I, jak widzisz, udało się. Tylko...

Popatrzyłam na niego z ciekawością.

– Tylko co? Powiedz!

Prosper westchnął.

– Tylko jestem trochę samotny. W Senegalii żyłem w grupie. Przyjaciele, rodzina, znajomi. Ciągłe coś się działo, spędzaliśmy dużo czasu razem, tańce, śpiewy, rozmowy do rana. Bywało, że co wieczór grałem na gitarze... teraz stoi nieużywana. – Prosper machnął ręką w kierunku instrumentu. – Ostatni raz miałem ją w rękach, kiedy była tu Julka... bardzo lubiła moje ballady. – Zamyślił się, a ja patrzyłam na niego w milczeniu.

– Prosper, a dla mnie kiedyś zagrasz? Nawet nie wiesz, jaką mi zrobisz przyjemność! Jestem starą drużynową, uwielbiam rajdy, ogniska, wspólne śpiewanie, pogaduszki. Ogniska wprawdzie nie rozpalimy, chyba że na plaży w Zandvoort, ale pośpiewać możemy i tutaj. Nauczę cię paru polskich piosenek harcerskich, chcesz? – Snułam dalekosiężne plany, które Prosperowi chyba przypadły do gustu, bo w jego oczach znowu pojawiło się światło.

– Jesteś romantyczką, Agnies. Julia jest inna. Stoi twardo na ziemi. Niezależna, silna kobieta – powiedział Prosper, patrząc gdzieś w bok.

– Julce życie bardziej dało po dupie niż mnie, może dlatego masz wrażenie, że jest twarda – odparłam. – Ale wierz mi, bo znam ją dłużej niż ty, w głębi serca jest dokładnie taka jak ja. – Po czym wytoczyłam najcięższe działa. Teraz albo nigdy. – Co łączy cię z moją siostrą?

Prosper długo nie odpowiadał. Nastąpiła cisza. Myślałam nawet przez chwilę, że nie usłyszał mojego pytania albo go nie rozumiał. Wtedy spojrzał prosto na mnie i zobaczyłam w jego oczach niemą odpowiedź. Nie musiał już nic mówić. Zrozumiałam wszystko. Ogarnął mnie smutek, gdyż wiedziałam, jak surowe i nieprzejednane stały się po rozwodzie poglądy mojej siostry na instytucję związku i małżeństwa. Julia nie chciała się z nikim wiązać. Być może ten jej szybki i niespodziewany wyjazd był też formą ucieczki przed uczuciem, którego po prostu się bała. Jednak co do tego nie mogłam mieć stuprocentowej pewności.

Postanowiłam, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wypytam Julkę o Prospera. To były bardzo delikatne sprawy, ale chciałam wiedzieć, jakie ma zamiary wobec człowieka, którego bardzo polubiłam. Nie chciałam, żeby cierpiał.

Zapragnęłam rozweselić go choć trochę i jak gdyby nigdy nic, zaczęłam przedrzeźniać Charlotte.

– Agnes! Jakie to okropne imię! – Wstałam i zgięłam się w ukłonie niczym markiza de Pompadour. – Tak, moja madame, ma pani rację! To brzydkie imię! Ja też jestem brzydka i nie mam w posiadaniu ani jednej torrebki z kolekcji Coco Chanel! SKANDAL! – Gięłam się w ukłonach i skakałam niczym klaun po pokoju Propera.

– Jesteś niepoprawną wariatką. – Śmiał się głośno i zatykał uszy, po czym nagle spoważniał i spytał. – Charlotte naprawdę krytykowała twoje imię?

– Nie tylko imię! – Opałam zdyszana na wielką zieloną poduchę leżącą pod oknem. – Uważa mnie całą za kompletną pomyłkę. Nie pasuję do jej cukierkowego świata, gdzie każda rzecz ma metkę od znanego projektanta!

– A jej mąż? Jak on się zachowywał? – zainteresował się Prosper. – Julia mówiła, że jest w porządku.

– Też tak myślałam, ale teraz mam jakieś dziwne przeczucia. Pozornie nie zrobił niczego nagannego, bronił mnie przed tą furją, swoją żoną, ale... trudno mi to określić. Jest w nim coś niepokojącego, coś śliskiego, brrr! – Wzdrygnęłam się. – Zapłacił mi dwadzieścia euro więcej. Za, jak to wyraził, straty moralne. Chodziło mu o to, że Charlotte prawie zmiotła mnie z powierzchni ziemi za te nieszczęsne okna.

– Naprawdę czyściłaś szyby ODTŁUSZCZACZEM? – Prosper patrzył na mnie jak na uciekiniera z domu wariatów.

– Tak! – zachichotałam. – A ty czym byś je umył?

– Najpopularniejszy środek do mycia okien w Holandii to Glassex.

– Nie u madame Charlotte! Julka myje u niej okna wodą z octem – oznajmiłam z triumfem.

– Można i tak. – Prosper się uśmiechnął. – To stare metody naszych, a raczej waszych babć, bo w naszej wiosce w Senegalii zbyt wielu okien nie posiadamy. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Musisz, kochana, przejść u mnie przyspieszone szkolenie z dostępnych na holenderskim rynku detergentów.

– Wiem – westchnęłam z rezygnacją. – I pomyśleć, że pani redaktor wyspecjalizowana w tropieniu afer gospodarczych musi teraz studiować etykiety na butelkach do czyszczenia piekarników. Świat się kończy! – Złapałam się za głowę i mistrzowsko zagrałam czarną rozpacz.

Prosper popatrzył na mnie smutno.

– Julka też skończyła studia, a popatrz, czym się tutaj zajmuje. Wiele kobiet, u których sprzęta, nie ma nawet skończonej szkoły średniej. Wiem, że to ją boli, dlatego uczy się pilnie języka holenderskiego i ma nadzieję znaleźć lepszą pracę.

– To Julka chce tu zostać na stałe? – zapytałam zdziwiona. – Byłam przekonana, że po spłaceniu długów wróci do Polski!

– Mówiła, że na razie nie planuje. Ma wiele pomysłów na siebie tutaj. Ale nie jestem upoważniony, żeby je zdradzać. Sama ci o nich powie. *By the way*, dzwoniła już do ciebie? – zainteresował się nagle Prosper.

– Ostatni raz rozmawialiśmy tuż przed moim wyjazdem do Holandii. Od tamtej pory się nie odezwała. Pewnie boi się, że będę na nią zła!

– A będziesz?

– Byłam. Teraz już nie jestem. A wiesz dlaczego? Bo zostawiła mi coś, co

jest dla mnie w tej chwili najcenniejsze na świecie. A raczej kogoś... Ciebie. Nie dałabym sobie rady, gdyby nie ty. Dziękuję ci za to i nigdy tego nie zapomnę. Julia jest szczęściarą, że spotkała tutaj kogoś takiego. Nikt nigdy nie był dla niej taki dobry, troskliwy, czuły. Do tej pory wszyscy mężczyźni w jej życiu ranili ją i oszukiwali. Byłaby głupia, gdyby...

– Nie kończ! – przerwał mi ostro Prosper. W jego oczach dostrzegłam rozgoryczenie i żal. – Co ja mogę ofiarować Julii? Kim ja jestem? NIKIM! Przyjechałem tutaj biedny jak mysz kościelna, pracuję fizycznie na lotnisku po dwanaście godzin na dobę, a jeszcze niczego się nie dorobiłem i z pewnością się nie dorobię! Mieszkam w wynajmowanej klitce, nie mam wykształcenia ani perspektyw. Mówię łamanym holenderskim i jestem czarny. Rozumiesz? Czarny! Julia zasługuje na stabilizację, której ja nie mogę jej dać!

– Julia zasługuje na miłość, Prosper! Tak jak każdy z nas.

Nastąpiła cisza. Przerwałam ją pierwsza.

– Chciałabym, żeby ktoś kiedykolwiek kochał mnie tak bardzo jak ty moją siostrę. To jest tani banał. Ale taka jest prawda – dodałam cicho.

Prosper podniósł powoli głowę.

– Masz rację. Kocham ją najbardziej na świecie – szepnął. – Zrobiłbym dla niej wszystko. Zgodziłem się, żeby wyjechała, choć serce mi pękło z rozpaczy. Obiecałem solennie, że zaopiekuję się tobą, że będę pilnował i dbał o to, żeby nic ci się nie stało. Mówisz, że jesteś mi za to wdzięczna. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką wdzięczność czuję ja. Jesteś w tej chwili jedynym wesołym promykiem w moim życiu, rozmawiasz ze mną, żartujesz, dzięki tobie nareszcie czuję się potrzebny. Łagodzis moje cierpienie. Tylko dlatego, że po prostu jesteś. Pijesz ze mną herbatę, opowiadasz o sobie, radzisz się mnie. I tak bardzo przypominasz mi moją ukochaną Julię. Masz jej oczy, jej uśmiech. Dzięki tobie jest mi lżej. Nie wiem, co by było, gdyby nie ty.

Prosper poruszył mnie do głębi tym wyznaniem. Najchętniej zadzwoniłabym do Julki i natychmiast kazała jej wracać. Ale to nie było takie proste.

– Prosper, a Julia... Co ona czuje? To samo co ty? Proszę, powiedz, że tak jest... – Złożyłam ręce jak do modlitwy.

Prosper uśmiechnął się ciepło i odpowiedział pozornie nie na temat.

– Moja babcia opowiadała mi często starą senegalską przypowieść. Według niej ludzie w naszym życiu są jak podróżni w pociągu. Wychodzą i wchodzą do przedziału, zajmują miejsca, by po krótszej lub dłuższej chwili je zwolnić. Nie zapamiętujemy ich, przelatują korytarzami naszych myśli jak krajobraz za oknem pędzącego pociągu. Są również tacy pasażerowie, których zaczepiamy bezwiednie, przypadkiem, coś nas do nich przyciąga i wdajemy się w pogawędkę, ze zdumieniem odkrywając, że ich życiowe historie przypominają nasze, że bagaże, które kładą na półkach doświadczeń, równie dobrze mogłyby należeć do nas. Kiedy

zbliża się stacja końcowa, wychodzą z nami na peron i już wtedy wiemy na pewno, że to nie przypadek. Nie dajemy im się zagubić ani zostawić jak pary rękawiczek lub parasola na półce przedziału. Pilnujemy ich niczym oka w głowie i nie pozwalamy, aby odjechali bez nas innym pociągiem... – Prosper na chwilę zamilkł. – Krótko przed wyjazdem Julia powiedziała, że nigdy nie pozwoli mi się zgubić. Zabiera mnie ze sobą... nie zapomni. I wróci do mnie... – Nagle wstał i nie patrząc na mnie, poszedł do kuchni. – Agnies, dosyć tego gadania i użalania nad sobą! Zabieram się za gotowanie! *Spécialité de la maison!* Jak spróbujesz, pokochasz mnie nad życie, jestem pewien!

– I tak już cię kocham – zaśmiałam się głośno. I dodałam cicho: – I zrobię wszystko, żebyście z Julką byli razem...

Prosper pogwizdywał w kuchni, nie podejrzewając niczego, a ja obmyślałam scenariusz z happy endem. Sama nie wiem, kiedy przysnęłam. Obudził mnie dopiero smakowity zapach gotującej się na kuchence senegalskiej potrawy. Za oknem zapadał zmrok. Byłam przykryta troskliwie miękkim zielonym kocem. Patrzyłam na krzątającego się ukochanego mojej siostry i poczułam nagle nieprzepatą tęsknotę za kimś, kto by patrzył na mnie w taki sposób, w jaki Prosper patrzył na Julkę. Zapragnęłam jak nigdy dotąd kochać i być kochaną. Ciekawe, jaką niespodziankę szykuje mi przewrotny los?

Rozdział dziewiąty

Zaparkowałam rower tuż obok zielonego kontenera na odpadki, stojącego za żelaznym parkanem otaczającym ceglasty dom w szeregowej zabudowie.

Dochodziła ósma. Byłam *on time*. Za moment miałam spotkać niezłomnego pana prokuratora Jana van der Lindena. Zastukałam mosiężną kołatką do drzwi wejściowych. Serce biło mi równie mocno jak ona. Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki na dwa metry i przeraźliwie chudy mężczyzna. Ubrany był w bardzo elegancki ciemny garnitur w prążki.

– *Goedemorgen*, Agnieszka. – Bezbłędnie, bez śladu obcego akcentu, wymówił moje imię i uczynił ręką gest zapraszający do środka.

Weszłam do obszernego przedpokoju wyłożonego ciemną boazerią. Jedynym źródłem światła był wiszący na suficie staromodny żyrandol z zielonym abażurem. Na wyfroterowanym do połysku parkiecie leżał gruby dywan w orientalne wzory.

– Zapraszam cię do mojego gabinetu – powiedział, przechodząc płynnie na angielski. Czuję się tak, jakbym przysłała na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy na prestiżowym stanowisku najwyższego szczebla.

Znaleźliśmy się w przepięknym pomieszczeniu wypełnionym regałami i przeszklonymi witrynami pełnymi książek. Wskazał mi krzesło naprzeciwko masywnego biurka zarzuconego najróżniejszymi dokumentami w przezroczystych plastikowych koszulkach. Na środku papierowego chaosu królował otwarty laptop z charakterystycznym logo nadgryzionego jabłka. Pan domu usiadł w eleganckim fotelu biurowym typu chesterfield. Promień słońca padający ukośnie przez wysokie francuskie okno zaplątał się filuternie pomiędzy srebrne pasma jego włosów. Uśmiechnęłam się bezwiednie. Pan prokurator wyglądał w słonecznej aureoli jak anioł z nieba.

Przyglądał mi się teraz uważnie, więc błyskawicznie przybrałam poważną minę.

– Twoja siostra to bardzo sumienny pracownik – zaczął przemowę. – Jest punktualna, dyskretna i pracowita. Specyfika mojego zawodu wymaga ode mnie częstych wyjazdów. Julia jest w posiadaniu klucza do mojego domu, darzę ją więc bezgranicznym zaufaniem. Mam nadzieję, że mogę w tej kwestii liczyć również na ciebie. – Pan prokurator przewiercił mnie na wylot swoim przenikliwym spojrzeniem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pana nie zawieść – zapewniłam solennie.

– Mów mi Jan. My, Holendrzy, jesteśmy bardziej liberalni w kwestiach hierarchii i tytułomanii niż Polacy.

– To prawda – zaśmiałam się cicho. – Zna pan... znaczy... znasz dobrze

Polskę?

– Można tak powiedzieć – rzekł Jan, ale nie kontynuował tematu.

– Jeżeli pozwolisz, chciałabym wiedzieć, co będzie należało do moich obowiązków. – Postanowiłam być rzeczowa.

Na twarzy Jana pojawił się cień uśmiechu.

– Lubię konkretnych ludzi. Myślę, że będzie nam się dobrze współpracowało. – Spojrzał na zegarek. – Przepraszam, nie zaproponowałem ci niczego do picia, ale ogromnie się spieszę. Za kilka godzin mam samolot do Londynu. Międzynarodowa konferencja w dziedzinie ścigania handlu ludźmi oraz wsparcia ofiar tego przestępstwa. Jestem tam zaproszony jako ekspert. Choć w żadnym wypadku za takiego się nie uważam. – Jan wstał i podał mi rękę. – Moja gospodyni, Anneke, która pracuje u mnie już od ponad dwudziestu lat, pokaże ci dom i zapozna cię z zakresem twoich obowiązków. Nie ma tego dużo. – Teraz uśmiechnął się naprawdę, pokazując rząd równych, pięknych zębów. – Twoja siostra nienagannie dba o czystość tego domu. Muszę się zbierać! Bardzo było mi miło cię poznać.

– I vice versa! – odpowiedziałam szczerze. – Dziękuję.

Jan pokiwał z ukontentowaniem głową i dodał:

– Anneke znajdziesz w kuchni. Pierwsze drzwi na prawo – rzekł już z pewnym roztargnieniem. Założył okulary w rogowej oprawce i zaczął coś szybko pisać na srebrnej klawiaturze swojego laptopa.

Duża, przestronna kuchnia umeblowana była bardzo nowocześnie jasnymi drewnianymi szafkami. Na jej środku, przy obszernej wyspie, stała odwrócona do mnie plecami postawna kobieta ubrana w białą koszulę i ciemne dżinsy.

– *Goedemorgen!* – powiedziałam w języku tubylców, mając nadzieję, że zjednam sobie w ten sposób jej sympatię.

Anneke odwróciła się do mnie, chwytając jednocześnie kuchenną ściereczkę, w którą wytarła dokładnie dłonie. Miała około pięćdziesięciu lat, przycięte na pazia brązowe włosy i ciepły uśmiech, którym szczerze mnie obdarzyła.

– Siostra Julii! Jesteście takie podobne! – powiedziała. Podeszła do mnie i poklepała przyjaźnie po ramieniu. – Jak ci się podoba Holandia? Jesteś tu pierwszy raz? Zaraz zaparzę nam dobrej kawy. Chyba że wolisz coś innego do picia?

– Poproszę kawę – odpowiedziałam wzruszona jej serdecznym przywitaniem.

Anneke podeszła do srebrnego ekspresu ciśnieniowego stojącego pod oknem i wsypała do niego kilka solidnych łyżeczek z opakowania z napisem Douwe Egberts. Po chwili doszedł mnie obłądny zapach świeżo zmielonej kawy.

– Siadaj, kochanie – zachęciła mnie gospodyni i wskazała ręką jedno z barowych krzeseł stojących z boku wyspy. – Zaraz mi wszystko opowiesz! –

Postawiła przede mną porcelanową filiżankę z aromatycznie parującym napojem. Z wiszącej nad ekspresem szafki wyjęła okrągłe metalowe pudełko z niebieskim wiatrakiem na wieczku, otworzyła je i podsunęła w moim kierunku. – Ciasteczko? – zapytała wesoło. Z chęcią chwyciłam maślany herbatnik. Anneke zatrzasnęła pudełko i schowała je z powrotem do szafki. – A teraz opowiadaj. – Rozsiadła się wygodnie naprzeciwko mnie i upiła łyk kawy z filiżanki.

– W Holandii jestem po raz pierwszy. Pracuję od wczoraj. Tu, niedaleko. – Machnęłam ręką w kierunku okna.

– Jak ci się podoba w naszym kraju? Chyba nie widziałaś jeszcze zbyt wiele? – Patrzyła na mnie z zainteresowaniem.

– Właściwie nie. Chcę najpierw wdrożyć się we wszystkie obowiązki w domach, które przejęłam od Julii. Na zwiedzanie przyjdzie jeszcze czas – odpowiedziałam.

– Racja. Mieszkamy w Randstad, skupisku największych miast Holandii. Oprócz Amsterdamu w jego obręb wchodzi również Rotterdam, Utrecht, Haga i Haarlem. Koniecznie musisz pojechać też nad morze. Mamy niedaleko świetne kurorty: Zandvoort, Bloemendaal aan Zee.

– Jutro właśnie tam zaczynam pracę – ożywiłam się. – Mam nadzieję, że popołudniami będę mogła chodzić na spacer po plaży.

– Na pewno – przytaknęła Anneke. – Znam ze słyszenia rodzinę, u której będziesz pracować. Julia opowiadała mi o nich. Annemarie de Bruin była w przeszłości niezwykle znaną i utalentowaną pianistką. Porzuciła karierę, kiedy poznała męża, bogatego przedsiębiorcę, z którym wyjechała do Brazylii. Mieli tam fabrykę kawy... Wszystko szło dobrze do czasu tego strasznego pożaru... – Kobieta przerwała nagle, po czym szybko dodała: – Ale my tu gadu-gadu, a robota sama się nie robi. Dopiła kawę i wstała z krzesła. – Chodź, kochanie, pokażę ci dzisiaj, jak konserwować niezwykle wymagające parkiety...

Wracałam do domu po pięciu godzinach pracy kompletnie wykończona. Anneke przegoniła mnie solidnie po całym domu. Najpierw w doskonale utrzymane podłogi wcierałam dokładnie listwa po listwie, centymetr po centymetrze, płyn do konserwacji drewna, a później froterowałam je na wysoki połysk. Na kolanach! Anneke pomogła mi uporać się ze schodami, była życzliwa i pomocna, choć do przesady dokładna i pedantyczna. Mówiła dużo, chętnie opowiadała o Holandii, o panujących tu zwyczajach, ale ani razu nie zająknęła się na temat swojego mocodawcy. Dowiedziałam się tylko, że jest wdowcem i nie ma dzieci.

– Złoty człowiek. – Anneke zawzięcie machała szmatką i z zadowoleniem przyglądała się efektom swojej pracy. – Samotnik oddany bez reszty sprawie. Takich ludzi ze świecą szukać – westchnęła. I tyle na temat Jana. Żegnając mnie w drzwiach, powiedziała serdecznie: – Odpocznij teraz, dziecko. Napracowałam się

dzisiaj. A to dla ciebie. – I wcisnęła mi w dłoń kopertę. – Julia pracuje u Jana legalnie, ale nie było jeszcze okazji, żeby załatwić wszystkie formalności związane z tobą, a żyć z czegoś trzeba. Gdybyś potrzebowała pomocy, daj znać. Musimy jak najszybciej wyrobić ci sofi^[8] i otworzyć rachunek bankowy. Wiem, że wiele kobiet z twojego kraju pracuje tutaj na czarno, ale u Jana to nie przejdzie, jest służbistą. Nie toleruje nawet najdrobniejszego uchybienia w tych swoich kodeksach. Mówi, że napatrzył się w swoim życiu wystarczająco na łamanie i naginanie prawa i pod jego dachem takie praktyki nie mogą mieć miejsca. *Dura lex, sed lex* – to jego ulubiona łacińska sentencja.

„Twarde prawo, ale prawo”, powtarzałam w myślach motto Jana i lawirowałam zgrabnie pomiędzy gęstwiną rowerów na ścieżce do Haarlemu. W pewnej chwili zauważyłam jadącego szosą jeepa męża Charlotte. Henk siedział rozparty za kierownicą, a obok niego nieznana mi krótko obcięta blondynka, która obejmowała go czule za szyję i śmiała się całą sobą. Właściwie nie byłam zdziwiona, to tylko potwierdziło moje przypuszczenia, że nie można mu ufać. Z drugiej strony nie wiedziałam, kim jest towarzysząca mu kobieta, może była jego siostrą, znajomą, przyjaciółką rodziny? Moja intuicja podpowiadała mi jednak, że chodzi o jakiś potajemny romans...

Po drodze postanowiłam wstąpić do supermarketu, żeby zrobić drobne zakupy. Chciałam przygotować pyszną kolację dla Prospera. Obmyślałam właśnie, jakimi to typowymi daniami polskiej kuchni mogę go zaskoczyć, gdy wtem w mojej torbie odezwał się natarczywy dzwonek telefonu. Sięgnęłam jedną ręką do przepastnego worka i wydobyłam z niego brzęczącą komórkę.

– Słucham?!

– Aga? – Po drugiej stronie telefonu usłyszałam z bardzo daleka głos Julii.

Zatrzymałam rower i stanęłam na środku ścieżki. Ponownie poczułam złość na siostrę.

– Wszelki duch! W końcu raczyłaś się do mnie odezwać! Jak mogłaś mi to zrobić? – krzyczałam do słuchawki z rozżaleniem.

– Przepraszam cię, kochanie. Nie mogłam inaczej. – Połączenie nie było najlepsze, słyszałam na linii jakieś piski i trzaski.

– *Bullshit!* Zaplanowałaś ten cały wyjazd w najdrobniejszych szczegółach! Okłamałaś mnie! – Ścisnęłam coraz mocniej aparat w dłoni.

– Masz rację. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – powiedziała cicho siostra.

– Wiesz, co jest najgorsze? Nie to, jak potraktowałaś mnie! Najgorsze jest to, jak potraktowałaś Prospera! Na głowę upadłaś? To jest jedyny facet, dla którego jesteś ważna, który cię kocha, a ty to spieprzyłaś...

– Nie mieszaj się w to, Aga – weszła mi w słowo Julka. – To nie jest twoja sprawa!

– Wręcz przeciwnie! To jest teraz jak najbardziej moja sprawa! – rzuciłam ostro i rozłączyłam się, naciskając ze złością przycisk z czerwoną słuchawką.

Nie miałam ochoty na rozmowę. Byłam zirytowana i rozgoryczona. Wsiadłam ponownie na rower i nacisnęłam z furią stopami na pedały. Marzyłam o tym, żeby położyć się do łóżka, przykryć kocem i zapomnieć o całym bożym świecie! Gdyby to było takie proste...

Rozdział dziesiąty

Od kwadransa stałam w zatłoczonym holu amsterdamskiego urzędu w celu odebrania numeru identyfikacji podatkowej SoFi^[9]. Dzięki pomocy Jana dysponowałam już tymczasowym meldunkiem. Musiałam tylko dostarczyć umowę najmu mieszkania, która była na nazwisko Julii, oraz jej pisemną zgodę na dopisanie mnie do listy wynajmujących obok niej. Pismo było przygotowane zawczasu, znalazłam je w kuchennej szufladzie, pod kopertą z pieniędzmi „na start”. Pan prokurator wymusił niejako na mojej siostrze szybkie dopełnienie wszelkich formalności, tak żebym mogła przebywać w Holandii legalnie. W przeciwnym razie nie znalazłabym u niego zatrudnienia. Ciekawiło mnie, czy inni pracodawcy Julii zachowywali się tak skrupulatnie w tej kwestii, ale było to jedno z kolejnych pytań „na potem” do mojej siostry. Tymczasem rozglądałam się z ciekawioną po otaczających mnie petentach urzędu. Byłam stuprocentowo przekonana, że ich początki w krainie tulipanów wyglądały mniej różowo niż u mnie. Zewsząd dochodziły mnie strzępki rozmów w najróżniejszych językach świata. W pewnej chwili usłyszałam naszą rodzimą mowę:

– Wypełniłaś już ten formularz? Czeka, tu nie wpisujesz adresu, tylko imię i nazwisko!

– Co za piekielny język, kurwa! I ta papierologia! Gorzej niż u nas!

Odwrociłam się uradowana w kierunku, z którego dochodziły głosy. To była Bożena i bracia Daltonowie!

– Dzień dobry! – krzyknęłam radośnie i zamachałam gwałtownie rękami.

Moi autobusowi kamraci patrzyli na mnie tak, jakby zobaczyli zmarłego przed wiekami przodka. Pierwsza odblokowała się Bożena.

– AGA! – Dopadła mnie jednym susem i uwiesiła się całym ciężarem na moim ramieniu. – Jak dobrze cię widzieć! Co tu robisz? – Poprawiła szybko przekrzywiony od gwałtownych ruchów sznur koralu na masywnej szyi. Ubrana była w białą bluzkę „do urzędu” i długą, powłóczystą spódnicę w kolorze fuksji. Miała podkrążone oczy.

– Chyba to samo co wy – zaśmiałam się szczerze i spojrzałam na Daltonów.

– Czołem, bracia! – Wyciągnęłam przyjacielsko rękę i poklepałam ich po umięśnionych ramionach.

– Wyrabiamy sofi, żeby móc w końcu pracować na legalu – westchnął Romek, ale równie dobrze mógłby to być Jerzyk, gdyż nie potrafiłam ich rozróżnić.

– Mamy dość tego wyzyskiwania – dodał. – Nie jesteśmy murzynami!

Skrzywiłam się nieco, gdyż przed oczami stanął mi Prosper, ale nie skomentowałam wypowiedzi Daltona. Nie było to odpowiednie miejsce na naukę tolerancji.

– A u ciebie jak, opowiadaj. Pracujesz? Co u siostry? – zarzuciła mnie

pytaniami Bożena.

Rozejrzałam się niecierpliwie dookoła.

– Kochana, tu nie mamy warunków do spokojnej rozmowy. Może spotkamy się za chwilę na pogaduchy? Uporamy się z tymi diabelskimi formularzami i pójdziemy na kawę! – zaproponowałam.

Bracia prychnęli lekceważąco i wzruszyli jednocześnie ramionami.

– Na kawę? Jak baby! Wolelibyśmy piwo. Najlepiej smakuje tu Amstel!

– Możecie pić to, co wam się żywnie podoba! – zapewniłam. – To jak, jesteście umówieni? Poobgadujemy trochę tubylców? – kusiłam.

– Jasne! – rozpromieniła się Bożena. – Mam ochotę porozmawiać w końcu z kimś na poziomie, bo te dwa tutaj to tylko klną i marudzą, marudzą i klną. Oszaleć można. – Złapała się za głowę.

– A i tak nie możesz bez nas żyć, Bo. – Jerzyk wyszczerzył w uśmiechu zęby. Miał na sobie pomarańczowy T-shirt, w przeciwieństwie do brata, który wystroił się w hawajską koszulę w kwiaty.

Klasnęłam w dłonie.

– Super! To spotykamy się za chwilę przed urzędem! Chyba że potrzebujecie mojej pomocy przy tych papierach. – Spojrzałam pytająco.

– Wszystko już wypełnione – oświadczył z dumą Romek. – Znam trochę holenderski. Mój szef załatwił nam wieczorne kursy. Chce, żeby jego personel mówił w miejscowym narzeczu. Twierdzi, że polski go wkurwia – zarechotał.

Jerzyk spojrział na brata złym wzrokiem.

– Znalazł się lokalny patriota – wycedził. – Tulipan jeździ po nas jak po łyśnych kobyłach, każe się integrować! Kij mu w oko! Ale co zrobić, płaci nie najgorzej i, co najważniejsze, na czas – westchnął. – Musimy się go na razie trzymać.

– Dobra, chłopaki, resztę opowiecie mi później! Lecę do okienka z tymi wnioskami! Nara! – Machnęłam w ich kierunku stertą papierów i podeszłam do naburmuszonej urzędniczki. Spojrzała na mój wniosek, a potem na mnie zniecierpliwionym wzrokiem i mruknęła cicho:

– *Nog eentje*. – Udałam, że nie słyszę tego: „jeszcze jedna”.

Po załatwieniu sprawy schowałam w torbie drogocenny dokument nadający mi numer holenderskiej maszyny podatkowej i czekałam na Bożenkę oraz Daltonów przed wejściem do budynku Gemeente Amsterdam.

Wyszli razem, jak zwykle kłócąc się i przekomarzając. Brakowało mi rodzimej mowy, nawet jeżeli co drugie słowo było nieparlamentarnym zwrotem.

– Chodźcie, niedaleko jest mała kawiarnia. Piwo też tam jest! – uprzedziłam pytanie braci i ruszyliśmy w drogę.

Nagle zrobiło się chłodno i zaczął padać deszcz.

– Typowa holenderska aura! – Zerknęła na mnie z dumą Bożena i dodała

szczerze: – Wynałazłam to słowo w jakiejś książce i bardzo mi się spodobało. Brzmi tak elegancko. O wiele lepiej niż „pogoda”.

Jerzyk machnął ręką.

– Bo, nie udawaj kogoś lepszego, niż jesteś. Ja tam uważam, że o wartości człowieka świadczy jego charakter, a nie słownictwo! I to moje zdanie, nie wyczytałam go nigdzie! Można? Można! – przekonywał sam siebie, dziarsko stawiając wielkie kroki.

– Masz absolutną rację, Jerzy! – zapewniłam go i uniosłam kciuk w geście uznania.

Weszliśmy do kawiarenki w centrum, tuż przy jednym z licznych amsterdamskich kanałów. Lokal był typowym holenderskim *koffiehuis*, czyli pijalnią kawy. Ten napój cieszył się od wieków ogromną popularnością w kraju tulipanów. To także jego mieszkańcy rozslawili go na całym świecie. Amsterdam stał się jednym z pierwszych wielkich centrów handlu i konsumpcji kawy. Największym producentem tego napoju była holenderska firma o fryzyjskich korzeniach – Douwe Egberts.

– Skąd bierzesz te informacje? – Jerzyk szczerze się zdziwił. – Mieszkam tutaj dłużej niż ty, a w życiu tego nie słyszałem.

– Głupku – strofował go brat – Aga obraca się w trochę innych sferach niż lokalne cebulki tulipanów, w których zapieprzasz cały dzień na chwałę Niderlandów!

Roześmiałam się głośno.

– Chłopaki, ja też, jak to malowniczo określacie, zapieprzam codziennie na chwałę tego kraju, co prawda, nie w tulipanach, ale w mopach i ścierach. Nie ma chyba żadnej różnicy! Pracuję u pewnego uroczego pana prokuratora, którego gospodyni podczas przerwy na lunch opowiada mi o miejscowych zwyczajach i tradycjach. Ot i cała tajemnica!

– Prokurator? Fiuuu – gwizdnął z podziwem Romek. – To gruba fisza!

Rozejrzałam się z niepokojem wokół i pomna ostrzeżeń Julii i Anneke postanowiłam nie mówić już więcej o swoim pracodawcy. Mogło się to źle skończyć. Poza tym obiecałam dyskrecję. Zmieniłam więc zgrabnie temat.

– Wiemy już, co robią chłopaki, teraz ty opowiedz o swojej pracy – zagadnęłam Bożenkę.

Machnęła lekceważąco ręką.

– A jak myślisz? – powiedziała. – Sprzątam, gotuję, prasuję. Jak zwykle. Do niczego innego się nie nadaję!

– Nie gadaj bzdur! – obruszyłam się. – Jedziemy przecież na tym samym wózku. Gadaj, chcę znać więcej szczegółów na temat twoich „domków”.

Bożena westchnęła i zaczęła mówić.

– Pracodawcami, u których wystartowałam, było małżeństwo niezwykle

zamożnych przedsiębiorców z Amsterdamu. Ich dom jest dosłownie naszpikowany elektroniką i wypełniony drogimi gadżetami. Pierwszy dzień był okropny. – Bo zamyśliła się. – Nieudolnie próbowałam wbić skomplikowany kod na drzwiach, a raczej wrotach do pałacu! Skończyło się alarmem na całą okolicę, wizytą policji i służb miejskich. Co się strachu najadłam, to moje! Czułam się jak groźna przestępczyni, ścigana międzynarodowym listem gończym! Szkoda tylko, że zamiast lśniącego, jak to się mówiło w Bonanzie, colta, trzymałam wiadro i mopa! Po paru tygodniach – ciągnęła Bożena – opanowałam do perfekcji system kodów i zabezpieczeń, psu spod ogona przecież nie wypadłam, ale państwo zażyczyli sobie, żebym im również gotowała. Nic prostszego, myślałam, moje gołąbki nie mają sobie równych, ale nic z tego. Moje gołąbki mieli gdzieś, chcieli, żebym im kuchnię ŚRÓDZIEMNOMORSKĄ serwowała! Ja! W życiu żadnego ślimaka do ust nie wzięłam ani innego kreweta, czy jak to tam się zwie, to co miałam robić! Za służbę grzecznie podziękowałam.

– Ja tam ich nie rozumiem – wtrącił się Romek. – Nie ma niczego lepszego na świecie niż nasz rodzimy schaboszczak.

– A teraz gdzie pracujesz? – Spojrzałam ponownie na Bożenę. Trzymała kurczowo torebkę na kolanach, tak jakby bała się, że za chwilę ktoś jej ją wyrwie.

– U baby, która jest z zawodu żoną dyrektora! – prychnęła. – Godzinami tłumaczy mi zasady działania odkurzacza centralnego, który zamontował jej dziany małżonek, a poza tym nie robi absolutnie nic! Całymi dniami snuje się po domu w jedwabnym gieźle i codziennie ma globusa! Wiecie, czego zażyczyła sobie ostatnio? Żebym nosiła fartuszek i czepek z koronką! Zobaczyła to gdzieś w jakimś francuskim filmie, które ogląda namiętnie i teraz ze mnie pajaca chce zrobić! – Popukała się znacząco w głowę.

Roześmiałam się bezwiednie, gdyż pomyślałam o Charlotte. Idealnie pasowała do tego opisu. Jakbym ją widziała! Fartuszek! Niedoczekanie!

– Rzuć tę robotę w cholerę! – poradziłam.

– Łatwo mówić – westchnęła Bożena. – Nieźle płaci. Jakoś wytrzymam! – Nagle spojrzała na zegarek i poderwała się z miejsca. – Przepraszam was, kochani, będę lecieć. Tadzik zaraz z pracy wraca, a obiad jeszcze w lesie. Ogromnie się cieszę, że mogłam cię zobaczyć, Aga! Nie ma to jak wyżalić się we własnym gronie. Koniecznie musimy umówić się ponownie. Ty nam prawie niczego o sobie nie opowiedziałaś!

– Jeszcze będzie okazja – zapewniłam. – Leć do synka, pozdrów go serdecznie ode mnie. Będziemy w kontakcie! – Ucałowałyśmy się przyjaźnie i już jej nie było.

Daltonowie również zaczęli się żegnać. Pracowali dzisiaj na drugą zmianę, a czekała ich jeszcze droga powrotna do małej miejscowości koło Amsterdamu, gdzie znajdowały się szklarnie ich holenderskiego „badylarza”.

– Trzymaj się, Aga, i nie daj się! – Machali mi długo na pożegnanie.

Szybkim krokiem skierowałam się w stronę dworca autobusowego. Było już bardzo późno, a nie chciałam, żeby Prosper się niepokoił. Wyjęłam z torebki komórkę, wystukałam do niego SMS-a: Będę za pół godziny, i wsiadłam do autobusu...

Rozdział jedenasty

Już od kilku dni mijaliśmy się z Prosperem w korytarzu, wymieniając tylko w pośpiechu parę zdań. W gorącym okresie wakacyjnym na lotnisku Schiphol potrzebowano dodatkowego personelu w związku z urlopami i wzmożonym ruchem pasażerskim, pracował więc na nocne zmiany. Kiedy ja wracałam z pracy do domu, Prosper właśnie do niej wychodził, a gdy ja skoro świt zrywałam się do swoich obowiązków, on odsypiał jeszcze noce. Ale w końcu udało nam się „umówić” na wspólną kolację.

Zaprosiłam Prospera do siebie na polskie jadlo. Ugotowałam swoje danie popisowe, czyli aromatyczną zupę pomidorową z ryżem. Kupiłam dobry chleb z oliwkami oraz butelkę prosecco w najdroższych holenderskich delikatesach Albert Heijn. W szafie Julki wyszperałam haftowany ręką naszej babci odświętny obrus, postawiłam na stole żółte tulipany i zapaliłam świece. Było skromnie, ale bardzo nastrojowo.

Prosper przyszedł punktualnie. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałabym, że chcesz być moja żona – roześmiał się w progu.

– Może i chcę! – Mrugnęłam zalotnie. – Gdzie ja znajdę takiego anioła jak ty! – Poklepałam go po szczupłej ręce i dodałam: – Jesteś moim senegalskim dobrym duchem, ale nawet duchy muszą od czasu do czasu solidnie się pożywić! Siadaj do stołu! Czym chata bogata!

Prosper usiadł i z zadowoleniem rozejrzał się po pokoju. Dobrze, że wczoraj wieczorem solidnie go wysprzątałam!

– *Eet smakkelijk!* – powiedziałam po holendersku „smacznego” bardzo uroczyście i postawiłam przed nim parujący talerz z zupą.

– *Dank je wel!* Widzę, że starasz się uczyć holenderskiego. To dobrze, to bardzo dobrze! – Chwycił łyżkę i zaczął jeść. Od czasu do czasu wznosił z ukontentowaniem oczy ku niebu na znak, że bardzo mu smakuje.

Usadowiłam się przy stole naprzeciw niego i sięgnęłam po chleb.

– A jak tam praca? Jak idzie? – zainteresował się nagle Prosper. – Przepraszam, że ostatnio tak cię zaniedbałem...

– Daję sobie radę! – powiedziałam i zabrałam się za swoją zupę. – W końcu już jakiś czas temu skończyłam osiemnaście lat – dorzuciłam z uśmiechem.

– Według mnie było to zaledwie wczoraj. – Prosper zaśmiał się cicho.

Pogroziłam mu łyżką znad talerza.

– Wyobraź sobie, że widzę ten mój pobyt tutaj w coraz żywszych barwach.

– Chyba wiem, co cię tak pogodnie nastroiło. Spotkałaś w końcu Annemarie z willi w sosnowym lesie. Zgadłem?

– Tak... – rozmarzyłam się. – W końcu ją poznałam. I wiesz co, Prosper,

jestem nią kompletnie oczarowana. Przypomina mi moją kochaną babcię, której już nie ma na świecie...

Od pierwszego momentu, w którym przekroczyłam progi rezydencji starszej pani, czułam pozytywne vibracje. Dom jest jasny, przestronny, tonie w świeżych kwiatach, które stoją w dziesiątkach wazonów we wszystkich pomieszczeniach. Oprócz kwiatów dominują czarno-białe fotografie. Przedstawiają historię mieszkańców willi z pewnością do paru pokoleń wstecz. Najpiękniejsze dla mnie zdjęcie to – jak się domyśliłam – roześmiani młodzi małżonkowie, Annemarie i jej mąż. Siedzą na wielbłądach w otoczeniu gromadki ciemnoskórych dzieci. W tle stożki majestatycznych piramid.

– To również moja ulubiona fotografia – usłyszałam nagle cichy głos. Spojrzałam przestraszona w stronę, z której dochodził, i napotkałam dobre spojrzenie błękitnych oczu starszej pani. Czytała mi w myślach. Odłożyłam szybko trzymaną w rękę ramkę ze zdjęciem na komodę.

– Przepraszam – odezwałam się speszona. – Nie powinnam...

– Nie szkodzi, dziecko – powiedziała ciepło i wjechała elektrycznie sterowanym wózkiem inwalidzkim do salonu.

Wtedy zobaczyłam Annemarie po raz pierwszy. Czas nie zatarł na jej twarzy śladów dawnej urody, rozmył je tylko nieco i pokrył gładkie niegdyś policzki siateczką drobniutkich zmarszczek. Ubrana była w jasną, zapiętą pod samą szyję sukienkę i lakierowane, staromodne pantofle. Srebrne pasma włosów upięła w długi kok. Na jej szczupłych, długich palcach pokrytych plamami starczymi dostrzegłam złoty męski sygnet oraz pierścionek z drogocennym kamieniem. Przyglądała mi się uważnie, uśmiechając się lekko, po czym podjechała do komody i ujęła w dłonie ramkę ze zdjęciem, które przed chwilą oglądałam.

– To już tyle lat... Etienne i ja w Egipcie. – Rękawem sukienki przetarła z czułością szklaną szybkę, za którą była fotografia. – Uwielbialiśmy podróżować. Ciągnęło nas do nowych miejsc, nie mogliśmy spokojnie usiedzieć w Nederland. Do Egiptu zaprosił nas wówczas angielski archeolog, serdeczny przyjaciel męża jeszcze z czasów studiów. Henry w ukryciu podkochał się we mnie – roześmiała się figlarnie jak mała dziewczynka. – To on zorganizował nam tę przejażdżkę na egipskich dromaderach i to on zrobił to zdjęcie. – Annemarie się zamyśliła. – Takich mężczyzn już nie ma. Honorowych, szarmanckich, do bólu prawych i uczciwych. I tak eleganckich – dodała, prostując się na wózku. – Wyobraź sobie, że nie widziałam go ubranego inaczej niż w białą koszulę, jasną marynarkę, bryczesy i wypucowane skórzane buty do konnej jazdy. Zaraz, zaraz... – ożywiła się – ...gdzieś tutaj powinno być jego zdjęcie. – Lustrowała uważnie wzrokiem dziesiątki ramek stojących na blacie komody. – O, tam! Ostatnia fotografia po lewej stronie. Podaj mi ją, dziecko – poprosiła i spojrzała na mnie uważnie. – A może ja ciebie nudzę tymi opowieściami? Taki los starych ludzi. Żyją

przeszłością i wspomnieniami – dodała i nagle posmutniała.

– Skądże znowu! – zaproponowałam gwałtownie. – Jestem zaszczycona, że dzieli się pani ze mną niezwykłą historią swojego życia.

Zerknęłam na podobiznę przyjaciela Annemarie. Patrzył na mnie wyjątkowo przystojny mężczyzna z gładko, na ówczesną modłę, przyczesanymi włosami. Obok niego warował ogromny dalmatyńczyk.

– Pani przyjaciel wygląda jak angielski arystokrata. – Uśmiechnęłam się ciepło do starszej pani.

Roześmiała się głośno.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza, Anjeska. W rzeczy samej, Henry pochodził z brytyjskiej arystokracji. *Blue blood*... Jego rodzina była spokrewniona z dworem królewskim, ale niechętnie o tym mówił. Był niezwykle skromnym człowiekiem, czarną owcą, gdyż zamiast dobrze zapowiadającej się kariery w dyplomacji wybrał życie nomady. Kochałam go bardzo, jak przyjaciela – ciągnęła Annemarie. – Moje serce należało jednak do mojego męża i Henry, chcąc nie chcąc, musiał się z tym pogodzić. Choć wiem, na pewno, że było mu ciężko... – Znowu się zamyśliła.

Patrzyłam na jej ciągle piękną twarz, intensywnie błękitne oczy, które teraz przymknęła, zatopiona we wspomnieniach. Drobne dłonie złożyła na podolku, szeroki kawałek rękawa sukienki podwinął się nieznacznie i zobaczyłam tuż nieco powyżej przegubów jej rąk ślady po dotkliwych oparzeniach. Chciałam coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

Annemarie otworzyła oczy.

– Chodź, kochanie! – Uśmiechnęła się promiennie. – Napijemy się pysznej kawy. Mam też świeże ciasto. Appelgebak. Jestem niepoprawnym łasuchem. Na stare lata zdecydowanie nadużywam cukru – zachichotała.

– Z największą przyjemnością! – odparłam, gdyż i ja uwielbiałam słodczyce. – A potem pokaże mi pani, gdzie znajdę odkurzacz i inne potrzebne do sprzątanía rekwizyty – zażartowałam, będąc przekonana, że starsza pani nie będzie się gniewać.

Annemarie uniosła ze zdziwieniem swoje cienkie brwi.

– Dziecko kochane, a skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała. – Ty nie zamierzasz tutaj przecież sprzątać?! Julia nie powiedziała ci, czym się u mnie zajmuje? Będziesz robiła dokładnie to samo.

Oniemiałam. Nie miałam bladego pojęcia, co starsza pani ma na myśli.

– Przepraszam, moja siostra wyjechała tak nagle, że szczerze mówiąc, nie miałyśmy właściwie okazji, żeby dokładnie omówić zakres moich obowiązków w tym domu.

Annemarie roześmiała się i oznajmiła uroczyście:

– Anjeska, będziesz moją damą do towarzystwa! Będziesz mnie zabawiała! Zapewniam cię, że nie jest to łatwe zadanie, gdyż wbrew pozorom jestem

niezwykle wymagająca, apodyktyczna i rozpuszczona. Będiesz zabierać mnie na spacer, czytać poranną prasę, dbać o to, żebym się nie nudziła i nie spała za długo w ciągu dnia. – Uśmiechała się z niewinną miną.

– Czytać poranną prasę? – Wystraszyłam się nie na żarty, choć wizja damy do towarzystwa brzmiała niezwykle kusząco. – Ale ja... nie mówię po holendersku.

Annemarie klasnęła z ukontentowaniem w ręce.

– To ja będę twoją nauczycielką! Co ty na to? W bibliotece znajdziemy na pewno jakieś stare podręczniki do nauki języka, jeszcze po moim wnuku. Pracował kiedyś jako wolontariusz w obozie dla uchodźców z Afganistanu. *Komt goed, meisje!*^[10] – dodała pokrzepiająco po holendersku.

Poszliśmy do kuchni, by posmakować obiecanej szarlotki z bitą śmietaną...

Przerwałam swoją opowieść, gdyż zauważyłam, że Prosper nie patrzy na mnie, tylko gdzieś hen wysoko, ponad moją głowę, na przepływające za oknem ciężkie deszczowe chmury.

– W ogóle mnie nie słuchasz! – poskarżyłam się.

– Słucham, Agnies, słucham – powiedział powoli i spojrzał prosto na mnie. – Opowiadasz tak pięknie, plastycznie... musiałem pomyśleć o Julii. Ona też lubiła siadać ze mną przy stole wieczorami i relacjonować, jak jej minął dzień...

– Wiedziałaś, czym Julka zajmuje się u Annemarie? – Nalałam sobie trochę prosecco do pustego już kieliszka.

– Mówiła enigmatycznie, że ta praca to bardziej przyjemność niż obowiązek. O wiele mocniej skupiała się na Charlotte. Mówiła, że plotkowaniem o niej rozładowuje stres i złość na tę okropną babę!

– Po co więc naraiła mi pracę u tej hetery?

– Henk dobrze płaci – pospieszył z odpowiedzią. – Chciała, żebyś w miarę szybko zarobiła parę groszy. A poza tym była pewna, że zdecydowanie lepiej niż ona poradzisz sobie z rozpuszczoną Holenderką. Aga da jej popalić! Moja siostra potrafi być prawdziwą *bitch!*

– mówiła Julia, śmiejąc się.

Udałam oburzenie.

– Jak Julia śmiała mnie tak oczerniać! – Ale Prosper przejrzał moją grę, gdyż oczy mi się śmiały. Przybiliśmy sobie piątkę.

– I co dalej z Annemarie? Dokończ, proszę. Ile kawałków ciasta unieście wzięłyście wtedy we dwie? Przyznaj się! – Pogroził mi figlarnie palcem.

– Całą blachę! A jak myślałaś?

Szarlotka była przepyszna. Delikatna w smaku, aromatyczna i lekko wilgotna. W całej kuchni unosił się zapach jabłek i cynamonu. Annemarie przedstawiła mi swoją kucharkę i pomoc domową. Obie kobiety przyglądały mi się z nieufnością, ale wcale się mnie to nie zdziwiło. Pomyślałam, że powoli zaskarbię sobie ich sympatię. Odnosiły się do starszej pani z niezwykle szacunkiem

i zwracały do niej *per mevrouw de Bruin*.

Po południu odprowadziłam Annemarie na krótką drzemkę do jej pokoju. Pomogłam jej położyć się do łóżka i przykryłam ją ciepłym, puchatym kocem. Jest drobna i krucha niczym porcelanowa figurka.

– Nie pozwól mi spać dłużej niż dwie godziny. – Annemarie przytrzymała mnie lekko za rękę. – Potem zjemy razem późny lunch. Karin z pewnością przygotowała coś pysznego. Wieczorem przyjeżdża do mnie mój wnuk, Stijn. Nie widziałam go prawie dwa tygodnie. Jest pilotem w KLM^[11]. Gna go po całym świecie, zupełnie tak jak jego dziadka. – Starsza pani uśmiechnęła się blado, po czym zapadła w sen.

Na palcach wyszłam z pokoju i najciszej, jak umiałam, zamknęłam za sobą drzwi. Miałam dwie godziny wolnego. „Następnym razem zabiorę ze sobą książkę”, postanowiłam. A tymczasem z zaciekawieniem zaczęłam przyglądać się galerii czarno-białych portretów członków rodziny de Bruinów. Fotografie wisiały w obszernym, wyłożonym jasną, grubą wykładziną korytarzu prowadzącym do wyjścia na oszkloną werandę. Rozpoznałam młodą Annemarie w sztywnym fartuszkach pensjonariuszki jakiejś prestiżowej szkoły dla dziewcząt. Obok niej zauważyłam podobiznę jej męża, Etienne’a, w czapce gimnazjalisty. Inne twarze były mi nieznane. Powoli przesuwając wzrok po portretach ludzi, którzy byli kiedyś częścią życia starszej pani i których z pewnością kochała. Zatrzymałam się przy ostatniej fotografii. Była niewątpliwie najnowsza. Uśmiechał się z niej do mnie młody mężczyzna o intensywnie niebieskich oczach. Ubrany był w białą koszulę z błękitnym krawatem i ciemnogrnatowy mundur lotnika z czterema paskami ze złotej taśmy, naszytymi na mankietach. Miał jasne, krótko przystrzyżone włosy i piękną twarz o regularnych rysach oraz zdecydowanie zarysowanym podbródku. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Stijna de Bruina...

Rozdział dwunasty

Charlotte ze stoickim spokojem malowała usta pomadką na krwistoczerwony kolor. Stała wystrojona przed lustrem w holu i ledwo mruknęła coś w odpowiedzi na moje grzeczne „dzień dobry”. Wokół niej szalało tornado złożone z dwóch jasnowłosych panienek. Były istnymi kopiami matki. Właśnie wrywały sobie z rączek lalkę Barbie, która w wyniku bitwy straciła obie nogi. Dziewczynki zrzuciły winę za zepsucie zabawki jedna na drugą i ryczały przy tym wniebogłoso.

– Kimberley! Jill! Uspokójcie się w końcu! – krzyknęła Charlotte. – Zobaczcie, kto przyszedł.

– Sprzątaczką! – oznajmiła z triumfem jedna z dziewczynek.

Spojrzałam na nią uważnie. Butnie patrzyła mi w oczy, bawiąc się kosmykiem blond loków.

– Nie sprzątaczką, tylko pomoc domowa! – poprawiła ją matka. – Wczoraj wam przecież tłumaczyłam, jak należy zwracać się do służby. A teraz pokażcie Agnes swoje pokoje! Może w końcu okiełzna ten wasz *rommel*^[12]. Ja już rady nie daję! – Teraz zwróciła się do mnie: – Agnes, wychodzę na spotkanie służbowe. Zajmij się dziewczynkami. Podczas gdy będziesz sprzątała ich pokoje, mogą oglądać bajki. Umiesz włączyć telewizor?

Jej zgryźliwą uwagę puściłam mimo uszu. Jaka ona była zołzowata! Najchętniej zrobiłabym jej wykład o historii telewizji. Zamiast tego pomyślałam o swoich rodzicach i ich pierwszym odbiorniku. To był wyprodukowany od A do Z w Polsce i ważący „jedyne” 25 kilogramów kultowy, superheterodynowy (cokolwiek to znaczyło!) legendarny Koral. Rzeczony telewizor był technicznym hitem i przedmiotem kultu na ubogich w nowinki cywilizacyjne Ziemiach Odzyskanych. Mój ojciec, wówczas kierownik małej szkoły podstawowej, położonej tuż nad przepięknym jeziorem Zgubie, był jednym z pierwszych w powiecie dumnych posiadaczy Korala. Tato społecznik lubił dzielić się z innymi dobrami, które z racji stanowiska były mu bardziej dostępne niż gospodarzom z okolicy. Zapraszał więc całą, liczącą kilkadziesiąt osób, wieś na seanse filmowe. Hitem była wówczas *Bonanza*, która przyciągała przed miniaturowe ekrany telewizorów miłośników amerykańskich westernów obyczajowych. Każdy zaproszony gość zobowiązany był przynieść ze sobą własne krzesło, które stawiał tam, gdzie znalazł kawałek wolnej przestrzeni. Mama szykowała góry kanapek z pasztetem i ogórkiem i parzyła hektolitry herbaty. Tego akurat nie pamiętałam, urodziłam się bowiem w połowie lat siedemdziesiątych. Moi rodzice przeprowadzili się już do większego miasta, gdzie nie było zbiorczych seansów *Bonazy*. Koral przeniósł się razem z nami. Kiedyś podczas oglądania transmisji z wystawy polskich produktów spożywczych przeznaczonych na eksport próbowałam dobrać się do pokazywanej na ekranie czekolady i zrzuciłam

dwudziestopięciokilogramowy telewizor ze stolika. Nieborak dokonał wtedy ostatecznie żywota. Wzruszyły mnie te wspomnienia, odleciałam myślami na dłuższą chwilę, ale ostry głos Charlotte sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

– Jesteś rozkojarzona! Nie słuchasz w ogóle, co do ciebie mówię!

– Słucham, słucham, madame. Umiem włączyć telewizor. Zajmę się dziewczynkami. Posprzątam pokoje – recytowałam litanię zadań, jakie miałam do wykonania na dziś.

Charlotte kiwała głową z aprobatą.

– Będę za trzy, góra cztery godziny. *Tot gauw!*^[13] – Trzasnęły drzwi. Po chwili usłyszałam odjeżdżające z podjazdu auta. Odetchnęłam z ulgą i weszłam do salonu.

Na podłodze, przed ekranem wielkiego telewizora, siedziały córki pani domu. Odbiornik był włączony. Panny poradziły sobie doskonale bez mojej pomocy. Wpatrywały się z uwielbieniem w Królową Śnieżkę. Miałam chwilę spokoju, zabrałam więc z pomieszczenia gospodarczego butelki ze środkami czyszczącymi i udałam na piętro.

Drzwi do pokoi Kim i Jill ozdobione były postaciami z ich ulubionych bajek. Na jednych widniała Śnieżka, na drugich Kopciuszek. Na pierwszy ogień poszedł Kopciuszek. Otworzyłam drzwi i... oniemiałam. Pokój wyglądał, jakby przeleciało przez niego tornado. Wszędzie poniewierały się zabawki, klocki, lalki. Na łóżku leżała skotłowana kolorowa pościel. W każdym kącie kłuły w oczy porzucane niedbale buty i ubrania. Do pokoju przylegała miniaturowa łazienka. Wykafelkowana na biało podłoga wysmarowana była metodycznie pastą do zębów, a w wannie napełnionej po brzegi wodą leżały dziesiątki nagich lalek Barbie.

Łazienka była przechodnia. Z niej weszłam do pokoju drugiej dziewczynki. Panował w nim taki sam nieład. Zauważyłam leżącą na ziemi nadgryzioną bułkę z serem. Schyliłam się, żeby ją podnieść i spostrzegłam wciśnięty w kąt pod łóżkiem stos chleba. Niektóre kanapki zapakowane były jeszcze w przezroczystą folię, inne poniewierały się po podłodze luzem. Na wielu widoczna była pleśń. Zapakowałam resztki jedzenia do wielkiego worka, który przyniosłam z dołu, po czym wyrzuciłam wszystko do zielonego kontenera z napisem KLIKO, stojącego na tyłach domu. Zrobiło mi się niedobrze. Przez ogrodowe drzwi weszłam do kuchni, otworzyłam lodówkę i wyjęłam z niej butelkę wody mineralnej spa rood. Piłam łapczywie dużymi łykami. Zarówno Henk, jak i Charlotte kilka razy wspominali, że mogę bez skrupowania częstować się napojami z lodówki. Przysiadłam na chwilę przy stole. W pewnym momencie w drzwiach kuchni pojawiła się jedna z dziewczynek.

– Mam cię pilnować! – rzuciła od progu mała. – Masz pracować, a nie siedzieć. Powiem wszystko mamie! – zagroziła i chwyciła się zadziornie pod boki.

– Mówisz świetnie po angielsku – zignorowałam jej wystąpienie

i uśmiechnęłam ciepło. Jak masz na imię?

Dziewczynka popatrzyła na mnie podejrzliwie, ale odpowiedziała posłusznie:

– *Ik heet Kim... En jij?*^[14]

– *Ik ben Agnieszka*. Potrafisz wypowiedzieć moje imię? – zagadałam przyjaźnie.

– Anjeska – powtórzyła mała i pokazała w uśmiechu drobne ząbki. – *Moeilijk!*^[15]

– Tak, to trudne imię, ale doskonale sobie poradziłaś. Chodź, usiądź koło mnie, napij się czegoś? – Wskazałam zachęcająco ręką miejsce obok siebie przy stole.

– *Ik wil graag ranja*^[16] – powiedziała dziewczynka i usiadła koło mnie.

Nalałam lemoniady do kolorowej szklanki. Kim wypita ją duszkiem i spojrzała na mnie uważnie.

– Powiedz mi, kochanie, skąd znasz tak dobrze angielski? – zapytałam ponownie.

– Siostra mamusi mieszka w Londynie. Moje kuzynki nie mówią po holendersku. Ich tata jest Anglikiem. Mama twierdzi, że to straszny buc. Jeździmy do nich w odwiedziny na każde wakacje. Oprócz angielskiego uczymy się też francuskiego. Dwa razy w tygodniu chodzimy na prywatne lekcje do madame Antoinette. Poza tym gramy w tenisa w każdy czwartek. A Jill ma dodatkowo w piątek lekcje gry na pianinie. Mamusia twierdzi, że ma talent.

– A ty, co lubisz robić? – zagałam.

Pomyślała chwilę.

– Rysować – odparła w zamyśleniu.

– Pokażesz mi swoje rysunki? – Poglądziłam dziewczynkę po jasnej główce.

– Chodź ze mną na górę. Właśnie sprzątam wasze pokoje i potrzebuję twojej pomocy!

– Dobrze – rozpromieniła się Kim. – Tylko powiem Jill, że już nie chcę oglądać bajek. Ciągle w kółko to samo. Znudziło mi się!

Mała pobiegła w podskokach do siostry. Rozmawiały chwilę ze sobą. Jill nie spodobał się widocznie mój pomysł, bo mówiła coś szybko podniesionym głosem. Nie rozumiałam, o co chodzi, gdyż dziewczynki konwersowały po holendersku.

Kim wróciła ze smutną miną.

– Jill nie chce pomóc. Mówi, że mama zabroniła nam zadawać się z tobą. Jesteś z niższej klasy. Nie rozumiem tego. Jakiej klasy? – zafrasowała się dziewczynka. – Nie chodzimy przecież razem do szkoły. Jesteś za stara. Tak jak mamusia.

Najchętniej przeklełabym siarczyście, ale powściągnęłam emocje. Charlotte robiła córkom wodę z mózgu, ale to nie był mój problem. Nie zamierzałam

wdawać się z babą w dyskusje na temat pochodzenia i klas społecznych. Dałabym sobie rękę uciąć, że madame van der Vegt nie posiadała wyższego wykształcenia, a uniwersyteckie mury oglądała wyłącznie z zewnątrz jako atrakcję turystyczną.

– Dobrze, kochanie – zwróciłam się do dziewczynki. – Wiesz co? Umawiamy się tak! Będiesz mi mówić, co mogę wyrzucić do śmieci, a co nie! To twoje rzeczy i nie chciałabym pozbyć się czegoś, co jest dla ciebie ważne. Zgoda?

– *Afgesproken!*^[17] – rozpromieniła się Kim. A ja pomyślałam ze smutkiem, że to naprawdę ostatni dzwonek, kiedy można jeszcze nauczyć te dzieci szacunku do innych i wyplenić okropną manierę patrzenia na kogoś z góry. Niedługo będzie za późno i staną się takie jak ich matka, przekonane o własnej wyjątkowości i nieomyślności.

Poszłyśmy razem na górę. Zabrałam się za sprzątanie łazienki, a Kim zaczęła składać swoje rysunki. Poradziłam jej, żeby posortowała obrazki na te, które chce zatrzymać, i te, które można wyrzucić. Po dłuższej chwili przyszła do mnie z kartką, na której namalowane było czerwoną kredką olbrzymie serce. Na obrazku widniały koślawe, drukowane literki układające się w napis: *VOOR ANJESKA!*

– To dla mnie? – Zdjęłam gumowe rękawiczki i uściskałam małą mocno. – *Danke je wel schatje!*^[18] Zbiorę rysunek ze sobą do domu, oprawię i powieszę na ścianie. Zrobiłaś mi przepiękny prezent. Jesteś bardzo zdolna. – Byłam zaskoczona i wzruszona gestem małej.

Kim promieniała. Poprawiła szybko rączką opadający na czoło jasny lok i zapytała, łapiąc mnie za rękę:

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Rozejrzałam się wokół.

– Kochanie, jakbyś mogła jeszcze wyciągnąć te lale z kąpieli. – Wskazałam na Barbie w wannie. – Chyba już wystarczająco się wymoczyły, nie uważasz? – Uśmiechnęłam się ciepło.

Kim popatrzyła mnie niepewnie.

– Nie mogę tego zrobić. To lalki Jill. Będzie się gniewała.

– Dobrze, skarbie. Załatwię to sama. Dziękuję ci jeszcze raz za pomoc. Możesz biec do siostry. Zaraz tu skończę i przyjdę do was. Napijemy się razem po szklaneczce lemoniady – obiecałam.

Dziewczynka z ociąganiem zeszła na dół. Przetarłam jeszcze dokładnie podłogę w łazience, odczyściłam z zacieków lustro. Pokoje były już odkurzone, łóżka pościelone. Zabawki posegregowałam i włożyłam do dwóch wiklinowych koszy stojących przy biurkach dziewczynek. Z zadowoleniem przyjrzałam się efektom swojej pracy. Na dole trzasnęły drzwi.

– *Ik ben terug!*^[19] – usłyszałam głos Charlotte.

Odniosłam odkurzacz do schowka, wylałam wodę z wiadra i wrzuciłam brudne ścierki do pralki. Po chwili usłyszałam kroki na schodach.

– Tutaj jesteś! – Pani domu zmierzyła mnie złym wzrokiem. – Słyszałam od Jill, że podobno wymogłaś na dziewczynkach pomoc w sprzątaniu? Czy to prawda? – Jej głos stał się piskliwy.

– Zgadza się – odpowiedziałam spokojnie. – Ale to nie do końca tak, jak pani myśli – dodałam szybko. – Wydawało mi się, że zdecydowanie za długo już siedzą przed telewizorem...

Charlotte nie dała mi skończyć.

– Zapamiętaj raz na zawsze! – wysyczała. – To JA decyduję o tym, co robią w wolnym czasie moje córki! Absolutnie nie życzę sobie, żebyś wykorzystywała je jako swoje pomocnice! To przekracza granice przyzwoitości! To jeszcze dzieci!

– Dlatego właśnie poprosiłam je, żeby posegregowały swoje rysunki. Nic więcej. Nie chciałam sprawić im przykrości, gdybym przez pomyłkę wyrzuciła jakiś ważny dla nich obrazek. – Pozostałam spokojna, choć w środku mnie wrzało.

– Zabraniam ci pozbywać się czegokolwiek z tego domu bez konsultacji ze mną! – grzmiała dalej Charlotte.

– Nawet spleśniałego chleba, którego całe stopy znalazłam dzisiaj pod łóżkiem Jill? – Nie mogłam się powstrzymać, choć zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że wsypuję właśnie małą przed jej matką.

Charlotte zrobiła wielkie oczy.

– Słucham? To niemożliwe! Spleśniałego chleba? Faj, to obrzydliwe! Co z nim zrobiłaś?

– Wyrzuciłam do zielonego kliko na tyłach domu! Pan Henk mówił, że ten kontener jest przeznaczony na odpady i resztki jedzenia – powiedziałam, patrząc Charlotte prosto w oczy.

Kobieta zmieszała się, ale szybko odzyskała rezon.

– Dziękuję ci. Na dzisiaj to wszystko. Porozmawiam z Jill na temat tej nieprzyjemnej sytuacji. I jeszcze raz stanowczo nalegam na niewciągnięcie moich dzieci w sprawy należące tylko i wyłącznie do twoich obowiązków.

– Oczywiście – odparłam zimno. – Proszę jeszcze porozmawiać z córką na temat nagich lalek zalegających masowo w łazience. Nie mogłam przez to umyć wanny! Gołe Barbie! Wydaje mi się to co najmniej dziwne, ale jak słusznie pani zauważyła, to nie jest MOJA sprawa! *Tot ziens!*^[20] – wypaliłam na koniec.

Zostawiłam oniemiałą Charlotte na piętrze, po czym zeszłam na dół. „Zanim się ocknie, będę już na zewnątrz”, pomyślałam z satysfakcją.

Jednak do domu wracałam z ciężkim sercem...

Rozdział trzynasty

Postanowiłam zrobić Prosperowi niespodziankę i pojechać po niego do pracy. Miał dziś popołudniową zmianę, kończył o dziewiętnastej. Chciałam go wyciągnąć do miasta na piwo i przyjacielskie pogaduchy. Wsiadłam w autobus linii 277, w kierunku lotniska i centrum handlowego Plaza.

Był piękny, ciepły wieczór. Mknęliśmy zatłoczoną autostradą A9. Przez okno autobusu widziałam rozległe połacie amsterdamskiego Schiphol, jednego z największych europejskich portów lotniczych. W pewnej chwili nad mostem, do którego właśnie dojeżdżaliśmy, przelatywał gigantyczny, błękitno-biały samolot z wymalowanymi na ogonie literami KLM. Pomyślałam o Stijnie, wnuku Annemarie. Kto wie, może to on siedział za sterami boeinga? „Zachowujesz się jak nastolatka!”, upomniałam w myślach sama siebie. „Przecież w życiu nie widziałas tego faceta! Z pewnością jest okropnym snobem, w typie Charlotte i Henka!”. Chociaż, szczerze mówiąc, trudno było mi w to uwierzyć.

Wysiadłam z autobusu przed wejściem głównym na lotnisko. Wyjęłam z kieszeni zmiętą kartkę, na której już jakiś czas temu Prosper wypisał nazwę firmy sprzątającej, w której był zatrudniony. Pomyślałam, że ich biuro powinno znajdować się gdzieś niedaleko. Weszłam przez wielkie obrotowe drzwi do gigantycznej hali Schiphol. Panował tu nieopisany tłok i zamęt. Ogromne tablice umieszczone w centralnej części terminalu migotały tysiącem liter i cyfr układających się w ciąg informacji na temat odlotów i przylotów samolotów z całego świata. Przedarłam się szybko przez środek hali i wjechałam schodami ruchomymi na górny poziom lotniska. Ciągnął się tu rząd najróżniejszych butików, kawiarni i kafejek.

Małe biuro firmy, w której pracował Prosper, znajdowało się na samym końcu, tuż przy windach. Otworzyłam szklane drzwi i weszłam do środka boksu opatrzonego nazwą Qleaning. W recepcji siedziała młoda kobieta ubrana w biały uniform z wyszytym na piersi logo firmy, literą Q. Spojrzała na mnie z ciekawym wzrokiem i zapytała po holendersku:

– *Kan ik u ergens mee helpen?*^[21]

– *Ik zoek Prosper*^[22] – odpowiedziałam szybko i dodałam już po angielsku: – Przepraszam, nie mówię za dobrze w waszym języku.

Recepcjonistka uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Rozumiem. Prosper skończył właśnie pracę. Przebiera się na zapleczu. Powinien za chwilę tu być. Napijesz się czegoś? – przeszła gładko na ty. W Holandii była to normalna procedura. Niepisana forma zwracania się do nieznajomych na „ty” obowiązywała powszechnie nie tylko na płaszczyźnie kontaktów prywatnych, ale również służbowych.

Podziękowałam grzecznie i usiadłam na jednym z krzeseł stojących pod

ścianą biura. Po chwili usłyszałam głośny śmiech i zza drzwi na tyłach recepcji wyłonił się wysoki, szczupły blondyn, a zaraz za nim Prosper. Kiedy mnie zobaczył, rozpromienił się całym sobą.

– Agnies! Co ty tu robisz?!

– *Surprise!* Niespodzianka! – Podniosłam się z krzesła i poklepałam go po ramieniu. – Zbieraj się, porywam cię na drinka!

– Prosper, nie przedstawisz mnie swojej nowej dziewczynie? – odezwał się blondyn.

Spojrzałam na niego i odpowiedziałam, uśmiechając się szeroko.

– Nie jestem dziewczyną Prospera. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Agnies to siostra Julii – wtrącił Prosper i przedstawił mi swojego kolegę. – Jeroen, mój szef.

– Jeroen Hellendoorn! Miło mi cię poznać! – Blondyn podał mi rękę. Miał mocny, ciepły uścisk.

Przyjrzałam mu się uważnie. Był typowym Holendrem, o jasnej cerze, płowych włosach i wysportowanej, umięśnionej sylwetce, ubrany w białą koszulkę polo i poprzecierane na kolanach džinsy. Z całą pewnością podobał się kobietom. Patrzył na mnie przyjaźnie i uśmiechał zadziornie jak niegrzeczny chłopiec. Pogratulowałam sobie w duchu, że pociągnęłam dziś usta perłową szminką, a nieśmiertelne trampki zamieniłam na letnie sandały. Z szafy Julki wyciągnęłam białą, krótką sukienkę, którą przepasałam złotym paskiem. Idealnie podkreślała moją delikatną opaleniznę. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że wyglądam ładnie i kobieco. Cóż, nawet ja bywałam czasami próżna.

Przedłużając się ciszę przerwała w końcu recepcjonistka, która odchrząknęła znacząco i poprosiła Jeroena o podpisanie jakiejś faktury.

– Chodź, idziemy – szepnęłam do Prospera i pociągnęłam go za rękaw w kierunku wyjścia.

– *Tot ziens!* – powiedziałam głośno i pomachałam w kierunku recepcji.

Jeroen przerwał rozmowę z recepcjonistką i odprowadził mnie wzrokiem aż do samych drzwi.

– Do zobaczenia niedługo – rzucił wesoło i wrócił do podpisywania papierów.

Wyszliśmy na zewnątrz. Odetchnęłam z ulgą i spojrzałam na Prospera. Uśmiechał się znacząco, ale nic nie powiedział.

– No co?! – zapytałam zaczepnie. – Zrobiłam coś nie tak?

– Wręcz przeciwnie – zachichotał. – Wykonałaś kawał dobrej roboty! Jeroen jest tobą kompletnie oczarowany!

– Zwariowałaś? – prychnęłam. – Przecież on mnie w ogóle nie zna! Widzieliśmy się raptem pięć minut! – Udawałam oburzenie, ale słowa Prospera sprawiły mi niekłamaną przyjemność.

– Znam go! Spodobałaś mu się! – Pokiwał głową. – To fajny facet. Ludzki. Bardzo mi na początku pomógł. Nie rozmawiałem po holendersku, prawie żadnego doświadczenia, a jednak dał mi szansę.

– To on jest właścicielem Qleaning? – rzuciłam niby od niechcenia.

– Tak, to jego firma. Stworzył ją sam, od podstaw. Ciężko pracował na sukces. Obecnie Qleaning obsługuje cały teren lotniska, w tym większość biurowców. Mamy mnóstwo roboty! Musimy też zmienić biuro. To jest za małe! – westchnął ciężko i popatrzył na mnie z zaciekawieniem. – Jesteś nim zainteresowana? Od niedawna jest znowu wolny! – Prosper wyszczerzył śnieżnobiałe zęby w ironicznym uśmiechu.

– Nie cierpię cię, potworze! – Tupnęłam nogą i zaczęłam się śmiać. Chichrając się jak dwoje licealistów, wyszliśmy na zewnątrz.

– To dokąd mnie porywasz, piękna dziewczyno? – zapytał Prosper i zatoczył rękami koło. – Cały świat należy do nas!

– Całego świata ofiarować ci nie mogę, ale Amsterdam jest nasz! Jedziemy do centrum! – oznajmiłam ochoczo.

Poszliśmy na przystanek linii Connexion i wsiedliśmy do autobusu 197, który akurat podjechał. Był prawie pusty. Prosper kupił u kierowcy dwa bilety. Usiedliśmy z tyłu, cały czas śmiejąc się i przekomarzając.

Postanowiłam zabrać go do przytulnej kafejki usytuowanej przy jednym z największych placów w stolicy Holandii, Museumplein. Wyczytałam wczoraj w kieszonkowym przewodniku, że nadawała się idealnie na wieczorną „randkę”. Museumplein stanowiło od lat główne miejsce spotkań zarówno rodowitych mieszkańców Amsterdamu, jak i licznych turystów, których przyciągała tutaj niezwykła atmosfera, koncerty, eventy na świeżym powietrzu. Stąd blisko było również do najważniejszych muzeów stolicy takich jak Muzeum Vincenta van Gogha, Muzeum Stedelijk oraz Rijksmuseum.

Usiedliśmy przy jednym ze stolików z parasolkami ustawionymi na zewnątrz kafejki i zamówiliśmy po kuflu zimnego piwa.

– Jak dla mnie Heineken nie ma sobie równych – powiedziałam, biorąc solidny łyk bursztynowego trunku.

– Wolę ciemne piwo, na przykład tradycyjny porter o nazwie Stout! – oznajmił ze znanstwem Prosper. – Ale to kwestia indywidualnych upodobań. Tak jak z kobietami. Jedni wolą brunetki, inni blondynki.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

– Znowu zaczynasz? Skąd nagle ta mnogość tematów damsko-męskich? Dotychczas nigdy o tym nie rozmawialiśmy!

– Najwyższa pora zacząć! – rzekł stanowczo i zaczął drażnić skałę. – Agnies, nie mówiłaś mi nigdy o sobie. Znaczący o swoich związkach... Masz kogoś? – Prosper, przyglądając mi się uważnie, upił nieco piwa z kufla.

Machnęłam lekceważąco ręką.

– Nie ma o czym gadać. Nie jestem obecnie z nikim związana. I może to lepiej. Gdybym miała partnera, kto wie, czy puściłby mnie samą w taką daleką podróż.

– To prawda. Ale na dłuższą metę człowiek nie powinien być sam. Wiesz, że w Senegalu dopuszczamy wielożeństwo? – zapytał nagle.

– Czy to propozycja? Zamierzasz pojąć za żonę i Julię, i mnie? Odradzam. Z jedną z nas może dasz sobie radę, ale z dwiema? Nie ma szans! – Popukałam się znacząco w głowę.

Prosper zaczął się śmiać.

– Agnies, całkowicie wystarczy mi jedna kobieta. Liczy się dla mnie tylko Julia. Bardzo mi jej brak, zarówno fizycznie, jak i duchowo – zwierzył się Prosper.

– Spaliście ze sobą? – wypaliłam. W końcu byliśmy dorosłymi ludźmi.

Prosper zakrzuszył się swoim porterem.

– Oj, nie udawaj takiego niewiniątka! – Wzruszyłam ramionami. – Julka od dawna nie jest już dziewicą.

– To są bardzo intymne sprawy i nie wiem, czy powin...

– Spaliście! – przerwałam mu triumfalnie w pół słowa. – Możesz zaoszczędzić mi szczegółów, aż taka ciekawska nie jestem! – zaśmiałam się diabolicznie.

– Uwielbiam cię, panno ciekawska! – Figlarnie pogroził mi palcem Prosper. W kieszeni jego spodni odezwał się nagle sygnał SMS-a. – Poczekaj chwilę, może to Julia. – Sięgnął po telefon i zerknął szybko na wyświetlacz. – Niewiarygodne! – Popatrzył na mnie i zaczął się śmiać, uderzając rękami po udach.

– Zwariowałaś? – Patrzyłam na niego zdziwiona. – Co się stało? To Julka?

– Nie! To mój szef!

– Jeroen? – Obląłam się rumieńcem jak pensjonarka.

– W rzeczy samej! I zgadnij, o co mnie pyta? – śmiał się dalej Prosper.

– Nie mam zielonego pojęcia! Mów mi tu zaraz! – Skinęłam ręką na kelnerkę. Stanowczo potrzebowałam dodatkowej dawki procentów.

– Jeroen chce twój numer telefonu! A to ci heca! Nie wierzę! – Prosper ponownie spojrzął na ekran swojej komórki.

– Aż tak to cię dziwi? Czyżbym była aż tak szpetna? – Poprawiłam wyniosłym gestem włosy.

– Jesteś piękną dziewczyną i prawdę mówiąc, spodziewałem się tego. Ale nie w takim tempie! Mówiłem przecież. Zrobiłaś na moim szefie piorunujące wrażenie. To jak, mogę mu dać twój numer? – Spojrzął na mnie pytająco.

– Masz moje pozwolenie! – odparłam uroczyście, choć niby od niechcienia. Tak naprawdę bardzo mi schlebiało zainteresowanie przystojnego Holendra.

Prosper zaczął wystukiwać na klawiaturze telefonu treść wiadomości, a ja

rozglądałam się po rozpościerającym się przed naszymi oczami rozległym Museumplein. Był pełen zieleni i wesołych, barwnie odzianych spacerowiczów. Nikt niczemu się tu nie dziwił, ludzie byli pogodni, roześmiani i uczynni. Widziałam trzymających się za rękę facetów i przytulające do siebie dziewczyny. W Polsce by to było nie do pomyślenia, a tutaj wydawało się czymś najzupełniej naturalnym. Miłość bez względu na wszystko. Teraz zrozumiałam, dlaczego Amsterdam zwany był przez niektórych stolicą wolności i tolerancji. Zamyśliłam się i zatęskniłam nagle za kimś, kto by patrzył na mnie tak jak zakochany mężczyzna na kochającą kobietę. Poczułam nieodpartą potrzebę bliskości i czułości, o której mówił Prosper. Ja nie miałam nikogo, za kim mogłabym tęsknić, na kogo czekać i kogo kochać.

Prosper przypatrywał mi się już od dłuższego czasu, ale nic nie mówił. Siedzieliśmy w milczeniu, ciesząc się nastrojem ciepłego wieczoru, pogrążeni w swoich myślach, tęsknotach i smutkach. Byliśmy tak różni, pochodziliśmy z zupełnie odrębnych światów, dzieliły nas kultura, religia, zwyczaje, a jednak gdzieś tam, w głębi serca, byliśmy tacy sami – głodni uczucia, akceptacji i zrozumienia. Bezwiednie uściskałam dłoń Prospera i spojrzałam na niego ciepło. Byłam pewna, że myślał o tym samym. Rozumieliśmy się bez słów.

Ciszę przerwało piknięcie, tym razem mojego telefonu. Spojrzałam na ekran komórki. Zobaczyłam nieznany mi numer, zaczynający się od 0031...

Kolacja? Gdzie tylko zechcesz... Jeroen X

Podniosłam wzrok i napotkałam uważne, pytające spojrzenie Prospera. Skinęłam potwierdzająco głową. Nie pamiętałam już, kiedy po raz ostatni byłam na randce. Bardzo dawno temu. Najwyższy czas na zmiany...

Rozdział czternasty

W nocy śniło mi się, że Julka postanowiła skrócić swój pobyt w Afryce. Przyleciała zniecka do Holandii i podziękowała mi za pomoc. Chcąc nie chcąc, musiałam wracać do domu. Obudziłam się rozedrgana i złana potem. Nie chciałam jechać do Polski, nie teraz, kiedy wszystko powoli zaczynało się układać.

Wzięłam szybki prysznic, narzuciłam na siebie ukochane stare dżinsy i sprany podkoszulek. Szybko upiłam łyk kawy i nadgryzłam kanapkę z serem gouda. Popatrzyłam niecierpliwie na zegarek. Nie przypuszczałam, żeby Jan i Anneke robili mi wyrzuty z powodu spóźnienia, ale chciałam być punktualna. Pan prokurator ceniał ludzi, którzy dotrzymują obietnic i są zawsze na czas. Otworzyłam drzwi, szarpiąc się jak zwykle z opornym zamkiem i... stanęłam jak wryta. Na progu leżał gigantyczny bukiet kwiatów. Przyciągał wzrok feerią barw i pachniał nieziemsko rozgrzaną słońcem letnią łąką. Rozejrzałam się wokół, chwyciłam szybko bukiet i cofnęłam się do pokoju. Delikatnie odwinęłam kwiaty z przezroczystej folii i włożyłam je do kryształowego wazonu babci. Z boku zauważyłam przyklejony do folii mały bilecik.

A może śniadanie? Na dachu Amsterdamu. Zobacysz stamtąd cały świat. A ja zobaczę Ciebie. J. X

Zrobiło mi się gorąco. Jeroen nie zasypiał gruszek w popiele. Wiedział dokładnie, czego chce, i konsekwentnie do tego dążył. Narzucił szybkie tempo. Jak każdy facet! Pytanie tylko, czy miałam ochotę dotrzymać mu kroku.

Pogrążona w pełnych wątpliwości myślach wybiegłam pospiesznie z domu. Teraz na pewno byłam już spóźniona. Pedałowałam zawzięcie, mijając po drodze rozkwitającą powoli latem gminę Haarlem. Do rezydencji przy Pasteurstraat wpadłam zdyszana i już od progu krzyknęłam: *Sorry, ik ben te laat!*^[23]

Anneke wyjrzała na korytarz i położyła palec na ustach.

– Cicho, Anjeska! Jan ma wizytę. Chodź do kuchni, pomożesz mi przygotować kawę.

Podążyłam posłusznie za nią i cicho zamknęłam za sobą drzwi. Anneke przecierała bawełnianą ściereczką przepiękne porcelanowe filiżanki stojące na przygotowanej już do podania tacy.

– Wczoraj upiekłam swoje popisowe ciasto. Ociekające czekoladą i nadziane orzechami brownie. – Gospodyni oblizwała się ze smakiem i dodała: – Zaraz ukroję nam po kawałku. Zanieś, proszę, tacę do gabinetu Jana.

– Ja? – Zmieszałam się i już miałam dodać: „ale ja tu tylko sprzątam”, jednak w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

Anneke obrzuciła mnie szybko krytycznym spojrzeniem.

– To fakt! Nie wyglądasz dziś zbyt elegancko, ale trudno. To

niezapowiedziana wizyta. Jan nie będzie miał żalu. Następnym razem weź ze sobą jakąś spódnicę, zostawisz ją tutaj w szafie. Będiesz przygotowana na każdą ewentualność, gdyby taka sytuacja powtórzyła się w przyszłości.

– Dobry pomysł! – Spojrzałam na Anneke z uznaniem. – Wszystko gotowe? – rzuciłam okiem na tacę. – To idę do jaskini lwa!

Gospodyni roześmiała się głośno i zdzieliła mnie żartobliwie po ramieniu kuchennym ręczniczkiem.

W gabinecie Jana siedziało dwóch niezwykle eleganckich mężczyzn w sile wieku. Kiedy weszłam do środka, przerwali rozmowę, spojrzeli na mnie z zaciekawieniem i podnieśli się z krzeseł. Stara szkoła savoir-vivre'u. Lubiłam szarmanckich mężczyzn, którzy naturalnie, bez sztuczności i napuszenia, adorowali kobiety. Klasy nie można się nauczyć, z nią trzeba się urodzić. Goście Jana, to było widać na pierwszy rzut oka, byli dżentelmenami z krwi i kości.

– Przepraszam panów za mój nieodpowiedni do sytuacji strój – odezwałam się nieco speszona. – Nie wiedziałam, że pan van der Linden spodziewa się gości. – Jan roześmiał się, po czym gestem zaprosił kolegów do ponownego zajęcia miejsc.

– Agnieszka! – Jako jedyny ze wszystkich znanych mi Holendrów potrafił bezbłędnie wymówić moje imię. – To nieformalne spotkanie. Przesadna etykieta jest tu zbędna. To nie dwór Beatrycze^[24]! Poznaj moich serdecznych przyjaciół. Studiowaliśmy razem prawo na Uniwersytecie Amsterdamskim... Ile to już lat temu? – zamyślił się pan prokurator.

– Wieki temu, Janie, wieki temu! Z pewnością tej młodej damy nie było jeszcze na świecie – pospieszył z odpowiedzią jeden z gości.

Po wymianie grzecznościowych formułek zabrałam pustą tacę i skierowałam się do wyjścia. Jan ruszył za mną i zapytał cicho już w korytarzu.

– Rozmawiałaś z Julią? Co u niej? – Patrzył na mnie swym słynnym przenikliwym spojrzeniem dociekliwego prawnika, ale nie czekając na moją odpowiedź, dodał szybko: – Przekaż jej, że ma się niczym nie martwić, wszystko jest pod kontrolą. Niedługo sam się do niej odezwę. A teraz przepraszam cię, wracam do gości! A, jeszcze jedno... – Odwrócił się do mnie z lekkim uśmiechem i wskazał na mój sprany podkoszulek. – Bardzo twarzowa koszulka! – I już go nie było...

Wróciłam do kuchni całkowicie skołowana. Anneke siedziała przy stole i popijała kawę z dużego fajansowego kubka.

– Już miałam wysłać po ciebie gońców! – Spojrzała na mnie z wyrzutem. – Co tak długo? Czekam i czekam. Kawa ci już wystygła! Zrobię zaraz nową! – gderła gospodyni.

Klapięłam na krzesło obok niej.

– Jan wypytywał mnie o Julkę. Nie zrozumiałam ani słowa. Czym niby ma się nie martwić moja siostra? Miała jakieś kłopoty? – Spojrzałam uważnie na

gospodynię. – Wiesz coś na ten temat?

Anneke zaczęła nagle gorliwie wycierać idealnie czysty blat stołu. Nie patrzyła na mnie. W końcu nie wytrzymała.

– Nie chcę się wtrącać! To nie moje sprawa. Wiem tylko tyle, że Jan pomógł Julii w pewnej bardzo nieprzyjemnej sprawie. Ale proszę, nie pytaj mnie o nic więcej. Nie chcę rozsiewać plotek. Kawy? – zmieniła sprytnie temat, a ja skinęłam głową w milczeniu.

Postanowiłam nie cisnąć więcej Anneke, która znalazła się między młotem a kowadłem. Z pewnością знаła szczegóły sprawy, ale być może pracodawca surowo nakazał jej dyskrecję i nie chciała go zawieść. W pełni szanowałam jej decyzję, choć zżerała mnie ciekawość. Cóż takiego mogła wywinąć Julka? Pomyślałam, że w domu przyprę Prospera do muru. Miałam przecież prawo wiedzieć, co jest grane.

– Anneke, nie uwierzysz! – powiedziałam jak gdyby nigdy nic. – Jan skomplementował mój stary podkoszulek. Pewnie chciał mi dać do zrozumienia, że nie powinnam nosić czegoś tak spranego w jego domu. Jak uważasz?

Anneke wzruszyła ramionami.

– Jan w życiu by czegoś takiego nie zasugerował! Widocznie mu się spodobał, ale cóż zrobić, zawsze miał dziwaczny gust!

Roześmiałam się, choć tajemnica Julki nie dawała mi spokoju.

Wypiłyśmy kawę, po czym ruszyłyśmy do swoich obowiązków. Na dziś Anneke zaplanowała pucowanie łazienek – jednej mniejszej na dole, przeznaczonej dla gości, i drugiej większej, z której korzystał na górze wyłącznie pan domu. Jan był prawdziwym pedantem. Wszędzie było idealnie czysto.

Z pracą na dole uporałam się błyskawicznie. Włożyłam do wiadra wszystkie akcesoria i weszłam na piętro. Łazienka wyglądała na nieużywaną, choć wiedziałam, że pan prokurator – wzorem każdego Holendra – codziennie rano brał długi prysznic. Żeby nie tracić czasu, zabrałam się za przecieranie specjalnym płynem drogich kafli, którymi wyłożona była ściana nad granitową umywalką. Na półeczce obok lustra dostrzegłam bogatą kolekcję luksusowych męskich kosmetyków. Jan był bardzo zadbany i lubił dobrze wyglądać. Jego słabością były niewątpliwie wody toaletowe Armaniego i Diora, gdyż flakony tych marek przeważały na półce. „Ciekawe, jakich perfum używa Jeroen?”, przemknęło mi nagle przez głowę i na tę myśl zaśmiałam się cicho. Aaach! Na śmierć zapomniałam podziękować mu za kwiaty! Spojrzałam za siebie, upewniając się, czy aby Anneke nie krąży gdzieś w pobliżu, po czym wyjęłam z kieszeni dzinsów komórkę. Poszłam na całość. Raz się żyje!

Kolacja! Zdecydowanie kolacja! Śniadanie jest zwykle po! Dzięki za kwiaty!

A. X

Nacisnęłam przycisk „wyślij” i wróciłam do pracy. Już po kilku sekundach

telefon odezwał się sygnałem przychodzącej wiadomości.

A co z lunchem? Zwykle wypada pomiędzy... X

Ta gra zaczęła mnie kręcić. Czułam podekscytowanie, jak zawsze przy zawieraniu nowej znajomości, która miała szansę przerodzić się w płomienny romans. Schowałam jednak szybko telefon do kieszeni, gdyż usłyszałam na schodach kroki. Do łazienki zajrzała Anneke.

– Już skończyłaś? Chodź, wystarczy na dziś. Napracowałaś się! – Gospodyni z zadowoleniem rozejrzała się po sterylnym wręcz wnętrzu.

Poczułam wyrzuty sumienia, gdyż akurat dzisiaj nie napracowałam się wcale. Zaprotestowałam więc gwałtownie.

– Nie, skądże! Może odkurzę jeszcze w sypialni?

Anneke machnęła ręką.

– Wszystko już zrobiłam! Na dole przygotowałam dla ciebie coś pysznego! Musisz się dobrze odżywiać! – Spojrzała na mnie krytycznie. – Jesteś za chuda!

– Co ty mówisz! Ja chuda? Dysponuję przecież parą aż nadto wybujałych kobiecych atutów! – Mrugnęłam do niej filuternie i poklepałam się znacząco po obfitym biuście.

– A to akurat żaden wstyd! U mnie z tym gorzej! Ale nie narzekam. Lubię siebie taką, jaka jestem! – oznajmiła dziarsko Anneke i zerknęła ukradkiem w stronę lustra. – No, chodź już, chodź! Ciekawa jestem, czy posmakuje ci moja zupa.

Śmiejąc się i przekomarzając, zeszliśmy na dół.

– Goście jeszcze są? – zapytałam szeptem, wskazując brodą zamknięte drzwi gabinetu Jana.

– Skądże! Już poszli. Mają wstąpić jeszcze do sądu, by zabrać jakieś akta, i pójdą pewnie na wczesną kolację gdzieś na mieście. Jak znam Jana, do włoskiej knajpki! Uwielbia makaron pod każdą postacią!

Weszliśmy do kuchni. Na stole przystrojonym kraciastą serwetą stała staromodna porcelanowa waza... tak bardzo mi znana. I nagle ożyły wspomnienia. Zobaczyłam identyczną babciną wazę na środku okrągłego, drewnianego stołu nakrytego szydełkową serwetą w kolorze écru. Częstotliwość jej pojawiania się na stole odmierzały pory celebrowanych rodzinnych posiłków. Rozpoczęły się na donośny dźwięk przedwojennego zegara z kukułką, który przetrwał bezawaryjnie zarówno wichry okupacji niemieckiej, jak i rześisty deszcz stalinowskiego reżimu. Złagodniałam w odszukanych w zakamarkach pamięci błysku porcelany przecieranej delikatnie bawełnianą ściereczką przez drobne, spracowane dłonie babci Leokadii. Siła i bezpieczeństwo były zaklęte w tej kruchej wazie, symbolu tradycji zakorzenionej w codziennych rytuałach ludzi, którzy już odeszli. Zateśniłam do nich... W moich oczach pojawiły się łzy.

Anneke pogładziła mnie po ramieniu.

– Siadaj, dziecko – powiedziała miękko. – Wiem, że brak ci rodziny. Jesteś tu całkiem sama, tak daleko od domu. Spróbuj mojego dania, od razu poczujesz się lepiej. *Eet smakkelijk!*

Zanurzyłam łyżkę w gęstej, aromatycznej zupie. Była kremowa, lekko ostra, delikatnie drażniła podniebienie ledwie wyczuwalną goryczką.

– Pyszna! – Spojrzałam na Anneke z podziwem. – Nie znamy w Polsce zupy musztardowej. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że jest aż taka wyborna! To z pewnością zasługa twoich niezwykłych talentów kulinarnych – przypochlebiłam się gospodyni.

Pokraśniała z zadowolenia i podsunęła w moim kierunku koszyczek z pumperniklem. Według Holendrów ciemny chleb stanowił doskonały dodatek do spożywanej właśnie przeze mnie zupy.

Za oknem pociemniało i zaczął padać deszcz. Typowa holenderska aura – jak by to powiedziała Bożena. Koniecznie muszę do niej zadzwonić i umówić się na kawę. Brakowało mi pogaduszek w rodzimym języku, a poza tym byłam ciekawa, jak radzą sobie moi poznani w autobusie przyjaciele.

– Nie wypuszczę cię teraz – powiedziała kategorycznie Anneke, patrząc z niepokojem za okno. – Przemokniesz do suchej nitki. Chyba że pożyczę ci swoją pelerynę przeciwdeszczową. Powinna gdzieś tu być. – Otworzyła przepastną szafę usytuowaną tuż przy kuchennych drzwiach i zaczęła w niej myszkować. – O, jest! – Z dumą wyciągnęła niebieskie, plastikowe prześcieradło z kapturem w białe grochy. – Jest nie do zdarcia! Przymierz.

Narzuciłam plastikową płachtę na siebie i śmiejąc się do rozpuku, zaczęłam przeglądać się w olbrzymim lustrze w holu. Wyglądałam przekomicznie. Gdyby Jeroen mnie teraz zobaczył, zauroczenie mną przeszłoby mu jak ręką odjął. Tak wystrojona, pożegnałam się z Anneke i wybiegłam prosto w ścianę deszczu. Wskoczyłam na rower i ruszyłam do domu, rozbryzgując po drodze kałuże. Mimo zapewnień Anneke, już po pięciu minutach byłam przemoczona do suchej nitki. W trampkach bulgotała woda, kaptur zsunął się z włosów, pedałowalam jednak zawzięcie. I marzyłam o łóżku i herbacie, a także, nie do wiary, o ciepłych dłoniach Jeroena Hellendoorna.

Rozdział piętnasty

Nastawiłam budzik na piątą trzydzieści. Zwyczajowo o tej właśnie godzinie Prosper wracał z trzeciej zmiany. Chciałam z nim porozmawiać na temat Julki. Słowa Jana nie dawały mi spokoju. Chciałam jak najszybciej poznać prawdę. Wieczorem wysłałam Prosperowi SMS-a z prośbą, żeby wstąpił do mnie rano, bez względu na porę. Jednak nie odpowiedział, dlatego po krótkim namyśle wyłączyłam budzik i postanowiłam czuwać. Zaparzyłam mocnej kawy, ustawiłam krzesło tuż przy drzwiach na korytarz i czujnie nadśluuchiwałam jego kroków. Musiałam jednak przysnąć na chwilę, gdyż przegapiłam moment, kiedy wszedł na górę. Ocknęłam się dopiero, kiedy usłyszałam cichutkie pukanie. Stał w progu z poszarzałą twarzą i przekrwionymi oczami.

– Prosper! Wyglądasz na wykończonego! – odezwałam się zachrypniętym głosem. Uśmiechnął się blado, popatrzył na mnie uważnie i spytał:

– Coś nie tak? Jesteś chora? Masz dziwnie błyszczące oczy.

– To nic! – Machnęłam ręką i zakaszlałam. – Chyba się trochę przeziębiam, przejdzie. Wejdz, proszę, zrobisz mi coś do picia.

Prosper wszedł do pokoju i usiadł ciężko na krześle. Potarł kilkakrotnie dłońmi zmęczoną twarz i spojrzał obojętnie za okno. Postawiłam przed nim parujący kubek z kawą i talerzyk z kawałkiem brownie, który dostałam wczoraj „na drogę” od Anneke. Prosper przepadał za słodyczami.

– Rozmawiałam z Janem... – Nie bardzo wiedziałam, jak zacząć. Dziesiątki pytań kłębiły się w mojej głowie i musiałam je usystematyzować.

Prosper spojrzał na mnie zdziwiony.

– Z panem prokuratorem? Co chciał wiedzieć?

– On nic – odparłam. – To ja chciałabym wiedzieć, co przede mną ukrywacie.

– Agnies, nie rozumiem, o co ci chodzi. – Patrzył na mnie zaskoczony.

– Myślę, że doskonale rozumiesz! – podniosłam głos. – Nie okłamuj mnie, proszę. Mam prawo znać prawdę. Dlaczego Julka wyjechała w takim pośpiechu do RPA? I nie opowiadaj mi bajek w stylu, że to była dla niej szansa jedna na milion! Jaka, do cholery, szansa?! Na karierę międzynarodowej sprzątaczkii?! – krzyczałam.

Prosper wstał i chwycił mnie mocno za ramiona.

– Uspokój się! – powiedział ostro. – Nikt cię nie okłamuje. Próbujemy cię chronić!

– *Bullshit!* – parsknęłam drwiąco. – Czy na pewno chodzi w tym wszystkim o moją ochronę? Czy raczej mojej siostry?

– Nie rozumiesz... – zaczął, ale przerwałam mu w pół słowa.

– Dokładnie tak! NIE ROZUMIEM! Więc może raczysz mi to wszystko

w końcu wytłumaczyć! – Stałam naprzeciwko niego, patrząc buńczucznie i zaciskając pięści tak, jakbym szykowała się do walki na śmierć i życie.

– Usiądź – powiedział cicho. – I posłuchaj mnie, proszę, uważnie. Przez własną głupotę Julka wplątała się w kłopoty. Jest tak samo ciekawska i niereformowalna jak ty! Musiała na jakiś czas wyjechać z Holandii. Nie bój się, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Jan bardzo nam pomógł i, jak sama słyszałaś z pierwszej ręki, wszystko jest pod kontrolą! Zaufaj mi, w odpowiednim czasie dowiesz się szczegółów! Czy ja kiedykolwiek cię okłamałem? – Prosper patrzył na mnie z wyrzutem w oczach.

– Nie mówisz mi całej prawdy – odpowiedziałam buńczucznie. Czułam coraz większą złość. Na dodatek chciało mi się płakać. Zakaszłałam ponownie i przeszedł mnie dreszcz.

– Wszystko dobrze? – Prosper przyglądał mi się z niepokojem.

– Tak! Nie martw się o mnie! Poradzę sobie! Ale nie myśl, że tak łatwo dam za wygraną. Wrócimy jeszcze do tej rozmowy! Powoli zebrałam ze stołu naczynia i poszłam do kuchni. W połowie drogi odwróciłam się i rzuciłam: – Idź już! Połóż się! Jesteś wykończony. Wystarczy na dzisiaj tego darcia szat! Nie rozumiem kompletnie, po co te wszystkie tajemnice, ale skoro twierdzisz, że to dla dobra mojej siostry, nie pozostaje mi nic innego jak czekać. Może w końcu zdecydujecie się kiedyś naświetlić mi wasz misterny plan! – Byłam rozgoryczona i zawiedziona. Czułam narastające dudnienie w głowie i chyba miałam gorączkę.

Prosper wstał.

– Masz rację – powiedział. – Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. Idę się trochę przespać. Ty też zmykaj do łóżka. Koniecznie zażyj paracetamol. Jesteś jakaś niewyraźna. – Przyłożył mi do czoła dużą, chłodną dłoń. – Zajrzę do ciebie potem. I... nie gniewaj się na mnie, proszę...

Z ulgą zamknęłam za Prosperem drzwi. Kręciło mi się w głowie. Wyjęłam z torebki opakowanie tabletek przeciwgorączkowych. Z niejakim trudem wyluskałam z listka dwie błękitne kapsułki i popiłam je wodą z cytryną. Wróciłam do łóżka i przykryłam się dokładnie kołdrą...

Spałam jak kamień do południa. Obudził mnie dźwięk przejeżdżającej pod samym oknem ciężarówki. Przeciągnęłam się leniwie w pościeli. Byłam kompletnie mokra. „To dobry znak”, pomyślałam. „Znaczy, że gorączka spadła”.

Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam pod prysznic. Czułam się zdecydowanie lepiej. Namydliłam dokładnie całe ciało kokosowym żelem do kąpieli i w momencie gdy splukiwałam nagrzaną i pachnącą skórę z piany, usłyszałam energiczne pukanie.

Zakłęłam pod nosem, chwyciłam ręcznik i szybko się nim owinęłam. Mokra kosmyki włosów zasłoniły mi twarz. Przytrzymując jedną ręką opadający ręcznik, otworzyłam drzwi. Byłam przekonana, że to Prosper. Na progu stał, trzymając

w dłoniach tacę z pokrywą, Jeroen Hellendoorn. Oniemiałam... Ale szybko odzyskałam rezon.

– Co ty tutaj robisz?

Na jego twarzy znów pojawił się ten rozbijający uśmiech małego chłopca.

– Przyniosłem ci lunch. Podobno źle się czujesz? Słyszałem z wiarygodnych źródeł...

Zgrzytnęłam ze złością zębami. Prosper! Postanowiłam policzyć się z nim później. Na razie musiałam poradzić sobie ze stojącym przede mną Jeroeniem. Łypnęłam na niego spod oka. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, dżinsowe spodnie do kolan i skórzane brązowe mokasyny. Wyglądał jak z żurnala.

Cofnęłam się w głąb pokoju.

– Wejdz, proszę! To ogromnie miło z twojej strony. Właśnie miałam zabierać się za przygotowanie czegoś do jedzenia. Okropnie zgłodniałam!

– To się dobrze składa! – Jeroen postawił na stole tacę i rozejrzał się wokół.

– Przytulne mieszkanie! – powiedział.

– To prawda – przytaknęłam. – Tylko trochę małe.

Zaśmiał się cicho i popatrzył na mnie z nagłym zainteresowaniem.

– Dobrze wyglądasz. Masz piękne nogi.

Zawsze zastanawiałam się, co dokładnie oznacza popularne powiedzenie „splonąć rumieńcem”. Właśnie się dowiedziałam.

Przez chwilę próbowałam naciągnąć materiał ręcznika na nagie uda.

– Przepraszam cię za ten... hm... nieco frywolny *outfit*^[25]. Właśnie brałam prysznic!

– Ach, znaczy, że się spóźniłem! – W jego oczach błyszczały figlarne ogniki. *Bad timing!*^[26] A twojemu outfitowi nie mam absolutnie nic do zarzucenia!

– Bardzo mnie to cieszy, ale pozwól, że włożę na siebie szlafrok. – Rozglądałam się w panice, daremnie próbując przypomnieć sobie, gdzie go położyłam.

Chciałam ubrać coś bardziej odpowiedniego na lunch z przystojnym facetem, ale musiałabym przebierać się na jego oczach. Innej opcji nie było. Bez wątpienia przydałby mi się drugi pokój.

Puchaty szlafroczek Julii znalazł się w kuchni, więc zarzuciłam go na siebie i nastawiłam ekspres do kawy. Jeroen rozkładał na stole pojemniki z jedzeniem, które przyniósł ze sobą.

– Nie wiedziałem, co lubisz, zamówiłem więc wszystkiego po trochu – tłumaczył, wskazując na apetycznie wyglądające dania. – Sałatka z tuńczykiem, sałatka z kozim serem, o, jest i kurczak – wymieniał po kolei, a mnie zaczęło burczeć w brzuchu. – Mam też typowo holenderskie przekąski: *saucijzenbroodjes* i *frikandellen*.

– Nigdy ich nie jadłam – przyznałam się. Nie znam w ogóle waszej kuchni. No, może poza *appelgebak*. I *mosterdsoep*^[27].

Jeroen roześmiał się i pospieszył z odpowiedzią:

– Typowa kuchnia holenderska jest nierozzerwalnie związana z rolniczą przeszłością naszego kraju. Tradycyjne dania są proste i sycące. Przygotowywały je głównie żony chłopów oraz rybaków. Trudno szukać u nas wyrafinowanych receptur. *Saucijzenbroodjes* to nic innego jak podłużna bułka z ciasta francuskiego nadziana dobrze doprawionym mielonym mięsem. *Frikandellen* to nasz sztandarowy *snacks*. Kiełbaska na gorąco. Naprawdę nigdy ich nie próbowałaś? – Jeroen spojrzał na mnie zdziwiony.

– Właśnie zamierzam! – odparłam, sadowiąc się za stołem i chwytając ciepłą jeszcze bułkę.

Smakowała wybornie. Jeroen nałożył sobie na talerz odrobinę sałaty z tuńczykiem. Przyglądałam mu się dyskretnie. Miał piękne silne dłonie o krótko przyciętych paznokciach. Na przegubie lewej ręki nosił duży elegancki zegarek na skórzanym pasku. Podchwycił moje spojrzenie i uniósł szerokie brwi.

– *You are watching me*^[28].

Zmieszałam się.

– To prawda – potwierdziłam. – Przyglądam ci się i zastanawiam, skąd biorą się na świecie tacy szarmanccy faceci. Niczym rycerze na białym koniu przybywają pod zamkową wieżę, gdzie uwięzione są głodne, ubogie panny, i ratują ich życie kiełbaskami na gorąco.

Jeroen śmiał się głośno i tak zaraźliwie, że bezwiednie zaczęłam mu wtórować. Dawno nie czułam się tak dobrze w męskim towarzystwie.

– Agnieszka... – Jeroen umilkł nagle.

– Tak? – Skończyłam właśnie porcję wysmienitej sałatki z kozim serem. Popatrzyłam na niego pytająco.

– Muszę już iść. Wyrwałam się na moment z firmy, żeby, jak to powiedziałaś, niczym księżę z bajki uratować ciebie, piękną księżniczkę, od niechybnej głodowej śmierci, ale obowiązki wzywają. Dostajemy ostatnio coraz więcej zleceń, a ze względu na sezon urlopowy mamy mniej pracowników. Zakasuję więc rękawy i sam czyszczę podłogi! Nie ma rady! – tłumaczył.

Zaimponował mi. W Polsce było nie do pomyślenia, żeby właściciel firmy sam zasiadał za sterami wózka do sprzątania. Byłoby to poniżej jego godności.

– Prosper wspominał mi, że macie gorący sezon. – Upiłam łyk zimnej już kawy. – Dzisiaj rano wrócił wykończony do domu. Rozmawiałam z nim krótko. Chyba nawet jeszcze śpi.

– Wątpię! – roześmiał się Jeroen. – Na pewno jest już na nogach. To bardzo sumienny i dobry pracownik. Między nami mówiąc, szykuje mu się awans, ale na razie cicho sza. – Położył palec na ustach. – Chciałbym, żeby przejął wkrótce

większość moich obowiązków w terenie. Ludzie go lubią i szanują. Nadaje się na lidera. Myślę, że sobie poradzi. – Zamyślił się, po czym dodał: – Tymczasem ja będę mógł więcej czasu poświęcić na promocję i rozwój firmy. Musimy znaleźć nową lokalizację. Biuro na Schiphol jest za małe. – Ponownie spojrzął na zegarek i podniósł się z krzesła. Wstałam również i ścisnęłam paskiem poluzowane nieco poły szlafroka.

– Dziękuję ci bardzo za przepyszny lunch i wyśmienite towarzystwo – wyrecytowałam grzecznościową formułkę i żeby złagodzić trochę oficjalny ton wypowiedzi, dodałam cicho: – Dawno się tak dobrze nie bawiłam, Jeroen... – Podałam mu rękę, pilnując się, żeby nie dygnąć jak pensjonarka.

Przyciągnął mnie do siebie i szepnął w moje włosy:

– Pięknie pachniesz. Jak piña colada. – Pocałował mnie w czubek nosa. – *Tot ziens liefje*^[29].

Powoli zamknęłam za nim drzwi. Przyłożyłam ręce do rozpalonych skroni. „Chyba znowu mam gorączkę”, roześmiałam się w duchu. „Ale tym razem to na pewno nie objawy przeziębienia...”.

Posprzątałam resztki jedzenia ze stołu, umyłam kubki i talerze. Cały czas myślałam o Jeroenie. Nie mogłam się na niczym skoncentrować. O mały włos nie zrzuciłam na podłogę czajnika do herbaty, zahaczając o niego połamami szlafroka.

– Kici, kici – zaczęłam wołać Kociołka, bo właśnie nasypałam mu do miski ulubionej karmy. Kociołka nie było. „Cholera!”, pomyślałam zaniepokojona, ale po chwili stuknęłam się w czoło. Na śmierć zapomniałam, że to holenderski kot i nie rozumie po polsku. – *Poes, poes, poes!*^[30] – Bingo! Kot wyłonił się w końcu majestatycznie spod łóżka i miauczając lekceważąco, wolnym krokiem zbliżył do miski.

Popatrzyłam w jego zielone oczy, w których odbijały się promienie słońca, i powiedziałam cicho:

– Nie uwierzysz, kocie, ale chyba się zakochałam...

Rozdział szesnasty

– *Goedemorgen!* – krzyknęłam od progu, wieszając w szafie płócienną kurtkę.

W korytarzu willi w sosnowym lesie nie było żywego ducha. Zajrzałam szybko do kuchni. Karin szorowała właśnie zawzięcie ruszt stylizowanej na retro płyty gazowej.

– Pani de Bruin jest na tarasie! – Kucharka spojrzała na mnie spod oka. – Wypoczywa. Miała ciężką noc – dodała łagodniej.

– Pójdę do niej. *Dank je wel Karin.* – Uśmiechnęłam się do kobiety.

Mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi i wróciła do pracy.

Kuchennymi drzwiami weszłam do ogrodu. Jak na holenderskie warunki, był olbrzymi. W tym niewielkim kraju normą były miniaturowe przydomowe ogródki, usytuowane ciasno jeden przy drugim. Wolna przestrzeń była tu na wagę złota. Królowały w nich kwiaty. Holendrzy bowiem słyną na świecie z uprawy roślin cebulowych, przede wszystkim tulipanów, żonkili i hiacyntów. Ogród Annemarie wręcz tonął w kwiatach. Otaczał go idealnie przycięty żywopłot. Tuż przy nim, po lewej stronie domu, pysznił się przepiękny krzew hibiskusa. Wózek Annemarie stał na drewnianym podeście małego tarasu, który otaczała kwitnąca hortensja. Oprócz wygodnych mebli z jasnego rattanu stało również wiele marmurowych donic z białymi pelargoniami i intensywnie fioletową lawendą.

Ranek był chłodny. Starsza pani drzemała, przykryta ciepłym kraciatym kocem. Podeszłam do niej cicho. Wyglądała na zmęczoną. Ciemne kręgi pod oczami odcinały się znacząco od jej bladej skóry. Była taka krucha i bezbronna. Usiadłam na niskim stołeczku obok niej i pogładziłam delikatnie jej drobną pomarszczoną dłoń, pokrytą cieniutką siateczką bladoniebieskich żyłek.

Otworzyła oczy.

– Dzień dobry, dziecko – powiedziała cicho i poprawiła się nieznacznie na wózku. – Długo spałam? – zapytała, ziewając dyskretnie.

– Nie wiem, dopiero przyszłam. Pewnie tylko chwilkę – zapewniłam i zerknęłam na stojący na stole dzbanek z kawą. – *Koffie?* – zapytałam wesoło i nie czekając na odpowiedź, rozlałam gorący napój do małych porcelanowych filiżanek w drobne różyczki.

– *Lekker*^[31] – odpowiedziała starsza pani i znowu przymknęła oczy.

– Słyszałam, że miała pani ciężką noc. – Patrzyłam na nią z nieukrywanym niepokojem.

Machnęła ręką z pobłażaniem.

– W moim wieku to normalne, kochanie. Nie ukrywajmy, będzie coraz gorzej. Jestem stara i słaba. Gdyby nie ludzie, którzy tak troskliwie się tu mną opiekują, już dawno skończyłabym w *bejaardenhuis*^[32]. Umarłabym tam... nie

mogę żyć bez tego domu... – dodała cicho i z trudem upiła łyk kawy z filiżanki. – Tutaj urodził się mój jedyny syn. Tutaj umarł ukochany mąż. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła odejść z tego świata w obcym, szpitalnym łóżku.

Jej słowa wyrażały przerażający smutek. Postanowiłam zrobić wszystko, żeby Annemarie rozweselić i sprawić, by choć na chwilę zapomniała o trapiących ją lękach. I nagle wpadł mi do głowy genialny pomysł.

– Może pojedziemy na spacer? Nad morze! Pokręcimy się po bulwarze, zjemy lody. Będzie miło. – Zapaliłam się do tej myśli jak mała dziewczynka.

– Czemu nie! – roześmiała się cichutko. – Chętnie wyrwę się dzisiaj z tobą na wagary od codzienności – dodała i spojrzała z udawanym strachem w stronę domu. – Tylko co my powiemy Karin? Nie będzie zadowolona... Nie lubi, jak wychodzę. Tak jakbym to robiła codziennie.

– Karin biorę na siebie. Proszę się nie martwić! – Zerwałam się ze stołeczka i pobiegłam do domu po kurtkę. Postanowiłam zabrać też lekki bawełniany szal dla starszej pani. Na plaży wiało zawsze niemiłosiernie, a nie chciałam, żeby się przeziębiła.

Zgodnie z przewidywaniami Karin uznała mój pomysł za niepotrzebną fanaberię, ale zapewniłam ją solennie, że będę strzegła Annemarie jak oka w głowie.

– Starsza pani potrzebuje odmiany! – przekonywałam sceptyczną kucharkę. – Siedzi całymi dniami w salonie. Musimy ją częściej dotleniać! – perorowałam niczym lekarz domowy.

– Ten spacer jest na twoją odpowiedzialność, Anjeska! Jeżeli pan Stijn będzie zły, zrzucę winę na ciebie! – Zdecydowanym ruchem zamieszała w stojącym na kuchence garnku z zupą pomidorową.

– Stijn jest w Holandii? – zapytałam niby od niechcienia i spojrzałam uważnie na Karin.

– Tak, wczoraj wrócił z Singapuru. Ma być na lunchu. Dlatego gotuję jego ulubioną zupę. – Wskazała łyżką na garnek.

Cholera! Popatrzyłam krytycznie na swoje tenisówki i stare, powyciągane na kolanach dresy. Zdecydowanie powinnam udać się na shopping i uzupełnić garderobę! Nie wypada przecież, żebym jadła lunch w tak doborowym towarzystwie ubrana jak żebrak. „Pomyślę o tym jutro!” – zastosowałam działającą zawsze w podbramkowych sytuacjach złotą zasadę Scarlett O’Hary i pospieszyłam do czekającej na mnie Annemarie.

Dzień był ciepły, choć wyjątkowo wietrzny. Skierowałyśmy się w stronę bulwaru przy plaży. Od morza dzieliło nas około dwudziestu minut spokojnego marszu. Annemarie poweselała, jej buzia nabrała kolorów, z ożywieniem opowiadała mi historię domu w sosnowym lesie.

– Naszą willę wybudował pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego

wieku dziadek mojego męża, Jan de Bruin. Był znanym i niezwykle szanowanym kupcem z północnej Holandii, z okolic Groningen. Rozległe interesy, jakie prowadził w tym czasie w całym kraju, przywiodły go na tereny nad samym Morzem Północnym. Urzekła go przestrzeń i poczucie panującej tutaj nieograniczonej wolności. Pewnego dnia postanowił pozamykać wszystkie swoje sprawy w Groningen i osiedlić się tutaj, na wydmach. – Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem starsza pani. – W tamtym czasie Bloemendaal to była rybacka osada, liczba mieszkańców nie przekraczała pięciuset osób. Rodzina Jana szybko się tutaj zaaklimatyzowała, okoliczni sąsiedzi polubili ich i zaakceptowali. Przy budowie domu pomagali wyłącznie miejscowi murarze i cieśle. Pracowali oczywiście za godziwą zapłatą, ale włożyli w to miejsce całe swoje serce. Dlatego nasz dom ma duszę. I dlatego tak bardzo jestem do niego przywiązana...

Starsza pani umilkła. Uwielbiałam jej opowieści. Wzruszające, krzepiące, mądre. Były jak ciepły sweter w chłodny dzień, delikatny pocałunek na dzień dobry, szczery uśmiech i uścisk dłoni, kiedy smutno i źle...

Wyszliśmy właśnie z cienia lasu na niewielkie wzniesienie. Na pochmurnym niebie, przekrzykując się wzajemnie, hałasowały mewy. Przed nami rozpościerały się hen, aż pod sam horyzont, granatowe, niezmierzone wody niespokojnego dziś Morza Północnego. Stałyśmy przez chwilę w milczeniu, porażone nieograniczoną przestrzenią i pięknem natury. Wolnej i niezmierzonej jak kosmos.

– To było ulubione miejsce mojego męża – odezwała się starsza pani. – Przychodziliśmy tu często wieczorami i za każdym razem powtarzał, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

– Pani uczyniła go szczęśliwym, Annemarie – powiedziałam, poprawiając zsuwający się z kolan staruszki koc.

Przytrzymała lekko moją rękę.

– To ja byłam szczęściarą, kochanie... Kiedy poznałam Etienne'a, po raz pierwszy tak naprawdę zrozumiałam znaczenie słowa „miłość”. – Starsza pani patrzyła przed siebie. – Wiekowo dzieliło nas dziesięć lat i to była jedyna różnica. Poza tym byliśmy jak *twee handen op een buik*^[33]. To samo optymistyczne spojrzenie na świat, taka sama wrażliwość, pasje i umiejętność dostrzegania szczęścia w małych rzeczach. Ach – zaśmiała się cichutko – jak dzieci, tak samo roztargnieni, niefrasobliwi i notorycznie wszędzie spóźnieni. Mój mąż na zawsze pozostał moim najwierniejszym przyjacielem, który nigdy mnie nie zawiódł. Na początku naszej znajomości byłam głęboko nieszczęśliwa, gdyż młodzieniec, przeznaczony mi na męża, zaginął na morzu. Etienne poskładał mnie wtedy, rozsypaną na milion kawałków. Czule złożył wszystkie rozbite części w jedną całość. Wyciszył nadmiar emocji, nauczył bliskości, której się bałam, całkowicie odwrócił hierarchię wartości. Przy nim nie lękałam się już upływu czasu,

kilogramów i zmarszczek. To były nic nieznaczące pyłki w kosmosie. Po dziś dzień dziękuję mu za codzienność. Za rozmowy, słowa wypowiedziane i niewypowiedziane, za drobiazgi. Za śniadania do łóżka, popołudniowe herbaty, spacery nad morzem, za śmiech i łzy. I za naszego syna... Jestem dumna, że ten nadzwyczajny człowiek był moim mężem. Moim przeznaczeniem i dotknięciem skrzydła anioła dobrego losu. – Starsza pani popatrzyła na mnie. W jej błękitnych oczach widniała nieutulona tęsknota.

– Annemarie... to niezwykle, co pani mówi – szepnęłam. – Jak ja bym chciała umieć tak kochać.

Staruszka uśmiechnęła się zamyślona.

– Na ciebie też przyjdzie pora, Anjeska – powiedziała ciepło. – Bądź cierpliwa i uważna, a nie przegapisz szczęścia, które, jestem pewna, zapuka już niedługo do twoich drzwi.

Bezwiednie pomyślałam o Jeroenie. A potem, nie wiadomo czemu, przez ułamek sekundy stanął mi przed oczami portret z galerii domu w sosnowym lesie. Portret, na którym widniał wnuk Annemarie, Stijn...

– Dobrze, koniec z tymi smutkami! – rzuciła żwawo starsza pani. – Zabierzesz mnie w końcu na te obiecane lody czy nie?

Roześmiałam się głośno i energicznie pchnęłam wózek, na którym siedziała Annemarie.

– Pora na okropnie kaloryczną i niezwykle tuczającą przekąskę! – krzyknęłam w kierunku stojących przy plaży na dole białych budek z najlepszymi *ijsjes* na świecie. Przynajmniej tak twierdziła moja towarzyszka.

Wróciłyśmy do domu solidnie przewietrzone i szczęśliwe. Annemarie zażyczyła sobie, żebym zawiozła ją do sypialni, gdzie chciała się jeszcze przebrać i odświeżyć przed lunchem. Poprosiła, żebym pomogła jej wybrać sukienkę. Zależało jej na tym, żeby wyglądać dziś wyjątkowo uroczyście. Stanęłam przed ogromną dębową szafą w jej pokoju. Moim oczom ukazała się niezwykle kolekcja ubrań. Kreacje uporządkowane były kolorami i wisiały w równym rzędzie na białych, drewnianych wieszakach. Wyjęłam wiszącą z brzegu przepiękną butelkowiezieloną aksamitną sukienkę i przyłożyłam do siebie.

– Jest zjawiskowa – zwróciłam się w stronę siedzącej przy łóżku starszej pani. Promieniała.

– To ulubiona suknia mojego wnuka. Trafiłaś w dziesiątkę. – Klasnęła w dłonie. Masz wyśmienity gust! – pochwaliła mnie z widocznym w oczach zadowoleniem.

Zaczęłam tańczyć po pokoju, trzymając w wyciągniętych rękach aksamitne cudo. Udawałam, że jestem księciem, a sukienka księżniczką, którą adorowałam i próbowałam uwieść. Annemarie śmiała się głośno i pokrzykiwała wesoło:

– Nie daj się, piękna! Nie daj się zwieść czułym słówkom tego przystojnego

dzentelmena!

Wirowałam w tańcu, całkowicie pochłonięta odgrywaną rolą i nie zauważyłam, że w otwartych drzwiach do sypialni stoi już od dłuższego czasu wysoki, jasnowłosa mężczyzna.

– Stijn! – krzyknęła nagle starsza pani i rozpostarła ramiona.

Stałam jak wryta. Włosy opadły mi w nieładzie na czoło, ramiączko koszulki przekrzywiło się niechlujnie na bok. Byłam zaczerwieniona i zdyszana. Nie tak wyobrażałam sobie pierwsze spotkanie z wnukiem Annemarie. Stijn podbiegł do babci, wpadł jej w ramiona i uniósł kobietę niczym piórko.

– *Oma! Ik heb je zo gemist!*^[34]

Starsza pani głaskała go po głowie jak małego chłopca.

– Moj kochany...

Było w ich czułościach coś niezwykle intymnego. Odwróciłam wzrok i zaczęłam się wycofywać cicho z pokoju. „Poczekam w kuchni”, pomyślałam. „Pomogę Karin nakryć do stołu”.

– Anjeska! A dokąd ty się wybierasz? – Głos Annemarie zatrzymał mnie tuż przy drzwiach. – Musisz poznać mojego wnuka! Chodź tu do nas, kochanie. – Starsza pani przywoływała mnie do siebie ręką. Bezwiednie poprawiłam włosy i wróciłam do środka.

– Agnieszka. – Wyciągnęłam rękę w kierunku Stijna.

– Ogromnie miło mi cię poznać! – Ujął w przyjaznym uścisku moją dłoń i dodał szybko: – Od jakiegoś czasu babcia mówi tylko o tobie. Jestem straszliwie zazdrosny. – Puścił figlarnie oko w kierunku Annemarie. Starsza pani patrzyła na nas oboje z wielką aprobatą.

– Pomożesz mi się przebrać? – zwróciła się do wnuka.

– To ja już będę się zbierać – rzuciłam. – Nie chcę wam przeszkadzać.

Annemarie uniosła brwi.

– Nie ma mowy! Zjesz z nami! Prawda, kochanie? – Popatrzyła pytająco na Stijna.

– Oczywiście – potwierdził szybko mężczyzna. – Będzie nam ogromnie miło gościć cię na lunchu.

Skinęłam głową na znak, że się zgadzam, zostawiłam ich samych i pobiegłam do kuchni zapytać, czy Karin nie potrzebuje mojej pomocy.

Na miejscu zastałam nakryty już uroczyście stół. Moja pomoc była zbędna. Wymknęłam się na chwilę do łazienki dla gości. Błyskawicznie przeczesalam włosy grzebieniem, wyjęłam z torebki błyszczak i przejechałam nim po ustach. Nie byłam zadowolona, widząc swoje odbicie w lustrze, ale było już za późno. Zrobiłam fatalne pierwsze wrażenie i nic tego nie mogło zmienić.

Wychodząc z łazienki, natknęłam się w korytarzu na Stijna. Miałam nieodparte wrażenie, że na mnie czekał.

– Tutaj jesteś – powiedział z ciepłym uśmiechem swojej babci. – Szukałem cię.

Westchnęłam zmieszana.

– Przepraszam cię za moje, hm, nieco dziwaczne zachowanie. Z tym tańcem, wygłupami...

Stijn popatrzył na mnie zdumiony.

– Właśnie chciałem ci podziękować! – wyznał. – Już od dawna nie słyszałem tak radosnego śmiechu babci. To dzięki tobie, Agnies – wymówił moje imię dokładnie tak samo jak Prosper. Zrobiło mi się ciepło na sercu. – A, byłbym zapomniiał. – Uśmiechnął się i dodał scenicznym szeptem: – Świetnie tańczysz!

Patrzyłam na niego bez słowa i po raz pierwszy poczułam, że mój przyjazd do Holandii to była najlepsza dotąd decyzja w moim życiu. Czas miał pokazać, czy miałam rację...

Rozdział siedemnasty

Tęsknię za Tobą. Proszę, zrób mi niespodziankę i porwij dziś z biura. X J.

Spojrzałam na zegarek. Miałam dzisiaj na „wokandzie” niesprzyjające romantycznym uniesieniom prozaiczne czynności, takie jak pranie i sprzątanie. Musiałam również skoczyć do supermarketu po drobne zakupy. Propozycja Jeroena była doskonałym pretekstem do zmiany tych nudnych planów.

– Kociołek, chodź, leniwcu! Pomożesz mi! – rzuciłam w stronę kota oddającego się z lubością porannym ablucjom. Spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach, po czym miauknął lekceważąco i zwiął do kuchni. – Nie to nie! – mruknęłam i zajrzałam do stojącego przy szafie plecaka.

Od mojego przyjazdu do Holandii stał nierozpakowany. Kiedy potrzebowałam jakiegoś ciucha, wyciągałam go po prostu niefrasobliwie z worka. Część wypranych rzeczy wkładałam już do szafy, ale szczerze mówiąc, moja garderoba wyglądała nędznie. Kilka spranych T-shirtów, dwie pary dżinsów, dresy, lekka kurtka, sweter i ubłocone niemiłosiernie trampki. Kiedy pakowałam się pospiesznie na wyjazd, ten zestaw wydawał mi się idealny na ubiór dla pomocy domowej. Nie planowałam romantycznych randek. Sytuacja uległa jednak diametralnej zmianie. Nie chciałam nosić kiecek Julii, były za obszerne w biuście i szczerze mówiąc, zupełnie nie w moim stylu. Siostra lubowała się w koronkach, zwiewnych muślinach i obcisłych wydekoltowanych bluzkach. Ja preferowałam sportową elegancję, z pazurem. Nie było rady, musiałam udać się na porządny shopping. Szkoda, że nie miałam przy sobie ukochanej przyjaciółki, Goški. Ale chwila, moment... był przecież Prosper! Zerknęłam szybko na grafik wiszący w kuchni. Bingo! Pracował dzisiaj na trzecią zmianę. Postanowiłam wyciągnąć go do miasta. Przyda mi się organ doradczy. Nawet jeżeli był rodzaju męskiego!

Wybiegłam w pośpiechu na korytarz i zastukałam do drzwi mieszkania Prospera.

Otworzył mi z gitarą w rękach.

– Kochany, jesteś moją ostatnią deską ratunku! Zbieraj się! Idziemy na zakupy!

Prosper patrzył na mnie jak na kosmitę.

– Ja? – odblokował się w końcu. – Ale ja się na tym kompletnie nie znam!

– To zupełnie tak jak ja! – zapewniłam solennie. – We dwójkę damy jakoś radę. Liczę na twój dobry gust! – paplałam bez opamiętania.

Prosper cofnął się w głąb pokoju i śmiejąc głośno, odpowiedział:

– Jesteś rakietą! Niepoprawna wariatka. Cóż się dziwić szefowi, że zakochał się bez pamięci!

Spojrzałam na niego uważnie.

– Jeroen coś o mnie wspominał? – rzuciłam niby od niechcenia.

Prosper przewrócił oczami.

– Słowo „coś” nie oddaje w pełni powagi sytuacji, Agnies. Mówiąc dosadniej, szef wpadł jak jabłko w kompot!

– Śliwka! – Zaczęłam się śmiać. – Jak śliwka w kompot! Skąd znasz to przysłowie?

– Julia zawsze tak mówi! Ona zawsze w ten kompot wpada! *Troublemaker!*^[35]

Udałam, że nie usłyszałam ostatniego zdania. Postanowiłam nie myśleć już o problemach Julki. Ufałam, że jest bezpieczna i że w odpowiednim momencie dowiem się w końcu, co było powodem jej tajemniczego zniknięcia.

Prosper założył sandały, chwycił swoją nieodłączną płócienną torbę na ramię i razem ruszyliśmy w miasto. O dziwo, świeciło słońce. *Typical dutch weather*^[36]. Jak zdążyłam przekonać się na własnej skórze, były to w większości przypadków deszcz i chmury. Bywało, że w ciągu jednego dnia mieliśmy tutaj cztery pory roku. Na początku swojego pobytu dziwiłam się Prosperowi, że każdego ranka z zapartym tchem śledził radar opadów w internecie. Teraz wiedziałam już, że bez choćby podstawowej znajomości prognozy pogody trudno było zaplanować w Holandii jakąkolwiek aktywność na świeżym powietrzu.

– Przewodniku, prowadź! – Zgięłam się w dworskim ukłonie przed Prosperem. – Pamiętaj również, że stan moich finansów nie pozwala na nieograniczone szaleństwo. Nie ciągnij mnie też absolutnie do żadnych firmowych butików, bo, nie daj Boże, natknę się tam na madame van der Vegt! – Przewróciłam oczami.

Prosper pokręcił przecząco głową.

– Nie martw się – powiedział. – W centrum Haarlemu znajdziesz całe mnóstwo najróżniejszych sklepów na każdą kieszeń. Również second handy. – Mrugnął figlarnie okiem.

– Idziemy! – Pochyliłam się jeszcze, żeby zawiązać poluzowane sznurowadło, po czym ruszyliśmy w kierunku centrum.

Haarlem już od wieków słynął jako miasto kupieckie. Rozkwitł w siedemnastym wieku, określanym w historii Holandii jako *de Gouden Eeuw*^[37]. Siedemnastowieczne Niderlandy mogły poszczycić się wówczas dużą zamożnością społeczeństwa, czystymi, jak na ówczesne warunki europejskie, miastami oraz bardzo niskim poziomem analfabetyzmu. Holenderscy kupcy nie ograniczali się tylko do Europy, prowadzili też rozległą działalność kolonialną.

Centrum Haarlemu doskonale oddawało dawną świetność tego miejsca. Niezwykle malownicze uliczki de Gouden Straatjes nawiązywały do bogatej przeszłości regionu.

Zagłębiliśmy się w labirynt wąskich, brukowanych alejek z niezliczonymi

sklepikami, restauracyjkami i kafejkami. Co chwila spoglądałam na kuszące, piękne wystawy z oryginalnie wyeksponowanymi towarami. W pewnym momencie spostrzegłam udrapowaną na wygiętym nienaturalnie manekinie wyjątkowo piękną, prosto skrojoną sukienkę w kolorze écru. Zatrzymałam się przy wejściu do sklepu opatrzonego szyldem Steps i wskazując ręką na manekin, powiedziałam wesoło:

– Cel, pal! Wchodzimy do środka. – I wciągnęłam Prospera za rękaw jego szaty do środka. – Będziesz moim Richardem Gere'em! – szepnęłam do niego już w butik. – A ja twoją Julią Roberts. Richard pomagał jej wybierać kiecki, pamiętasz?

– Kompletnie nie rozumiem, o czym mówisz! – Popatrzył na mnie skonfundowany Prosper.

– Nie oglądałeś filmu *Pretty Woman*? – powiedziałam z niedowierzaniem w głosie. – To najpiękniejsza komedia romantyczna na świecie! Współczesna historia o Kopciuszku i księciu – dodałam, kierując się w stronę wieszaków z ubraniami.

– Nie oglądałam bajek – westchnął Prosper. – Proza życia. W to wierzę.

– Trochę romantyzmu w tej prozie doda życiu pikanterii. Julka to lubi. – Mrugnęłam porozumiewawczo i sięgnęłam po pierwszą z brzegu sukienkę.

Kątem oka spostrzegłam zbliżającą się w naszym kierunku elegancko ubraną sprzedawczynię.

– *Kan ik jullie ergens mee helpen?*^[38] – wyłosiła standardową formułkę i popatrzyła na nas pytająco.

Prosper wskazał na wiszącą na wystawie sukienkę. Okazało się, że to ostatnia w moim rozmiarze. Sprzedawczyni sprawnie rozmontowała plastikową lalkę, podała mi wymarzony ciuch i dodała grzecznie:

– Ponieważ to ostatnia sukienka, która w dodatku wisi już od jakiegoś czasu w witrynie sklepowej, otrzyma pani dodatkowo dwudziestoprocentowy rabat.

– To tutaj normalne – szepnął Prosper. – Wyprzedaże i zniżki to w Holandii chleb powszedni.

Skinęłam głową z aprobatą. W Polsce rzadko udawało mi się upolować jakiś fajny ciuch z przeceny. Normą stosowaną przez sklepy było w tym czasie przechowywanie niesprzedanych sztuk odzieży do następnego sezonu.

Sukienka leżała idealnie i pięknie eksponowała mój opalony dekolt. Dokupiłam jeszcze dwie bluzki i rozkloszowaną, niezwykle kobiecą spódnicę. Kiedy położyłam naręczę ubrań na ladzie przy kasie, otrzymałam dodatkowo kartę stałego klienta.

– Podoba mi się obsługa w sklepach w Holandii! – powiedziałam do Prospera już po wyjściu z butik. Machając papierową torbą z zakupami, rozglądałam się za salonem obuwniczym. Wypadałoby dopasować do nowych

ubrań wygodne sandały na obcasie.

Pomimo dnia roboczego w mieście panował duży ruch. Mnóstwo osób siedziało na tarasach licznych kafejek, popijało *koffie* lub jadło zwyczajowy o tej porze lunch.

W pewnej chwili usłyszałam za naszymi plecami polską mowę. Odwróciłam się z ciekawości i napotkałam pełne złości oczy dwóch wyrostków odzianych w skórzane katany.

– Zobacz! Jaki czarnuch! Do Afryki z nim! – zarechotał chłopak o wygolonej na zero głowie.

Pociemniało mi w oczach z oburzenia. Zatrzymałam się na środku uliczki i syknęłam w kierunku łysego cwaniaczka.

– Uwważaj, co mówisz, gnoju! – bluzgnęłam w najczystszej polszczyźnie. – Mój przyjaciel zasługuje na szacunek i nie pozwolę byle komu go obrażać!

Prosper wpatrywał się we mnie przerażony. Po intonacji mojego głosu rozpoznał, że jestem wściekła. Spoglądał pytająco raz po raz to na mnie, to na nieznanym chłopaków.

Wyrostek splunął z nienawiścią prosto pod moje nogi.

– Polka! Nie wierzę! Nie wstyd ci kurwić się z asfaltem?

Postąpiłam krok naprzód. Cała krew odpłynęła mi z twarzy.

– Jest mi ogromnie wstyd! A wiesz czemu? Że spotykam w tym pięknym, spokojnym miejscu na obczyźnie takie zera jak ty!

– Licz się ze słowami! – odezwał się drugi chłopak. – Bo inaczej zakończymy tę rozmowę! – Patrzył wyzywająco w kierunku Prospera.

– Agnies, co się dzieje? Co to za ludzie? – Prosper chwycił mnie za ramię. W tym momencie, w zaledwie ułamku sekundy, jeden z chłopaków doskoczył do mnie i uderzył mnie z otwartej ręki w twarz.

– Polska kurwa! – krzyknął i puścił się biegiem w kierunku widniejącej w oddali katedry, potracając po drodze skonsternowanych ludzi stojących w pobliżu.

Prosper ruszył za nim w pogoń. Drugi chłopak rzucił się do ucieczki w drugą stronę.

Koło mnie zebrał się spory tłumek.

– Możemy pani pomóc? Zadzwoń po pogotowie? – dopytywała się troskliwie starsza kobieta z plecakiem.

– Dziękuję! Nic się nie stało! Proszę się nie martwić... – Kręciło mi się w głowie. Policzek palił żywym ogniem. Zrobiono mi miejsce na tarasie kawiarni obok, podstawiono troskliwie krzesło, ktoś doniósł wodę. Zęby dzwoniły mi o krawędź szklanki, martwiłam się o Prospera. Po dłuższej chwili zobaczyłam go idącego szybko ulicą w moją stronę. Miał zbolalą minę.

– Tutaj jestem! – Zamachałam w jego kierunku. Kamień spadł mi z serca.

Bałam się, że tych dwóch bandytów zrobi mu krzywdę.

– Agnies – dopadł do mnie Prosper. – Nie udało mi się ich złapać. – Miał przeraźliwie smutne oczy i patrzył na mnie z niepokojem. – Kochana, tak mi przykro, boli cię? – Dotknął piekącego miejsca na policzku.

Syknęłam ostrzegawczo i powiedziałam szybko:

– Nic mi nie będzie. W domu przyłożę do skóry kilka kostek lodu i ból minie. Nie martw się! – pocieszyłam go.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Powiesz mi, o co wam poszło? Co takiego powiedzieli, że wpadłaś we wściekłość! Zrobili ci przykrość?

Odwrociłam wzrok.

– Zaraz, zaraz! – Prosper stuknął się palcem w czoło. – Już wiem! Oni wyśmiewali się ze mnie!

– Nieważne! – zbagatelizowałam sprawę. – Było, minęło! Nie mówmy o tym. – Podniosłam się z krzesła. – Wracajmy już, proszę. Chciałabym się położyć.

Prosper pozbiierał wszystkie torby z zakupami, złapał mnie mocno za rękę i wolnym krokiem ruszyliśmy do domu.

Z ulgą weszłam do mieszkania. Prosper postawił sprawunki pod ścianą i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z woreczkiem wypełnionym kostkami lodu i przyłożył mi delikatnie do policzka. Przed oczami zawirowały mi wszystkie gwiazdy i jęknęłam cicho.

– Już dobrze... Leż spokojnie... – poprosił, po czym przykrył mnie cienkim kocem. – Prześpij się, to ci dobrze zrobi. – Patrzył na mnie z troską rysującą się w jego ciemnych oczach.

– Tak – powiedziałam sennie. – Zadzwoń jeszcze do Jeroena i przekaż mu, proszę, że nie możemy się dziś spotkać...

– Nie martw się tym, kochanie. Wszystko mu wytłumaczę.

Nie wiem, jak długo spałam. Straciłam rachubę czasu. Obudziło mnie głośne miauczenie Kociołka, który kręcił się niespokojnie po pokoju. Otworzyłam oczy. Przy moim łóżku siedział Jeroen.

– *Liefje... wat heb je gedaan?*^[39]

– Nic. – Uśmiechnęłam się blado. – Obrażali Prospera. – Próbowałam się podnieść, ale poczułam nagły zawrót głowy. Opadłam z powrotem na poduszki.

– Nic nie mów. Porozmawiamy, jak poczujesz się lepiej. – Jeroen gładził mnie delikatnie po głowie. – Jesteś głodna?

– Podaj mi, proszę, szklankę wody. I... – zawahałam się przez moment – nie zostawiaj mnie dziś samej.

Jeroen popatrzył na mnie ciepło.

– Nie bój się, kochanie. Zostanę tak długo, jak zechcesz...

Rozdział osiemnasty

Obudził mnie obłądny zapach dochodzący z głębi mieszkania. Przeciągnęłam się leniwie w pościeli. W kuchni, opasany fartuszkim w dorodne pomidory, stał Jeroen i podśpiewując coś wesoło pod nosem, smażył jajecznicę.

– *Goedemorgen!* – zawołałam w jego stronę. – Byłeś tu ze mną przez cały czas? – Bezwiednie zerknęłam w dekolt swojej kusej koronkowej koszulki nocnej.

Jeroen odwrócił się do mnie i pogroził mi żartobliwie łyżką kuchenną.

– Oczywiście! Wczoraj błagałaś mnie, żebym nie zostawiał cię samej. Jak mogłem odmówić tak pięknej kobiecie?

– Jak to możliwe, że spałam całą noc? To niepojęte!

– Wczoraj strasznie bolała cię głowa, więc po telefonicznej konsultacji z pielęgniarką podałem ci, oprócz leków przeciwbólowych, również lekki środek nasenny.

– A ten... znaczy... gdzie... – płątałam się, nie wiedząc, jak zadać pytanie, które nurtowało mnie już od dłuższej chwili.

Jeroen rozwiązał fartuch, podszedł do łóżka i usiadł obok mnie. Oczy mu się śmiały.

– Tak. Było dokładnie tak, jak myślisz.

Obruszyłam się.

– Nie wiesz, co myślę!

– Zastanawiasz się, czy spaliśmy w jednym łóżku... – Jeroen patrzył na mnie wzrokiem sprytnego lisa, którego nie można oszukać.

Splonąłam rumieńcem w kolorze pomidorów na Julkowym fartuchu, ale spojrzałam mu odważnie prosto w oczy.

– A spaliśmy?

Jeroen nachylił się powoli nade mnie, jego twarz dzieliły od mojej zaledwie milimetry, i powiedział:

– Nie...

Zamknęłam oczy i delikatnie pocałowałam go w usta. Odwzajemnił pocałunek, przyciągając mnie do siebie mocno. Pachniał dobrą wodą toaletową. Jego zarost przyjemnie drażnił moją skórę. Całowaliśmy się coraz zachłanniej. „Kompletnie zwariowałam”, pomyślałam i kierując się resztkami rozumu, odepchnęłam go lekko od siebie. Spojrzał na mnie, z trudem maskując rozczarowanie. Pogładziłam go czule po twarzy...

– Jeroen... tak jest dobrze. Nie musimy się spieszyć. Mamy czas.

Prawdę mówiąc, sama siebie nie rozumiałam. Ten facet cholernie mi się podobał. Coś mnie jednak powstrzymywało przed pójściem na całość. Nie wiedziałam, dlaczego i jak długo to potrwa, ale chciałam jeszcze poczekać.

Jeroen podniósł się i machnął ręką w kierunku kuchni.

– Chodź. Jajecznicą nam wystygnie.

Złapałam go za rękę.

– Gniewasz się na mnie? – zapytałam cicho.

Zawahał się przez moment.

– Nie umiem się na ciebie gniewać, *liefje*. Jakie mam do tego prawo? Nie chcę cię naciskać. Poniekąd masz rację. Krótko się znamy. Nie mogę ci jednak obiecać, że dam radę być wstrzemięźliwy, jeżeli będziesz mnie permanentnie kusić tym koronkowym wdziankiem. – Oskarżycielsko wskazał palcem na moją kuszą koszulkę. Nakryłam się szybko kołdrą pod samą brodę.

– Mogę cię zapewnić, że następnym razem ubiorę flanelowe barchany po babci. Nie tkniesz mnie nawet jednym palcem! – powiedziałam wesoło i wyskoczyłam z łóżka. – Dawaj to żarcie! Umieram z głodu!

Zasiedliśmy do stołu. Jeroen okazał się doskonałym kucharzem. Jajecznicą była idealnie wysmażona i doprawiona. Zajadałam danie ze smakiem, zagryzając je świeżym chlebem z piekarni naprzeciwko. Rzadko kupowałam tam pieczywo. Prosper twierdził, że słono się u nich przepłaca.

– Nie odpowiedziałeś mi jeszcze na pytanie. Jeżeli nie spałeś ze mną, to gdzie? – Postanowiłam przyprzeć Jeroena do muru.

– Nie odpuszczasz łatwo! – Uśmiechnął się i odłożył sztućce na talerz. – Siedziałem przy tobie do północy. Potem pojechałem na kilka godzin do domu, wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie. I rano, skoro świt, wróciłem do ciebie. A, byłbym zapomniał, zrobiłem po drodze zakupy. Twoja lodówka przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Znalazłem w niej tylko kubek jogurtu i rozmrożoną pizzę!

Westchnęłam ciężko i przewróciłam oczami.

– Masz rację, tatusiu! Poprawię się, obiecuję! – Położyłam rękę na sercu i roześmiałam się głośno.

Jeroen pogroził mi palcem.

– Zbieraj się, podwiozę cię do pracy. Nie powinnaś dzisiaj sama jechać rowerem. Wczoraj strasznie bolała cię głowa. Jak się dziś czujesz? – Przypatrywał mi się z troską.

Z torebki wiszącej na skraju krzesła wyjęłam kieszonkowe lusterko i przejrzałam się w nim z dezaprobatą.

– Czuję się dobrze... wyglądam źle! Mam nadzieję, że ta ognista plama na policzku w końcu zblednie!

– Mogę cię zapewnić, że już niedługo. Zdradzisz mi w końcu, co się wczoraj wydarzyło? I kim byli ci ludzie, którzy napadli cię w centrum?

– Potem ci opowiem – zapewniłam solennie. – Ubiorę się tylko szybko i możemy jechać.

Jeroen chwycił kluczyki leżące na stole.

– Czekam na ciebie w samochodzie. Pospiesz się, jesteście już spóźnieni.

Błyskawicznie odbębniłam poranną toaletę, wciągnęłam na siebie dżinsy i biały podkoszulek i zbiegłam na dół.

Po drugiej stronie ulicy parkował olbrzymi srebrny range rover. Jeroen stał z tyłu samochodu i wkładał coś do bagażnika. Uśmiechnął się na mój widok i zapraszającym gestem wskazał na drzwiczki auta. Wskoczyłam do samochodu i rozsiadłam się wygodnie na jasnym skórzanym fotelu. Zapięłam pas i rozejrzałam się zaciekawiona po kabinie rovera. Był albo całkiem nowy, albo doskonale utrzymany. Dizajnerska deska rozdzielcza lśniła miodowym kolorem szlachetnego drewna.

Jeroen trzasnął klapą bagażnika, zajął miejsce obok, po czym ruszyliśmy w kierunku Heemstede. Mój towarzysz znowu wyglądał bez zarzutu. Lubiłam na niego patrzeć. Miał urok małego chłopca, poczucie humoru, był troskliwy i opiekuńczy. Bezwiednie położyłam swoją dłoń na jego ręce, spoczywającej na gałce skrzyni biegów. Nie powiedział nic, zapatrzony na drogę przed siebie, ale byłam pewna, że mój czuły gest sprawił mu przyjemność.

Po chwili, kierowana babską ciekawością, zagadnęłam niby od niechcienia:

– Opowiedz mi o sobie.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko. Skąd pochodzisz, gdzie mieszkasz. Tak właściwie to ja nic o tobie nie wiem. Masz... dzieci? – Słowo „żona” nie przeszłoby mi przez gardło. Sądziłam, że nie prowadził ze mną podwójnej gry. Poza tym, gdyby Jeroen był żonaty, Prosper z pewnością by mnie ostrzegł. Przypomniałam sobie, że chyba nawet wspominał, że jest wolny.

– Masz w stosunku do mnie jakieś poważne zamiary? – roześmiał się i zaczął swoją opowieść.

Był, jak to mówią zwyczajowo Holendrzy, *geboren en getogen in Amsterdam*^[40]. Wychował się w położonej w centrum dzielnicy Jordaan. Jej naturalne granice wyznaczały malownicze kanały, w tym najbardziej znany Prinsengracht. Stolica Holandii, o czym wie niewielu – objaśniał cierpliwie Jeroen – posiada więcej kanałów niż Wenecja. I, co ciekawe, więcej mostów niż Paryż. W Amsterdamie doliczono się ich w sumie tysiąc sześćset osiemdziesiąt. Najpiękniejszy z nich jest de Magere Brug, znany między innymi z filmu o Bondzie *Diamenty są wieczne*.

– Masz ogromną wiedzę na temat swojego miasta – powiedziałam z podziwem.

Jeroen skinął głową.

– To moje miejsce. Moja mała ojczyzna. Ze względów praktycznych nie zdecydowałem się jednak na zamieszkanie w centrum Amsterdamu. Wraz z moją ówczesną żoną kupiliśmy kilka lat temu duży dom w Monnickendam. Ale nie

martw się – uprzedził moje następne pytanie – obecnie jest to już moja BYŁA żona. Rozstaliśmy się dwa lata temu. Mamy dwóch synów. – Głos mu złagodniał, rysy twarzy stały się pogodne. – Bardzo ich kocham i staram się spędzać z nimi każdą wolną chwilę, co nie jest takie łatwe, kiedy ma się własny biznes.

Wjechaliśmy do Heemstede. Jeroen zerknął na wmontowany w deskę rozdzielczą monitor nawigacji.

– Za chwilę będziemy na miejscu – powiedział i zaintrygowany dodał: – Skąd ja znam ten adres?

Po chwili naszym oczom ukazała się willa Charlotte i Henka. Jeroen zajechał z fasonem na żwirowany podjazd rezydencji.

– A to niespodzianka! – rzucił tajemniczo i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tutaj pracujesz?

– Tak! – odparłam zdziwiona. – Znasz tych ludzi? – Spojrzałam pytająco na Jeroena, ale nie zdążył odpowiedzieć, gdyż drzwi domu otworzyły się i wyszła zaciekawiona Charlotte.

Jeroen wyskoczył z samochodu.

– Char! Kopę lat! Wyglądasz olśniewająco!

Charlotte rozplynęła się jak wosk i poprawiła blond loki.

– Jeroen! Co ty tu robisz? Skąd ta nagła, NIEZAPOWIEDZIANA wizyta? – Jak zwykle musiała upuścić trochę jadu.

Zdecydowałam się wkroczyć do akcji. Wyszłam z samochodu z uśmiechem Giocondy.

– *Goedemorgen!*

Charlotte oniemiała. Po krótkiej chwili odzyskała rezon i zwróciła do Jeroena:

– Aaa, przywiozłeś moją pomoc domową! Jak miło z twojej strony! Nie wiedziałam, że u ciebie też sprząta!

Jeroen roześmiał się głośno.

– Niestety, muszę cię rozczarować, *schatje*. Przywiozłem do ciebie swoją dziewczynę.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Po raz pierwszy głośno tak o mnie powiedział. Wszystkie wątpliwości nagle zniknęły. Teraz wiedziałam na pewno, że chcę nią być.

Charlotte patrzyła na nas z nieukrywanym zdumieniem.

– Ty i Agnes? Jesteście parą? – wykrztusiła w końcu.

– *Inderdaad!*^[41] – odparł Jeroen i zwracając się do mnie, dodał: – Znamy się z Charlotte jeszcze ze szkoły średniej. To były czasy, prawda Char? – Mrugnął do niej figlarnie. – Podkochiwałem się w tobie wtedy, ale ty wolałaś grubego Paula, pamiętasz? Złamałaś mi serce!

Charlotte śmiała się całą sobą. Nie widziałam jej jeszcze takiej. Bez ciągłego

grymasu na twarzy wyglądała przynajmniej o kilka lat młodziej.

– Wejdiesz na *koffie*? Agnes, idź już do kuchni, nastaw ekspres do kawy.

Już chciałam automatycznie wykonać jej polecenie, ale Jeroen powstrzymał mnie, chwytając mocno za rękę.

– Nie ma takiej potrzeby! Muszę już uciekać, obowiązki wzywają! – Jeroen zerknął na zegarek i słodko powiedział do Charlotte: – Nie mam teraz już żadnych wątpliwości, że zostawiam swój skarb w najlepszych rękach. – Odwrócił się do mnie i pocałował w usta. – Trzymaj się, *lieffe* – szepnął mi do ucha. – I nie daj tej *heks*^[42]. Będę za cztery godziny! *Dag!* – Pomachał nam na pożegnanie i już go nie było.

Zostałam z Charlotte sama. Bałam się na nią spojrzeć.

– *Niet te geloven...*^[43] – Odblokowała się w końcu i spojrzała na mnie. W jej oczach zobaczyłam nieudolnie skrywaną złość zmieszaną z odrobiną zazdrości. – Jak długo się znacie? – wykrztusiła wreszcie.

– Niedługo – zapewniłam. – Poznaliśmy się w biurze Jeroena, na lotnisku. Przyszłam tam po swojego przyjaciela.

Charlotte patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– I chcesz mi powiedzieć, że Jeroen pozwala ci pracować jako sprzątaczką?

– Nie jestem jego własnością! Sama podejmuję decyzje – odpowiedziałam spokojnie, choć w środku we mnie wrzało. Jak ona śmie!

Charlotte roześmiała się cynicznie.

– Nie znasz facetów. Każdy jest taki sam – prychnęła. – Henk też obiecywał mi na początku niezależność, a teraz nie pozwala nawet wybrać samodzielnie koloru tapet w sypialni – żachnęła się, po czym szybko się zreflektowała: – Koniec tych pogaduszek. Proszę za mną do kuchni – zakomenderowała. – Czeka cię dzisiaj dużo pracy. Chwileczkę... – zatrzymała się nagle i spojrzała na mnie uważnie. – Co ci się stało w twarz? Masz czerwoną pręgę na policzku... Ktoś cię uderzył? – zainteresowała się nagle.

– Nie, nie. To nic – zbagatelizowałam problem. – Mam uczulenie na słońce – skłamałam gładko.

Charlotte udała, że mi wierzy.

Weszliśmy do środka. Panował tutaj przyjemny chłodek. Oznaczało to, że Henk włączył klimatyzację.

Zaśmiałam się w myślach. Ciekawe, jak Jeroen zareaguje na wiadomość, że Charlotte każe się nazywać „madame”? Koniecznie muszę mu o tym powiedzieć.

Zatęskniłam za nim nagle. Tak jak każda dziewczyna tęskni za swoim chłopakiem.

Rozdział dziewiętnasty

Zaparzyłam świeżej herbaty, dodałam do niej parę listków mięty i zaniiosłam czajniczek z aromatycznym napojem do pokoju. Usiadłam przy stole i zaczęłam segregować pocztę Julii. Wśród stosu kopert przeważała korespondencja z banku, kolorowe foldery reklamowe oraz pismo z gminy Haarlem. Postanowiłam zasięgnąć rady u Prospera. On z pewnością będzie wiedział, czego dotyczy list. Spomiędzy pliku kopert wypadła nagle mała pocztówka. Przedstawiała urwiste wybrzeże u stop oceanu z napisem: „Cape of Good Hope. South Africa”. Uśmiechnęłam się bezwiednie. Kto by pomyślał, moja siostra zawędrowała aż na Przylądek Dobrej Nadziei. Zaciekawiona, zerknęłam na krótki tekst na odwrocie kartki.

Aga,

jestem w raju. Mogłabym zostać w Afryce na zawsze.

Słyszałam, że u Ciebie wszystko dobrze. Prosper mówił,

że nawet bardzo :-)

Musimy wkrótce porozmawiać. Mam nadzieję,

że już się na mnie nie gniewasz.

I... nie martw się. Jestem pod dobrą opieką.

Kocham,

Twoja Julia

Bezwiednie pogładziłam opuszkami palców równe literki pisma Julki. Złość na nią przeszła mi już dawno. Teraz marzyłam tylko o tym, żeby ją uściskać. Charakterystyczny *smile* w jej wiadomości wskazywał na to, że stary plotkarz Prosper nie wytrzymał i wyśpiewał ukochanej o moim romansie z jego przystojnym szefem. Przeciągnęłam się leniwie na krzesło, po czym nalałam gorącej herbaty do filiżanki. Wczorajszy maraton u Charlotte dał mi nieźle popalić. Była zła jak osa i dała mi to wyraźnie odczuć. Najgorsze jednak, że wyładowała się nie tylko na mnie...

– Jill! Na litość boską! Nie marudź! Graj! Miałaś już dawno opanować te

nuty! To jest poziom dla początkujących! – Charlotte stała nad ćwiczącą pasażerką jak kat nad ofiarą. – Ja nie miałam w twoim wieku możliwości nauki gry na pianinie! A to było zawsze moim marzeniem!

– Tak, wiem. TWOIM! – podniosła głos Jill i spojrzała oskarżycielsko na matkę. – Ja tego nie lubię!

– Nie gadaj głupot! Masz talent! Twoja nauczycielka twierdzi, że grzechem byłoby go zmarnować. Pamiętaj! Ludzie bez wykształcenia i pasji kończą jako pomoce domowe i piorą cudze brudy!

Aha! 1:0! Pierwszy przytyk w moją stronę.

Charlotte konwersowała z córką po angielsku, gdyż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że w kuchni słyszę całą rozmowę. Wyjmowałam właśnie z lodówki upchaną tam do granic możliwości żywność. Większość produktów była przeterminowana. Stosy ledwo napoczętych opakowań z serem, plastikowe pojemniki z niedojedzoną chińszczyzną, zamawianą w Holandii nagminnie na wynos, różnego rodzaju przekąski, które zalegały na półkach nie wiadomo od jakiego czasu. W dolnej szufladzie więdła sałata, wyschnięte na wiór marchewki i zmaltretowane pomidory. Na bocznych półkach na drzwiach chłodziarki stały puste kartony po *vla*^[44]. Co za marnotrawstwo! – zjeżyłam się w duchu, wyrzucając nadgniłe warzywa do wielkiego worka. Przetarłam dokładnie wnętrze lodówki ciepłą wodą z dodatkiem octu, pozbyłam się wszystkich przeterminowanych produktów, te zaś o krótszej dacie przydatności do spożycia ułożyłam z przodu, by zostały zużyte w pierwszej kolejności. Wszystko lśniło czystością. Ogromna chłodziarka zrobiła się prawie pusta. Zadowolona z efektów swojej pracy, zdjęłam gumowe rękawiczki i wlałam do szklanki odrobinę wody *spa rood*. Wypiłam ją duszkiem.

W tym momencie do kuchni weszła Charlotte. Omiotła mnie bez słowa wzrokiem i otworzyła lodówkę.

– *Alles is weg! Hoe kan dat nou?*^[45] – Zawsze kiedy chciała mnie upokorzyć, przechodziła na holenderski, wiedząc, że nie rozumiem jeszcze dobrze tego języka.

– *Please speak english!*^[46] – Spojrzałam na nią twardo i odstawiłam szklankę na stół.

– Wszystko wyrzuciłaś? To niemożliwe! Dopiero wczoraj robiłam zakupy! A może... – zawahała się i popatrzyła na mnie podejrzliwie – może specjalnie opróżniłaś całą lodówkę, żeby mi zrobić na złość?!

2:0!

Ale tym razem zamierzałam odeprzeć atak!

– Madame Charlotte, nie oczekuję, że będzie mnie pani lubiła. Jedyne, czego wymagam, to odrobina szacunku. Do siebie i swojej pracy! Większość żywności w lodówce nadawała się do wyrzucenia. Ale, oczywiście, jeżeli pani sobie tego życzy, mogę wyciągnąć pomidory z worka na odpadki i z powrotem umieścić

w chłodziarce. Obawiam się tylko, że odór zgnilizny uniemożliwi normalne z niej korzystanie. Może być również niebezpieczny dla zdrowia, szczególnie pani dzieci!

2:1!

Charlotte przystąpiła do kontrofensywy.

– Nie życzę sobie, żebyś tak do mnie mówiła! Wydaje ci się, że jak spotykasz się z moim starym przyjacielem z liceum, to możesz pozwalać sobie w stosunku do mnie na takie impertynencje?!

„Tu cię boli!”, pomyślałam, a powiedziałam:

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Jestem niezależna, sama decyduję o sobie i sama zarabiam na własne utrzymanie! Pomimo że pracuję tu jako, jak to pani lekceważąco określiła, pomoc domowa, nie mam żadnych braków w wykształceniu. Skończyłam bardzo dobry uniwersytet, ale przewrotny los zmusza mnie obecnie do sprzątania cudzych domów. Nie widzę w tym jednak niczego uwłaczającego. Wolę wykonywać taką pracę i mieć własne, nawet niewielkie dochody, niż siedzieć bezproduktywnie w kieszeni męża! – wypaliłam.

2:2!

Miałam dość. Byłam przekonana, że Charlotte mnie zwolni. A ja z wielką przyjemnością przyjmę wypowiedzenie!

Holenderka spojrzała na mnie z niedowierzaniem w oczach i nieoczekiwanie, westchnąwszy ciężko, usiadła przy stole. Jej wzrok złagodniał nieco.

– Dlatego tak bardzo zależy mi na tym, żeby moje córki skończyły dobre szkoły! – powiedziała. – I nie musiały prosić swoich panów i władców o każdego centa! – dodała z rozgoryczeniem. – Henk jest absolwentem politechniki w Delft. Ja mam tylko szkołę średnią. Plus różne kursy. Po urodzeniu Jill przerwałam pracę zawodową i zajęłam się domem. Teraz muszę wysłuchiwać, że wszystko, czego dorobiliśmy się przez te lata, to wyłącznie jego zasługa. Wiesz, co mi zarzuca? Że lekką ręką wydaję JEGO pieniądze! Straszy też, że zablokuje mi kartę kredytową! Ale ty tego nie zrozumiesz – urwała i ręką przetarła ze złością porowatą powierzchnię drewnianego stołu.

– Wręcz przeciwnie, Charlotte. Doskonale panią rozumiem. To typowa sytuacja. W większości przypadków, kiedy żona zajmuje się dziećmi, a mąż robi karierę, wydaje mu się potem, że do wszystkiego doszedł sam. Ale, jak mówi mądre przysłowie, każdy kij ma dwa końce...

Kobieta spojrzała na mnie z nagłym zainteresowaniem i dodała z wyrzutem:

– Staram się go we wszystkim wyręczać! W domu nie musi robić absolutnie nic! Ma wszystko wyprane, wyprasowane, ugotowane, podsunęte pod nos! Nawet dla swoich własnych córek nigdy nie ma czasu! Nie mówiąc już o mnie...

Przypomniała mi się nagle sytuacja sprzed kilku dni, kiedy widziałam męża Charlotte w aucie z obcą kobietą...

– Czy Henk ma rodzeństwo? – rzuciłam niby od niechcienia. – Siostrę?

– Nie. Jest jedynakiem. A co to ma do rzeczy? – zniecierpliwiła się Charlotte.

– Nic, nic! – Machnęłam ręką i, o dziwo, zrobiło mi się jej trochę żal. Wszystko wskazywało na to, że Henk spotykał się z kimś na boku. Wzorem większości zapracowanych mężów potrzebował jak widać odskoczni od rutyny dnia codziennego i marudnej żony wiecznie w pretensjach.

Nie chciałam wtrącać się w pożycie rodzinne rodziny van der Vegtów. Nie usprawiedliwiałam zachowania Henka, ale z drugiej strony... Charlotte była nieznośna, rozpuszczona, ciągle skrzywiona i niezadowolona. Dwa razy w tygodniu jeździła na zakupy do luksusowych butików usytuowanych na P.C. Hooftstraat, holenderskim odpowiedniku słynnej ulicy Rodeo Drive w Beverly Hills. Wydawała bez opamiętania tysiące euro, nic więc dziwnego, że Henk coraz bardziej ją kontrolował i chciał zablokować jej *gold credit card*.

Przypomniała mi się podobna sytuacja sprzed kilkadziesiąt lat. Chodziło o moją babcię i dziadka...

Babcia była kochana, ale przy tym okropnie zrzędliva i „wiecznie na zęby jęcząca”. Dziadek nie miał z nią łatwego życia. Cokolwiek by zrobił – i tak było źle. Pomagał babci w sprzątanii, aj, jak niedokładnie, prasował koszule (dziadek był krawcem i to zniechęcające przez pleć piękną zajęcie lubił), aj, kołnierzyk wygnieciony, uprawiał ogródek, aj, po co, przecież chwasty urosną. Ciągle coś. Nic dziwnego, że dziadek w dojrzałym już wieku znalazł sobie na boku pewną panią, która go chwaliła i hołubiła jak rzadki diament. Wracając kiedyś ze szkoły, spotkałam go maszerującego dziarsko i uśmiechającego się pod wąsem. Buty wyglansowane, że mucha nie siada, spodnie zaprasowane w kant jak brzytwa, nowa kamizelka, biała koszula. Pachniał dobrą wodą toaletową, prezentem od starego kumpla z Niemiec. Promieniował radością życia. Prawie fruwał nad ziemią. Mój osiemnastoletni wówczas dziadziuś szedł na randkę. Babcia wiedziała. Rwała włosy z głowy, ale zamiast przestać marudzić, coraz bardziej zatruwała dziadkowe życie. Chodził źle, siedział źle, nawet źle oddychał. A dziadek w milczeniu znosił wymysły babci, bo wiedział, że gdzieś tam ktoś na niego czeka i akceptuje go takim, jakim jest.

Nie sądziłam, żeby Charlotte i Henk akceptowali siebie wzajemnie. Obrzucanie pretensjami i ciągle kłótnie nie były dobrym rozwiązaniem, mieli w końcu dwoje dzieci. Może warto było choć trochę się postarać?

Z zamyślenia wyrwało mnie nagle pytanie pani domu.

– Zostaniesz jeszcze chwilę? Zupełnie zapomniałam, że mamy dzisiaj gości na kolacji, a jak sama wiesz, nasza lodówka świeci pustkami. – Na ładnej twarzy Charlotte pojawił się grymas, który można było od biedy uznać za uśmiech.

Spojrzałam na zegarek. Jeroen był z pewnością już w drodze. Charlotte

podchwyciła moje spojrzenie.

– Nie chciałabym, żeby Jill została sama... – dodała szybko. – Ale jeżeli nie możesz... – zawiesiła głos.

W tym momencie mój telefon zabrzączał dźwiękiem nadchodzącej wiadomości tekstowej. Szybko zerknęłam na wyświetlacz.

Spóźnię się pół godziny. Korki. X Jeroen

– Dobrze – zgodziłam się, chowając telefon do kieszeni spodni. – Zostanę.

– Jeroen nie ma nic przeciwko? – Charlotte z niewinną miną poprawiała włosy.

– Akceptuje każdą moją decyzję. – Wypuściłam zatrutą jadłem strzałę w jej kierunku. Zaszłyła.

Wyglądała tak, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Zamiast tego wyciągnęła ze schowka dwie błękitno-białe torby na zakupy i wyszła przez kuchenne drzwi do zaparkowanego na podjeździe samochodu.

Sprzątnęłam puste szklanki ze stołu i włożyłam je do zmywarki. Przetarłam wilgotną ściereczką kuchenne blaty i postanowiłam zobaczyć, co porabia Jill. Weszłam po cichu do salonu. Dziewczynka siedziała przy pianinie i z zaciętą miną wpatrywała się w okno.

– Jak tam ćwiczenia? – zagadałam ją przyjaźnie. – Już skończyłaś?

Jill obrzuciła mnie złym wzrokiem.

– Nic ci do tego!

Podeszłam do niej i przykucnęłam przy krzesełku, na którym siedziała.

– Dlaczego mnie nie lubisz? – zapytałam spokojnie, patrząc jej prosto w oczy.

Drgnęła zmieszana bezpośredniością pytania, ale wytrzymała moje spojrzenie.

– Jesteś sprzątaczką! – powiedziała lekceważąco. – Mama mówi, że jak nie będę się uczyć, to skończę tak jak ty! – Zakryła rączkami buzię.

Oderwałam jej ręce od twarzy i chwyciłam mocno.

– Jill... wiesz, że to nieprawda. Jesteś piękną, mądrą i fajną dziewczynką. Dlaczego sprawiasz mi przykrość, mówiąc o mnie z pogardą? Tylko dlatego, że porządkuję twój pokój i układam twoje zabawki?

Dziewczynka pokręciła przecząco głową. Milczała.

– Pamiętaj, kochanie, nigdy nie wierz, jeżeli ktoś będzie ci mówił, że nic nie jesteś warta. I nigdy nie mów tak o innych.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Mama każe mi codziennie ćwiczyć. Mówi, że każda dobrze wykształcona kobieta gra na pianinie. Ja tego nie lubię! To jest monotonne!

Uśmiechnęłam się. Jakbym słyszała Charlotte.

– A co nie jest monotonne? – zapytałam ją podchwytliwie.

– Basen! – Oczy jej zaświeciły. – Uwielbiam pływać. I kocham zwierzęta. Mama nie chce mi kupić psa. Mówi, że ma uczulenie na sierść, ale ja wiem, że to nieprawda!

Westchnęłam cicho.

– Wiesz co, kochanie? Na dzisiaj koniec. – Trzasnęłam klapą pianina. – Chodź, wyjdziemy na zewnątrz, usiądziemy w fotelach i napijemy się pysznej lemoniady.

Jill zerwała się z krzesła.

– Mogę swojej ulubionej, truskawkowej? – zapytała i popędziła do kuchni.

Poszłam za nią i pomogłam jej przygotować napój.

Kiedy wlewałam lemoniadę do szklanek, Jill złapała mnie za rękaw bluzki.

– Już nie będę do ciebie mówić „sprzątaczką” – powiedziała ściszym głosem. – To nieładnie.

Po czym szybko wybiegła na zewnątrz.

2:3!

Rozdział dwudziesty

Dzisiaj wieczorem zamierzałam po raz pierwszy założyć nową sukienkę. Jeroen zaprosił mnie na romantyczną kolację w centrum Amsterdamu. „Serce świata”, jak sam to pięknie określił. Po zakupach z Prosperem moja skromna garderoba wyglądała już, na szczęście, zdecydowanie lepiej. Dokupiłam jeszcze niebotycznie wysokie szpilki, eleganckie sandały, obcisłe dżinsy i sportową marynarkę, a na wyprzedazach upolowałam za grosze kilka dobrych jakościowo T-shirtów. Zajrzałam też do sklepu z bielizną. Bawełniane, sportowe biustonosze, które miałam, były bardzo wygodne, ale nie prezentowały się zbyt spektakularnie. Powtarzając w duchu, że robię to wyłącznie dla siebie, kupiłam dwa koronkowe body, na które wydałam prawie połowę swoich oszczędności.

Obładowana zakupami, wracałam do domu. W pewnym momencie zobaczyłam chłopaka, w którym wydawało mi się, że rozpoznaję Polaka, tego damskiego boksera, ale nie byłam tego stuprocentowo pewna. Postanowiłam więc odpuścić sobie i mieć nadzieję, że tego rodzaju przykry incydent nie powtórzy się już nigdy więcej.

W domu przypudrowałam lekko twarz, pociągnęłam usta malinową pomadką i założyłam błękitną koszulę. Dzisiaj wypadła dzień pracy u pana prokuratora. Pomna ostatniej wpadki ze spranym T-shirtem wolałam dmuchać na zimne i staranniej dobierać stroje. Wyglądałam schludnie i ładnie. I o to mi chodziło.

Drzwi otworzyła zaaferowana Anneke.

– Dobrze, że jesteś! – powiedziała. – Jan chce się z tobą pilnie widzieć.

Popatrzyłam z przerażeniem na gospodynię.

– Czemu aż tak oficjalnie? Mówił, o co chodzi?

Anneke wzruszyła ramionami.

– Nic nie mów! Pospiesz się! Zrobić ci kawy?

– Tak, poproszę! – powiedziałam i przyglądając nieco niesforną grzywkę, zapukałam do drzwi gabinetu Jana.

Siedział jak zwykle za biurkiem i pisał coś szybko na laptopie.

– Wejdz, Agnieszka. – Uczynił ręką zapraszający mnie do środka gest i wskazał miejsce na krześle stojącym na środku pokoju. Czułam się jak na egzaminie maturalnym.

– Chciał mnie pan widzieć.

Jan patrzył na mnie uważnie. Trudno mi było w to uwierzyć, ale miałam nieodparte wrażenie, że nie wiedział, jak zacząć.

– Wiem, że martwisz się o siostrę...

Nadstawiłam uszu. Zaczynało się robić interesująco.

– Ostatnim razem prosiłem cię o przekazanie Julii, że ma się niczym nie martwić i że wszystko jest pod kontrolą – kontynuował Jan. – Byłem zaaferowany

wizytą przyjaciół i kompletnie zapomniałem, że nie znasz szczegółów tej sprawy. Moje niedopatrzenie, starzeję się. – Pan prokurator zdjął okulary w rogowej oprawie i odłożył je na bok.

– To prawda. Nie wiem, dlaczego Julia w takim pośpiechu opuściła Holandię – powiedziałam, patrząc uważnie Janowi w oczy.

Pan prokurator zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

– To ja zdecydowałem, że bezpieczniej będzie, jeżeli twoja siostra na pewien czas zniknie. Ze względu na dobro sprawy, która jest jeszcze w toku, nie mogę zagłębiać się w detale. Nie chciałbym też, żebyś wiedziona ciekawością szukała wyjaśnień na własną rękę. Musisz mi również obiecać, że ta rozmowa zostanie między nami.

Kiwnęłam potakująco głową. Nagle ogarnął mnie strach.

– Julia pracowała przez pewien czas w hotelu nad morzem. Była koordynatorką obcojęzycznego personelu pomocniczego z Europy Wschodniej. Właścicielowi hotelu zależało na tym, żeby pracę pokojówek nadzorował ktoś, kto dobrze zna mentalność krajów, z których pochodzą kobiety. To były dziewczyny mówiące wyłącznie w swoich ojczystych językach. Agencja pośrednictwa pracy, która sprowadziła je do Holandii, pobrała należną prowizję i uznała, że rozwiązywanie bieżących problemów dotyczących komunikacji z personelem leży już w gestii pracodawcy. Julia spadła właścicielowi hotelu jak z nieba. Mówiła nie tylko płynnie po polsku i angielsku, ale również coraz lepiej po holendersku. To bardzo ambitna i mądra dziewczyna – stwierdził Jan.

– Nie wiedziałam, że Julia chodziła na lekcje holenderskiego. Właściwie to nic o niej nie wiedziałam.

Jan pokręcił przecząco głową.

– Nie, uczyła się sama w domu. Często przesiadywała też z książkami w kawiarni, twierdząc, że wśród ludzi łatwiej jej przyswajać wiedzę. Tam przyuważył ją przyszły szef. Podobno zaimponowała mu jej żelazna konsekwencja i systematyczność. Zaproponował jej pracę.

– I co było dalej? – Poprawiłam się na krześle zniecierpliwiona.

Jan najwyraźniej ważył w myślach słowa. Po chwili kontynuował przerwany wątek.

– Jak się potem okazało, szef Julii miał wobec niej daleko zakrojone plany. Praca koordynatorki to była tylko zasłona dymna. Przez zupełny przypadek Julia odkryła, że właściciel hotelu zajmował się po godzinach dodatkową, zdecydowanie bardziej intratną działalnością. Szczegółów branży, w której działał, nie mogę zdradzać. Gdyby twoja siostra przyszła z tym od razu do mnie, uniknęłaby wielu problemów. Postanowiła jednak węszyć na własną rękę, zabawić się w Sherlocka Holmesa i rozgromić przestępców w pojedynkę. Kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie przyjaciel twojej siostry, Prosper. Można powiedzieć, że to

on uratował Julii życie.

Buzował we mnie gejzer skrajnych emocji. Od radości, że wszystko skończyło się dobrze, po paraliżujący strach, co by było gdyby...

– Sprawdzamy wszystkie tropy – mówił dalej Jan. – Zasięg przestępczej działalności szajki obejmuje więcej krajów, niż przypuszczaliśmy. Głównym sprawcom postawiono już zarzuty. Julia, jako jeden z głównych świadków w sprawie, nie powinna była opuszczać Holandii, ale sam osobiście zawnioskowałem o uchylenie tego nakazu. Uznałem, że dla jej bezpieczeństwa będzie lepiej, gdy na parę miesięcy zniknie.

Spojrzałam uważnie na pana prokuratora.

– Byłam pewna, że pana naczelną dewizą zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym jest twierdzenie *dura lex sed lex*?

Jan roześmiał się i zabawnie zmrużył oczy.

– Jak widzę, Anneke doskonale zna moje ulubione sentencje. Zapomniała jednak powiedzieć ci o drugiej, bardzo ważnej regule, którą czasem stosuję: *Exitus acta probat*.

– Cel uświęca środki. – Nie przypuszczałam, że łacina, której na studiach szczerze nienawidziłam, kiedyś mi się przyda!

Jan spojrzał na mnie z uznaniem.

– Ta historia ma jeszcze wiele niewyjaśnionych wątków – powiedział, zerkając na ekran laptopa. – Myślę jednak, że informacje, których udzieliłem, są na obecną chwilę wystarczające. Osobiście zajmuje się tą sprawą i mogę ci obiecać, że dołożę wszelkich starań, żeby wszyscy współwinni zostali ukarani.

– Jak to się stało, że Julia wpadła na trop tej szajki? Czym się zajmowali? – W głowie kłębiło mi się jeszcze tysiące pytań i wątpliwości.

Jan wstał zza biurka i spojrzał znacząco na zegarek.

– To wszystko, co miałem do powiedzenia – rzekł służbowym tonem. – Na resztę wyjaśnień musisz poczekać do zakończenia sprawy. I do powrotu Julii.

– Ci ludzie, z którymi wyjechała... – zaczęłam.

– To moi przyjaciele. Sprawdzeni i zaufani. To architekci na kontrakcie w RPA. Julia naprawdę pomaga im w obowiązkach domowych. Jest bezpieczna, a to jest w tym momencie najważniejsze. – Jan odprowadził mnie do drzwi. Na pożegnanie dodał jeszcze: – I trzymaj się Prospera. To dobry człowiek. Nie da nikomu zrobić ci krzywdy. Pamiętaj o tym. Ja tymczasem wracam do swoich obowiązków. Bo jak zapewne wiesz: *Sine labore non erit panis in ore*. – Jan mrugnął do mnie porozumiewawczo i zamknął drzwi gabinetu.

„Bez pracy nie ma kołaczy”. I tym razem udało mi się rozszyfrować sentencję pana prokuratora. „Jeszcze nie raz go zaskoczę”, pomyślałam.

W mojej głowie panował kompletny chaos. Z jednej strony czułam radość, że poznałam w końcu tajemnicę Julii, z drugiej – niedosyt, ponieważ w dalszym

ciągu nie wiedziałam, jaki był jej prawdziwy udział w tej dziwnej sprawie.

Z ciężkim sercem udałam się do kuchni.

Anneke czekała na mnie tuż przy drzwiach.

– I jak poszło? Rozmawiałaś z nim? – Wpatrywała się we mnie niecierpliwie.

– Tak, ale nie mogę nic powiedzieć. – Usiadłam przy stole i poprosiłam o obiecaną kawę.

Anneke nie naciskała. Znała specyfikę pracy Jana i zasady panujące w tym domu. Dyskrecja przede wszystkim. Nawet jeżeli ciekawska natura brała czasem górę nad rozumem.

Wypiłam pospiesznie kawę i zabrałyśmy się do pracy. W planach było dziś pucowanie żyradoli. Anneke wyciągnęła z czeluści garażu ogromną drabinę. Wdrapałam się na nią i z zapalem czyściłam pokryte kurzem żarówki. Rozmowa z Janem dodała mi tyle energii, że ani się obejrzałam, a wszystkie lampy dumnie zaśniły w promieniach wychylającego się właśnie zza chmur słońca.

Pędziłam do domu jak na skrzydłach, mając nadzieję, że Prosper nie wyszedł jeszcze do pracy. Dystans Heemstede – Haarlem pokonałam w rekordowym wręcz tempie. Postawiłam szybko rower pod schodami, nie zamykając go na kłódkę, i wbiegłam zgrzana na górę. Prospera już jednak nie było. „Trudno”, pocieszyłam sama siebie. „Jeszcze zdążę go uściskać”.

Weszłam do swojego pokoju. Wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Na środku leżał rozszarpany worek z karmą. Pod nogami zachręściło mi suche kocie żarcie.

– Kociołek! – wrzasnęłam od progu. – Znowu urządziłeś sobie polowanie na myszy! Ostrzegam cię po raz ostatni! Następnym razem otrzymasz natychmiastową eksmisję na bruk!

Sprytny kocur schował się pod łóżkiem. Wyciągnęłam ze schowka mały odkurzacz i pospiesznie ogarnęłam mieszkanie. Na wieszaku pyszniła się już, gotowa na wieczór, nowa sukienka. Nie wiedziałam dokładnie, dokąd zamierzał zabrać mnie na kolację Jeroen, ale nie mogłam się już doczekać. Na co dzień nie zwracałam sobie zbyt głębiej głowy gotowaniem. Jadłam popularne w Holandii półprodukty i gotowe przekąski. Kuchnia holenderska była prosta, niezbyt zdrowa i mało wyszukana. Jej podstawę stanowiły ziemniaki, warzywa i mięso. Dla statystycznego Holendra najważniejszym kryterium w wyborze potrawy, jaką chciał zjeść w domu, był czas jej przygotowania. Miało być szybko i w miarę smacznie. Pomimo to ciągle dziwił mnie jeszcze oferowany we wszystkich holenderskich supermarketach bogaty asortyment zapakowanych do woreczków obranych, umytych i pokrojonych warzyw i owoców. Co kraj, to obyczaj!

Wskoczyłam szybko pod prysznic, dokładnie umyłam zakurzone włosy i wtarłam w nie ulubioną kokosową odżywkę. Owinięta w puchaty szlafrok

usiadłam przy stole. Miałam jeszcze chwilę, więc postanowiłam napisać krótki list do Julii. Byłam przekonana, że Prosper miał do niej adres.

Moja kochana,

wszystko już wiem. Właściwie to prawie wszystko, ale na razie wystarczy.

Resztę opowiesz mi we właściwym czasie. Coś Ty narobiła, siostra!

Ja dam radę. Za madame Charlotte policzę się z Tobą po powrocie. Nie wypłacisz mi się do końca życia za poniesione straty moralne!

Uważaj na siebie!

Love U

Agnieszka

PS Zakochałam się... co ma być, to będzie!

X

Punktualnie o osiemnastej trzydzieści wyszłam z pokoju. Ostrożnie stawiałam kroki na wąskich schodach. Moje stopy nie były jeszcze przyzwyczajone do niebotycznych obcasów. Ale czego nie zrobi kobieta, żeby przypodobać się mężczyźnie, prawda?

Jeroen był już na miejscu. Stał nonszalancko oparty o maskę samochodu. Założył jasne lniane spodnie i błękitną marynarkę. Idealnie współgrała z kolorem jego oczu. Natychmiast podchwycił moje spojrzenie i obdarzył mnie jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów.

Podeszłam do niego i objęłam go mocno. Odwzajemnił mój uścisk i podniósł mnie lekko do góry.

– Tęskniłem za tobą. Nawet nie wiesz, jak bardzo... – Pocałował mnie we włosy. – Pachniesz kokosem.

Roześmiałam się.

– Wiem, wiem – powiedziałam, zalotnie mrużąc oczy. – Piña colada! – Powiesz mi w końcu, dokąd jedziemy?

– Do najlepszej w całym Amsterdamzie włoskiej knajpy! – Roześmiał się entuzjastycznie. – Lubisz makaron? – Spojrzał na mnie pytająco. – Serwują tam fantastyczne ravioli! A pizza... mmmm mamma mia, palce lizać!

– To na co jeszcze czekamy?! – zawołałam i złapałam go za rękę. –

Umieram z głodu!

– Ja również! – zawtórował. – Tylko obawiam się, że mojego apetytu nie zaspokoi zwykły makaron. – Spojrzał na mnie i oczy mu pociemniały.

Podniosłam rękę i pogładziłam go miękko po policzku.

– Jedźmy już... – szepnęłam cicho.

Jeroen otworzył przede mną drzwi auta i ruszyliśmy w kierunku Amsterdamu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Stolica Holandii była moją miłością od pierwszego wejrzenia. Miała w sobie nieodparty urok Wenecji Północy, muzykę zaklętą w dzwonek miliónów rowerów, niepowtarzalny zapach mieszanki wilgoci, marihuany, kurzu i pośpiechu. To miasto uzależniało jak piękna kobieta odziana w seksowną sukienkę, która wyzywająco maluje usta krwistoczerwoną pomadką portowych zachodów słońca, ogrzewa płaszczem utkanym z tysięcy mostów, uwodzi niebotycznie wąskimi szpilkami wiekowych kamienic, oplata jedwabnym szalem łabędzią szyję niekończących się kanałów. Tam właśnie, gdzieś pomiędzy kanałami Herengracht, Keizersgracht i Prinsengracht, biło prawdziwe serce Amsterdamu.

Jego miarowy puls słyszał każdy, kto choć na moment przystanął w pośpiechu codzienności. Ja też wyraźnie go słyszałam, idąc wolno het Damrak, najbardziej zatłoczoną ulicą miasta, usytuowaną między Dworcem Głównym a de Dam, centralnym placem stolicy.

Trzymaliśmy się z Jeroenem za ręce, jak para nastolatków. I tak też się czułam. Jak młoda dziewczyna, która kroczy obok najfajniejszego chłopaka na świecie. Swojego chłopaka. Całowaliśmy się co chwilę, przystając obok rozświetlonych kolorowymi lampionami zatłoczonych ogródków ulicznych restauracyjek. Jeroen prowadził mnie do swojej ulubionej knajpki. Znajdowała się w części miasta zwanej nieoficjalnie małą Italią, która zajmowała zaledwie jedną, romantyczną Tweede Tuindwarsstraat. Na tej miniaturowej powierzchni powstają genialne dania kuchni włoskiej, zapewniał mnie Jeroen. Byłam rozluźniona, zrelaksowana i chyba... szczęśliwa. Sprawilo to niełatwo uchwytnie i trudne do zdefiniowania nagle podekscytowanie, dzięki któremu czułam, że jestem dokładnie tam, gdzie być powinnam, we właściwym miejscu swojego życia.

Szliśmy przez Jordaan, dzielnicę miasta, w której urodził się mój Jeroen. Zewsząd mrugały do nas zalotnie urocze wąskie uliczki porozdzielane niewielkimi kanałami. W tej okolicy było ich dokładnie jednaście.

– Będąc dzieckiem, z przyjemnością gubiłem się tutaj na cały dzień – opowiadał z przejęciem Jeroen. – Ta dzielnica była i jest inspiracją dla wielu artystów. Na Elandsgracht można nawet znaleźć popiersia lokalnych muzyków. Najbardziej znanym był piosenkarz Johnny Jordaan. Ja i moi kumple wychowywaliśmy się w jego kulcie, chociaż muzyka, jaką tworzył, nie była specjalnie w naszym guście. Nie wypadało jednak nie kochać i nie wielbić kogoś, kto urodził się tam, gdzie my, kto oddychał tym samym powietrzem i opiewał w swoich piosenkach piękno tego miejsca.

Znaleźliśmy się na gwarnej, zatłoczonej uliczce, pełnej najróżniejszych włoskich restauracji. Byliśmy w sercu Little Italy. Na wąskich trotuarach, pod kolorowymi markizami, stały miniaturowe stoliki, przy których biesiadowali

wesoło rozgadani ludzie. Zewsząd rozbrzmiewały języki z niemal całego świata, ze zdecydowaną przewagą śpiewnego *italiano*. Jeroen zatrzymał się przed usytuowaną na rogu knajpką z szyldem La Perla.

– Zapraszam cię, kochanie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś tu ze mną...

Weszliśmy do środka. Całe wnętrze wypełniał zapach świeżo przygotowywanej pizzy. Mój wrażliwy zmysł węchu oszalał. Uwiodły go aromaty świeżej bazylii, pomidorów i oliwy.

Jeroen pomachał wesoło do stojącego za barem starszego, szpakowatego mężczyzny w białym kitlu.

– To Mario, właściciel. Znamy się od zawsze. Od kiedy pamiętam, przychodziłem tu z rodzicami na klasyczną margheritę. Włoska kuchnia to nie tylko smaki i aromaty. To filozofia życia: smakuj i celebruj każdą jego chwilę powoli, wszystkimi zmysłami. Nie spiesz się, nie wkładaj do ust zbyt dużych kęsów, chłoń egzotyczne wonie, próbuj nowego i chwytaj momenty. Takie jak ten z tobą. Jest wyjątkowy, niepowtarzalny, tylko nasz. Już zawsze będziesz mi się kojarzyć ze świeżym tymiankiem i rozmarynem. I z tym miejscem. – Jeroen patrzył na mnie ciepło, a w jego oczach odbijały się tysiącem ogników światła ulicznych latarni, które właśnie rozbłyły.

Złożyliśmy zamówienie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, śmiejąc się i przekomarzając jak dwoje ludzi, którzy znają się od zawsze. Łączyło nas podobne poczucie humoru i optymistyczne spojrzenie na świat podług, *nomen omen*, włoskiej filozofii *la dolce vita*. Jeroen odrywał kawałki świeżego pieczywa, moczył je w gęstym, aromatycznym *olio* i wkładał mi prosto do ust. Ja odwdzięczałam się mu soczystymi, małymi *pomodori*, które zajadał ze smakiem, całując przy tym moje palce. Pachniały chlebem i oliwą.

– Jest bardzo *gezellig*! Już od dawna nie czułem tyle spokoju. Harmonii. Do twarzy ci z Amsterdamem. – Uśmiechnął się zamyślony.

– *Gezellig*? Co to oznacza? – zapytałam i upiłam łyk chłodnego prosecco.

Jeroen zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Typowo holenderskie, trudno przetłumaczalne słowo. Oznacza subiektywnie pojmowane uczucie, które ogarnia nas na widok piękna, dobra, miłości. Jest ciepłem, szczęściem, pozytywną wibracją. Poranną kawą po mocnym i zdrowym śnie, spotkaniem z dawno niewidzianym przyjacielem i wieczorną randką z najpiękniejszą dziewczyną na świecie...

– Popsujesz mnie komplementami. Obsypujesz mnie dziś nimi bez umiaru.

– Jestem prosty chłopak z Jordaanu. Nie umiem inaczej adorować kobiety. – Łobuzerski uśmiech Jeroena roztopił mnie doszczętnie.

– Uwielbiam cię, chłopaku! – Roześmiałam się głośno.

– Miałem cię już o to dawno zapytać. Skąd tak dobrze znasz angielski,

kochanie?

– To długa historia. Mój tata, któremu wojna przeszkodziła w należytej edukacji, kładł zawsze duży nacisk na to, żeby jego córki były wszechstronnie wykształcone. „To najlepszy i najwartościowszy posag, jaki mogę wam ofiarować” – mówił. Bez mrugnięcia okiem inwestował w dodatkowe lekcje, korepetycje, obozy językowe. Opłacił mojej siostrze i mnie niezwykle kosztowny kurs angielskiego w Londynie, który bardzo poprawił naszą wymowę i akcent. Oprócz angielskiego mówię trochę po niemiecku. To język, którego uczyłam się przez pięć lat na studiach.

– Jesteś bardzo ambitna. Jaki kierunek studiowałaś?

– Dziennikarstwo. Krótco pracowałam w zawodzie. Kiedyś ci opowiem dlaczego. A ty jakie masz wykształcenie? – zagadnęłam z zainteresowaniem.

– Po skończeniu szkoły średniej nie chciało mi się uczyć. Byłem zbuntowany i bardziej ciągnęło mnie w świat niż na uniwersytet. Wraz z paczką kumpli wybraliśmy się w podróż życia stopem po Europie. Pracowaliśmy dorywczo przy zbiorach winogron we Francji, jako pomocnicy na budowach w Austrii, ba, nawet przez jakiś czas jako barmani w klubie nocnym na Costa del Sol. – Jeroen uśmiechnął się do wspomnień. – Nigdy wcześniej i nigdy potem nie miałem takiej kondycji! Po powrocie do Holandii miałem się różnych zajęć. W końcu, jak mówi stare przysłowie, z wiekiem mądrzejemy i zmieniają nam się priorytety. Życie jako wolny ptak, bez stałej pracy, bez zobowiązań w końcu mi zbrzydło i zapragnąłem nagle tak znieawidzonej dotychczas stabilizacji. Byłem uparty, pracowity i powoli wspinałem się po szczeblach kariery. Po drodze skończyłem studia marketingowe na Hogeschool van Amsterdam^[47]. Ponieważ zawsze miałem swoje, niekoniecznie pokrywające się z pomysłami moich przełożonych, wizje, postanowiłem zacząć pracę na własny rachunek. I tak właśnie powstał Qleaning. Jestem dumny, że moja firma się rozwija, że mamy coraz więcej klientów. Włożyłem w nią całe swoje serce. Ciągłe jeszcze inwestuję, uczę się, szukam nowych rynków zbytu. Bycie własnym szefem oznacza, że praca praktycznie nigdy się nie kończy. Czuję się odpowiedzialny za kilkadziesiąt osób, które zatrudniam. Na początku siedziałem w firmie po nocach. Nie miałem czasu dla siebie, dla rodziny. To właśnie zarzucała mi moja była żona i to był główny powód, dla którego się rozstaliśmy. Rozwód z Annelieke uważam za swoją największą życiową porażkę. Nigdy też nie wybaczę sobie traumy, jaką zafundowałem swoim dzieciom. Kocham je najbardziej na świecie i głęboko wierzę, że kiedyś mi to wybaczą. – Załamał mu się głos.

Wstałam od stołu i podeszłam do niego. Objęłam go mocno.

– Wybaczą, kochanie – powiedziałam szeptem. – Wiem to na pewno. Jesteś cudownym ojcem.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością i odwzajemnił mój uścisk.

– Mam taką nadzieję...

Niewidzialna nić porozumienia utkała już między nami swoją sieć. Wpadliśmy w nią oboje.

– Podziwiam cię – powiedziałam szczerze, wracając na miejsce. Dopięłam resztę wina. – Obrałeś sobie konkretny cel i konsekwentnie do niego dążyłeś. Mnie każda, nawet najmniejsza przeciwność losu zniechęca. Często walczę z jakimś problemem, który wydaje mi się górą nie do zdobycia. Czuję irracjonalny lęk przed zbliżeniem się do niej, a co dopiero, gdybym próbowała na nią wejść.

– Też tak miałem – odparł Jeroen. – Ale zawsze w takich właśnie chwilach zwątpienia i słabości przychodził ktoś, kto podawał mi linę asekuracyjną i mówił: „Dasz radę! Nie pękaj! Kto jak nie ty!”. Bałem się, ale szedłem za tym głosem. Czasem serca, czasem rozsądku. Kiedy stałem już na szczycie, moje wcześniejsze obawy i lęki wydawały się śmiesznie małe. Żałowałem, że tak długo zwlekałem z podjęciem decyzji. Wchodź na swoje góry, Aga. Nie bój się ich. To tylko twoja wyobraźnia sprawia, że wydają się poza zasięgiem. W gruncie rzeczy są na wyciągnięcie ręki.

Patrzyłam na niego zafascynowana. Czułam się przy nim silniejsza. Miałam w końcu oparcie, którego tak mi brakowało.

Ciemnowłosy kelner o łobuzerskim uśmiechu przyniósł w końcu nasze zamówienie. Wybraliśmy specjalność zakładu, cieką pizzę z szynką parmeńską, świeżą rukolą i mozzarellą.

– Zwróć uwagę na ciasto – powiedział cicho Jeroen. – Jest cienkie i sprężyste. Mario wypieka je wyłącznie z włoskiej mąki. Będiesz stracona na zawsze. Mam nadzieję, że zapamiętasz również, kto otworzył dla ciebie wrota tego kulinarnego raju!

Roześmiałam się i wzniosłam filuternie oczy do nieba.

Już po pierwszym kęsie ciasta nasączonego aromatem wyśmienitego sosu z domieszką czosnku, soli, oliwy i świeżych ziół wiedziałam, że Jeroen miał rację. Nigdy wcześniej nie miałam okazji jeść czegoś równie pysznego. Przyzwyczajona do nadmiaru dodatków, doceniłam w końcu siłę prostoty. O smaku nie decyduje bowiem ilość, a wyważone, wysmakowane i dobre jakościowo składniki. Zasada, która miała swoje zastosowanie nie tylko w kuchni. To był z pewnością również dobry przepis na życie.

Podnieśliśmy się powoli z krzesel. Pomimo nocnej już pory gwar i ruch na ulicach nie cichły. Amsterdam nigdy nie zasypiał, cierpiał na permanentną bezsenność. Powoli ruszyliśmy w kierunku *centraal station*, gdzie Jeroen zaparkował swoje auto. Szliśmy mocno objęci i wszystkimi zmysłami chłoniliśmy bliskość, której tak oboje potrzebowaliśmy.

– Krótco po rozwodzie, głównie wieczorami, spacerowałam bez celu ulicami miasta – mówił Jeroen. – Patrzyłem w oczy zabytkowym kamienicom stojącym od wieków wzdłuż kanałów w centrum. Obserwowałem piękne, wysmakowane

wnętrza, ludzi krzątających się w kuchniach lub zasiadających wspólnie do posiłku przy stole w salonie. To irracjonalne, wiem, ale ogrzewało mnie wtedy ciepło i poczucie bezpieczeństwa płynące z oświetlonych kwadratów okien odznaczających się jasną plamą na ciemnych ceglach fasad kamienic. Marzyłem, że wracam do domu i obserwuję przez chwilę z ukrycia swoją żonę, która wiedząc, że pojawię się za moment, nastawia w kuchni wodę na kawę, przeciera w skupieniu mój ulubiony kubek i podnosi wzrok znad kuchennego blatu, uśmiechając się ciepło, jakby czuła, że właśnie w tym momencie na nią patrzę. Niestety, w moim prawdziwym domu nikt już na mnie nie czekał.

Chciałam coś powiedzieć, ale w tylnej kieszeni spodni Jeroena zadźwięczała głośno komórka.

– Przepraszam cię – powiedział szybko, patrząc na wyświetlacz telefonu. – To Annelieke, muszę odebrać.

– *Met Jeroen?*^[48] – Przeszedł płynnie na holenderski i przystanął na chodniku.

Nie rozumiałam, o czym rozmawiał z byłą żoną, ale po intonacji jego głosu i zmienionym nagle wyrazie twarzy wyczułam, że stało się coś niedobrego.

– Kochanie, muszę jak najszybciej jechać do szpitala! Starszy synek spadł ze schodów. Lunatykował już od jakiegoś czasu! Prosiłem, żeby omówić ten problem z lekarzem rodzinnym, ale Annelieke, jak zwykle, musiała postawić na swoim! – Był bardzo zdenerwowany. – Mały został przewieziony karetką na izbę przyjęć!

– Jedź, oczywiście! Ja sobie poradzę! Złapię autobus!

– Nie, nie! Wracaj taksówką, tak będzie bezpieczniej. Nie chcę, żebyś po nocy tłukła się komunikacją miejską. Pospieszmy się!

Zaczęliśmy biec w kierunku widniejącego już w oddali dworca. Jeroen zatrzymał jadącego akurat w naszym kierunku białego mercedesa z napisem taxi. Chwilę porozmawiał z kierowcą, po czym zwrócił się do mnie:

– Kochanie, tak mi przykro. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę wiedział coś więcej. Do zobaczenia! – Pocałował mnie szybko i popędził w stronę podziemnych garaży.

– Wszystko będzie dobrze. Uważaj na siebie! – krzyknęłam za nim. I cicho sama do siebie powiedziałam: – I wracaj do mnie szybko...

Rozdział dwudziesty drugi

Dopiero nad ranem udało mi się na kilka godzin zdrzemnąć. Spałam płytkim, niespokojnym snem. Męczyły mnie koszmary, w których pojawiały się obce, złe twarze. Ktoś krzyczał, błyskały światła, w uszach dźwięczał natrętny odgłos policyjnego radiowozu. A może to była karetka pogotowia?

Z ulgą otworzyłam oczy. Na rozkopanej kołdrze leżał rozparty Kociołek. Patrzył na mnie uważnie zielonymi ślepiami, które zdawały się mówić: „A kto ci obiecał, że będzie lekko?”.

Szybko zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Jeroen wysłał mi w nocy wiadomość, że wszystko jest już pod kontrolą. Mały miał złamaną nogę i lekkie wstrząśnienie mózgu. Przez kilka dni pozostanie w szpitalu na obserwacji.

Przepraszam Cię. Nie tak planowałem zakończenie naszego romantycznego wieczoru.

Nie martw się, kochanie. Nadrobimy. I ten wieczór, i wszystkie inne. Opiekuj się swoim synkiem. Jesteśmy w kontakcie. X

Na pewno siedział całą noc w szpitalu. Ciekawe, czy ona też... Przez chwilę poczułam niepokój, ale od razu skarciłam się w myślach za głupie wątpliwości. Była żona już zawsze będzie w jego życiu. W końcu mają za sobą wspólną przeszłość, dzieci, wspomnienia, nie tylko złe, ale i dobre. Nie miałam wyjścia. Musiałam to jak najszybciej zaakceptować.

Powoli wstałam, owinęłam się szlafrokiem i poszłam do kuchni nastawić ekspres do kawy. Potrzebowałam na cito solidnej dawki kofeiny. Usiadłam przy stole z parującym kubkiem i wczorajszą bułką. Posmarowałam ją niezwykle popularnym w Holandii masłem orzechowym, zwanym tu *pindakaas*. Zapatrzyłam się na zachmurzone, stalowoszare niebo za oknem. Nie chciało mi się dzisiaj pedałowac do pracy. Postanowiłam pojechać autobusem, wysiąść wcześniej i przejść kawałek nadmorską promenadą, żeby przewietrzyć głowę. Czułam lekkie pulsowanie w skroniach. Nie pamiętam, ile kieliszków prosecco wypiął wczoraj, ale mogło być tak, że cierpiałam na najzwyklejszego w świecie kaca. Na szczęście Jeroen był rozsądniejszy i zamawiał wyłącznie wodę.

Wyciągnęłam z szafy džinsy i bluzę dresową, ale po chwili zastanowienia zmieniłam koncepcję ubioru. „Skoro nie jadę rowerem, równie dobrze mogę włożyć sukienkę!”, pomyślałam. „Sprawię tym przyjemność Annemarie! Już od dawna powtarzała, że powinnam ubierać się bardziej kobieco”.

Na przystanku stało kilka osób, każdy trzymała w dłoni małą składaną parasolkę, nieodłączny atrybut statystycznego Holendra. Zaczęłam szukać w przepastnej torbie *strippenkaart*^[49]. Kierowca autobusu podstemplował mój bilet

i zajęłam miejsce z tyłu prawie pustego pojazdu. W rzędzie obok mnie usiadł młody chłopak. Na przodzie busa konwersowały wesoło dwie starsze panie. Włożyłam do uszu słuchawki discmana i popatrzyłam obojętnie na chłopaka. Był ubrany w starą, poprzecieraną na ramionach skórzaną kurtkę. W lewym uchu nosił małe srebrne kółeczko. Srebrne kółeczko... w tym momencie coś mnie tknęło. Spojrzałam na niego uważniej. Odwrócił się powoli w stronę okna. Jego profil odcinał się wyraźnie na tle zamazanej deszczem szyby. Teraz miałam już stuprocentową pewność! To był ten sam chłopak, który napadł na mnie i Prospera w centrum Haarlemu! Zrobiło mi się gorąco. Bez chwili zastanowienia wypaliłam po polsku w jego stronę.

– Pamiętasz mnie?

Chłopak drgnął i obrzucił mnie zdziwionym wzrokiem.

– Nie wiem, o czym mówisz! – odburknął cicho.

– Pozwól, że ci przypomnę! Kilka dni temu razem ze swoim kompanem obrażałeś mojego przyjaciela. Kiedy stanęłam w jego obronie, uderzyłeś mnie w twarz i zwałeś gdzie pieprz rośnie. Prawdziwy z ciebie bohater! Możesz być z siebie dumny!

Spojrzenie chłopaka zhardziało. Rozejrzał się szybko wokół i wypalił:

– Wszystkie Polki, które łążą z czarnuchami, powinny być palone na stosie!

– O, proszę, jaki jesteś nowoczesny! – parsknęłam ze złością. – Na stosie!

Kłaniają się czasy średniowiecza! Człowieku, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! Oprzytomniej! Z takimi poglądami nie pasujesz do tego liberalnego kraju. Wracaj, skąd przyjechałeś, i szerz swoje światłe idee wśród podobnych sobie rasistów. I zapamiętaj sobie: do tej pory nie zgłosiłam jeszcze sprawy pobicia na policję, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym jeszcze dziś udała się na posterunek – rzuciłam ostrzegawczo. Działałam pod wpływem emocji. Nie wiem, czego oczekiwałam. Przepraszam? Skruchy?

Chłopak milczał. Powoli zbliżaliśmy się do pierwszego przystanku w Bloemendaal aan Zee. Jedna z kobiet siedzących przed nami wstała i nacisnęła czerwony guzik „stop”. Kierowca zaczął zwalniać, zbaczając lekko w kierunku zatoczki, na której czekało już kilku podróżnych. Nagle zahamował. Drzwi busa otworzyły się automatycznie z charakterystycznym przeciągłym sykiem. Chłopak poderwał się ze swojego siedzenia jak z katapulty i wyskoczył na zewnątrz. Stojąc już na chodniku, popatrzył na mnie z nienawiścią w oczach i wymownie przejechał ręką po gardle.

Wzruszyłam ramionami. „Jeszcze się policzymy, gnojku”, pomyślałam. Ale w głębi duszy było mi nieswojo. Kto wie, w jakich okolicznościach spotkamy się ponownie.

Krótki spacer wietrznymi uliczkami kurortu polepszył zdecydowanie moje samopoczucie.

Z ulgą skręciłam w stronę domu Annemarie. Na zwirowanym podjeździe przed willą stał srebrny motor Stijna. Zastukałam kołatką trzykrotnie w solidne drzwi wejściowe, gratulując sobie w duchu porannej decyzji o zmianie garderoby. Nie potrafiłam racjonalnie wytłumaczyć tego uczucia, ale wołałam, żeby Stijn nie oglądał mnie w rozciągniętych dresach. Przez chwilę stałam pod zamkniętymi drzwiami. Ponowiłam pukanie, ale nikt nie otwierał. Postanowiłam spróbować wejść do domu od strony ogrodu. Kuchenne drzwi były prawie zawsze otwarte. Skręciłam w wąską, wysypaną białymi kamykami ścieżkę obsadzoną szczodrze hortensjami i znalazłam się na tyłach posesji. Na trawniku, pod imponującym zwojem kwiatów hibiskusa, stał zamyślony Stijn. Zatrzymałam się nagle i zapatrzyłam na niego. Miał na sobie białą lnianą koszulę, która idealnie podkreślała jego lekką opaleniznę. Po chwili mnie zauważył, podniósł prawą dłoń i uśmiechnął się serdecznie.

– Agnies! – zawołał. – Długo czekasz? Przepraszam, nie słyszałem, jak przyszedłaś.

Podeszłam do niego wolno.

– Nic nie szkodzi. – Podałam mu rękę, którą mocno uściśnął. – Starsza pani ucięła sobie drzemkę? – zapytałam.

– Tak – westchnął Stijn. – Jest coraz słabsza. Bardzo się o nią martwię...

Annemarie czuła się ostatnio gorzej. Spała częściej i dłużej w ciągu dnia, zdarzało się, że podczas posiłków wpadała w lekkie odrętwienie, irytowała się bez powodu, zapominała o lekach. Trzeba ją było pilnować jak małe dziecko.

– Napijesz się ze mną kawy na tarasie? – Spojrzał na mnie Stijn. – Właśnie zaparzyłem świeżą.

– Chętnie – odpowiedziałam. – Potem pójde zbudzić Annemarie. Może wybierzemy się razem na spacer.

Usiedliśmy na miękkich rattanowych fotelach. Stijn ostrożnie wlewał gorący napój do filiżanek.

– Zaaklimatyzowałaś się już trochę w Holandii? – zapytał i upił łyk ulubionej w tym domu Douwe Egberts.

Uśmiechnąłem się i sięgnęłam po swoją filiżankę.

– Tak. Myślę, że tak. Mam wokół siebie dobre duchy, które pomagają mi się tu odnaleźć.

Stijn patrzył na mnie uważnie.

– To dobrze. Bardzo się cieszę, że pomagasz nam w opiece nad babcią. Ona cię uwielbia, a wbrew pozorom nie jest już taka otwarta na ludzi jak kiedyś. Coraz trudniej jej komuś zaufać. To niezwykła osoba. Wiele przeszła, a pomimo to jest pełna radości życia. Każdy z nas powinien się tego od niej uczyć.

– To prawda – potwierdziłam z przekonaniem. – Starsza pani ma duszę młodej dziewczyny. Dlatego ją pokochałam. Już od dawna nie jest tylko osobą, dla

której pracuję. W ogóle tak o niej nie myślę. Jest dla mnie kimś, kto potrzebuje wsparcia, pomocy, ciepłego słowa, przytulenia. Annemarie zasługuje jak nikt na to, żeby ostatnie lata życia spędzić w spokoju i miłości. Jest rodziną, babcią, której już nie mam...

– Agnies... poruszające jest to, co mówisz. Teraz rozumiem w pełni fascynację Annemarie twoją osobą. Ma całkowitą rację, twierdząc, że jesteś wyjątkowa.

– Nie mówmy o mnie – poprosiłam speszona. – Opowiedz mi o niej. Czy to prawda, że była kiedyś znaną pianistką?

Stijn zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

– To prawda – odpowiedział. – Babcia od dziecka przejawiała ponadprzeciętne uzdolnienia. Pierwsze lekcje gry na fortepianie pobierała już w wieku pięciu lat. Jej rodzice, zamożni amsterdamscy mieszczenie, wysłali ją na studia do Wyższej Szkoły Muzycznej w Berlinie. Jej opiekunem i mentorem był sam ówczesny dyrektor tej uczelni. Koncertowała już w czasie nauki, występowała wtedy głównie przed niemiecką publicznością. Przyjmowano ją entuzjastycznie, nie tylko ze względu na niezwykły talent, ale również oszałamiającą urodę. Podczas jednego z występów już tutaj, w Amsterdamie, zobaczył ją po raz pierwszy mój dziadek, Etienne. Był zapalonym melomanem i, podobnie jak Annemarie, wielbicielem Fryderyka Chopina. Annemarie grała wówczas jego koncert fortepianowy f-moll. Można powiedzieć, że połączyła ich wspólna fascynacja francuskim kompozytorem.

– Chopin nie był Francuzem – odważyłam się przerwać opowieść Stijna. – Urodził się w Polsce. I właśnie polska muzyka ludowa była jego największą inspiracją.

Stijn wyglądał na zaskoczonego.

– Przepraszam cię, Agnies. Co za ignorancja z mojej strony. Byłem przekonany, że korzeni Chopina należy szukać w Paryżu.

– Wielu ludzi tak myśli, może dlatego, że lata jego największej popularności przypadają na okres francuski. To był wyjątkowy wirtuoz i kompozytor. Nazywamy go poetą fortepianu. Jestem dumna, że pochodził z kraju nad Wisłą. I cieszę się, że dowiedziałeś się tego właśnie ode mnie. Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym cię czymkolwiek zaskoczyć.

– A jednak. – Stijn się uśmiechnął.

– Powiesz mi, co było dalej? Z Annemarie i Etienne'em?

– Co innego mogło się wydarzyć? – zapytał swoim ciepłym głosem... – Dalej była wielka miłość.

W tym momencie drzwi tarasowe otworzyły się i na zewnątrz wyjechał majestatycznie wózek starszej pani. Oboje odwróciliśmy się w jej stronę.

– Tu jesteście, moje gołąbeczki! – Annemarie miała lekko zaróżowioną od

snu buzię. Uśmiechała się ciepło, popatrując to na Stijna, to na mnie. – O czym rozmawiacie?

– Raczej o kim. – Stijn rzucił znaczące spojrzenie w moim kierunku. – Opowiadam Agnies o tobie, babciu. – Ujął miękko dłoń starszej pani i pocałował ją. – Jak się czujesz, staruszek? – zapytał zatroskanym głosem.

Annemarie przymknęła na chwilę oczy.

– Lepiej, kochany, już lepiej. Mogę prosić o filiżankę herbaty?

Zerwałam się z fotela.

– Zaparzę świeżej. Karin nazbierała dziś rano mięty w ogrodzie.

– Chętnie napiję się jej słynnego orzeźwiającego naparu. Prawdę mówiąc, to mam ochotę na kieliszek czerwonego wina, ale nie sądzę, żeby Karin uznała to za dobry pomysł. – Mrugnęła do mnie filuternie.

– Zaraz po obiedzie wykradnę z kuchni butelkę wybornego bordeaux – obiecałam. – Poprawimy sobie krążenie. Podobno czerwone wino to też silny antyoksydant. Nigdy się nie zestarzejemy.

Starsza pani śmiała się w głos.

– Przedni pomysł! Ale popatrz na mnie, *lieverd!* Chyba już trochę za późno na kuracje odmładzające!

– Już dawno miałam to powiedzieć! – Stałam przy wózku starszej pani i nachyliłam ku niej głowę. – Często widuję dziewczyny, które są młodsze i ładniejsze ode mnie, ale rzadko zdarza mi się zobaczyć kobietę, która śmieje się bez powodu tak często jak ja – ciągnęłam. – W ten sposób dorobiłam się większości zmarszczek mimicznych, kurzych łapek i tym podobnych bzdur. Nie spędza mi to bynajmniej snu z powiek. Wierzę, że dzięki wrodzonej radości życia i niepoprawnemu optymizmowi będę zawsze młoda. Tak jak pani... Dobrego samopoczucia nie da się naciągnąć, napiąć, zliftingować czy wygładzić. Najpiękniejsze twarze to takie, na których widać prawdziwe emocje... Pani twarz to mapa życia, Annemarie. Można zobaczyć na niej zarówno szczęście, radość, jak i błędy, potknięcia, porażki. Ta twarz pulsuje pasją i realizmem, a nie pustką i iluzją. Dlatego jest najpiękniejsza na świecie...

Annemarie uściśnęła bez słowa moją rękę. Sięgnęłam po stojący na stole dzbanek z zimną już herbatą.

W tym momencie mój wzrok napotkał spojrzenie Stijna. Patrzył na mnie, jak zawsze, przyjaźnie i ciepło. Ale tym razem w jego spojrzeniu dostrzegłam coś nowego.

Myślę, że już oboje wiedzieliśmy, że od tej pory wszystko będzie inaczej...

Rozdział dwudziesty trzeci

Miniaturowy pokój Julki chyba jeszcze nigdy w życiu nie gościł naraz tylu ludzi. Przy stole siedzieli rozparci bracia Daltonowie. Pod oknem, nerwowo gryząc paznokcie, stał Tadzik „Bohun”, a na łóżku przycupnęła, zalewając się łzami, Bożenka. Wśród tego ludzkiego chaosu krążyłam ja, rozdzielając napoje i przyniesione przez Prospera z pobliskiego snack baru frytki. Jak zwykle, nie miałam w domu nic pożywnego do zjedzenia, na szczęście niezawodny sąsiad pospieszył z pomocą. Niespodziewana wizyta zaskoczyła mnie i pokrzyżowała trochę plany, ale nie mogłam zostawić swoich polskich przyjaciół na lodzie.

Bożenka zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem z mrozącą krew w żyłach informacją, że została bez pracy. Mało tego, problemy z nieuczciwym szefem mieli również Jerzyk i Romek. Ponieważ z rozmowy telefonicznej z rozhisteryzowaną przyjaciółką niewiele mogłam zrozumieć, zaprosiłam całe towarzystwo do domu. Naiwnie wierzyłam, że w ten sposób łatwiej zaradzimy kłopotom i w miarę szybko znajdziemy jakieś konkretne rozwiązanie. Okazało się, że pracodawca braci Daltonów już od paru tygodni zalegał z wypłatą nadgodzin. Nie zwracał im również dodatkowych pieniędzy za dojazdy do pracy. Kiedy upomnieli się w końcu o swoje, wyrzucił ich z biura i kazał natychmiast opuścić kwaterę. Mieszkali, tak jak pozostali pracownicy firmy, w hotelu robotniczym, za który płacił szef.

Patrzyłam na nich z niedowierzaniem.

– Gdzie teraz śpicie? – zapytałam zatroskana.

– U Tadzka. Gnieździemy się razem z nim w jednym pokoju. Bożena wegetuje w klitce obok. Uwierz mi, twoje warunki mieszkaniowe to Wersal w porównaniu z naszą norą!

Miałam nieodparte wrażenie, że Romek chciał splunąć z rezygnacją na podłogę, na szczęście się powstrzymał. Bożenka chlipnęła rozdzierająco i wytarła zamasyście nos.

Popatrzyłam na Jerzego.

– Opowiedz wszystko od początku – poprosiłam.

Jurek łypnął na mnie spode łba i zaczął mówić:

– Do tej pory pracowaliśmy dla holenderskiego potentata w eksporcie cebulek kwiatowych na rynki europejskie. Tulip International BV słynie z doskonałej jakości i błyskawicznej realizacji zamówień. Dyrektor firmy jest zarazem jej właścicielem. To prawdziwy dyktator. Harują dla niego tysiące ludzi. Są werbowani głównie przez agencje pośrednictwa oferujące tanią siłę roboczą z Europy Wschodniej. Szef, Jaap, wymaga wydajności graniczącej w wyzyskiem. Jeżeli pracownik nie wyrobi normy dziennej, zostaje po godzinach. Tylko że za te nadgodziny nikt mu nie płaci.

– I nikt z was nigdy nie protestował? A to biuro, które pomogło wam

w znalezieniu zatrudnienia? Nie mogą wam pomóc?

Bracia roześmiali się głucho.

– Aga! Na jakim świecie ty żyjesz? Biuro wzięło kasę za pośrednictwo i tyle ich widzieli. Zdajesz sobie sprawę z tego, ilu mają chętnych na nasze miejsca? Jaap uważa, że powinniśmy go po rękach całować za sam fakt, że daje nam legalną robotę! – Jerzyk, gestykulując żywo, poderwał się z krzesła.

– Do tej pory siedzieliśmy cicho – wtrącił Romek. – Znamy swoje miejsce. Lepiej się nie wychylać. Ale teraz miarka się przebrała. Szef dostał nowe, gigantyczne zamówienie z Rosji. W ciągu dosłownie paru dni musieliśmy przygotować dla kontrahenta tysiące cebulek. Jaap zwariował. Gonił nas od świtu do nocy. Patrzył krzywo nawet na zagwarantowaną prawem pracy przerwę na lunch! Mógł wynająć dodatkową siłę roboczą. Ale nie! Kłóciłoby się to z jego naczelną zasadą, którą powtarzał nam przy każdej nadarzającej się okazji. *Quick and cheap!* Ludzie spali po kilka godzin dziennie. Juras i ja na kondycję narzekać nie możemy! – Romek zgiął rękę w łokciu, prezentując dumnie spory biceps. – Ale i my ledwo powłóczyliśmy nogami. To nie wszystko! Woziliśmy też na zmianę innych pracowników szefa. Robili w szklarni spory kawałek od nas. Mamy busa, osiem osób wejdzie bez problemu. Jaap od razu przyważył nasze auto i zaproponował dodatkowy zarobek za transport jego ludzi. Miał zwracać nam za przejechane nadprogramowe kilometry plus mały dodatek motywacyjny za fatygę. Nie umawialiśmy się na konkretną sumę, ale nie było powodów, żeby mu nie wierzyć. W końcu wyświadczaliśmy mu przysługę. Bomba wybuchła przedwczoraj. Dostaliśmy wypłaty za tydzień pracy. Wyrobiliśmy ponad siedemdziesiąt godzin. Przelew był za czterdzieści! Obiecanej kilometrówki oczywiście brakowało! Juras wkurzył się tak, że bałem się, żeby na jaki zawał nie zszedł.

Jurek kiwnął potakująco głową.

– Chwyciłem pełen wykaz godzin i pogałem do biura. Przyznaję, nie przebierałem w słowach. Zrobiłem tam karczemną awanturę i...

– I szef wywalił nas na zbity pysk! – dokończył Romek. – W ten oto sposób zostaliśmy bezrobotni i bezdomni. O tej kasie, którą nam wisi, też możemy zapomnieć.

– Pierwsze dwa dni przekimalim w aucie. Potem, na szczęście, odezwał się Tadek... I tak koczujemy teraz u niego na waleta. Jakby tego było mało, Bożena również straciła robotę... Ech, jak jedno się pieprzy, to wszystko się pieprzy. – Jurek popatrzył zrezygowany po naszych twarzach.

Zerknęłam w kierunku Bożeny. Już nie płakała. Siedziała bez ruchu na łóżku i skubała nerwowo frędzle narzuty.

Westchnęłam cicho i zwróciłam się do przyjaciółki.

– Kochana, teraz twoja kolej. Co się stało?

Spojrzała na mnie zrezygnowana.

– Jak szybko czegoś nie znajdę, to muszę wracać do Polski.

– Przecież u ciebie jest inaczej niż u Romka. Zajmowałeś się domami kilku rodzin! – Przypomniałam sobie jej opowieści o pracodawcach. – Chyba nie zwolnili cię we wszystkich?

– W trzech! Tam, gdzie najlepiej płacili. Trafiłam do nich z polecenia dyrektorowej, pamiętasz, mówiłam ci o niej. Wszyscy się znają, mieszkają w jednej dzielnicy!

– Czym im podpadłaś, mów. Nie chciałaś nosić fartuszka? – Próbowałam bezskutecznie ją rozweselić.

– Od tego cholernego fartuszka wszystko się zaczęło. – Bożenka poprawiła się na łóżku i zaczęła mówić: – Na początku swojej pracy u państwa dyrektorostwa nadzorowała mnie wyłącznie pani domu. Jego nigdy nie było. Prowadził rozległe interesy i non stop siedział na walizkach. Właściwie do domu wpadał wyłącznie po to, żeby je przepakować. Zdarzało się, że w jednym tygodniu prasowałam nawet i po trzydzieści koszul. Wszystkie śnieżnobiałe, bo tylko taki kolor tolerował pan dyrektor. Koszule z plamami, nawet takimi, które bez trudu można było wywabić, łądowały na śmietniku. Czyste marnotrawstwo! Ale cóż się dziwić, skoro pani domu nie miała pojęcia, że zabrudzenie po winie czy tłustym sosie trzeba najpierw zaprać? Kilka razy zdarzyło mi się wyciągać z kontenera jedynie raz używane hugo bossy. Na świeże plamy najlepsza jest sól, starym może podolać tylko amoniak. – Bożena westchnęła z miną znawczyni, po czym relacjonowała dalej: – Pan domu zauważył i docenił moje starania. Jak twierdził, dzięki mojej przezorności i pomysłowości zaoszczędził setki euro. „Przydałaby mi się taka oszczędna i gospodarna żona”, przygadywał niby w żartach, ale już wtedy coś mnie tknęło. Każdy facet, czy to Polak, czy Holender, jedno ma w głowie. Moje przypuszczenia sprawdziły się co do joty. Pan dyrektor coraz częściej, niby to przypadkiem, wpadał w ciągu dnia do domu, wracał wcześniej z zebrań, a na zagraniczne wojaże wysyłał zastępców. „Home sweet home...”, podśpiewywał wesoło pod nosem, parkując swojego jaguara w podziemnym garażu. Dziwnym trafem jego wolne popołudnia wypadały dokładnie w te dni, w które pracowałam w rezydencji. Nie zastanawiałam się wtedy nad tym, miałam wystarczająco dużo obowiązków i bardzo się starałam, żeby wykonywać je najsumienniejszym, jak tylko umiałam.

Któregoś dnia pani domu umówiła się z przyjaciółkami na lunch. Jej męża nie było na miejscu, przykazała mi więc, żebym po skończonej pracy pozamykała starannie wszystkie okna i zatrzasnęła dobrze za sobą drzwi. Udało mi się wyjątkowo szybko uwinąć z robotą, na sam koniec zostawiłam sobie sypialnię państwa. Zamierzałam zmienić pościel i porządnie poodkurzać.

Włazałam na kolanach pod łóżko, gdyż tam zbiera się zawsze najwięcej brudu, macham zawzięcie szczotką, gdy nagle czuję, że ktoś dobiera się do mnie od

tyłu. Jezu Chryste! Włamywacz! Albo, nie daj Boże, morderca! Nie namyślając się długo, zdzieliłam zbira na oślep w pysk i dołożyłam jeszcze rurą od elektroluksa po łbie tak, żeby go wielkanocnym barszczem szczyściło, łobuza jednego! Sekundy ledwo potrzebowałam, żeby ochłonąć. I cóż się okazało? Mordercą i włamywaczem był nikt inny jak sam pan dyrektor!

Sytuacja zrobiła się poważna, ale mimo to zarówno ja, jak i bracia Daltonowie kulaliśmy się ze śmiechu po pokoju, wyobrażając sobie naszą dzielną Bożenkę uzbrojoną po zęby w rurę od odkurzacza i dzielnie broniącą swojej cnoty.

Przyjaciółka patrzyła na nas z niemym wyrzutem w oczach, więc z trudem opanowaliśmy głupawkę, żeby mogła mówić dalej.

– W życiu nikt mnie tak nie zaskoczył, a uwierzcie mi, niejedno widziałam! Zerwałam się jak z procy, pobiegłam do kuchni po apteczkę i opatrzyłam gigantyczny siniak na twarzy pana dyrektora oraz spory guz na jego głowie. Twierdził, że wrócił wcześniej do domu, żeby mi POMÓC! Cóż było robić. Naiwnie udałam, że wierzę w jego bajeczkę. Wysłałam go na dół, a sama dokończyłam sprzątanie. Cichcem wymknęłam się z domu. Postanowiłam zapomnieć o całej sprawie, ale zachować czujność.

Następnego dnia otrzymałam oficjalną wiadomość, że mam niezwłocznie zgłosić się do dyrektorostwa. Pojechałam do nich z duszą na ramieniu. Na miejscu doświadczyłam najbardziej żenującej sytuacji w historii ludzkości. Zdumiona usłyszałam, że pan domu nakrył mnie na płańdrowaniu kasetki z biżuterią swojej żony. Podobno byłam tak rozwścieczona faktem, że wrócił wcześniej do domu i pokrzyżował moje złodziejskie plany, że bez namysłu zdzieliłam go po głowie tępym (!) narzędziem! Ponieważ do tej pory bez zarzutu wykonywałam swoje obowiązki, państwo wielkodusznie postanowili oszczędzić nam obojgu stresu związanego z wzywaniem policji i nie składać doniesienia o napaści i próbie kradzieży. Miałam jednak bezzwłocznie opuścić ich dom i nigdy więcej nie pojawiać się w jego pobliżu. W przeciwnym wypadku będą zmuszeni podjąć odpowiednie kroki prawne. Na sam koniec oznajmili również, że pozostałe rodziny, u których pracowałam, zostały już powiadomione o tym niecnym występku i jak sama mogę się domyślić, również nie życzą sobie mnie więcej widzieć. – Bożenka zwiesiła głowę i zaczęła bezgłośnie płakać.

Podeszłam do niej, objęłam i przytuliłam ją mocno. Ci ludzie, u których pracowała, nie mieli wstydu. Jak można było tak kłamać i manipulować faktami! Nie wierzyłam, że żona pana dyrektora nie знаła prawdy. Z pewnością to nie pierwszy i nie ostatni raz, kiedy jej mąż dobierał się do pracownicy. Mogłabym przysiąc, że próbował zbałamucić już niejedną Bożenkę. I za każdym razem uchodziło mu to na sucho.

– Kochani, jak mogę wam pomóc? – zwróciłam się do przyjaciół. Wprawdzie nie miałam zielonego pojęcia, jak mogłabym rozwiązać ich problemy,

ale zdawałam sobie sprawę, że czekają na moje wsparcie i słowa otuchy.

Jurek odchrząknął głośno i spojrział znacząco na Bożenkę i Romka.

– Pamiętasz, jak mówiłaś nam, że pracujesz u bardzo znanego prawnika? – zaczął niepewnie.

– Prokuratora – poprawiłam go automatycznie.

– No właśnie... może on... może mogłabyś go zapytać... przecież w świetle prawa to nielegalne, co spotkało nas i Bożenę. Tak nie można z ludźmi.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Porozmawiam z Janem – odparłam. – Nie mogę wam, niestety, niczego obiecać – zastrzegłam. – To bardzo delikatne sprawy. Jan jest specjalistą w innej dziedzinie. – Nie chciałam wdawać się zbyt w szczegóły jego pracy.

– Ale to prawnik! – zachlipała Bożena. – Na pewno wie, do kogo ewentualnie moglibyśmy się zgłosić w celu dochodzenia naszych praw.

– Oczywiście, masz rację – zapewniłam. – Obiecuję wam, że zajmę się tą sprawą. Tu potrzebny jest spec od prawa pracy, ale jestem pewna, że Jan ma rozległe znajomości w prawniczym świecie.

– Dziękujemy, Aga! To dla nas bardzo ważne, sama rozumiesz. – Romek wstał i kiwnął ręką na pozostałych. – Zbieramy się, wiara! Będziemy w kontakcie! Jeżeli czegoś się dowiesz, proszę, dzwoń. – Poklepał mnie serdecznie po ramieniu. – My, Polacy na emigracji, musimy trzymać się razem... – dodał cicho.

– Jasne, że tak! Poczekajcie, odprowadzę was do autobusu! – Chwyciłam szybko kurtkę z wieszaka i wyszliśmy na zewnątrz.

Szliśmy miarowym krokiem w milczeniu. Przed samym przystankiem rozpadał się rzęsisty deszcz. Pożegnałam serdecznie przyjaciół i ruszyłam biegiem z powrotem do domu. Wpadłam do środka kompletnie mokra. Właśnie wycierałam rącznikiem włosy, gdy usłyszałam charakterystyczne piknięcie telefonu. SMS. Jeroen! Ucieszyłam się i chwyciłam leżącą na stole komórkę.

Tęsknię za Tobą...

Tu znowu ulewa! Dopadła mnie zniecka! Przemokłam do suchej nitki! Deszcz był dosłownie wszędzie!

Wszędzie? Szczęściarz! Chciałbym być tym deszczem.

To na co jeszcze czekasz? Przyjdź do mnie. Bądź ulewą, która spadła na mnie przed chwilą.

Naprawdę tego chcesz? Jesteś pewna?

Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna. Czekam na Ciebie...

Nie byłam pewna.
Byłam samotna.

Rozdział dwudziesty czwarty

Siedziałam na miękkich poduszkach rozrzuconych pozornie niedbale po pokoju Prospera i piłam słodką, aromatyczną *thee*. Mój przyjaciel był prawdziwym ekspertem, jeżeli chodzi o jej przyrządzanie. Nie uznawał żadnych półśrodków, patrzył pogardliwie na ułatwienia cywilizacyjne typu gotowe mieszanki czy, nie daj Boże, torebki na sznurku z „liściastym śmieciem”. Niczym wytworny angielski dżentelmen pijał wyłącznie mocne napary przyrządzane z najlepszych gatunków herbat. To była chyba jedyna kosztowna ekstrawagancja Prospera. Swoje autorskie mieszanki doprawiał w sobie tylko znany sposób imbirem, goździkami czy cynamonem. Jego aromatyczne napoje pobudzały subtelnie wszystkie zmysły, dodawały energii, rozgrzewały i koły.

Właśnie takiego ukojenia bardzo dziś potrzebowałam.

Prosper przysiadł na swojej ulubionej poduszce obok mnie, podwinął pod siebie śmiesznie długie, chude kończyny i zagadnął wesoło:

– Wczoraj dużo Polska u ciebie! To głośny kraj i ludzie!

Roześmiałam się i popatrzyłam na niego z sympatią. Zawsze wiedział, kiedy i jak poprawić mi humor.

– Znowu mówisz po polsku? Pamiętasz, jak było na samym początku, na dworcu w Amsterdamie? Zagadnąłeś mnie w ojczystym języku. Teraz rozmawiamy wyłącznie po angielsku. Trochę szkoda.

Prosper wzruszył ramionami.

– Tak jest łatwiej i szybciej. Poza tym, jak wiesz, moja ulubiona nauczycielka wyjechała do Afryki i nie mam z kim powtarzać słówek.

– Zawsze możesz robić to ze mną. Myślę, że mój zasób słownictwa jest równie bogaty jak Julki. Ale rozumiem, że wolisz ćwiczyć z nią. Te romantyczne przerwy pomiędzy zajęciami... – Mrugnęłam porozumiewawczo w jego kierunku i pokazałam niesfornie język.

Prosper pogroził mi palcem.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął z niewinną miną. – Lepiej powiedz mi, jak zamierzasz rozwiązać problemy swoich znajomych. To niełatwa sytuacja.

Zastanawiałam się jeszcze przez chwilę, po czym odpowiedziałam niepewnie:

– Mam pewien pomysł. Nie wiem oczywiście, czy jest realny, ale zawsze warto spróbować. Zarówno bracia Daltonowie, jak i Bożenka to dobrzy i uczciwi ludzie. Dadzą z siebie wszystko, jeżeli ktoś poda im pomocną dłoń. I chyba wiem, kto mógłby to być.

Prosper spojrzał na mnie pytająco.

– Kogo konkretnie masz na myśli?

– Twojego szefa! – wypiłam. – Parę razy mówił mi, że szuka

zmotywowanych i niebojących się ciężkiej pracy ludzi. Co o tym myślisz? Zwariowałam czy mam rację?

– Szczerze? Uważam, że to genialny pomysł. O dobrego pracownika dziś ogromnie trudno. My, cudzoziemcy, jesteśmy bardziej zmotywowani i elastyczni niż Holendrzy. Nie mamy wielkich wymagań. Uczciwa płaca i należny nam szacunek. To wszystko. Rozmawiałaś już o tym z Jeroenem?

Westchnęłam cicho i upiłam solidny łyk letniej już herbaty.

– Nie było kiedy. Nasz wieczór ponownie zakończył się trochę inaczej, niż planowaliśmy...

Jeroen pojawił się u mnie nieco później niż zwykle.

– Jestem wykończony – powiedział już przy drzwiach. – Miałem dziś kolejny bardzo długi i stresujący dzień. Mój synek nawet na chwilę nie może zostać sam. Od razu dostaje histerii. Annelieke właśnie przejęła przy nim dyżur.

– Jak się czuje...? – Dopiero teraz zorientowałam się, że nawet nie wiem, jak mają na imię jego chłopcy.

– Maks. Fizycznie jest już zdecydowanie lepiej, ale psychicznie dramat. Mój syn to wulkan energii, nie usiedzi pięciu minut w jednym miejscu, a teraz ten gips unieruchomił go na parę tygodni. Jest marudny, rozdrażniony, bezwzględnie wykorzystuje uprzywilejowaną pozycję „chorego, pokrzywdzonego dziecka”, wiedząc, że nie jesteśmy w stanie mu niczego odmówić. Młodszy, Theo, nie może być oczywiście stratny. Od razu, kiedy wchodzę do domu byłej żony, ciągnie mnie do swojego pokoju, domagając się, słusznie zresztą, należnej mu porcji uwagi. Jestem dosłownie między młotem a kowadłem. Przecież się nie rozdwoję!

Jeroen usiadł ciężko na krześle i przymknął oczy. Podeszłam do niego powoli. Objął mnie w talii i przytulił mocno. Położyłam rękę na jego głowie, czując pod palcami miękkie, gęste włosy. Gładziłam delikatnie jego twarz, obrysowując opuszkami palców kontur rozchylonych ust. Czułam ciepły oddech na rękach.

– Już dobrze, kochanie. Dzisiaj zostaniesz tutaj... – powiedziałam cicho.

Spojrzał na mnie, a oczy mu pociemniały.

– Chodź do mnie... – wyszeptał i pocałował zachłannie, tak jakby miał to być nasz ostatni raz.

Pragnęłam bliskości i spełnienia. Powoli rozpinałam guziki jego koszuli. Miał piękne, umięśnione ciało. Namiętnie oddawałam coraz śmielsze pocałunki. Szukaliśmy się nawzajem niecierpliwie, błędząc jeszcze niepewnie w dotyku naszych rąk. Pociągnęłam go mocno w kierunku łóżka...

W tym momencie zadzwonił telefon. Jeroen sięgnął automatycznie do tylnej kieszeni dżinsów i patrząc na mnie nieprzytomnie, z trudem wyartykułował:

– Tak?

Ochłonęłam w jednej chwili i narzuciłam na siebie sweter. Zrobiło mi się

zimno. Magiczna chwila stała się szarą rzeczywistością.

Jeroen zapinał niezdarnie jedną ręką guziki koszuli. Rzucił jeszcze coś szybko do słuchawki, po czym rozłączył się.

– Mały cały czas płacze. Nie mogą go uspokoić. Woła bezustannie papa. – Nie patrzył na mnie. Potarł dłońmi poszarzałą twarz i podniósł się z łóżka.

Podeszłam do okna. Chciałam coś powiedzieć, uspokoić go, że nie szkodzi, że nic się nie stało, ale głos uwiązł mi w gardle. Jeroen podszedł do mnie, objął i przyłgnął mocno do moich pleców.

– *Liefje...* przepraszam cię – wyszeptał w szorstki materiał swetra. – Zadzwoń.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Ogarnęła mnie przejmująca cisza. Bałam się odwrócić. Przerazała mnie pustka pokoju, w którym przed chwilą był żar i namiętność.

– Aga... – Prosper chwycił mnie za rękę.

Otworzyłam oczy.

– Aga... – powtórzył.

Patrzyłam na niego bez emocji.

– Musisz to zaakceptować. Nie możesz się na niego gniewać. To w końcu jego syn!

– Nie mów do mnie jak do dziecka! – obruszyłam się. – Ja to wszystko wiem. Rozumiesz? Racjonalnie mogę sobie to wszystko poukładać w głowie. Ale w tym przypadku emocje górują nad rozumem. Nie gniewam się. Jest mi tylko smutno i źle. Nawet jeżeli Jeroen pokocha mnie najbardziej na świecie, to będę dla niego już zawsze na drugim miejscu. To nie jest niczyja wina. Tak po prostu jest. Tylko ja mam wątpliwości, czy jestem na to gotowa. Czy tego właśnie chcę. To egoistyczne, wstrętne, okropne. Wiem. Ale nic nie mogę na to poradzić.

– Tysiące ludzi żyje w takich związkach – zaczął Prosper.

– Zdaję sobie z tego sprawę! – przerwałam mu zniecierpliwiona. – Ale to są ich wybory. Pozwól mi dokonać swojego.

– Nieważne, co postanowisz. Będę zawsze po twojej stronie...

Nie powiedziałam już nic. Nie musiałam. Milczeliśmy oboje. W końcu przerwałam ciszę i podnosząc się z niechęcią z wygodnego siedziska, rzuciłam:

– Zbieram się, sąsiedzie! Muszę jeszcze zajrzeć do supermarketu. Skończył mi się chleb.

– Uważaj na siebie. – Prosper patrzył na mnie zatroskany. – I nie martw się już. *Alles komt goed*^[50].

Pobiegłam do siebie po portmonetkę i płócienną torbę na zakupy. Na stole wibrowała natarczywym dzwonkiem komórka. Zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Jeroen. Osiem nieodebranych połączeń. To było dziewiąte. Wyłączyłam telefon. Nie byłam gotowa na rozmowę. Jeroen niepostrzeżenie stał się dla mnie cholernie

ważny. Nie chciałam bawić się jego uczuciami. Musiałam być pewna, że dam radę dzielić się jego miłością z kimś innym. Równie ważnym jak ja.

Po drodze do supermarketu przerabiałam w myślach najrozmaitsze scenariusze. Układałam nam życie na najbliższe dwadzieścia lat. Optymistyczna wersja zakładała, że dojdziemy do porozumienia, ja zaakceptuję jego dzieci, one pokochają mnie i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Byłam jednak realistką i zdawałam sobie sprawę, że może być odwrotnie. Synowie mogą być zazdrośni o ojca i toczyć o niego nieustanną walkę. Być może nawet mnie obwiniać o rozpad małżeństwa rodziców. „Bzdura!”, skarciłam się w myślach. Przecież nawet mnie nie znał, kiedy się rozstali.

Pograżona w hipotetycznych rozważaniach na temat przyszłości, nie zauważyłam samochodu Jeroena. Zaparkował go niedbale przy samych schodach do mojego mieszkania. Z ociąganiem weszłam na górę.

Przysnął na podłodze przed moimi drzwiami, oparty plecami o framugę drzwi. Miał bladą, zmęczoną twarz.

Odłożyłam na bok torbę z zakupami i usiadłam obok niego. Wzięłam go za rękę. Z trudem uniósł powieki. Jego oczy pojaśniały na mój widok. Chwycił mocno moją dłoń i podniósł do ust.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu? Bałem się, że coś się stało.

– Nic się nie stało. Musiałam przemyśleć parę spraw. Chodź, pogadamy. Zrobię ci mocnej kawy. – Zaczęłam szukać w kieszeni swetra kluczy. Otworzyłam drzwi.

Weszliśmy do środka.

– Zdejmuj buty i kładź się do łóżka! – zakomenderowałam.

Popatrzył na mnie pytająco, uśmiechnął się, unosząc lekko kąciki ust, ale bez słowa zzuł zamszowe mokasyny.

– Nie wiem tylko... – zaczął niepewnie.

Przerwałam mu brutalnie, stając władczo na środku pokoju.

– Bez dyskusji! Przecież jesteś nieprzytomny ze zmęczenia. Wyśpisz się porządnie i dopiero wtedy zastanowimy się, co dalej.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem: że będę mógł się do ciebie przytulić przed zaśnięciem.

– Typowy biznesmen – mruknęłam. – Stoi pod ścianą i jeszcze stawia warunki. Ale *okay! Deal!*

Jeroen jednym ruchem ściągnął bluzę. Poprawiłam poduszki i podniosłam kołdrę.

– Jeszcze spodnie.

– Jesteś niemożliwa! – Teraz śmiał się naprawdę.

Rozpiął sprzączkę skózanego paska, zdjął dżinsy i wskoczył pod kołdrę. Popatrzył na mnie wyzywająco łobuzerskim spojrzeniem i poklepał ręką znacząco

miejsce obok. Przewróciłam oczami i zgodnie z obietnicą wyciągnęłam się wygodnie przy nim na łóżku. Jeroen położył głowę na moim ramieniu. Czułam promieniujące od niego ciepło. Momentalnie zapadł w sen. Oddychał spokojnie i miarowo. Patrzyłam na niego przez chwilę. Miał piękne, długie, dziewczynskie rzęsy, drobne zmarszczki wokół oczu i małą, ledwo widoczną bliznę na policzku. Delikatnie wysunęłam się z jego ramion. Westchnął cicho i przewrócił się na drugi bok.

Postanowiłam ugotować coś ciepłego do jedzenia. Na pewno w ostatnich dniach żywił się jedynie fast foodami. W lodówce miałam warzywa i mięso. Zrobię leczo! – zdecydowałam i ruszyłam do kuchni. Podniosłam z podłogi rzucone w pośpiechu męskie spodnie i bluzę. Z bocznej kieszeni dżinsów wysunęła się komórka. Telefon zasignalizował nadejście nowej wiadomości. Zerknęłam mimochodem na wyświetlacz. Annelieke.

Kom je? Max vraagt alweer naar jou^[51].

„Będziesz musiała poradzić sobie sama, paniusiu!”, prychnęłam ze złością. Po czym z pełną premedytacją wcisnęłam delete.

Rozdział dwudziesty piąty

Z trudem manewrowałam kierownicą, prowadząc rower jedną ręką. W drugiej trzymałam komórkę i próbowałam wyjaśnić Bożenie, że umówiłam ją i braci Daltonów na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy w Qleaning. Bożena najpierw straciła z wrażenia głos, a potem zarzuciła mnie gradem pytań.

– Firma? Sprzątająca? Skąd znasz właściciela? Chce nas zatrudnić? Ale jak to możliwe? Nas?

– Nie, nie was! Rodzinę królewską z Monako! – straciłam cierpliwość. Ale po chwili ponownie zaczęłam tłumaczyć: – Właściciel jest... hm... moim dobrym znajomym. Opowiedziałam mu o tobie i Romkach. Tak się złożyło, że potrzebuje na gwałt personelu. Spotkanie w sprawie pracy macie pojutrze w biurze firmy na Schiphol. Pozostałe wskazówki wyślę SMS-em. Przekaż chłopakom, że mają się porządnie ubrać. Żadne dresiwo opatrzone krwawym napisem *fuck you* czy koszulka z trupa czachą! To wszystko!

– Aga! Nie wiem, co powiedzieć, jak ci dziękować!

– Na razie nie ma za co dziękować. To tylko wstępna rozmowa. Wszystko w waszych rękach. Jeroe... znaczy szef zna całą sytuację. Może będzie mógł wam pomóc! – Na drodze, którą jechałam, zaczęło pojawiać się coraz więcej skuterów, a to znak, że zbliżałam się do miasta. – Przepraszam cię, kochana, muszę kończyć. Zrobił się spory ruch, a ja, jak sama wiesz, wybitną kolarką raczej nie jestem. Będziemy w kontakcie. Trzymam kciuki!

Wrzuciłam telefon do torby i mocniej docisnęłam pedały. Na horyzoncie pojawiła się właśnie ogromna, złowieszczo wyglądająca chmura deszczowa. Miałam nadzieję, że tym razem zdążę się przed nią ukryć. Po chwili moje myśli poszybowały w zupełnie innym kierunku...

Spędziłam wczoraj leniwy, spokojny wieczór. Jeroen spał już od dobrych kilku godzin, a ja przygotowywałam w kuchni kolację. Nakrywając do stołu, popatrywałam na niego ukradkiem raz po raz. Leżał w łóżku z rozrzuconymi nad głowę rękami. Wyglądał bezbrinnie jak dziecko. Patrząc na jego wygładzoną głębokim snem twarz, czułam spokój i harmonię. Radio grało cicho w kącie, za oknem zapadał powoli mrok, z kuchni dochodziły smakowite zapachy z buzującego na wolnym ogniu garnka z leczo. Gdyby nie fakt, że ukradłam tę chwilę jego synkowi, byłoby idealnie.

Zapaliłam świece, wygładziłam zagięty róg obrusa i podeszłam do śpiącego Jeroena.

– Kochanie... – Pogładziłam delikatnie jego rozgrzany policzek. – Wstawaj, przygotowałam ci pyszne leczo.

Nie reagował. Nachyliłam się nad nim lekko i pocałowałam w rozchylone usta. Drgnął i chwycił mnie mocno, wciągając do łóżka. Tylko udawał, że śpi.

Wyrywałam się, śmiejąc się i okładając go na niby pięściami po szerokim torsie. W pewnym momencie przytrzymał mnie mocniej i wyszeptał prosto do ucha:

– Nie chciałbym cię zgubić, Aga. *Ik wil je niet kwijt. Ik heb je nodig*^[52].

– Chodź, bo wszystko wystygnie.

Usiedliśmy do kolacji. Na zewnątrz zapadła granatowa noc. Ciepłe światło ustawionych na stole świec wyostrzało miękki kontur naszych cieni tańczących po ścianach pokoju. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. O tym, co ważne, i o tym, co nieważne. Jeroen chwalił mój talent kulinarny (przesadzał, ale dziś wierzyłam mu we wszystko), ja pytałam o jego ulubione książki i muzykę. Zgodnie stwierdziliśmy, że nie cierpimy country, a przepadamy za Philem Collinsem. Byliśmy jak starzy, dobrzy znajomi, którzy odnaleźli się przypadkiem po latach. Jeroen szukał bliskości, dotyku, czułości. Dzisiaj byłam najważniejsza. Ale bałam się jutra. Uwierała mnie jak cierń uporczywa myśl, że to wszystko mam tylko na chwilę. Na ten moment, kiedy jest tylko ze mną, pożyczony na wysoki procent, który przyjdzie mi niedługo spłacać.

Kiedy Jeroen ponownie wspomniał o problemach z personelem, mimochodem napomknęłam o swoich przyjaciółkach w potrzebie. Nie naciskałam, nie żądałam, nie wymagałam. Poprosiłam, żeby dał im szansę. Wierzyłam, że zrobią wszystko, żeby jej nie zmarnować.

Pograżona w myślach nie zauważyłam nawet, kiedy przejechałam skrzyżowanie, na którym powinnam skrócić w prawo. Kogoś tak roztargnionego Holendrzy zwykli nazywać *kip zonder kop*^[53]. Lubiłam holenderskie powiedzenia. Właściwie każdą sytuację potrafili spuentować w zabawny i we właściwy sobie tylko sposób.

Zawróciłam szybko i pomknęłam w kierunku widniejącej już w oddali willi państwa van der Vegtów. Na żwirowanym podjeździe stało samotnie auto Henka. Dziwne... byłam przekonana, że dom jest pusty... Charlotte mówiła mi, że mężowi wypadł niespodziewanie służbowy wyjazd do Belgii. Ona pojechała z dziećmi do swoich rodziców. Zawahałam się przez chwilę. Może coś pomyliłam. Ale nie. Niemożliwe. W kieszeni mojej kurtki spoczywał klucz do drzwi frontowych, który Charlotte wręczyła mi w zeszłym tygodniu. Gdyby ktoś miał być w domu, w życiu by mi go nie dała.

Ostrożnie włożyłam klucz do zamka i przekręciłam gałkę. Weszłam do środka. Nikogo.

– *Goedemorgen!* – krzyknęłam dla pewności w kierunku schodów.

Cisza.

Wzruszyłam ramionami. „Może Henk pojechał do Belgii firmowym autem, a swojego jeepa zostawił tu, na miejscu?”, pomyślałam, ale szybko stwierdziłam, że to nie mój problem. Nie zastanawiając się dłużej, udałam się do kuchennego schowka po wiadro i mopa. Jasne podłogi zdecydowanie domagały się

natychmiastowej interwencji z mojej strony.

W salonie panował wielki nieład. Wszędzie leżały porozrzucane części damskiej i męskiej garderoby. Na niskim stoliku przed telewizorem stała butelka drogiej whisky i dwa brudne kieliszki. Po podłodze wałała się zmięta torba z resztkami chińszczyzny na wynos. Uniosłam brwi w niemym zdziwieniu: „Co tu się działo?”. Charlotte nie była wprawdzie idealną panią domu, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam. „A może specjalnie zostawili ten chlew, żebym przypadkiem zbytnio się nie nudziła? Typowe zachowanie rozpuszczonej jak dziadowski bicz madame!”, pomyślałam ze złością i weszłam do kuchni. Na środku leżały nowe, bardzo wysokie szpilki z charakterystyczną czerwoną podeszwą. Westchnęłam i odstawiłam je na bok. Widocznie Charlotte znowu była na zakupach. Biedny Henk. Ta baba niechybnie doprowadzi go na skraj bankructwa.

Nastawiłam radio z moją ulubioną stacją Sky i zabrałam się do pracy. Robota dosłownie paliła mi się w rękach. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu. Czułam się nieswojo. W powietrzu unosił się dziwny zapach ciężkich, mdłych perfum, których nie znałam. Postanowiłam uchylić wszystkie okna i wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Otworzyłam na oścież drzwi do ogrodu i nagle usłyszałam stłumiony dźwięk dochodzący z piętra. Spojrzałam z przestrachem na górę. Nadstawiłam uszu. Znowu! Nie mogłam dokładnie sprecyzować, co to było. „Włamywacze? E, niemożliwe”. Nie zachowywałam się specjalnie cicho, już dawno by się zorientowali, że ktoś jest w domu. Postanowiłam nie czekać z założonymi rękami, tylko pójść na górę i sprawdzić źródło dziwnego odgłosu. Nie czułam strachu, raczej zaciekawienie. Dla pewności chwyciłam butelkę whisky ze stołu. W razie napotkania ewentualnego złodzieja zawsze mogłam roztrzaskać szkło ze szlachetnym trunkiem na jego łbie. Zaczęłam powoli wchodzić po schodach. Przystawałam co chwilę, nad słuchując uważnie. Cisza. Znalazłam się na półpiętrze i wtedy znowu to usłyszałam. To był przeciągły jęk! Ktoś najwyraźniej uprawiał seks w sypialni Henka i Charlotte!

Oniemiałam! Kusilo mnie, żeby zejść i jak najszybciej ewakuować się z tego domu, ale ciekawość była silniejsza ode mnie. Postanowiłam stanąć twarzą w twarz z wrogiem.

– Halo0000, jest tam kto?! – krzyknęłam donośnym głosem w kierunku sypialni. – Dzień doobry!

Dobiegł mnie nagły rumor i trzask. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Stał w nich – czerwony jak ulubiony lakier do paznokci Charlotte – Henk, zawiązując w pośpiechu poły szlafroka. W głębi pokoju, na rozbabranym łóżku, dostrzegłam roznegliżowaną blondynkę, która z paniką w oczach zakrywała kawałkiem kołdry obfity biust. Była to ta sama kobieta, która widziałam kiedyś przez przypadek w samochodzie Henka.

– *Gotverdomme! Wat doe jij hier?*!^[54] Myślałem, że masz wolne!

– A ja myślałam, że jesteś w Belgii! Umówiłam się z twoją ŻONĄ, że przyjdę dzisiaj! – Słowo „żona” wymówiłam z premedytacją o jeden ton głośniej. – Miało nie być was w domu!

– Henkie... – Blond flama odzyskała głos. – Kim jest ta dziewczyna?

– Cicho! – ofuknął ją błyskawicznie i nieznoszącym sprzeciwu głosem wydał kolejne polecenie. – Ubieraj się! Zaraz po ciebie przyjdę!

Zamknął za sobą drzwi do sypialni i warknął w moim kierunku:

– Nie powinno cię tu być. Idziemy na dół!

Na parterze wściekły pan domu zmienił strategię i zamienił się w potulnego baranka.

– Agnes... – zaczął oficjalnie i z pewną miną, ale w jego oczach widziałam zmieszanie połączone ze wstydem. Nie z powodu swojego niecnego występu, ale dlatego, że dał się przyłapać. Teraz zwyczajnie nie wiedział, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

W mojej głowie szalał tajfun ambiwalentnych uczuć. Z jednej strony potępiałam go za wiarołomstwo, z drugiej – w pewnym sensie rozgrzeszałam. Kim bowiem byłam, żeby go osądzać? Od dawna wiedziałam, że małżeństwo z Charlotte to tylko fasada. Nie mieli żadnych wspólnych pasji, zainteresowań, praktycznie nie spędzali ze sobą czasu. Łączyły ich wyłącznie córki i rachunek bankowy. Idealnie podzielili się rolami w rodzinnej farsie. Charlotte wydawała bez opamiętania tysiące euro, a Henk zabawiał się z panienkami pod nieobecność żony. Pech chciał, że tym razem ktoś go nakrył. I tym kimś byłam ja.

– To nie tak, jak myślisz! – rzucił klasycznym tekstem rodem z teatru małżeńskiej zdrady.

– Henk... – powiedziałam powoli. Nagle bardzo rozboleła mnie głowa. – Jest dokładnie tak, jak myślę. Ale wydaje mi się, że moje zdanie na temat tego, co właśnie widziałam, obchodzi cię mniej więcej tyle, co intymne pożycie statystycznego mieszkańca Alaski!

– Dobrze! Gramy w otwarte karty! – Najwidoczniej Henk poddał się bez walki. – Jesteśmy w końcu dorosłymi ludźmi. I możemy rozmawiać bez ogródek. Mam romans, tak. Nie ja pierwszy i nie ostatni. Nie interesuje mnie twoje zdanie na ten temat ani twoja opinia o mnie. Każdy ma coś na sumieniu. Nie będę się tłumaczył, wybielał, grał oklepanej roli biednego męża, którego żona zaniedbuje i który musi szukać pocieszenia na boku. Powiem wprost. Myśl o mnie, co chcesz, ale to, co dzisiaj widziałas, musisz zachować dla siebie. Nie chcę, żeby Charlotte dowiedziała się o tym w ten sposób. Jeżeli mi to obiecasz, zapominamy o sprawie.

– A jeżeli nie? – Spojrzałam wyzywająco w jego stronę.

Zmarszczył brwi i popatrzył na mnie zimno.

– Będę musiał cię zwolnić. Pracujesz tu tylko dlatego, że ja tego chcę. Charlotte już dawno chciała się ciebie pozbyć. Nie może znieść myśli, że jesteś

o wiele bardziej obrotna i wyszczekana niż ona. Podobno spotykasz się z Hellendoornem? Moje gratulacje! Finansowo to wyższa półka.

– Naprawdę myślisz, że jestem z Jeroenem dlatego, że ma własną, dobrze prosperującą firmę? – Patrzyłam na niego z politowaniem. Bogaty, biedny człowiek, przekonany, że wszystko można kupić. On i Charlotte byli sobie warci.

Zrobiło mi się niedobrze. Chciałam stamtąd jak najszybciej wyjść i nie musieć więcej przekraczać progu tego domu. Już miałam rzucić Henkowi w twarz z satysfakcją, że sama rezygnuję z pracy, gdy wtem mój wzrok padł na leżącego na parapecie pluszowego zająca, ulubioną maskotkę Kim. Obiecałam jej, że w następnym tygodniu wypierzemy razem wszystkie pluszaki... Nie mogłam odejść bez słowa. Musiałam pożegnać się z dziewczynkami.

Henk patrzył na mnie uważnie. Doskonale wiedział, że biję się z myślami. Czekał z pokerową twarzą na moją decyzję.

– Nie powiem nic Charlotte – postanowiłam nagle. – Ale nie łudź się, że robię to dla ciebie. Jesteś ostatnią osobą, którą chciałabym chronić. Nie chcę, żeby przez głupich, bezdusznych ludzi, jakimi jesteście, cierpiały wasze córki. Nie niszczycie życia sobie, rujnujecie życie im. I to mnie najbardziej przeraża. Bezmyślność wasza, dorosłych, wasz egoizm i kłamstwa. One to wszystko widzą i czują. To mądre, wrażliwe dzieci. Nie pozbawiajcie ich tego, co w życiu najważniejsze: miłości i poczucia bezpieczeństwa. Bo tego, mój panie, nie kupisz, machając losowi przed nosem swoją cholerną złotą kartą kredytową!

Złapałam wiszącą na oparciu kanapy torbę i wybiegłam frontowymi drzwiami, trzaskając nimi z impetem. W holu na schodach mignęła mi jeszcze sylwetka kochanki Henka. Oczywiście podsłuchiwała całą naszą rozmowę. Mogłam się tego spodziewać, ale w tym momencie było mi już wszystko jedno. Jeżeli tak wyglądała współczesna elita intelektualna i finansowa tego kraju, to nie pozostawało mi nic innego jak pakować swój plecak i wracać z powrotem do Polski. Obawiałam się tylko, że zdrada i kłamstwo nie miały we współczesnym świecie konkretnej narodowości. Ani, tym bardziej, statusu społecznego. Były wszędzie. I nie dało się od nich uciec.

Rozdział dwudziesty szósty

Obracałam w dłoniach z zaciekawieniem elegancką kopertę z papieru czerpanego. W pierwszej chwili pomyślałam, że list jest do Julii, ale myliłam się. Na froncie koperty ktoś wypisał ręcznie moje imię i nazwisko. Niecierpliwie rozerwałam papier i przebiegłam wzrokiem starannie zapisaną stronicę. List był po holendersku. Moja nikła znajomość tego języka pozwoliła mi na szczęście wyłowić z tekstu niektóre słowa.

...Annemarie Elisa Wilhelmina Engelen de Bruin... ogromny zaszczyt... zaprosić... 88 urodziny... obchodzone rodzinie... weekend... wyspa Texel.

Zabrakło mi z wrażenia tchu. Zostałam zaproszona na urodziny starszej pani! Czułam się zaszczycona i ogromnie wyróżniona. To była niezwykła uroczystość. Fakt, że Annemarie chciała, żebym dołączyła w tym dniu do grupy osób, które kochała najbardziej na świecie, napawał mnie ogromnym wzruszeniem.

Wyspę Texel pamiętałam doskonale z jej opowieści. To właśnie tam, wśród piaszczystych wydm, na końcu świata, przyrzekli sobie z Etienne'em miłość na śmierć i życie. Kiedy mi o tym mówiła, w jej błękitnych oczach pojawiał się żar uczucia, które nie umarło wraz z odejściem męża. Kochała go tak samo jak wtedy, kiedy się pobrali. Żył nadal w jej myślach, wspomnieniach, słowach... „Mój mąż jest zawsze ze mną. Młody chłopak z blond czupryną, który sadi nasze pierwsze hortensje w ogrodzie, i staruszek w kraciastej koszuli, ze srebrną nicią we włosach, przynoszący mi co rano ukochane tulipany. Widzę jasne, silne dłonie, które trzymają mocno moją rękę, i te schorowane, pokryte bliznami, które gładzą moją głowę. Za każdym razem tak samo czule...”, mówiła Annemarie.

Nie bez przyczyny przywoływałam w pamięci piękne wspomnienia Annemarie. Łagodziły i uspokajały rozedrgane, po obrzydliwej historii z Henkiem, emocje. Nie chciałam myśleć, że miłość to tylko biznes i umowa. Pragnęłam wierzyć, że istnieją ludzie, którzy kochają się i wspierają naprawdę. Tacy, dla których przysięga: „...i nie opuszczę cię aż do śmierci”, nie jest tylko pustym sloganem, nic nieznaczącą iluzją, ale świętością i zobowiązaniem. Na całe życie.

Włożyłam zaproszenie z powrotem do koperty i, zamyślona, odłożyłam ją na stół. Marzyłam o momencie, kiedy z radością oznajmię Annemarie, że w tym ważnym dniu będę razem z nią. Nie mogłam również doczekać się, kiedy ujrzę w końcu na własne oczy niesamowite, dzikie plaże Texel.

Zaniosłam do kuchni kubek po kawie i spojrzałam z niepokojem na zegarek. Powinnam się pospieszyć. Anneke miała dziś wychodne, a chciałam poradzić się jej w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie. Wrzuciłam do torby portfel, przekreśliłam klucz w zamku i ruszyłam w kierunku schodów. Zza drzwi pokoju Prospera dobiegł mnie nagle jego podniesiony głos. Zatrzymałam się zdziwiona. W życiu nie słyszałam, żeby na kogoś krzyczał. Zawahałam się przez moment, ale

troska o przyjaciela zwyciężyła. Zapukałam lekko do drzwi. Po krótkiej chwili usłyszałam jego krótkie: „otwarte!”, i nacisnęłam klamkę.

Prosper siedział przed laptopem, na którego ekranie zobaczyłam zapłakaną buzię swojej siostry.

– Julka! – krzyknęłam.

Przyjaciel zdjął z uszu słuchawki i podał mi je bez słowa. Tak długo się nie widziałyśmy. Podbiegłam do laptopa.

– Aga! – Julka machała do mnie z drugiego końca świata. – Jak się masz? – Była najwyraźniej wzruszona. Głos jej się łamał. Wierzchem dłoni otarła łzy i uśmiechnęła się ciepło. – Nie wiedziałam, że macie z moim kochanym sąsiadem kontakt przez Skype’a! – paplałam szczęśliwa, ciągle nie mogąc uwierzyć, że ją widzę. – Dlaczego ryczysz? – zapytałam, oglądając się za siebie w poszukiwaniu wzroku Prospera.

Stał w kuchni i smutno na mnie patrzył.

– Pokłóciliście się? – zwróciłam się do niej ponownie.

Nie odpowiedziała.

– Dowiem się w końcu, co się stało?! – podniosłam głos ze zniecierpliwienia. – Mam dość waszych tajemnic!

Prosper podszedł do laptopa i włączył tryb głośnomówiący.

– Julia, opowiedz Agnies o swoich planach – odezwał się gorzko w kierunku ekranu. – Ja ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć w to, co właśnie usłyszałem.

Julia poprawiła opadającą na czoło grzywkę. Wyglądała pięknie. Miała opaloną skórę i błyszczące oczy. Gorące, afrykańskie słońce rozjaśniło jej włosy. Uroczo kontrastowały teraz z jej ciemną karnacją. Siedziała na zewnątrz, na rozświetlonym tarasie. Za jej plecami widziałam błękitny kawałek nieba, bez śladu chmur.

– Chciałabym zostać tu na dłużej... – zaczęła Julia. – Nie chcę na razie wracać do Holandii. Mam dość krainy deszczowców.

– Na dłużej, to znaczy, na ile? – zapytałam.

– Rok, dwa... Nie wiem. – Julia wzruszyła ramionami. – Właśnie namawiałam Prospera, żeby do mnie przyjechał, ale nie chce o tym słyszeć.

Prosper wtrącił się do naszej rozmowy.

– Julia! Mam tutaj pracę. Właśnie dostałem awans. Podwyżkę. Chciałbym zmienić mieszkanie. Uzbierałem trochę grosza. Nie rzucę wszystkiego ot tak! Zbyt wiele poświęciłem, żeby znaleźć się w Holandii. Nie chcę zawracać z raz obranej drogi.

– Afryka to jest twoja ojczyzna! Chcesz do końca życia mieszkać na wygnaniu? A co z nami? – Julia wytoczyła najcięższe działa.

Prosper wstał.

– Właśnie! Co z nami?! Pomyślałaś o tym? Dlaczego nie omówiłaś ze mną

wcześniej swoich planów? Przed podjęciem ostatecznej decyzji! Bo jest ostateczna, prawda?

Julia zakryła rękami twarz. Nie powiedziała już nic.

Podniosłam się z podłogi. Miałam mętlik w głowie. Rozumiałam rozgoryczenie Prospera. Julia nie powinna decydować za nich oboje. Od jakiegoś czasu była przyzwyczajona do samodzielności. Sama wiedziała, co jest dla niej najlepsze. Tylko czy to, co było w jej mniemaniu dobre dla niej, mogło również uszczęśliwić człowieka, którego kochała?

Miłość to kompromisy i wybory. Nie zawsze zgodne z naszymi oczekiwaniami i wizjami.

– Muszę już iść... – powiedziałam cicho. – Mam nadzieję, że dojdziecie do porozumienia. Julka, daj mi znać, co postanowiłaś. Jestem tutaj niejako na zastępstwie i chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Ściągnęłaś mnie podstępem do Holandii, a teraz decydujesz za moimi plecami o rzeczach, które w równym stopniu dotyczą ciebie i mnie. Nie pomyślałaś o tym, jak zwykle.

– Wiedziałam, że będziesz stała po jego stronie! – rzuciła z wyrzutem moja siostra.

– Nie stoję po niczyjej stronie – odparłam. – Mówię tylko i wyłącznie w swoim imieniu. Jeżeli zdecydujesz się zostać w Afryce dłużej, poinformuj mnie o tym z łaski swojej na czas. A teraz przepraszam was, kochani. Obowiązki wzywają. Już i tak jestem poważnie spóźniona.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi i zbiegłam po schodach. Było mi żal Prospera. Moja siostra to uparta i samodzielna jednostka. Czekало go niełatwe zadanie.

Tak jak przypuszczałam, Anneke nie było już w domu. Miała ważną sprawę w Amsterdamie. We wcześniejszej rozmowie ze mną nie zdradziła jednak żadnych szczegółów. Chciałam poradzić się jej w kwestii nieuczciwego pracodawcy chłopaków. Nie miałam zamiaru nagabywać Jana bez potrzeby. Był teraz ogromnie zajęty trudną sprawą, której szczegółów, ze względów bezpieczeństwa, oczywiście nie znałam. Całymi nocami siedział w gabinecie, przygotowując się do pokazowej rozprawy. Na jego biurku leżały grube tomy akt, kodeksy i słowniki. Anneke parzyła hektolitry kawy. Jan prawie nie sypiał. Był nieobecny myślami, podminowany i całkowicie skoncentrowany na czekającej go batalii.

Gospodyni wypisała na kartce listę zadań, które przygotowała dla mnie na dzisiaj. Zabrałam się z zapałem za porządkowanie kuchennych szafek. Wymowałam ostrożnie wszystko ze środka, przecierałam starannie półki wilgotną ściereczką, po czym układałam naczynia z powrotem w kredensie. Jan miał przepiękne serwisy obiadowe i kawowe. Większość była w charakterystycznych kolorach niebieskim i białym, typowych dla starej holenderskiej manufaktury z Delft. Uwielbiałam starocie, rzeczy z duszą, niepowtarzalne, oryginalne,

urokliwe. Nie można było kupić ich w sklepie, stanowiły drogocenne, rodzinne pamiątki, które przechodziły z pokolenia na pokolenie. Ciekawiła mnie historia Jana, ale w życiu nie odważyłabym się zapytać go o losy jego rodziny. W domu nie było, o dziwo, prawie żadnych zdjęć. Chyba że trzymał je w albumach, schowanych głęboko na dnie przepastnych szaf, których akurat w tym domu nie brakowało.

Czyściłam właśnie piekarnik, gdy do kuchni wszedł zamyślony pan domu. Skierował się w stronę stojącego na stole dzbanka z kawą.

– Zaparzę świeżej! Ta jest już zimna – pospieszyłam z propozycją.

Jan spojrzał na mnie roztargnionym wzrokiem, po czym kiwnął głową z aprobatą i usiadł przy stole.

Włączyłam ekspres i odmierzyłam miarką odpowiednią ilość ziarna. Wypłukałam dokładnie dzbanek i wyciągnęłam z górnej szafki pudełko z ciasteczkami. Uśmiechnęłam się sama do siebie, myśląc w tym momencie o typowym dla Holendrów zwyczaju częstowania gości maksymalnie dwiema filiżankami kawy i jednym ciastkiem z okrągłej puszki. Oszczędność granicząca ze skąpstwem, jakże popularna w tym niebiednym przecież kraju.

Postawiłam przed Janem parujący kubek z aromatycznym napojem i usiadłam przy stole. Chciałam choć przez chwilę dotrzymać mu towarzystwa. Spojrzał na mnie bardziej przytomnie i upił łyk kawy.

– Tego było mi trzeba – mruknął cicho i sięgnął po maślane ciasteczko.

– Ciężko pan ostatnio pracuje – odważyłam się odezwać. – Trudna sprawa?

Jan poprawił się na krześle. Był niesamowicie wysoki i szczupły, jego długie nogi z trudem mieściły się pod stołem.

– Jestem przyzwyczajony do trudnych spraw, Agnieszka. Inne mnie nie interesują. Lubię wyzwania.

– Właściwie już dawno miałam pana o to zapytać... – zaczęłam.

Jan westchnął.

– Prosiłem cię, żebyś mówiła do mnie po imieniu. Nie cierpię tej sztucznej tytułomanii!

– Ja też nie – roześmiałam się. – Musisz mi dać jednak trochę czasu. Nie mogę przyzwyczać się do braku konwenansów. W Polsce to nie do pomyślenia. – Spojrzałam na niego uważnie. – Nikt inny oprócz ciebie nie potrafi w Holandii wymówić mojego imienia. Na początku naszej znajomości wspominałeś, że znasz trochę Polskę. Mogę wiedzieć, skąd? Jeżeli to oczywiście nie tajemnica – zastrzegłam od razu, przyzwyczajona, że w tym domu sekrety były na porządku dziennym.

Jan nie odpowiedział od razu. Jak zwykle ważył w myślach słowa.

– Kobieta, którą kiedyś kochałem, nosiła twoje imię. Nie zliczę, ile razy je wymawiałem. W najróżniejszych konfiguracjach. Niewybaczalnym faux pas

byłoby, gdybym nie potrafił wypowiedzieć go poprawnie...

Straciłam na chwilę mowę. Romantyczna historia miłosna nie pasowała mi kompletnie do surowego pana prokuratora. Do tej pory widziałam w nim prawnika, zapominając, że jest również mężczyzną.

Jan z pewnością pożałował, że uchylił przede mną rąbka tajemnicy ze swojej przeszłości, gdyż dopijając szybko kawę, wstał od stołu i służbowym tonem rzekł:

– *Tempus neminem manet!*^[55] Muszę wracać do pracy. Dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa.

Tej łacińskiej sentencji nie znałam. Postanowiłam doksztąpić się trochę w domu. Miałam nadzieję, że wrócimy jeszcze do tej rozmowy. Musiałam wiedzieć, jaką rolę w życiu Jana grała moja tajemnicza imienniczka.

Uprzątnęłam szybko naczynia ze stołu, włożyłam wszystko do zmywarki i spojrzałam krytycznym okiem Anneke na kuchnię. Gospodyni powinna być zadowolona! Żałowałam, że się nie zobaczyłyśmy, ale musiałam już iść. Rzuciłam jeszcze grzecznie *tot ziens* w kierunku gabinetu Jana i wyszłam na zewnątrz. O dziwo, nie padało. Delikatne promienie popołudniowego słońca układały się ukośnie na mojej twarzy.

Wyciągnęłam z kieszeni komórkę.

Dziś mam słońce na twarzy. Pocałowało mnie właśnie bezczelnie, nie pytając wcale o zgodę.

Telefon odpowiedział prawie natychmiast.

To nie słońce. To ja. Bezczelnie kradnę twoje pocałunki.

Kara będzie bardzo surowa.

Jak surowa?

Zaraz się przekonasz. Już do Ciebie jadę. X

Wskoczyłam na rower i skierowałam się w stronę Haarlemu.

To, że ktoś na mnie czekał i o mnie myślał, dodawało mi skrzydeł.

Los był dla mnie hojny.

Nie wiedziałam wówczas, jak bardzo...

Rozdział dwudziesty siódmy

Znowu byłam spóźniona! Dobiegłam zdyszana do przystanku, ale zobaczyłam tylko malowniczą chmurę spalin i tył autobusu, który odjeżdżał właśnie w kierunku lotniska Schiphol. *Verdomme!* – zaklęłam pod nosem w języku tubylców i usiadłam na ławeczce pod plastikową wiatą. Następny środek transportu miałam za około dwadzieścia minut.

Obiecałam Bożence i chłopakom, że przyjadę wesprzeć ich duchowo przed spotkaniem w sprawie pracy. Stanowczo odmówiłam obecności podczas samej rozmowy. Musieli radzić sobie sami. Nie chciałam, żeby zostali zatrudnieni ze względu na moją znajomość z Jeroenem. Najważniejsza była motywacja i chęć do pracy. A tego, jak wierzyłam, im nie brakowało. Wyciągnęłam z torby komórkę i wystukałam treść SMS-a do przyjaciół, że mogę nie zdążyć, ale że trzymam mocno kciuki. Gratulowałam sobie samej w duchu, że nie przyznałam się im, jakie relacje łączą mnie faktycznie z ich, być może, przyszłym szefem.

Jeroen zajmował obecnie większość moich myśli...

Poznawaliśmy się, oswajaliśmy, przyzwyczajaliśmy do swojej obecności. Czułam się przy nim dobrze i bezpiecznie, ale nie chciałam nadużywać słowa „miłość”. Na to było jeszcze za wcześnie. Nauczona doświadczeniem z poprzednich relacji, byłam przekonana, że pospieszne deklaracje nie są gwarancją długiego i udanego związku. Ale z drugiej strony... znałam siebie. Niepokoił mnie trochę ten spokój. Racjonalne planowanie czegoś, co racjonalne nie było. Chciałam, żeby trawiła mnie gorączka, a miałam jedynie podwyższoną temperaturę. Moja niepoprawna, romantyczna natura domagała się motyli w brzuchu, niecierpliwego oczekiwania, podekscytowania, uniesienia, które przenosi w inny wymiar i dodaje skrzydeł.

Na przystanek podjechał właśnie mój bus. Wsiadłam zatopiona w myślach o przyszłości. Zdawałam sobie sprawę z tego, że decydując się na związek z Jeroenem, musiałabym przenieść się na stałe do Holandii. Oznaczałoby to całkowitą zmianę dotychczasowego trybu życia, przyzwyczajzeń, środowiska, które znałam. Nie bałam się nowego. Obawiałam się jedynie tego, że siła naszego uczucia nie sprosta takiemu wyzwaniu. Do tej pory byłam samodzielna, przyzwyczajona do życia singielki. Nie uśmiechała mi się zależność od mężczyzny, a, niestety, na samym początku nie byłoby innego wyjścia. „Pomartwię się tym potem”, zdecydowałam jak typowa kobieta i zapatrzyłam się na przesuwające się za oknem industrialne krajobrazy. Wjechaliśmy już na teren lotniska. Obserwując podchodzące do ładowania samoloty, zatęskniłam nagle za wakacjami, beztroską, plażą i promieniami słońca. Deszczowa kraina tulipanów dała mi się już nieźle we znaki.

Wyskakując z busa, spojrzałam niecierpliwie na zegarek. Spóźnienie nie

było aż tak dramatyczne. Przy odrobinie szczęścia zdążę jeszcze uściskać przyjaciół. Biegając w kierunku ruchomych schodów, zatrzymałam się na chwilę przy jednej z ulubionych kawiarni. Szybko zamówiłam latte. Trzymając w jednej dłoni papierowy kubek z napojem, wyciągnęłam z torby komórkę z zamiarem wysłania wiadomości do Bożeny. Pochylona nad klawiaturą telefonu, nieuważnie stawiając szybkie kroki, potknęłam się nagle i wyładowałam z impetem na szerokiej piersi mężczyzny ubranego w granatowy mundur pilota. Tym mężczyzną był... Stijn. Złapał mnie mocno i o sekundę za długo przytrzymał w ramionach. Z przerażeniem patrzyłam, jak jasnobrązowa kawa rozlewa się i błyskawicznie wsiąka w materiał jego śnieżnobiałej koszuli.

– Przepraszam pana... ciebie! Nie wiem, jak mogłam być taka nieuważna! – Oderwałam się od niego i gwałtownie zaczęłam szperać w torbie w poszukiwaniu chusteczek, ale jak na złość nie mogłam ich znaleźć. Było mi niewyobrażalnie głupio i wstyd.

Stijn chwycił moją dłoń.

– Agnie...ska. Popatrz na mnie! Popatrz na mnie!

Podniosłam głowę.

Napotkałam ciepłe, rozbawione spojrzenie błękitnych oczu.

– Nic się nie stało! Właśnie skończyłem dyżur i wracam do domu. Większy problem mielibyśmy, gdybyś oblała mnie kawą przed lotem. Wtedy moje koleżanki musiałyby na gwałt szukać zastępczego munduru. – Mrugnął do mnie filuternie i dopiero wtedy zauważyłam, że nadal trzyma mnie za rękę.

Staliśmy naprzeciw siebie. Na odległość oddechu. Świat zwolnił i zatrzymał się – jak rozpędzona karuzela. Na ułamek chwili byliśmy tylko we dwoje. A potem wchłonął nas z powrotem chaos i pośpiech popołudniowego lotniska.

– Muszę już iść – powiedziałam cicho. – Umówiłam się z przyjaciółmi. Tutaj, na górze. – Machnęłam ręką w nieokreślonym kierunku.

– Jutro rano mam lot do Bangkoku. Nie będzie mnie parę dni. Dlatego cieszę się, że mogłam cię dzisiaj choć przez chwilę zobaczyć. Los nam sprzyja. – Popatrzył znacząco na wielką plamę na koszuli i poluzował krawat.

Z trudem ukryłam rozczarowanie.

– Mam jednak nadzieję, że będziesz obecny na urodzinach Annemarie?

Stijn roześmiał się głośno.

– Zabiłaby mnie z zimną krwią, gdybym się nie pojawił. Babcia ma włoski temperament. Podobno, jak twierdzi, jej dalecy przodkowie pochodzili ze słonecznej Italii. Zważywszy na to, że wszyscy świadkowie, którzy mogliby ewentualnie potwierdzić fakt, nie żyją, nie pozostaje nam nic innego, jak wierzyć jej na słowo. Choć ja mam poważne wątpliwości. Cała nasza rodzina to Holendrzy z dziada pradziada. Płynię w nas krew germańskich plemion Batawów, Fryzów i Sasów. Wystarczy popatrzeć na mnie... – urwał, podchwyciwszy moje dyskretne

spojrzenie na zegarek, i szybko dodał: – Nie będę cię już zatrzymywał. Jeszcze raz dziękuję za przemiłe, aczkolwiek nieco zaskakujące spotkanie. Do zobaczenia wkrótce.

– Stijn... – Uśmiechałam się, lekko przekrzywiając głowę.

– Tak?

– Ciągle trzymasz mnie za rękę – powiedziałam i z trudem wysunęłam swoją dłoń z jego uścisku.

Wbiegałam po ruchomych schodach po dwa stopnie naraz, modląc się, żeby nie było za późno. Przy drzwiach do biura Qleaning zobaczyłam Bożenkę i chłopaków oraz Jeroena, który dzierżył w dłoniach stos kolorowych ulotek.

– Znalazła się zguba! – Patrzył rozpromieniony w moim kierunku.

– Przepraszam was, kochani! Miałam drobne problemy z dotarciem na czas! – oznajmiłam odrobinę za głośno.

Jeroen wykonał charakterystyczny ruch, tak jakby chciał mnie pocałować, ale dyskretnie odwróciłam głowę. Bożena patrzyła uważnie na nas dwoje.

– I jak poszło? Mówcie, bo umieram z ciekawości! – Udałam, że nie widzę zaciekawionego spojrzenia przyjaciółki. – Macie tę pracę?

Jeroen nachylił się nade mną.

– Myślę, że wszystko poszło zgodnie z planem – powiedział teatralnym szeptem. Po czym, spoglądając niecierpliwie w kierunku recepcji, szybko dodał: – Muszę was pożegnać. Mam za chwilę kolejne spotkanie. Nowy, duży projekt. Jeżeli uda się nam go dostać, będziemy lokalnym potentatem na rynku branżowym. Nic więcej nie powiem, żeby nie zapeszyć. – Jeroen położył konfidencjonalnie palec na ustach. – W sprawie dopełnienia pozostałych formalności skontaktujcie się, proszę, z moją asystentką, Anją. Przygotuję wasze kontrakty. Witajcie na pokładzie, koledzy! – Uścisnął po kolei dłonie Bożeny i braci.

– Dziękujemy, szefie! – powiedział powoli po holendersku wzruszony nieco Romek.

Jeroen poklepał go po ramieniu, pożegnał się i wszedł pospiesznie do biura.

Klasnęłam z radości w ręce.

– Musimy to opić, kochani! Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że dostaliście zatrudnienie. Idziemy w miasto? Ja stawiam!

Bożenka pokręciła przecząco głową.

– Jedziemy do nas. Zrobiłam gołąbki! A na deser murzynek z polewą czekoladową. Czym chata bogata! Chodźmy już! – Popatrzyła surowo na braci i wzięła mnie pod ramię.

Romek i Jerzyk ruszyli przodem żwawym krokiem. Bożenka przytrzymała mnie przez chwilę.

– Gdyby nie ty, nigdy nie dostalibyśmy tej pracy – powiedziała cicho.

– Co ty mówisz... – zaczęłam oburzona, ale przyjaciółka zgromiła mnie

wzrokiem.

– Aga! Jeroen dał nam spory kredyt zaufania ze względu na ciebie. Jest w porządku. – Spojrzała na mnie uważnie. – Dobrze mu z oczu patrzy. Ja mam nosa do ludzi. Rzadko się mylę. I wiesz, co jeszcze widzę?

– Co takiego? – domyślałam się, co ma zamiar mi powiedzieć. Nie wiedziałam tylko, czy chcę to usłyszeć.

– Jest w tobie zakochany! I doskonale o tym wiesz! – wypaliła Bożena. – Jesteście razem?

Pochyliłam głowę.

– Wrócimy do tej rozmowy – obiecałam. – Teraz nie czas na intymne zwierzenia. Pogadamy o tym, jak będziemy same, bez chłopaków. A teraz pospieszmy się! Ślinka mi cieknie na samą myśl o twoich gołąbkach! Ryż? Sos pomidorowy?

Przyjaciółka roześmiała się i cmoknęła mnie w policzek. Ruszyliśmy w drogę.

Bożenka z synem zajmowali dwa pokoje w kamienicy usytuowanej w amsterdamskiej dzielnicy Noord. Właściciel domu wynajmował go robotnikom sezonowym pracującym głównie w podmiejskich szklarniach. Tadzik był specjalistą od papryki – od podwiązywania pędów do ścinania dojrzałych już warzyw. Dorabiał sobie dodatkowo w weekendy, myjąc i konserwując jachty w amsterdamskim porcie. Niezwykle pracowity i sumienny, odkładał każdy zarobiony grosz na wymarzony motocykl. Jego matka wolałaby wprawdzie, żeby ukochany jednak miał inne hobby, ale nie mogła narzekać. Tadzik wiedział dokładnie, czego chce, i konsekwentnie realizował opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan.

Furgonetka Romków zatrzymała się przed strzelistą, pomalowaną na brązowy kolor kamienicą. Amsterdamskie domy były jedyne w swoim rodzaju. Zbudowane zostały na jedenastu milionach dębowych pali wbitych w bagienne podłoże miasta. Już w pierwszym momencie zdumiona spostrzegłam, że kamienice, sprasowane ciasno jedna przy drugiej, są krzywe. Niektóre przechylały się malowniczo na bok, inne kiwały lekko pochylone w przód. Były skromne, wąskie, bez ozdób, uduchnień i zbędnych dekoracji. Tak jakby ich właścicielom nie zależało na reprezentacyjności siedziby, a jedynie na wyśmienitej lokalizacji, gdzie przed wiekami mogli budować tylko najbogatsi mieszkańcy miasta.

Wysiadłam z samochodu i zadarłam z zaciekawieniem głowę, patrząc na czubek wysokiej na kilka kondygnacji kamienicy. Z dachu wystawała poziomo rura, co szczególnie przykuło moją uwagę.

– Chłopaki, wiecie, do czego służy ten gadżet? – zapytałam, wskazując na dach.

– To było pierwsze pytanie, jakie zadaliśmy właścicielowi domu –

odpowiedział spokojnie Jerzyk, uśmiechając się pod nosem. – Za chwilę, po wejściu do środka, zrozumiesz, że bez tego, jak to nazywasz, gadżetu nie można tutaj praktycznie funkcjonować. Prawie każda kamienica w Amsterdamie go posiada. Domy mają tak wąskie korytarze i schody, że mieszkańcy, chcąc przemieścić jakiś większy pakunek na wyższe kondygnacje, zmuszeni są wciągać go przez okna, używając właśnie tej rury, a właściwie haka z zawieszoną na nim liną.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Czyli jak kupicie kanapę, to wnosicie ją do domu przez okno? – Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

– Żeby tylko kanapę! Czasem wciągamy linką nawet większe zakupy, co nie, Tadziki? – Romek zwrócił się przyjaźnie do syna Bożeny, który pojawił się właśnie w otwartych drzwiach kamienicy. Miał na sobie poplamioną roboczą bluzę i spodnie. Wyglądało na to, że właśnie wrócił z pracy.

Patrzyłam na przekomarzających się i śmiejących chłopaków i uspokajającą ich groźnię Bożenkę. Cieszyłam się w duchu, że ich poznałam. Byli prawdziwi, szczerzy, normalni. Akceptowaliśmy się i potrzebowaliśmy nawzajem swojej pozytywnej energii.

Dwa pokoje, które wynajmował Tadziki, uderzały skromnością, wręcz ascetycznością. Jedyny dekoracyjny element wnętrza stanowiły wysokie, panoramiczne okna z widokiem na korony drzew otaczające płynący w dole malowniczy amsterdamski kanał.

Obszerna kuchnia znajdowała się na półpiętrze. Była wspólna dla wszystkich mieszkańców domu. Na środku stołu nakrytego ceratą w niebieskie tulipany stał już dymiący półmisek z gołąbkami.

– Jestem w niebie! – Wciągnęłam w nozdrza aromatyczny zapach ulubionej potrawy. – Albo nie, inaczej! – poprawiłam się szybko. – Jestem w domu, u mamy! Aromat gorącego obiadu to zapach bezpieczeństwa i bez troski. Dziękuję wam za to uczucie, kochani. – Spojrzałam na stojących wokół mnie przyjaciół. – Najważniejsze, żebyśmy trzymali się razem. Jestem pewna, że w ten sposób pokonamy demona emigracji! Nie taki diabeł w końcu straszny!

Usiedliśmy do stołu.

Z pobliskiego kościoła dobiegł nas melodyjny głos dzwonów. Czułam spokój i harmonię. Wystarczyło wsłuchać się w bicie własnego serca.

Rozdział dwudziesty ósmy

Dopiero niedawno przekonałam się do niezwykle popularnych wśród Holendrów zakupów na małych bazarach i rozległych ulicznych targowiskach. W Haarlemie trzy razy w tygodniu na placu Botermarkt okoliczni sprzedawcy ustawiali swoje kramiki z towarem. W piątki królowała zdrowa żywność i produkty eko, a w soboty było wszystkiego po trochu: od starej porcelany, przez odzież, książki, artykuły gospodarstwa domowego, aż po świeże kwiaty. I właśnie kwiaty były tym, co przywiodło mnie na Botermarkt. Chciałam sprawić przyjemność Annemarie i kupić jej najpiękniejszy bukiet ukochanych tulipanów.

Przechadzałam się powoli wśród kolorowych straganów. Próbowałam pokrojonych i ułożonych fantazyjnie na plastikowych tackach świeżych owoców. Podziwiałam miniaturowe porcelanowe filiżanki i gigantyczne kręgi żółtego sera Beemster, skusiłam się nawet na narodową rybę Holandii, czyli solonego śledzia, którego najchętniej jedzono tutaj prosto z beczki. Otaczał mnie gwar rozmów, śmiech bawiących się pomiędzy kramikami dzieci oraz pokrzykiwania sprzedawców, niezmordowanie zachwalających swoje towary.

Kupiłam bukiet tulipanów, włożyłam je ostrożnie do wiklinowego koszyka, przytwierdzonego z przodu kierownicy, i ruszyłam powoli w kierunku Bloemendaal aan Zee. Słońce zdecydowało się w końcu zajrzeć do zapomnianej deszczowej krainy i rozdawało właśnie hojnie ciepłe pocałunki światu. Nie mogłam się już doczekać, kiedy uściskam starszą panią i opowiem jej o zabawnym zdarzeniu z kawą wylaną na piękny mundur pana pilota.

Jechałam wśród zielonych, piaszczystych wydm ścieżką rowerową wzdłuż ulicy Zeeweg i myślałam o tym, jak jedna spontaniczna decyzja może zmienić bieg wydarzeń. Gdybym nie zdecydowała się kupienie w ostatniej chwili kawy na lotnisku, nie wpadłabym na Stijna. Pozornie nie zmieniło się nic, ale podskórnie czułam, że los szykuje nam jeszcze niejedną niespodziankę.

Wjechałam na podjazd przed willą w sosnowym lesie. Błyskawicznie otoczyły mnie spokój i harmonia tego domu. Z radością wbiegłam do środka.

Annemarie siedziała w salonie. Miała na sobie wspaniałą białą suknię z koronkowym żabotem. Pomimo sędziwego wieku nadal była zjawiskowo piękna. Czas nie pozbawił jej klasy, nie odebrał czarui charyzmy, nie osłabił optymizmu i dziewczęcej radości. Wciąż rozświeślała codzienność ludzi, którzy mieli szczęście zaistnieć w jej życiu.

– *Goedemorgen!* – Stanęłam obok jej wózka i z dumą wyciągnęłam przed siebie bukiet tulipanów. Nachyliłam się i pocałowałam staruszkę w pomarszczoną, delikatną jak pergamin skórę na jej policzku.

Annemarie rozjaśniła się w uśmiechu.

– Rozpieszczasz mnie, kochanie – powiedziała. – Moje ulubione. – Czule

objęła rękami łodygi kwiatów i zanurzyła twarz w rozwiniętych delikatnie pąkach.
– Dziękuję! Z jakiej to okazji? – Patrzyła na mnie rozpromieniona.

– A czy musi być okazja? – zapytałam, siadając na kanapie i poprawiając splecione wiatrem włosy. – Piękne kobiety powinny dostawać kwiaty codziennie – oznajmiłam autorytarnie.

– Mówisz jak mój mąż! – roześmiała się i po chwili dodała: – Przypominasz mi go coraz częściej. Cechował go twój entuzjazm i spontaniczność, bez zbędnych konwenansów. Kochał mnie rozpieszczać i robić mi niespodzianki. Nawet pisał do mnie listy, wiesz? Miał lekkie pióro i potrafił w bardzo subtelny i niemęski sposób rozprawiać o uczuciach. Ten talent odziedziczył po nim Stijn. Szkoda, że go marnuje i nie rozwija! Nie mów mu, że ci o tym powiedziałam. – Starsza pani ściszyła głos. – Twierdzi, że to bzdura. Ale ja wiem swoje. Gdyby nie ta miłość do latania, na pewno zostałby wybitnym pisarzem.

– Właściwie nic o nim nie wiem – wyrwało mi się od serca i natychmiast tego pożałowałam.

Annemarie wychwyciła to od razu.

– Lubicie się, prawda? – zaczęła pozornie nie na temat i nie czekając na moją odpowiedź kontynuowała: – Stijn jest małomówny. Nie lubi o sobie opowiadać. Pewnie zanudza cię historiami o mnie sprzed stu lat!

Nie śmiałam zaprzeczyć. Milczałam.

– Bardzo się o niego martwię. Pracuje za dużo, ciągle w drodze, na walizkach. Zawód, który wykonuje, to jego największa pasja, bo zawsze marzył o lataniu. Od kiedy mój syn kupił mu na piąte urodziny pierwszy model szybowca do sklejania, nie chciał słyszeć o niczym innym. Do dziś mu nie przeszło. – Annemarie złożyła ręce jak do modlitwy. Znowu spostrzegłam pod rękawem sukni rozległe blizny po oparzeniach.

– Pasja to nie kaprys. To choroba przewlekła, więc obawiam się, że nigdy mu nie minie – odpowiedziałam pewnie. – A co na to jego rodzina? – zapytałam najbardziej obojętnym tonem, na jaki było mnie stać.

– Jestem jedyną krewną Stijna. Jego rodzice nie żyją, a była żona wyemigrowała do Stanów. Mieszka w Waszyngtonie. Jest naukowcem, biochemikiem. Wielka miłość, którą zaprzepaścili oboje przez głupi upór i niezdolność do kompromisów... Agnies... napiłabym się herbaty... – Annemarie zmieniła nagle temat. Miałam nieodparte wrażenie, że straciła ochotę na dalszą rozmowę o sprawach, które były dla niej zanadto osobiste i bolesne.

Poczułam wyrzuty sumienia, że zamęczam ją zbyt wieloma pytaniami o przeszłość. Pobiegłam do kuchni, by zaparzyć nam obu pysznej herbaty z miętą. Na stole znalazłam, przykryte lnianą ściereczką, świeżo upieczone czekoladowe ciasto. Nigdzie nie widziałam Karin, musiałam zatem obsłużyć się sama. Z załadowaną po brzegi tacą wróciłam do pokoju. Starsza pani drzemała.

Okryłam ją delikatnie cienkim kocem, wlałam do filiżanki gorący napój i wyszłam na taras. Postanowiłam obudzić ją za kwadrans i zabrać na przejażdżkę po wydmach. Chwyciłam leżącą na stole lokalną gazetę i próbowałam zrozumieć coś z tekstu artykułu. Rozpoznawałam tylko pojedyncze słowa, reszta była dla mnie swoistą abrakadabram. Poczułam nagle nieprzepatą chęć, żeby zapisać się na kurs holenderskiego. Posługiwanie się wyłącznie angielskim było na dłuższą metę uciążliwe. Decyzja o życiu w krainie deszczowców wymuszała mówienie w języku tubylców. Poprawiłam się w fotelu i wypijałam łyk orzeźwiającego naparu. Czułam lekki dreszczyk podekscytowania. Lubiłam się uczyć. Głód wiedzy wpoił mi tata, którego szkolne lata przypadły na trudny okres wojennej okupacji. Wykształcenie było dla niego sprawą priorytetową. Zawsze powtarzał Julce i mnie, że najlepsze i najbardziej wartościowe inwestycje to te w nas samych, w nasz rozwój i poszerzanie horyzontów. Szkoda, że nie mogłam już z nim porozmawiać, poradzić się, przytulić. Potrafił znaleźć rozwiązanie z każdej, nawet pozornie patowej sytuacji. W mojej pamięci do dzisiaj jak cień tkwił żywy obraz tego dnia, kiedy na stacji w Poznaniu, wysiadając z pociągu, odebrałam telefon z informacją, że tata zmarł. Stałam na środku rozświetlonego słońcem peronu, czułam zapach świeżo parzonej kawy, dochodzący z dworcowej kawiarni. Miałam na sobie czerwone szpilki i jasną sztruksową sukienkę. Widziałam wyraźnie swoje odbicie w szybie wagonu pociągu pospiesznego do Warszawy, który zatrzymał się dokładnie naprzeciwko. Za mną znajdowała się ściana z przytwierdzonym do niej gigantycznym kolejowym zegarem, który wskazywał godzinę ósmą siedemnaście. Dokładnie o ósmej siedemnaście skończył się mój świat. Od tej pory nic już nie było takie jak przedtem. Stałam się najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi. Przerażliwy smutek wziął mnie w ramiona i nie chciał puścić. Pamiętam, że pocieszył mnie wówczas mały gołąb, który sfrunął z nienacka na brudną betonową posadzkę dworca. Łzy kapły mi na rękaw sukienki, schyliłam się do torebki stojącej przy ławce i kątem oka dostrzegłam ptaka, który przydreptał do mnie z poczekalni. Patrzył na mnie uważnie dobrymi, błękitnoszarymi oczami mojego taty... Zrozumiałam wtedy, że pomimo iż fizycznie już go nie ma, zostanie zawsze ze mną i będzie mnie wspierał.

Otrząsnęłam się z trudem ze wspomnień, dopiłam herbatę i szybko wstałam, żeby obudzić starszą panią. Na pewno będzie się trochę gniewała, że pozwalam jej spać w ciągu dnia, zamiast korzystać z wyśmienitej pogody, idealnej na popołudniowy spacer. Z tego wszystkiego zapomniałam jej podziękować za zaproszenie na urodziny!

Wieczorem Jeroen zabrał mnie na kolację do chińskiej restauracji. Był dziwnie milczący. Ja także nie miałam ochoty na rozmowę, ogarnęła mnie nagła tęsknota za domem rodzinnym. To pewnie przez te popołudniowe wspomnienia o tacie. Drażnił mnie bez powodu gwar i ruch w lokalu. Próbowaliśmy bez

entuzjazmu nowych potraw, każde z nas zatopione we własnych myślach. Po niecałej godzinie z ulgą wyszliśmy na zewnątrz. Na szczęście auto stało zaparkowane tuż przy drzwiach do restauracji. Jeroen kliknął przyciskiem pilota i samochód otworzył się automatycznie z głośnym piknięciem. Coś mnie tknęło. Spojrzałam na niego uważnie.

– Czy ty coś piłeś? – Moje pytanie zabrzmiało surowo, jak oskarżenie.

Jeroen zawahał się przez moment.

– Kieliszek wina. Potem głównie wodę. Nie wydaje mi się, żebym przekroczył dopuszczalny limit. Nie martw się – odpowiedział lekko poirytowany i otworzył przede mną drzwi wozu.

Błyskawicznie zatrzasnęłam je z powrotem.

– Nie wydaje ci się? Jak możesz być tak lekkomyślny! Nigdzie z tobą nie jadę! Nie wsiadam do auta z kierowcą, który jest pod wpływem alkoholu! – rzuciłam z furją.

Jeroen patrzył na mnie osłupiały.

– Aga, nie jestem pijany! Co cię ugryzło?! Cały wieczór byłaś podminowana. Po prostu powiedz mi, o co chodzi. Co zrobiłem nie tak? Nie wyładowuj się na mnie bez powodu! – Chwycił mnie za rękę i przytrzymał mocno.

Wyszarpnęłam ją gwałtownie i zaczęłam biec w kierunku wyjazdu z parkingu. Jeroen momentalnie ruszył za mną. Zanosłam się histerycznym płaczem.

Dobiegł do mnie i zamknął jednym ruchem w ramionach. Wyrывałam się, uderzałam na oślep, krzyczałam, żeby mnie puścił, ale on twardo, bez słowa, trzymał mnie w żelaznym uścisku. Po chwili osłabłam i zawisłam całym ciężarem na jego tułowiu. Czułam się, jakbym miała sto lat. Ogarnął mnie strach. Wiedziałam, że kiedyś to do mnie wróci, ale nie przypuszczałam, że w takich okolicznościach.

Jeroen gładził mnie łagodnie po włosach.

– Co się stało? – zapytał cicho. – Powiesz mi?

Skinęłam głową. W tym momencie było mi wszystko jedno.

– Chodźmy do samochodu. Nie będziemy stali na środku parkingu. I nie bój się, nie usiądę za kierownicą... zamówię taksówkę. – Delikatnie dotknął dłońmi mojej twarzy i miękko otarł spływające po policzku łzy.

Zacząłam mówić. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej, tak jakbym bała się, że nie zdążę wyrzucić z siebie bólu nagromadzonego gdzieś tam, w zakamarkach pamięci, i ukrywanego skrzętnie przez tyle już lat.

Zanurzyłam się w przeszłości... Ostatnia zabawa szkolna, tuż po ogłoszeniu wyników matur. Kasztany zakwitały, a my, odziani w białe bluzki, wierzyliśmy święcie, że właśnie wkraczamy w dojrzałość. Taką durną i chmurną, z niezachwianą pewnością, że świat jest nasz, bo przecież gwarantuje to ta cholerna

szóstka na egzaminach pisemnych z polskiego. Nagle dorośli i pewni swoich racji dyskutowaliśmy na temat obiecujących perspektyw, tańczyliśmy leniwie przy muzyce ukochanego Perfectu, piliśmy bez umiaru letnie już wino. Teraz mogliśmy wszystko, tak jakby matura w kieszeni była paszportem do nieograniczonej wolności, do innego świata, do jutra, bez balastu dziś. Naiwnie uważaliśmy się za innych, lepszych, nowych. To był najpiękniejszy okres w moim życiu. Zakochana bez pamięci, z głową pełną marzeń, wspólnych planów na wakacje, a potem studiów w Poznaniu na wymarzonej uczelni, na którą dostaliśmy się oboje bez egzaminów. Szeptaliśmy sobie do ucha wyznania szczeniwej miłości, trzymaliśmy się za ręce, śmialiśmy się z niczego. Pierwsze pocałunki, nieśmiało odkrywanie własnej seksualności, po omacku, na oślep, z bezgranicznym zaufaniem. Dwoje dzieciaków z patentem na szczęście.

Nie przypominam sobie, kto pierwszy z nas wpadł na pomysł, żeby wcześniej urwać się z imprezy. Chcieliśmy być sami, własne towarzystwo wystarczało wtedy za cały świat. Liczyliśmy się tylko my. Inni byli zbędni. Niefrasobliwie wsiedliśmy do żółtego fiata stojącego przed pawilonem nad jeziorem, gdzie odbywała się zabawa. Do domu mieliśmy jedynie trzy kilometry... trzy kilometry... trzy tysiące pieprzonych metrów!

Potem pamiętam tylko strzępy, migawki, rozmyte twarze i ten przeraźliwy ryk policyjnej syreny, który dźwięczał w mojej głowie w bezsenne noce jeszcze przez długie lata. Dziurawy asfalt prowincjonalnej szosy. Otwarte okna. Nasz śmiech rozbity w ułamku sekundy na tysiące kawałeczków ostrego jak pazury szkła złego losu. Cień góry, który wyrósł znikąd przed maską samochodu. Nagły skręt kierownicą. Huk i krew. Ciepła ciecz na moich rękach i na jego twarzy.

Dlaczego nie dostrzegłam tego ciągnika na poboczu drogi? Dlaczego stał tam nieoświetlony? Dlaczego piliśmy to kurewsko ciepłe wino? Dlaczego pozwoliłam mu prowadzić? Dlaczego go nie zatrzymałam... nie powstrzymałam... nie przeszkodziłam... dlaczego przeżyłam... dlaczego ja... dlaczego ja? Zostałam przeraźliwie sama, otoczona szaleńczym korowodem tysięcy pytań bez odpowiedzi i głęboką blizną na lewym udzie, która jak niezmywalny tatuaż na sumieniu krzyczała każdego cholernego dnia o tym, że to przecież ja jestem wszystkiemu winna...

Poczułam, że znowu spadam w przepaść, której beznadziejną głębię skutecznie wyparłam z pamięci, a która nadal istniała i nie mogła się już doczekać, żeby mnie wchłonąć.

Dobiegł mnie nagle stanowczy i mocny głos. Głos z innego świata.

– To nie jest twoja wina. To nie twoja wina! Słyszysz mnie?

Uniosłam powieki. Napotkałam wrażliwe spojrzenie ciepłych oczu, które mówiło wyraźnie: „Wracaj do mnie. Wszystko już dobrze”.

Uwierzyłam mu. Oparłam głowę o jego ramię.

– Wiem – powiedziałam cicho.

Przed wejściem do restauracji stanęła taksówka.

– Chodź, kochanie. – Wziął mnie za rękę. – Zawiozę cię do domu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Z przerażeniem patrzyłam na własne odbicie w podręcznym lusterku. Miałam szarą, ziemistą cerę i podkrążone oczy. Przypudrowałam lekko twarz i pociągnęłam wargi błyszczkiem. Przy moich nogach zmaterializował się nagle Kociołek i pełnym wyrzutu spojrzeniem dał mi wyraźnie do zrozumienia, że w ostatnich dniach haniebnie go zaniedbywałam. Pogładziłam miękkie futro obrażonego zwierzaka i obiecałam mu solennie, że dostanie wieczorem solidną porcję ulubionego przysmaku. Dopisałam szybko kocią karmę do listy zakupów przyczepionej pinezką do korkowej tablicy w kuchni. Powinnam dziś trochę odkurzyć, zrobić pranie, zajrzeć do Prospera. Zamiast tego usiadłam przy stole i zapatrzyłam się na widok za oknem. Mżył jak zwykle holenderski kapuśniaczek. Potem zerknęłam na wieszak przy drzwiach, gratulując sobie w duchu zakupu porządnej kurtki sztormówki z kapturem i czerwonych kaloszy. Najchętniej zakopałabym się pod kocem z książką, ale musiałam jechać do Heemstede. Chciałam porozmawiać z Henkiem i Charlotte. Postanowiłam zrezygnować z pracy w ich domu. Zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że ta decyzja uderzy mnie boleśnie po kieszeni, ale finanse nie były w tym momencie najważniejsze. Kumulacja stresu odbiła się negatywnie na mojej psychice, czego dowodem była ostatnia sytuacja z Jeroenem. Zachowałam się jak niespełna rozumu histeryczka. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby nie chciał się już więcej ze mną spotykać. Miał wystarczająco dużo własnych zmartwień i problemów.

Dojadłam z trudem kanapkę z goudą i popiłam zimną już herbatą. Na stole zawibrowała komórka.

Jak się czujesz? Potrzebujesz czegoś? J.

Nie, dziękuję.

Cisza.

Potrzebowałam jej.

Była samotnością z wyboru.

Mojego wyboru.

Przynajmniej miałam jeszcze to.

Chwyciłam z wieszaka kurtkę i zamknęłam za sobą drzwi.

Przed rezydencją państwa van der Vegtów parkowały dziś wyjątkowo oba auta. Czyżby Henk obawiał się zostawić mnie sam na sam z żoną? Zaśmiałam się w myślach gorzko, gdyż nie zamierzałam zdradzać jej brudnych tajemnic niewiernego męża. Postawiłam rower pod ścianą garażu i zajrzałam do torby w poszukiwaniu kluczy do domu. Zamierzałam zwrócić je Charlotte. Nagle usłyszałam cichy szmer za plecami. Odwróciłam się szybko. Przede mną stała Kim.

– Cześć, skarbie! – Podeszłam do małej, przykucnęłam i spojrzałam jej w oczy. Patrzyła na mnie zmartwionym wzrokiem. Chwyciłam ją za pulchne rączki. – Co się stało?

– Rodzice się kłócą – odpowiedziała cicho dziewczynka. – Już się nie kochają. Siem mówił, że jego też się kłócili. I teraz Siem mieszka z mamą. Tata się wyprowadził. Boję się...

Pogładziłam ją po jasnej główce.

– Siem to twój przyjaciel? Chodzicie razem do szkoły?

– Już nie. Przeniósł się z mamą do Utrechtu. Jego tatuś ma nową panią. Siem nazywa ją „lafiryndą”. Co to lafirynda, wiesz?

Odchrząknęłam znacząco.

– Wiem, kochanie. Ale to nieładne słowo. Nie powinno się tak mówić.

– Można zrobić komuś przykrość?

– Tak.

Kim zastanawiała się nad czymś głęboko. W końcu zapytała z rozbijającym zdziwieniem w głosie:

– Dlaczego mama i tatuś robią sobie przykrość? Nie wiedzą tego? Przecież są dorośli, tak jak ty. Powinnaś im to powiedzieć.

Podniosłam się i otrzepałam kolana. W kuchennym oknie mignęła mi twarz matki dziewczynki.

– Porozmawiam z nimi, Kim. A teraz biegnij na górę. Niedługo do ciebie przyjdę. Umyjemy wszystkie misie, zgoda?

Mała kiwnęła rozradowana głową i popędziła w kierunku domu.

Czułam podskórnie, że już za moment czeka mnie niezła batalia.

Charlotte i Henk siedzieli w salonie. Napięcie, które dawało się wyczuć w pokoju, można było kroić nożem.

– Agnes – zwróciła się do mnie oficjalnym tonem Charlotte. – Chcielibyśmy ci coś zakomunikować.

Nikt nie zaproponował, żebym usiadła, stałam więc wyprostowana i spięta. Czułam się jak na sądzie ostatecznym.

– Chyba domyślam się, o co chodzi – powiedziałam, patrząc prosto w oczy Henkowi. Zmieszał się, ale nie odwrócił wzroku. – Zaoszczędzę wam czasu i fatygi. Ja także uważam, że najlepiej będzie dla nas wszystkich, jeżeli zrezygnuję z pracy.

Charlotte uniosła perfekcyjnie wystylizowane brwi.

– O czym ty mówisz? – Patrzyła na mnie ze szczerym zdziwieniem w oczach.

– Myślałam, że chcecie mnie zwolnić – odparłam zgodnie z prawdą.

– Skąd ci to przyszło do głowy?! Wręcz przeciwnie! Chcieliśmy cię prosić, żebyś przychodziła częściej. – Spojrzała ze złością na męża i sarkastycznie rzuciła:

– Może dodasz coś od siebie? Jesteś w końcu PANEM tego domu!

Henk prychnął pogardliwie.

– Oszczędź nam teatralnych scen! Nie robią na nikim wrażenia! – Po czym zwrócił się do mnie łagodniejszym nieco tonem: – Zdecydowaliśmy się na separację. Wyprowadzam się na jakiś czas z domu. Mamy w Oud-Zuid^[56] mieszkanie, które do tej pory wynajmowaliśmy. Pomieszka tam parę miesięcy. Musimy odpocząć od siebie i przemyśleć kilka spraw. Dziewczynki jeszcze nic nie wiedzą.

– Radziłabym porozmawiać z nimi jak najszybciej. One czują, że coś jest nie tak. Nie rozumieją dokładnie, o co chodzi, tłumaczą to sobie po swojemu i po prostu się boją – powiedziałam cicho.

Charlotte zgromiła mnie wzrokiem.

– Pozwól, że sami rozwiążemy ten problem. Nie jesteś naszą rodzinną terapeutką. Wiemy, co jest najlepsze dla naszych córek, i w razie kłopotów zwrócimy się o poradę do fachowców. Nie bagatelizujemy tej sprawy, nie musisz się obawiać.

Westchnęłam ciężko.

– Jaka jest w takim razie moja rola w tej fars... znaczy w tym wszystkim? – Spojrzałam na nią pytająco.

Poprawiła opadające na czoło pasmo włosów. Na przegubach jej dłoni mignęły złote bransoletki. Wystroiła się w zupełnie niepasujący do codzienności biały kostium i czarne szpilki. Wyglądała demonicznie jak Cruella de Vil. Nie byłam w stanie wyobrazić jej sobie przytulającej i całującej własne córki. A jednak była ich matką i dziewczynki ją kochały. Pomyślałam o górach zabawek, drogich firmowych ubrankach, kosztownych lekcjach tenisa, egzotycznych wycieczkach, które dla tych dzieci stanowiły chleb powszedni. Ich rodzice uważali, że w ten sposób okazują im uczucie i zainteresowanie. Patrząc tymi kategoriami, rzeczywiście niczego tu nie brakowało. Skąd więc góra nagich lalek Barbie w wannie Jill? Niedojedzone kanapki ukryte pod jej łóżkiem? Histerie podczas lekcji pianina? Być może to nic innego jak dramatyczne wołanie o miłość, uwagę, czułość. I – co najważniejsze – o czas, którego w tym domu nikt nigdy dla nich nie miał.

Charlotte patrzyła na mnie wyczekująco.

– Przepraszam – zreflektowałam się. – Jestem trochę rozkojarzona. Słucham?

– Właśnie widzimy. Może zakochana? – zaśmiała się znacząco, ale błyskawicznie przybrała poważną minę. – Pomyśleliśmy, że może mogłabyś oprócz normalnych obowiązków zająć się również naszymi córkami? Dwa razy w tygodniu. Góra dwie godziny. Kim nie chce słyszeć o nikim innym, a Jill jest właściwie wszystko jedno. Nie musisz odpowiadać od razu. Prosiłabym jednak,

żebyś podjęła decyzję w najbliższych dniach. Jeśli chodzi o finanse...

– Nie chodzi o finanse... – przerwałam jej zniecierpliwiona.

Zawahałam się. Nie potrafiłam im oznajmić ot tak z zimną krwią, że nie chcę pracować u kogoś, kto jest święcie przekonany o własnej wyższości i nieomyślności. A przy okazji również kłamie. Jedynym powodem, dla którego jeszcze stąd nie uciekłam, były dziewczynki. Nie chciałam, żeby czuły się przeze mnie opuszczone i oszukane.

– Dobrze. Zgadzam się – zdecydowałam. – Ale będę mogła przychodzić tylko raz w tygodniu. Chcę zapisać się do szkoły na kurs holenderskiego. Potrzebuję więcej czasu na naukę – wyjaśniłam, choć nie czułam wcale konieczności tłumaczenia się z mojej decyzji.

Henk i Charlotte wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Zdecydowałaś się zostać tutaj na stałe? – zapytała Charlotte. Mogłabym przysiąc, że w myślach skanowała już wyciągi bankowe Jeroena i zazdrościła mi udanych „połowów”.

– Myślę o tym. Rozważam różne opcje – odpowiedziałam rzeczowo. – Nawet jeżeli wrócę do Polski, znajomość dodatkowego języka obcego na pewno się przyda. Wbrew pozorom najlepsze inwestycje to nie te giełdowe, biznesowe, ale duchowe, w samego siebie i własny rozwój. To zawsze procentuje. Bez ryzyka. Osobowość i potencjał to najlepsza waluta świata.

Henk roześmiał się głośno.

– Marnujesz się, sprzątając domy, Agnes. – Spojrzał na mnie z błyskiem nagłego zainteresowania w oku. – Widzę cię na znacznie lepszych i bardziej odpowiedzialnych stanowiskach. Zgłoś się do mnie po tym kursie, kto wie, może znajdę coś dla ciebie w swojej firmie.

Charlotte parsknęła z pogardą.

– Szkoda, że nie byłeś taki skory do inwestowania we własną żonę!

Henk rzucił jej lekceważące spojrzenie.

– Niestety, w tym przypadku dobrze zapowiadająca się lokata kapitału okazała się kompletnym niewypałem – mruknął, podniósł się z fotela i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. – Szczegóły dodatkowej pracy przy dziewczynkach omówcie już same. Ja proszę tylko o informację, ile będzie mnie to kosztować – rzucił na odchodne i wyszedł bez pożegnania.

„Dupek”, pomyślałam zimno i spojrzałam z uwagą na Charlotte. Siedziała z opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami i patrzyła ponuro w podłogę. Cała jej pozorna pewność siebie i buta ulotniły się wraz z wyjściem męża. Nie musiała już udawać. Doskonale wiedziała, że przejrzałam jej marną kreację aktorską. Tak naprawdę bała się nie mniej niż jej córki.

– Pójdę już na górę. Dziewczynki czekają – powiedziałam, ale chyba nawet nie słyszała moich słów.

Odwróciłam się powoli. Czułam ulgę, że mam tę rozmowę za sobą. Byłam przekonana, że podjęłam właściwą decyzję. Największą nagrodą była jednak uśmiechnięta buzia Kim, która podbiegła do mnie i przytuliła się mocno.

– Dobrze, że jesteś...

Wracając z pracy, wjechałam nieuważnie na rozbite na ścieżce szkło. Opona pękła z hukiem. Klnąc na czym świat stoi, zeskoczyłam z roweru i uważnie przyjrzałam się przebitej gumie. Nie było szans na dalszą jazdę. Stałam w szczerym polu gdzieś pomiędzy Heemstede a Haarlemem, zastanawiając się, co robić. Najchętniej pokonałabym tych parę kilometrów pieszo, ale nie miałam co zrobić z rowerem, przecież nie mogłam zostawić go na środku ścieżki, prowadzić z uszkodzoną oponą też mi się nie uśmiechało. Wyciągnęłam z plecaka komórkę i wybrałam numer Prospera. Włączyła się automatyczna sekretarka. Po chwili namysłu zadzwoniłam do Jeroena. Telefon był zajęty. Musiałam radzić sobie sama. Sapnęłam z wysiłku i mocniej chwyciłam kierownicę. W tym momencie minął mnie rozpędzony motor, po chwili jednak kierowca gwałtownie zwolnił, odwrócił się do mnie i pomachał przyjaźnie ręką odzianą w wielką skórzaną rękawicę. Wzruszyłam ramionami. „Rzeczywiście, bardzo zabawne!”, pomyślałam ze złością, poprawiając zsuwający się z grzbietu plecak. Motocyklista dodał gazu i zgrabnie zawrócił na rondzie kilkadziesiąt metrów dalej. Ubrany był w czarny kombinezon z białymi lampasami na nogawkach. Nie widziałam jego twarzy, gdyż zasłaniał ją aerodynamiczny srebrny kask. Zatrzymał się na rozwidleniu ścieżki rowerowej i zgasił motor. Najwyraźniej na mnie czekał. „Amator łatwego podrywu”, skrzywiłam się lekko i przyspieszyłam, zdecydowana na bezpardonowe odparcie ewentualnego „ataku”. W pewnej chwili motocyklista zdecydowanym ruchem ściągnął kask, przejechał dłonią po jasnych rozwichrzonych włosach i uśmiechnął do mnie rozbajajaco.

– Dzień dobry, Agnies.

To nie mogła być prawda. Przede mną stał Stijn. Tym razem naprawdę spadł mi z nieba.

Rozdział trzydziesty

Stałam przy półce z gazetami i kolorowymi czasopismami w supermarkecie, zastanawiając się, jaką prasę wrzucić dziś do koszyka. Pomimo że Holandia to stosunkowo niewielki kraj, wybór tytułów na rynku był ogromny. Zauważyłam, że codziennie studiowanie nowych tekstów ogromnie poszerza moje ubogie słownictwo. Postanowiłam iść dalej tym tropem i mimo że czytając prasę, nie rozumiałam zbyt wiele z gąszczu obcych dla mnie słów, oswajałam się jednak z nimi, próbując zapamiętać jak najwięcej nowych wyrazów.

Holenderski brzmiał w uszach obcokrajowca jak wybuchowa mieszanka niemieckiego i angielskiego, a te języki znałam nieźle. Miałam solidne podstawy, dlatego wierzyłam, że w miarę szybko podołam nowemu lingwistycznemu wyzwaniu. Sporo materiałów i skryptów dostałam od Annemarie, gdyż Stijn pracował kiedyś jako wolontariusz w obozie dla uchodźców z Afganistanu i prowadził kursy nauki holenderskiego dla początkujących. Podobno, przynajmniej tak twierdziła jego babcia, był niezwykle uzdolnionym poliglotą. Takich ludzi nazywano tutaj zabawnie *talenknobbel*.

Włożyłam do pełnego koszyka lokalną gazetę „Noordhollands Dagblad” oraz ogólnokrajowy „De Telegraaf”. Po namyśle dorzuciłam jeszcze kolorowy komiks z Kaczorem Donaldem. Zawsze byłam sentymentalna, a Donald kojarzył mi się z beztróskim dzieciństwem i filmami Walta Disneya, na które czekałam z niecierpliwością w każde święta Bożego Narodzenia.

Przy kasie dokupiłam jeszcze kartę prepaid do telefonu i obładowana zakupami wyszłam na zewnątrz. Mój rower stał przypięty nowym, porządnym zapięciem do metalowego stojaka pod wiatą. Zaniedbany jednoślad został przedwczoraj dokładnie przebadany w profesjonalnym warsztacie serwisowym. Można powiedzieć, że ofiarowałam mu drugą młodość. Bez problemu mogłam teraz startować choćby w Tour de France.

Mój anioł stróż spisał się na medal...

– Los nam sprzyja! Tylko dlaczego wybierasz miejsca spotkań w tak mało romantycznych okolicznościach? Najpierw zatłoczone lotnisko, teraz odosobniona ścieżka gdzieś *in the middle of nowhere!*^[57] – powiedział Stijn, po czym odwiesił kask, postawił motor na podpórce i podszedł do mnie. Jednym spojrzeniem obrzucił uszkodzoną oponę, drugim zerknął na moją skromną osobę. Czułam się brudna, zakurzona i spocona. Na moich jasnych conversach widniały czarne, tłuste plamy niewiadomego pochodzenia. Roześmiałam się i podałam mu uwalaną smarem, a jakże, dłoń.

– Akurat w tym przypadku jestem losowi niezwykle wdzięczna – powiedziałam całkowicie poważnie. – Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc przy transporcie tego ciężkiego jak sto diabłów wraka. – Z ulgą odstawiłam

rower na bok i rozprostowałam ściernięte nieco ramiona.

Stijn przykucnął przy przednim kole i sprawdził głębokość przebiccia dętki.

– Sami nie damy rady, uszkodzenie jest zbyt duże – zdecydował błyskawicznie. – Dzwonimy do rowerowego ambulansu! – Z kieszonki na piersiach wyciągnął komórkę i zaczął szybko przeglądać numery w książce telefonicznej aparatu.

– Ambulans? – Patrzyłam na niego zdziwiona. Nie wiedziałam, że można tu wzywać pomoc drogową również do jednośladów.

– Oczywiście! W kraju osiemnastu milionów rowerów nie da się inaczej – roześmiał się i wybrał numer.

Po krótkiej rozmowie, z której nie zrozumiałam, niestety, ani słowa, Stijn zwrócił się ponownie do mnie.

– Wegenwacht Fiets Service będzie w ciągu pół godziny. Mamy akurat czas na wypicie *koffie*. – Patrzył na mnie z filuternym błyskiem w oku. Z kufra z tyłu motoru wyciągnął mały termos, odkręcił i poczułam aromatyczny, głęboki zapach świeżo zmielonych ziaren kawy.

– Myślałam, że żartujesz! – Patrzyłam na niego zaskoczona i rozbawiona. Stijn, uśmiechając się, bez słowa nalał napoju do nakrętki i zaserwował mi ją szybkim, dystyngowanym ruchem.

Wzięłam mały łyk i zwróciłam mu kubeczek. Musnął ledwie wyczuwalnym dotykiem moje palce, po czym upił kawy, dotykając ustami brzegu nakrętki w miejscu, gdzie widniał jeszcze ślad moich warg. Ten widok był tak sensualny, że westchnęłam bezwiednie, prawie natychmiast pokrywając zażenowanie beztróskim uśmiechem. Staliśmy razem obok srebrnej maszyny Stijna. Podawaliśmy sobie kawę z ręki do ręki. Jeden łyk mój, drugi jego. Jego i mój. Nie mówiliśmy prawie nic. Cisza między nami była obiecująca, intrygująca, zagadkowa. Magiczna. To była już druga taka chwila. Mogłaby trwać wiecznie.

Jak grom z jasnego nieba uderzył w nią uporczywy warkot żółtej furgonetki z niebieskim napisem „Wegenwacht^[58]”. Wyskoczyło dwóch mężczyzn i po krótkiej rozmowie ze Stijnem zapakowali mój rower do wnętrza samochodu. Odjechali równie szybko, jak się pojawili, zostawiając za sobą tuman kurzu na piaszczystej ścieżce, na której staliśmy. Stijn ponownie sięgnął do schowka z tyłu motocykla i wyciągnął z niego czerwony kask. Wręczył mi go, sprawdzając przedtem starannie pasek zapięcia.

– Przymierz! – polecił. – Zawiozę cię do domu. Rower będzie pewnie gotowy dopiero za jakieś dwa dni. Tutaj masz adres i numer telefonu do warsztatu, gdzie będziesz mogła go odebrać. – Wręczył mi małą wizytówkę, którą od razu włożyłam do bocznej kieszeni plecaka. O wiele bardziej interesował mnie błyszczący kask. Oglądałam go ze wszystkich stron. Nigdy jeszcze nie jechałam motorem.

– A o rower się nie martw – rzuciłam beztrąsko. – Pożyczę drugi od Prospera.

Stijn spojrzał na mnie uważnie.

– Kim jest Prosper? – Po czym błyskawicznie się zreflektował: – Przepraszam, to nie moja sprawa.

– Prosper to chłopak mojej siostry. Mieszkamy obok siebie. Przyjaźnimy się. Jest fantastycznym facetem. – Zależało mi na tym, żeby o tym wiedział.

Na twarzy Stijna pojawił się cień ulgi. A może tylko tak mi się zdawało.

– Rozumiem. Nie musisz mi się tłumaczyć. Czuję się teraz jak męska wersja Maty Hari.

– Tej kobiety szpiega? – roześmiałam się. – Bzdura, przecież wcale mnie nie wypytujesz ani nie śledzisz. Nic się nie stało. Wykazałeś zdrowe zainteresowanie w granicach rozsądku. Choć czekaj... czekaj – udałam, że głęboko się nad czymś zastanawiam. – Właściwie macz rację! To bardzo podejrzan, że znalazłeś się akurat dzisiaj w tym samym miejscu gdzie ja. To niezbyt uczęszczana trasa... Co ty tu właściwie robisz? – Przewróciłam zabawnie oczami i zastukałam znacząco w lśniący lakier motoru.

Stijn wybuchnął śmiechem. Patrzył na mnie zagadkowym wzrokiem.

– A czy wiesz, że Mata Hari pochodziła z Holandii?

– Nie. Myślałam, że to Niemka.

– Naprawdę nazywała się Margharetha Geetruida Zelle. Urodziła się na północy, w Leeuwarden. Była tancerką erotyczną i luksusową prostytutką. Właściwie do dzisiaj nie znaleziono niezbitych dowodów na jej działalność szpiegowską. Być może była tylko marionetką w rękach wpływowych dygnitarzy, jej klientów. – Stijn spojrzał nagle na zegarek i wskazał ręką kask, który dzielnie trzymałam w dłoniach. – Zakładaj ten twarzowy hełm i ruszamy – powiedział, po czym wyjął kask z moich rąk i sam nałożył mi go ostrożnie na głowę. Delikatnie wyregulował długość bocznych pasków, aby swobodnie zapięły się pod brodą, i zdecydowanym ruchem zapiął klamrę. Potem szybko nałożył własny kask i wskoczył na motor. Przebudzony silnik zaryczał efektownie. Stijn poklepał znacząco siedzenie za sobą i uniósł zachęcająco lewy kciuk. Ściągnęłam mocniej szelki plecaka i zajęłam swoje miejsce. – Trzymaj się mocno! – krzyknął i jednym zrywem ruszył.

Objęłam go obiema rękami i przyłgnęłam całą sobą do nagrzaną słońcem i przyjemnie drażniącej nozdrza skóry jego kombinezonu. Drgnął i przyspieszył gwałtownie, pochylając tułów lekko do przodu. Mocne, przenikające do samego dna mózgu dźwięki silnika przepływały we mnie rwącą rzeką wezbranych emocji, wibrowały w krwiobiegu, kołysały w przyspieszonym rytmie bicia naszych serc. Podałam się całkowicie porywającej melodii jazdy. Podążałam za ruchami Stijna, czując pod sobą potężną, ekscytującą moc rozgrzanej maszyny.

– Wszystko w porządku?! – krzyknął, a jego głos rozpląnął się momentalnie w porywie świszczącego w uszach wiatru.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – wyszeptałam bezgłośnie, wtulając rozgrzany policzek w jego plecy, chłonąc bliskość, która budziła uspięne do tej pory motyle w brzuchu, na które tak niecierpliwie czekałam.

Nawet nie spostrzegłam, kiedy wjechaliśmy do Haarlemu. Dystans, który przed chwilą wydawał mi się nieskończonością, minął w zastraszająco szybkim tempie. Zatrzymaliśmy się tuż przy schodach przeciwpożarowych prowadzących do mojego mieszkania. Ściągnęliśmy kaski.

– I jak wrażenia? Motory albo się kocha, albo się ich nienawidzi – powiedział Stijn. Jak jest w twoim przypadku? – Poprawił czułym gestem zsuwający się z moich ramion plecak i patrzył na mnie wyczekująco.

– Zdecydowanie miłość od pierwszego wejrzenia! – odparłam kompletnie nieświadoma dwuznaczności mojej odpowiedzi.

– To tak jak u mnie – rozpromienił się w uśmiechu całkowicie świadomy dwuznaczności własnej odpowiedzi.

– Jeszcze raz chciałabym ci bardzo podziękować. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce na urodzinach Annemarie. – Zerknęłam nagle uważnie ponad jego ramieniem na przeciwległą ulicę. Wydawało mi się, że zaparkował tam właśnie samochód Jeroena.

– Zarezerwuj cały weekend. Na Texel zapowiadają piękną pogodę! – Stijn odpalił maszynę i ponownie założył kask. Spojrzał na mnie zza szybki, zmrużył na moment powieki i podnosząc prawą rękę, wystartował w kierunku lotniska Schiphol.

Zostałam sama. Przyłożyłam dłonie do rozpalonej twarzy. W mojej głowie szalał prawdziwy tajfun nowych uczuć, które należało uporządkować. Marzyłam o wyciągnięciu się na wygodnym łóżku Julki z miękkim, ciepłym Kociołkiem przy boku. Ale najpierw musiałam uporać się z kolejną nieoczekiwaną atrakcją. Po przeciwnej stronie, oparty o maskę auta, stał Jeroen. Nie mogłam dostrzec jego oczu ukrytych za szklami ciemnych okularów przeciwsłonecznych. Rozejrzałam się wokół, wzięłam głęboki oddech, po czym przeszłam na drugą stronę ulicy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się niepewnie, stając naprzeciw niego.

– Dzwoniłem do ciebie dziesiątki razy! Co się dzieje? – Jeroen nie zareagował na moje przywitanie. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Sięgnęłam ręką do bocznej kieszonki plecaka i wyciągnęłam swoją komórkę. Na wyświetlaczu widniała informacja o dwudziestu jeden nieodebranych połączeniach...

– Wyciszyłam telefon, przepraszam. Zawsze tak robię w pracy – tłumaczyłam, choć wcale nie czułam się winna.

– Byłem na bardzo ważnym zebraniu – ciągnął Jeroen, tak jakby nie usłyszał

mojej odpowiedzi. – Dopiero po półgodzinie zorientowałem się, że próbowałaś się ze mną skontaktować. Dzwoniłem, ale nie odbierałaś... Mogę wiedzieć, co się stało? Martwiłem się.

– Przebiłam oponę w drodze do domu. Na szczęście, na ścieżce przypadkowo zobaczył mnie Stijn, wnuk starszej pani, u której pracuję. Zadzwoił po pomoc drogową i przywiózł mnie do Haarlemu – mówiłam coraz wolniej. Nie podobał mi się pełen wyrzutu sposób, w jaki na mnie patrzył.

Jeroen milczał. Cisza między nami nie wróżyła niczego dobrego. Byłam zmęczona i chciałam pójść do siebie.

– Nie gniewaj się już – powiedziałam cicho. Między nas wkradł się chłód, który mnie przerażał.

Jeroen ściągnął okulary. Zobaczyłam w jego oczach bezbrzeżny smutek.

– Aga... – Widać było, że to, co chciał powiedzieć, sprawia mu trudność. – Z mojej strony nic się nie zmieniło. Wciąż jest tak samo. Zależy mi na tobie i chciałbym z tobą być. Ale mam wrażenie, że ty nie jesteś już pewna, czego chcesz. Od jakiegoś czasu czuję, że z każdym dniem oddalasz się ode mnie coraz bardziej. To sprawia mi ogromny ból, bo... ja już nie wyobrażam sobie, jak to było przed. W tej odległej galaktyce, miliony lat świetlnych stąd... przed tobą. Nic nie było. Jesteś moją *soulmate*. Nie spotkałem cię przypadkiem...

Patrzyłam na niego i bałam się niewypowiedzianych jeszcze słów.

Jeroen podszedł do mnie na odległość oddechu.

– Ten wieczór... kiedy powiedziałaś mi o tym wypadku z przeszłości... Otworzyłaś się przede mną, zaufałaś, byliśmy tak blisko. Trzymałem cię w ramionach, widząc twój ból i łzy, i obiecałem sobie w duchu, że zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Nie przeraził mnie twój wybuch, nie zniechęcił, nie odrzucił. Bo przecież nikt nam nigdy nie obiecał, że będzie łatwo...

Nie... nikt nam tego nie obiecał. A ja wiedziałam, że kiedy spotkają się kobieta po przejściach i mężczyzna z przeszłością, to jest i piekło, i raj. W piekle ukrywają się traumy, ból, cierpienie, lęk. W niebie mieszka beztroski śmiech, łagodność, czułość, która koi koszmary. W związku dwojga ludzi z bliznami droga ziemia–niebo jest długa, wyboista, dziurawa, wije się serpentyną, biegnie przez wąskie mosty łączące noc z dniem, krzyk z szeptem, uderzenie z pieszczotą. Żeby przetrwać, trzeba nadludzkiej cierpliwości i wielkiej miłości, takiej do dna, do samych trzewi. Miłości czasem w szałasie, w ciemnym lesie i na szerokich, białych plażach Bali, w jasnych snach i ciemnych zaułkach złego. Na twardym sienniku i na puchowej kołdrze. W deszczu, rzęśnistym do ostatniej koszuli, i w palącym skórę słońcu. W bawełnianym podkoszulku i jedwabnym, sygnowanym krawacie. Z kromką chleba, małym jabłkiem ukradzionym z przydrożnego sadu i z ostrygami na porcelanowym talerzu najlepszego hotelu w mieście. W szpilkach, garniturze i poplamionej piżamie, z kroplówką nad nieumytą głową, w śmierci i życiu.

Miłości na życie i na śmierć. Łaskę i przekleństwo. Błogosławieństwo i wygnanie. W krzyku do Boga, skowycie i żalu, upokorzeniu i pustych oczach. W tułaczce i przystani, w podróży i domu, w pacierzu i pożegnaniu...

Spojrzałam na Jeroena nieprzytomnie. Jego wzrok pochłaniał cały świat. Ale w moich myślach, jak tatuaż, widniała zupełnie inna twarz.

– Jeżeli powiesz mi teraz „odejść”, obiecuję... nie zobaczysz mnie nigdy więcej. Ale chciałbym, tak cholernie chciałbym móc jeszcze zanurzyć dłonie w twoich włosach, wymasować stopy, zanieść do łóżka... Mam cię pod skórą, w krwiobiegu, w rytmie serca, między tymi cholernymi wątpliwościami a czasem, który biegnie za szybko i nie da się go zatrzymać... nie da się go zatrzymać... nie da... Popatrz na mnie. Kocham cię.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Siedziałam przy stole w kuchni Jana z kubkiem gorącej kawy w dłoniach. Anneke, przepasana swoim ulubionym niebieskim fartuchem, krzątała się obok. Właśnie wyciągnęła z piekarnika świeżo upieczone ciasto. Otuliła mnie obłądna woń gorącej czekolady. Od kiedy pamiętam, byłam zapachowcem. Aromaty przywoływały we mnie wspomnienia, urywki minionego czasu, zapomniane w goniwce codzienności chwile. Intensywne wonie ożywiały przeszłość zapisaną na twardym dysku pamięci. Zapach skoszonej trawy za domem, nabrzmiałe słońcem węgierki prosto z drzewa, dojrzałe, soczyste pomidory posypane gruboziarnistą solą, jedzone na kolację w zatopionym w wieczornej ciszy ogrodzie, chłodny deszcz na gorącym asfalcie, zapach pierwszych pocałunków kradzionych ukradkiem za szkołą. Czując aromat terażniejszości, potrafiłam zobaczyć przeszłość. Zamykałam oczy i otaczały mnie ciepłe dłonie szczęśliwego dzieciństwa, kojący zapach swetra mamy, przesiąknięta wiatrem powłoczka ukochanego jaśka, zakurzone fikołki na trzepaku, pierwsze książki wypełnione wonią farby drukarskiej, pierwsze perfumy, szpilki z dobrze wyprawionej skóry, rześkie dotknięcie powietrza z otwartego na oścież okna o poranku, rozgrzane nocą łóżko, zapach mężczyzny...

Anneke obrzuciła mnie uważnym, zatroskanym spojrzeniem. Znała szczegóły wczorajszej historii.

– I co teraz? – zapytała, przysiadając na brzeżku stojącego obok mnie krzesła.

Co teraz. Dwa słowa, które odmieniałam całą minioną noc w najróżniejszych konfiguracjach. Dwa słowa, które jak cierń tkwiły w mojej głowie, nie pozwalając zasnąć. Dwa słowa, na które bezskutecznie szukałam odpowiedzi.

– Nie wiem.

Anneke przysunęła do siebie cukiernicę i posłodziła hojnie kawę w dużym fajansowym kubku.

– Anjeska... nie mogłaś dłużej zwlekać. Jest ci ciężko, ale podjęłaś słuszną decyzję. Najważniejsze, że byłaś uczciwa. Zarówno w stosunku do niego, jak i do siebie.

– Anneke... wybrałam niepewność. Nadzieję, że ktoś, kto nigdy nie dał mi najmniejszego znaku, że jest mną zainteresowany, będzie chciał ze mną być.

– Mówiłaś, że jest między wami chemia.

– Tak czuję. Ale równie dobrze może to być jedynie moje pobożne życzenie. Przecież nie stanę przed nim i nie zapytam: „Hej, mogę wiedzieć, czy przypadkiem nie jestem w twoim typie? Zerwałam dla ciebie z człowiekiem, który mnie kochał, więc z łaski swojej pospiesz się z odpowiedzią, do cholery, tak czy nie?”

Anneke patrzyła na mnie zafrasowana.

– A Jeroen? Jak to przyjął?

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Boję się, że strasznie go zraniłam.

Nie spojrzałam na niego. Odwróciłam wzrok.

Stop klatka. Pierwsze spotkanie. Dotyk. Do zapomnienia. Bez tchu. Bez wczoraj. Bez jutra. Tu i teraz. Odsunęłam się od niego powoli. Tych parę kroków powodowało ból w każdym centymetrze mojego ciała. Dam radę. Pokonałam już przecież tysiące kilometrów. Między miękkością pierwszego pocałunku a krzykiem ostatniego spojrzenia.

– Nie możemy być razem – powiedziałam głośno. Moje słowa rozorały pazurami ciszę.

Jeroen drgnął.

Teraz dzieliła nas przepaść. W uszach dźwięczała pustka urwanej nagle melodii.

Nie powiedział już ani słowa.

Staliśmy oboje, czekając, które z nas odejdzie pierwsze.

Obok zatrzymała się rozgadana grupka młodych ludzi. Ich śmiech wwierał się natrętnie pod czaszkę. Był bezdusznym przypomnieniem, że cokolwiek się między nami wydarzyło, życie toczy się dalej. Cokolwiek postanowimy, będą to decyzje, które nie wstrzymają ruchu ziemi. Mogą jedynie wstrzymać nasz świat.

Poddałam się pierwsza.

Przy aucie na chodniku leżał wielki bukiet czerwonych tulipanów.

Jeroen odjechał sekundę po mnie.

Rozdarte brutalnie oponami samochodu kwiaty rozsypały się po asfalcie krwawą smugą zmiażdżonych płatków.

Anneke wstała bez słowa, podeszła do stojącej na kuchennym blacie staroświeckiej, ceramicznej formy do ciasta i odkroiła hojnie spory kawałek brownie. Postawiła na stole talerzyk z czekoladowym wypiekiem i poklepała mnie po ramieniu. Była oszczędna w okazywaniu uczuć, ale wiedziałam, że całym sercem jest ze mną.

– Najważniejsze, że masz to za sobą. Nie rozpamiętuj i nie rozgrzebuj tego więcej. Szczerść boli, ale kłamstwo jeszcze bardziej. Choć niektórzy twierdzą, że jest zupełnie na odwrót.

Zatopiłam widelczyk w gęstej, lepkiej czekoladowej masie. Ciasto smakowało wybornie. Mój nastrój poprawił się nieco za sprawą niezliczonej ilości endorfin, które szalały w każdym wypieku Anneke.

– Powiesz mi, co za tajemniczą sprawę miałś do załatwienia w Amsterdamie? – zapytałam, celowo zmieniając temat. Chciałam choć na chwilę zapomnieć o tkwiącym we mnie jak cień smutku.

Anneke rozwiązała fartuch i odwieszając go starannie na wieszak za

kuchennymi drzwiami, odpowiedziała wprost:

– Już od jakiegoś czasu staramy się z mężem o dziecko. Nie w sposób naturalny, na to jestem już zdecydowana za stara. W grudniu skończę czterdzieści osiem lat. Półtora roku temu rozpoczęliśmy procedurę adopcyjną. W zeszłym tygodniu otrzymaliśmy informację, że mamy duże szanse na przysposobienie rodzeństwa z Rumunii. To brat i siostra. Mała jest niepełnosprawna ruchowo, jeździ na wózku. Ich sytuacja prawna jest uregulowana, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy w następnym miesiącu po raz pierwszy mogli ich odwiedzić.

Anneke mówiła spokojnie i bez emocji, ale wiedziałam, że to złudne wrażenie. W jej oczach mogłam bez trudu dostrzec mieszankę wzruszenia, dumy i radości.

– To fantastyczną wiadomość! – Podskoczyłam z wrażenia. – Ogromnie się cieszę! A to niespodzianka. – Wiedziałam, że gospodyni nie przepada za czułościami, ale objęłam ją serdecznie za szyję i pocałowałam w oba policzki. Tym razem nie broniła się przed bliskością.

– Fakt, że nie mamy dzieci, był nam nieustannie wypominany, przypominany i wyrzucany – westchnęła Anneke. – Ludzie potrafią być bezlitośni i bezduszni. Takie „niewinne” pytania, drażnienie i pozornie dobre rady można porównać do zagadywania grubych, kiedy w końcu schudną, albo chudych, czy kiedykolwiek zdecydują się przytyć. To włożenie w czyjeś życie z buciarą, bez pardonu, pod płaszczykiem troski i zainteresowania. Broń cię Panie Boże ostrzej zareagować, bo albo wezmą cię za niewdzięcznicę – „przecież my chcemy dobrze!” – albo frustratkę stojącą na skraju załamania nerwowego – „jest gorzej niż źle, brak dziecka odbija się fatalnie na jej psychice”. – Anneke była zdenerwowana, głos jej drżał.

– To okrutne, co mówisz – szepnęłam. – Tym bardziej cieszę się, że w końcu zostaniecie rodzicami.

– Nie mogłam w naturalny sposób zająć w ciążę. Latami bezskutecznie leczyłam się u wielu specjalistów. W końcu pogodziliśmy się z mężem z tym, że los zdecydował inaczej, niżbyśmy tego chcieli. – Anneke sięgnęła do wiszącej na oparciu krzesła torebki i wyciągnęła z niej skórzaną saszetkę. Jej twarz promieniała. – Popatrz, tutaj są zdjęcia Oany i Daniela. – Podsunęła mi dwie kolorowe fotografie.

Na pierwszym ujrzałam drobną, ciemnowłosą, na oko ośmioletnią dziewczynkę na wózku. Była ubrana w białą bluzkę i granatową plisowaną spódnicę. Jej czarne gęste włosy spleciono w dwa schludne warkocze, obwiązane błękitną wstążką. Obok niej stał kilka lat starszy wysoki i przeraźliwie chudy chłopiec w o wiele za ciasnym szarym garniturze. Widać było wyraźnie, że dzieci zostały wystylizowane do oficjalnego zdjęcia na potrzeby ośrodka adopcyjnego.

Pozowały sztywno, z wystraszonym wzrokiem, nienaturalnie wyprostowane i spięte. Na drugiej fotografii Oana i Daniel siedzieli na podniszczonej wersalce przykrytej kraciastą narzutą. Daniel czule obejmował siostrę, a ona patrzyła rozpromienionym wzrokiem gdzieś ponad obiektyw aparatu. Te dwa zdjęcia dzielił czas najwyżej dwóch, trzech lat, ale uchwycone na nich emocje różniły się diametralnie, tak jakby przedstawiały kompletnie inne osoby. Na pierwszym wyczuwałam wyraźnie lęk i niepewność, drugie emanowało ciepłem i miłością.

– Dzieci straciły oboje rodziców w tragicznym wypadku. Tutaj, na zdjęciu zrobionym przez ich ojca w domu w Bukareszcie, miały jeszcze pełną, szczęśliwą rodzinę. – Anneke patrzyła na fotografię, a po jej policzkach płynęły łzy. – Krewni ze strony matki nie byli w stanie zapewnić dzieciom dachu nad głową – kontynuowała opowieść, gładząc miękko powierzchnię fotografii. – Oana wymaga specjalistycznej opieki, kosztownych zabiegów rehabilitacyjnych. Próbowano ich rozdzielić ze względu na to, że zdrowy Daniel miał większe szanse na rodzinę zastępczą. Órodek z Bukaresztu znalazł chłopcu dom w Wielkiej Brytanii. Procedura adopcyjna była w toku, mimo że Daniel stanowczo odmawiał wyjazdu bez siostry. Bezwzględna maszyna biurokracji i bezduszni urzędnicy nie zważali na niemy krzyk dziecka. Skończyło się to próbą samobójczą chłopca. Jest niezwykle mocno związany z Oaną, czuje się za nią odpowiedzialny. Próbował na własną rękę znaleźć im rodziców, pisał listy do rumuńskich gazet, prosił o wsparcie lokalnych polityków. Jego miłość do Oany jest niepojęta, nie zna granic, nie lęka się niczego. Determinacja chłopca zaowocowała artykułem w popularnym w tym kraju dzienniku „Adevarul”. Tekst przedrukował nasz rodzimy „De Telegraaf”. W ten sposób poznaliśmy z mężem historię rodzeństwa. Mam nadzieję, że znajdą u nas prawdziwy, ciepły dom, na który tak długo musieli czekać. Zrobimy wszystko, żeby czuli się bezpieczni, szczęśliwi, a co najważniejsze – kochani...

W tym momencie popołudniowe słońce wcisnęło się przez kuchenne okno do środka i rozlało świetlistą plamą na wyszorowane do białości deski podłogi. Wesołe promyki rozbiegły się po przytulnym wnętrzu, rozgoniły drobne pyłki kurzu w kątach, po czym zamigotały radośnie w srebrnych spinkach wsuniętych ciasno we włosy Anneke.

Ogarnął mnie nagły spokój i wiara, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział trzydziesty drugi

Całe popołudnie spędziłam u weterynarza. Podejrzewałam, że Kociołek zatrzał się truczką na szczury. Właściciel restauracji, nad którą mieszkaliśmy, hojnie bowiem rozsypywał ją przy stojących na tyłach kuchni kontenerach na śmieci. Biedny kot leżał teraz w wiklinowym koszyku wymęczony badaniami krwi i płukaniem żołądka. Lekarz podał mu węgiel medyczny i nakazał uważnie obserwować zachowanie zwierzaka. Gdyby działo się coś niepokojącego, miałam natychmiast skontaktować się z kliniką.

Zerknęłam ponownie z niepokojem w stronę wymęczonego Kociołka. Kocur spał.

Byłam zmęczona i głodna. Zrezygnowana otworzyłam lodówkę. Moje obawy co do mizerii domowych zapasów żywności okazały się, niestety, słuszne. Na środkowej półce stał przeterminowany od dwóch dni jogurt brzoskwiniowy. Obok niego spoczywała przywiedła sałata i kawałek goudy. Zajrzałam do szafki obok. Królowało w niej pół opakowania wyschniętych na wiór płatków śniadaniowych. Spojrzałam z rezygnacją na dostępne produkty i stwierdziłam filozoficznie, że z pustego i Salomon nie należy, a tym bardziej nie ugotuje. Postanowiłam szukać ratunku u Prospera. On zawsze miał na podorzędziu jakieś smakołyki.

Umyłam ręce, zmieniłam przesiąknięty zapachem środków dezynfekcyjnych podkoszulek i wyszłam na korytarz. Postąpiłam przez chwilę pod drzwiami sąsiada, nad słuchując uważnie. Wydawało mi się, że słyszę dźwięki gitary. Czyżby znowu zaczął grać? Zapukałam trzy razy. Melodia ucichła.

Prosper otworzył i stał przez chwilę w progu, patrząc na mnie nieobecny wzrokiem.

– *Goedemiddag!* – krzyknęłam radośnie i wepchnęłam się bez pardonu do środka. – Miałam przeboje z Kociołkiem, nie zdążyłam zrobić żadnych zakupów! – Przeszłam od razu do rzeczy. – Poratujesz głodnego? – Mówiąc to, wskazałam palcem wysprzątaną jak zwykle na błysk kuchnię. Na stole leżała gitara. Nie myliłam się zatem. Prosper wrócił do muzyki.

– Aga! – odblokował się w końcu, by momentalnie zaatakować. – Coś ty narobiła?

Spojrzałam na niego z osłupieniem.

– Co masz na myśli? Nie poczuwam się do żadnych win! Chyba że pusta lodówka to aż taki grzech!

Prosper zamachał gwałtownie rękami.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz! Zerwałaś z moim szefem! Co się stało? Od niego nie byłem w stanie niczego konkretnego wyciągnąć.

– Skąd w takim razie te informacje? – zadałam logiczne pytanie, patrząc na

niego spokojnie, choć w środku szalały emocje. Miałam nadzieję, iż fakt, że już nie spotykam się z Jeroenem, nie wpłynie negatywnie na relacje z naszymi wspólnymi znajomymi.

Prosper usiadł ciężko przy stole.

– Chyba po raz pierwszy, od kiedy u niego pracuję, huknął na mnie bez powodu. Zresztą nie tylko na mnie. Oberwało się całemu zespołowi. Zapytałem go na stronie, co jest powodem tego rozdrażnienia i złego humoru. Byłem przekonany, że znowu ma problemy z byłą żoną. Ale nie! Oznajmił mi krótko, że już się nie spotykacie i zabronił kategorycznie zadawania dalszych pytań. Mogę zatem wiedzieć, co się, do cholery, z wami stało? – Prosper patrzył na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

Podeszłam do okna. Na zewnątrz zmierzchało. Wilczy głód, jaki czułam jeszcze przed chwilą, minął jak ręką odjął.

– To ja podjęłam decyzję o rozstaniu – powiedziałam spokojnie, odwracając się do Prospera i patrząc mu mężnie prosto w oczy. – Nie mogłam go dłużej okłamywać. To zaszło już za daleko.

Prosper wpatrywał się we mnie zaskoczony.

– Ale dlaczego... tak nagle?

– Nie kocham go. Nigdy nie kochałam. Pomyliłam zakochanie z zauroczeniem. A to zbyt wątle podstawy do budowania trwałego związku. Jeroen okazał mi dużo serca, zaopiekował się mną, zatroszczył. Jak to mówią w Holandii, zostałam przez niego *in watten gelegd*^[59]. Jego troska, czułość, rycerskość uwiiodły mnie i zarazem zwiodły. Nasz związek to było bezpieczeństwo i stabilizacja. Dwoje przyjaciół, którzy doskonale się rozumieją. Brakowało pasji, motyli w brzuchu, anielskich chórów, tego ekscytującego oczekiwania, dreszczy, ukradkowych spojrzeń, poczucia, że poza nami nie ma już nic... Jest mi ogromnie przykro i źle, że tak to się wszystko potoczyło. Nie chciałam go zranić. Ale nadal uważam, że podjęłam słuszną decyzję. Nie oczekuję aplauzu, mam jednak nadzieję, że chociaż ty mnie nie potępiasz...

– Aga, kto dał mi prawo, żeby cię potępiać? Jestem tylko ogromnie zaskoczony i zawiedziony. Byłem święcie przekonany, że między wami iskrzyło!

– Też tak na początku myślałam, ale... – zawahałam się.

Prosper błyskawicznie wychwycił ten moment niepewności.

– Ale? – To pytanie zawisło między nami i wstrzymało na chwilę naszą rozmowę.

Nie było sensu dłużej ukrywać prawdy.

– Ale to wszystko czułam przy kimś innym. Dlatego dobrze wiem, czego tak naprawdę brakowało w związku z Jeroenem... – oznajmiłam bohatercko. – Poczułam ulgę. Chciałam, żeby Prosper znał nagie fakty.

Przyjaciel milczał. Widziałam, że myśli nad czymś intensywnie i układa

w głowie odpowiednie słowa, żeby mi to powiedzieć.

– Nie uwierzysz, ale domyślałem się tego. Za każdym razem, kiedy o nim wspominałaś, widziałem w twoich oczach światło.

– Wiesz zatem, o kim mówię.

– Wiem. To Stijn de Bruin.

Stijn.

Pięć liter – cały mój świat.

Spuściłam głowę.

– Czy on czuje to samo co ty?

– Nie wiem. Nie chcę teraz o tym myśleć. Czas pokaże. Bo to właśnie czas jest reżyserem naszego życia. A przeznaczenie jego scenarzystą. My odtwarzamy tylko napisane przez niego wcześniej role.

W naszą rozmowę wdarł się nagle charakterystyczny dźwięk Skype'a. Dzwoniła Julia.

Poderwałam się z krzesła i położyłam palec na ustach.

– Nie mów Julce, że u ciebie jestem. Pogadajcie sobie, a ja skoczę do supermarketu po zakupy. Zaczepnę świeżego powietrza. Dobrze mi to robi. Przyjdę do ciebie później.

Nie chciałam pytać, okrzyków zdziwienia i zaskoczenia, być może wyrzutów. Jeszcze przyjdzie na to czas.

Wpadłam pośpiesznie do domu po portfel, zerknęłam zatroskana na wymoszczony ciepłym kocem koszyk ze śpiącym Kociołkiem i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Na zewnątrz zapadła ciemność. Ochłodziło się znacznie. Otuliłam ramiona ciepłym swetrem i przyspieszyłam kroku. Myślałam o sobie przed przyjazdu do kraju tulipanów... Wspominałam podjęte decyzje, zarówno te dobre, jak i te złe. Co by było, gdybym ufała swojej wewnętrznej sygnalizacji świetlnej, zwanej potocznie intuicją? Być może uniknęłabym wielu tragicznych w skutkach życiowych przejazdów na oślep, na czerwonym świetle. Z drugiej strony, gdyby nie te pechowe, fatalne skrzyżowania losu, przypadku i głupoty, nigdy nie znalazłabym się na drodze, na której jestem teraz i nie spotkałabym ludzi jadących stopem w tym samym co ja kierunku.

Po sklepie krążyło paru klientów. Zbliżała się dwudziesta, zdążyłam więc tuż przed zamknięciem. Wrzuciłam szybko do koszyka kilka gotowych dań do podgrzania w mikrofalówce. Nie miałam głowy do gotowania. Czas ponownie przyzwyczaić się do życia singielki, a w tym miałam już sporą wprawę.

Haarlem pogrążony był w ciemności oświetlonej gdzieś pięknymi, stylizowanymi na lata trzydzieste minionego wieku latarniami. Po opustoszałych ulicach hulał zimny wiatr od morza. Moje kroki dudniły złowrogo na pustym trotuarze. Miałam nieodparte wrażenie, jakby ktoś za mną szedł. Odwróciłam się

parę razy, ale oprócz własnego, wydłużonego nienaturalnie cienia nie dostrzegłam nikogo. Czułam się nieswojo i jak najszybciej chciałam znaleźć się w domu. Skręciłam za rozświetloną włoską restauracją i po kilku krokach znalazłam się na tyłach posesji. Lampa nad wejściem nadal się nie paliła, chociaż już parę dni temu zgłosiliśmy to z Prosperem u właściciela. Nasze interwencje okazały się, jak widać, bezskuteczne. Blaszane schody na górę pogrążone były w mroku. Przeklełam brzydko pod nosem i weszłam na pierwszy schodek. Nagle przerażona poczułam, że ktoś łapie mnie od tyłu w pasie i ściąga w dół. Krzyk uwiązał mi w gardle. Na moich ustach wylądowała obleczona w czarną, obrzydliwie cuchnącą rękawicę męska ręka. Wrywałam się, wierzgałam, kopałam na oślep, próbowałam krzyczeć, ale napastnik był silniejszy. Mój głos tamowała szorstka wełna brudnej rękawiczki. Opryszek trzymał mnie w żelaznym uścisku. Kątem oka dojrzałam jego profil. Zza chmur wychynał na moment wielki księżyc i oświetlił twarz zbira. W jego lewym uchu mignęło srebrne kółeczko. Srebrne kółeczko... Bingo! Teraz go rozpoznałam! To był ten sam chłopak, który napadł mnie w centrum, a potem na przystanku w Bloemendaal groził śmiercią. Musiał już od jakiegoś czasu mnie śledzić. I dopiął swego. Poczulałam paraliżujący strach. Ten psychopata i rasista mógł mnie z zimną krwią zabić w samym sercu Haarlemu, tuż przy wejściu do mojego domu. Poczulałam przypływ nadludzkiej siły i wbiłam zęby w wilgotny od ciepła mojego oddechu materiał rękawicy. Napastnik przeklął siarczyście i oderwał rękę od moich ust. Zaczepnęłam oddech i krzyknęłam z samego dna płuc:

– *HEEEEEELP!*

– Zamknij mordę, suko! – Błyskawicznie położył na mojej twarzy swoją brudną łapę! – Tak kończą kurwy, które zadają się z czarnuchami! Ostrzegałem cię, ale nie słuchałaś! – Brutalnie pociągnął mnie za włosy.

Wspominając potem ten moment, nie mogłam przypomnieć sobie, czy usłyszałam najpierw odgłos nagłego zamieszania przed restauracją, czy ujrzałam wylaniającego się z ciemności Prospera. Nadbiegł nieoczekiwanie od strony miasta. Białka jego oczu błyskały złowrogo w otulającym otoczenie mroku.

– Zostaw ją! – zagrzemiał głosem przepełnionym czystą nienawiścią.

Zaskoczony zbir na moment zwolnił uścisk. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mój przyzwyczajony już do ciemności wzrok dostrzegł nagle cień odrywający się od budynku z lewej strony i skaczący z impetem na mojego obrońcę. Prosper krzyknął krótko i upadł na ziemię. W tle słychać było zbliżającą się policyjną syrenę. Napastnik pchnął mnie z całej siły na schody i rzucił w kierunku swojego kamrata:

– Chodu! Gliny! – Po czym obaj rozplynęli się w ciemnościach.

Ból rozrywał mi plecy. Próbowałam się podnieść.

– Prosper! – Mój głos przypominał skrzek. Odkaszałam z trudem i zawołałam ponownie: – PROSPER! – Gardło piekło mnie żywym ogniem.

Cisza.

Jeszcze raz podjęłam nadludzki wysiłek i wstałam chwiejnie. Paniczny strach o przyjaciela dodał mi sił. Dowlekłam się do niego, ledwo powłóczę nogami. Leżał bez ruchu na trawie. Syrena umilkła. Cały teren oświetlił nagle silny reflektor policyjnego radiowozu. Na piersi Prospera widniała powiększająca się z każdą sekundą ciemna plama. Upadłam na kolana. Poczułam intensywny zapach krwi. Świat stanął w miejscu. Wrócił obezwładniający ból i lęk. Wróciły wspomnienia sprzed lat. Znowu byłam na drodze przy rozbitym samochodzie.

Moja sukienka uwalana krwią. Moje ręce na jego twarzy. Próbowałam zatamować krwotok. Jak przez mgłę widziałam zbliżających się do nas ludzi...

Spojrzałam na szarą, nieruchomą twarz mojego przyjaciela. Zawsze stał obok. Zawsze, kiedy go potrzebowałam, trzymał mnie za rękę. Teraz po raz pierwszy nie było go ze mną. Leżał w cieniu oddechu śmierci.

Krzyknęłam bez tchu prosto w twarz paraliżującego mnie strachu.

– Prosper... Nie możesz mnie zostawić! Słyszysz!? **NIE MOŻESZ MNIE ZOSTAWIĆ!**

Dalej nie było już nic...

Straciłam przytomność.

Rozdział trzydziesty trzeci

Leżałam w łóżku troskliwie przykryta pod samą brodę. Obok mnie kojąco mruczał Kociołek. Wyswobodziłam rękę spod kołdry i pogładziłam jego puchate futerko. Spojrzał na mnie uważnie i zeskoczył miękko na ziemię. Wyniosłym krokiem pomaszerował do kuchni, gdzie odwrócona do mnie plecami stała Bożena, mieszając zamazyscie w aluminiowym rondlu. Kot otarł się przymilnie o jej nogi i rzucił mi pełne wyrzutu spojrzenie. Miał absolutną rację. Trudno było ostatnio zobaczyć jego zastępczą panią przy garach. Zdecydowanie lepiej wychodziło jej wpędzanie ludzi w kłopoty i przysparzanie im zmartwień.

Bożena zgasiła gaz pod rondlem, wytarła ręce w papierowy ręcznik i spojrzała na mnie.

– Jak się czujesz, kochanie? – zapytała ciepło i sięgnęła do szafki po talerze.

Szybkim ruchem odrzuciłam kołdrę i podniosłam się z łóżka. W okolicach lędźwi czułam rwący ból. Rozmasowałam delikatnie plecy i opasałam się ciepłym szlafrokiem. Podeszłam wolno do stołu i chwyciłam leżący na nim telefon.

Bożenka pogładziła mnie po ramieniu.

– Jakież nowe wiadomości?

Pokręciłam przecząco głową. Stan Prospera był ciężki, ale stabilny. Napastnik ugodził go nożem w klatkę piersiową i brzuch. Uszkodzenie jelita i zapalenie otrzewnej, które nastąpiło w wyniku ciosu, realnie nadal zagrażało jego życiu. Na szczęście pomoc medyczna nadeszła w porę. Jeden z gości restauracji, który wyszedł na zewnątrz na papierosa, usłyszał mój krzyk i zawiadomił policję. Ambulans przyjechał chwilę potem...

Przewieziono nas do położonego w pobliżu szpitala Spaarne Gasthuis. Prosper błyskawicznie trafił na intensywną terapię. Ja, po podaniu silnego środka przeciwbólowego i opatrzeniu drobnych ran, zostałam na noc na obserwacji na oddziale ogólnym. Nie chciałam rozmawiać z przydzielonym mi z urzędu psychologiem. Kobieta, która pojawiła się, by mnie wesprzeć w pierwszych chwilach po tragicznym zdarzeniu, wyglądała na zimną służbistkę, którą przykry obowiązek wyrwał z ciepłego łóżka. Na jej twarzy malowało się znudzenie i zniecierpliwienie, które nieudolnie próbowała przykryć maską profesjonalistki. Zdecydowanie wołałam mieć przy sobie bliskie mi osoby. Praktycznie od razu zadzwoniłam do Bożeny.

Rankiem zjawił się u mnie funkcjonariusz miejscowej policji. Lekarz nie widział przeciwwskazań do tego, żeby mnie wstępnie przesłuchać. Byłam w pełni świadoma. Prosper nie odzyskał jeszcze przytomności. Myśląc o nim, czułam bezsilność i obezwładniający strach. Za wszystko, co zdarzyło się minionej nocy, obwiniałam wyłącznie siebie. Powinnam od razu zgłosić na policję napaść i późniejsze groźby agresywnego Polaka. W Holandii akty przemocy, takie jak

szantaż czy zastraszanie ofiary, zaliczano do przestępstw. Za te czyny kodeks karny przewidywał karę pozbawienia wolności. Gdybym w porę zareagowała, być może napastnicy trafiliby za kratki. Tym bardziej że mieliśmy świadków. Było już jednak za późno na skruchę i gorzkie żale.

Bożena postawiła przede mną talerz z parującym rosołem. Nie mogłam się przemóc, żeby przełknąć chociaż łyżkę. Ciągłe czułam wokół siebie metaliczny zapach krwi. Mechanicznie zaczęłam jeść. Nie czułam smaku. Przetykałam z trudem. Gardło reagowało bólem na gorącą zupę. Tak bardzo chciałam dojść jak najszybciej do siebie i pomóc policji w ujęciu sprawców tego brutalnego napadu.

Bożenka usiadła obok mnie. Na jej kolana wskoczył Kociołek. Patrzyli na mnie oboje tak zbolalym wzrokiem, że nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Nie martwicie się o mnie. – Pogładziłam miękki koci łebek. Kociołek zamruczał z zadowoleniem i umościł się wygodnie na podołku mojej przyjaciółki.

– Julia wie? – Bożena odsunęła od siebie talerz z ledwie napoczętym rosołem.

– Tak. Przylatuje za trzy dni. Zarezerwowała pierwszy możliwy lot. Jest w szoku. Rozmawialiśmy bardzo krótko. Martwi się o Prospera. Myślę, że dopiero teraz dotarło do niej, że nie może bez niego żyć. Mijali się ostatnio, dyskutowali, spierali bez sensu. Julia zamierzała zostać dłużej w RPA. Po moim telefonie w ciągu paru minut zmieniła wszystkie plany. Myślę, że nie wróci już do Afryki. Chyba że... – urwałam. Łyżka wyleciała mi z ręki i spadła z brzękiem na podłogę. Kociołek miauknął z wyrzutem i wystraszony zeskoczył z kolan Bożeny.

– Nawet tak nie myśl! Prosper wyzdrowieje! To silny facet! Nic mu już nie grozi! Rozumiesz? – W głosie przyjaciółki brzmiała niezachwiana pewność, że będzie dokładnie tak, jak mówi.

Zawahałam się przez chwilę, ale zadałam nurtujące mnie od jakiegoś czasu pytanie:

– A... Jeroen? Jak zareagował na wiadomość o wypadku? W pierwszym momencie chciałam odruchowo do niego zadzwonić, ale nie miałam prawa obarczać go swoimi problemami. Już nie.

– Może nie powinnam tego mówić... – zaczęła Bożena. – Ale właściwie dlaczego nie miałabyś wiedzieć? Policja skontaktowała się z nim praktycznie od razu po tym tragicznym zdarzeniu. Wypytywali go, czy Prosper miał jakiś konflikt na tle rasowym z kimś z pracy. To było jeszcze przed złożeniem twoich zeznań o rozpoznaniu sprawców napadu. Jeroen prawie natychmiast przyjechał do szpitala i siedział przy was przez całą noc. To dobry, wrażliwy człowiek. Ogromnie żałuję, że nie jesteście już razem.

– Bożenka... tak jest lepiej dla nas obojga, uwierz mi. – Podniosłam się z krzesła. Zakręciło mi się w głowie. – Idę się położyć. Przepraszam, nie jestem dzisiaj zbyt towarzyska. Dziękuję za pyszny obiad.

Bożena machnęła ręką i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Idź spać, kochanie. Ja się tu wszystkim zajmę...

W nocy sześć razy sprawdzałam, czy aby dobrze zamknęłam drzwi wejściowe. Dla pewności pod kłamkę podstawiłam jeszcze krzesło. Naładowany telefon leżał pod ręką. Pomimo to każdy najmniejszy szmer na zewnątrz przyprawiał mnie o palpacje serca. Bożena proponowała, że zostanie u mnie do przylotu Julii, ale zapewniłam ją solennie, że dam sobie radę.

Obudziłam się przed dziewiątą. Komórka wibrowała natrętnie gdzieś pod moją głową. Błyskawicznie wydobyłam aparat spod poduszki. Na wyświetlaczu widniał numer szpitala. Wyprostowałam się momentalnie na łóżku i odebrałam telefon. Serce waliło mi jak kościelny dzwón. Usłyszałam kobiecy głos, który poinformował mnie bezosobowo, że Prosper odzyskał przytomność.

Ból pleców minął jak ręką odjął. Wskoczyłam z łóżka i chwyciłam w objęcia zaskoczonego Kociołka. Tańczyłam z oszołomionym kocurem po pokoju i śpiewałam na cały głos z radości i wzruszenia. Mój atak miłości nie przypadł zwierzakowi do gustu, wyrwał mi się zdecydowanie z rąk i schował pod łóżko. Mogłam przysiąc, że uważa mnie w tym momencie za kompletną wariatkę.

Otworzyłam szafę, porwałam z wieszaka bawełnianą sukienkę i sportową marynarkę, ubrałam się błyskawicznie, nie patrząc ani razu w lustro. Bałam się widoku własnej twarzy. Przeczesałam niedbale włosy, złapałam torebkę i wybiegłam z domu. Na dole założyłam wielkie przeciwsłoneczne okulary i pobiegłam w kierunku kliniki. Nie mogłam się wprost doczekać, kiedy zobaczę Prospera.

Przed wejściem do szpitala stał policyjny radiowóz z wymalowanymi na masce charakterystycznymi niebiesko-pomarańczowymi pasami. Już w holu natknęłam się na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Jakież nowe informacje w sprawie? Ujęliście już sprawców napadu? – zagadnęłam bezceremonialnie jednego z policjantów. Popatrzył na mnie zdumionym wzrokiem i przybrał surową minę.

– Spokojnie – odezwał się jego towarzysz. – To druga ofiara tego zdarzenia w centrum. Została przesłuchana już wczoraj. – Po czym zwrócił się bezpośrednio do mnie: – Śledztwo jest w toku. Parę godzin temu natrafiliśmy na prawdopodobny ślad jednego ze sprawców. Sprawdzamy wszystkie, nawet najbardziej dziwaczne poszlaki. Ze względu na dobro sprawy nie możemy zdradzać więcej szczegółów, ale proszę być dobrej myśli. Jesteśmy w kontakcie.

Postanowiłam pojechać jeszcze dziś do Heemstede, do Jana. Gubiłam się w gąszczu obcych prawniczych formułek i policyjnego żargonu. Chciałam porozmawiać z kimś, kto umiał się w tym wszystkim odnaleźć i komu bezgranicznie ufałam.

Pogrążona w myślach doszłam do oddziału ICU^[60] i skierowałam do

nowoczesnej, wypełnionej ogromnymi monitorami recepcji. Młoda kobieta ubrana w biały uniform popatrzyła na mnie pytająco. Na piersi miała przyczepiony identyfikator z logo szpitala i własnym imieniem i nazwiskiem. Nazywała się Roos van Breda.

– *Kan ik u helpen?*^[61] – Miała niski, przyjemny głos.

– Dostałam rano wiadomość, że pan Prosper Diome, przewieziony tu przedwczoraj, odzyskał przytomność. – Staralam się mówić po holendersku, mając świadomość, że mocno kaleczę ten język. *Ik spreek een beetje Nederlands*^[62] – usprawiedliwiłam się, patrząc kobiecie prosto w oczy.

Uśmiechnęła się ciepło.

– Nie jest tak źle – powiedziała powoli. – Doskonale panią rozumiem. Sprawdzę tylko dla pewności, czy jest pani na liście osób odwiedzających, jak również tych, którym możemy udzielać informacji na temat stanu zdrowia pana Diomego. Poproszę jeszcze o pani dowód tożsamości. – Roos zerknęła w monitor. Jej długie palce przeskakiwały zgrabnie w szybkim tempie po klawiaturze komputera. – Wszystko się zgadza. Proszę chwilę poczekać. – Wskazała dłonią jedno z drewnianych krzesełek stojących pod ścianą naprzeciw recepcji. – Porozmawiam z lekarzem prowadzącym. Zaraz wracam.

Usiadłam na krześle i sięgnęłam do torebki po paracetamol. Znowu poczułam rwący ból w plecach. Obok mnie pojawił się nagle starszy mężczyzna rozwożący napoje. Zamówiłam *spa blauw*^[63]. Sięgnęłam po portfel, ale mężczyzna pokręcił przecząco głową i wskazał na przyczepioną do wózka plakietkę szpitala. „Niezły serwis”, pomyślałam i przełknęłam z trudem tabletkę, popijając wodą z butelki.

– *Mevrouw*^[64], proszę za mną! – usłyszałam głos pielęgniarki Roos, nawołujący mnie z recepcji. – Ma pani góra piętnaście minut. I proszę nie męczyć pacjenta pytaniami. – Mówiąc to, podała mi jednorazowy błękitny fartuch i pokrowce na buty.

Szerokie drzwi otworzyły się przed nami automatycznie i weszliśmy na teren oddziału. Panowała tu przerażająca cisza przerywana jedynie miarowym odgłosem pracującej bezustannie aparatury medycznej. Roos wskazała mi pierwszą salę na prawo i powtórzyła szeptem:

– Proszę pamiętać, nie dłużej niż piętnaście minut.

Poprawiłam poły fartucha i weszłam do sali.

Na wysokim, polakierowanym na biało łóżku leżał Prosper. Miał zamknięte oczy. Z jego nosa wystawała giętka plastikowa rurka sondy. Na nagiej klatce piersiowej i obandażowanym brzuchu leżały liczne kable podłączone do stojących obok monitorów. Podeszłam powoli do łóżka i chwyciłam jego szczupłą dłoń, leżącą bezwładnie na kołdrze.

– Prosper...

Z trudem otworzył oczy. Jego szara twarz rozjaśniła się w słabym uśmiechu.
Przełknął ślinę.

– Agnies... tu... jest dobrze – powiedział z trudem.

Podniosłam jego rękę do ust i pocałowałam suchą, zniszczoną skórę.

– Nic się nie martw... wyjdiesz z tego. Julia wraca, wiesz? Już jest w drodze. Niedługo się zobaczycie.

Po wymizerowanej twarzy Prospera popłynęły łzy.

– Nareszcie... w końcu będziemy już wszyscy razem...

Rozdział trzydziesty czwarty

W najbliższym tygodniu postanowiłam jeździć do pracy komunikacją miejską. Nie czułam się jeszcze na siłach, żeby pedałowac parę kilometrów w rześistym deszczu – bo, jak zwykle, padało. Siedziałam właśnie w busie do Bloemendaal aan Zee. Rano zajrzałam jeszcze do Prospera. Stan mojego przyjaciela znacznie się polepszył. Rozmawiałam krótko z jego lekarzem prowadzącym. Doktor ter Schure twierdził, że odpowiednio zadziałały podane leki. Silny, zdrowy organizm szybko regenerował się po operacji. Miałam jednak własną teorię na ten temat. Byłam przekonana, że to moja wiadomość o niespodziewanym przyjeździe ukochanej poprawiła samopoczucie pacjenta. Czekwały go jeszcze tygodnie bolesnej rekonwalescencji, ale co najważniejsze, jak powiedział lekarz, najgorsze mieliśmy już za sobą. Teraz pozostawało wierzyć, że nie nastąpią żadne nieoczekiwane powikłania. Prosper był odżywiany dożylnie. Podawano mu również antybiotyki, by zapobiec ewentualnym zakażeniom bakteryjnym.

Nieustajaco pytał o Julię. Miałam dla niego same dobre wiadomości. Samolot z Johannesburga lądował dziś wieczorem na Schiphol. Umówiłam się z Tadzikiem, synem Bożeny, że odbierzemy Julię z lotniska. Nie mogłam się już doczekać, kiedy ją uściskam. Wydarzyło się tak wiele od czasu, gdy widziałyśmy się po raz ostatni.

Rozglądałam się czujnie po wnętrzu busa. Obserwowałam uważnie swoich współpasażerów. Kto wie, gdzie w tym momencie obracali się Polacy, którzy na nas napadli. Srebrne kóleczo w uchu jednego z nich nadal stanowiło element moich sennych koszmarów.

Często przyglądałam się dyskretnie nieznanym. Lubiłam wyobrażać sobie, jakimi są ludźmi, czym się zajmują zawodowo, co lubią robić w wolnym czasie. Dziś w autobusie otaczali mnie głównie jasnowłosi, wysokiego wzrostu tubylcy. Holandia nie bez powodu mogła pochwalić się tytułem kraju z najwyższymi obywatelami świata. Przeciętny Holender mierzył sto osiemdziesiąt cztery centymetry. Zawdzięczał to z pewnością diecie, bo od dekad spożywano tu duże ilości mleka, serów i mięsa. Ja wprawdzie pałaszowałam w dzieciństwie głównie pomidory, ale też mogłam się poszczycić niezłym wynikiem stu siedemdziesięciu dwóch dorodnych centymetrów. Zdecydowanie pasowałam do wybujałych potomków Kikkerlandu, jak zapewniała mnie Bożenka. „Kikkerland...”, uśmiechnęłam się do siebie w myślach. To określenie Holandii było dla mnie nowe. Przyjaciółka usłyszała je od swoich sympatycznych kolegów z pracy. Oznaczało ono nic innego jak „żabi kraj”. Gdzie indziej byłoby tym płazom lepiej niż w regionie, w którym statystycznie przez sto pięćdziesiąt dni w roku padał deszcz.

Beztroskie rozważania na błahe tematy poprawiły mi humor. Nabrałam

ochoty na spacer wśród wydm. Miałam nadzieję, że uda mi się namówić na przechadzkę także Annemarie.

Drzwi otworzyła mi nadąsana jak zwykle Karin. Wskazała ręką salon, w którym siedziała starsza pani.

– Zaraz przyniosę herbatę – powiedziała bezosobowo, ale po chwili dodała nieco cieplejszym głosem: – Zaparzyłam twoją ulubioną, Earl Grey.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością, bo nawet okruczeństwo było mi teraz tak bardzo potrzebny. Karin była szorstka w obejściu, zamknięta w sobie i często opryskliwa. Ale nikt inny nie miał tyle serca dla starszej pani, co właśnie ona. Potrafiła czasem całą noc przesiedzieć przy jej łóżku.

Annemarie wyglądała na niezwykle podekscytowaną. Na mój widok prawie podskoczyła na wózku.

– Anjeska! Tak się cieszę, że cię widzę! – Rozpostarła ramiona i obdarzyła mnie jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów. Uściskałam ją i usiadłam obok. Przyglądała mi się uważnie. – Źle wyglądasz. Skąd te siniaki na policzku? – Delikatnie dotknęła ręką mojej twarzy. Nie wiedziała, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Nie chciałam jej martwić. Musiałam jednak powiedzieć prawdę.

– Zostałam napadnięta. Prosper stanął w mojej obronie i jest ranny. Ale wszystko już dobrze – zapewniłam. Naprawdę miałam nadzieję, że tak jest.

Annemarie krzyknęła i podniosła dłoń do ust. Wyglądała na przerażoną.

– Słyszałam o tej historii! Karin czytała mi ostatnie wiadomości w „Haarlems Dagblad”. Dlaczego nam o niczym nie powiedziałaś? Nie zadzwoniłaś? Może moglibyśmy jakoś pomóc?

– Dziękuję, naprawdę doceniam pani troskę. Nie chciałam informować o tych wydarzeniach przez telefon. Postanowiłam, że usłyszy to pani ode mnie osobiście. Dlatego przyszedłam dzisiaj wcześniej – wyjaśniłam. – Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek padnę ofiarą rasisty. I nienawiści, która zaślepią, szuka krwi i bije na oślep... Jakie to szczęście, że jej rażąca siła nigdy nie dosięgła pani osobiście.

Annemarie patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. W końcu szybkim ruchem podwinęła rękawy sukienki. Na jej przedramionach widniały rozległe blizny po oparzeniach.

– To jest żywy dowód na ludzką nienawiść, Anjeska. I ludzkie okrucieństwo.

Do pokoju weszła gospodyni. W dłoniach trzymała tacę z imbrykiem i dwiema filiżankami. Annemarie szybkim ruchem zakryła blizny. Uśmiechnęła się z przymusem i podziękowała za herbatę. Karin wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało, Annemarie... Kto to pani zrobił?

Machnęła ręką i poprawiła zawinięte niedbale koronkowe rękawy sukni.

– Nie teraz – zdecydowała pewnie. – Dokończymy kiedyś tę rozmowę.

Powiedz mi jeszcze, czy ujęto sprawców tego napadu? – Zmieniła sprytnie temat.

– Policja twierdzi, że jest na ich tropie. Na podstawie naszych zeznań sporządzono portret pamięciowy. Na szczęście, zarówno Prosperowi, jak i mnie utkwilo w głowie wiele charakterystycznych szczegółów dotyczących ich wyglądu. Mam nadzieję, że w końcu ich złapią. Nie czuję się teraz bezpiecznie, kiedy idę sama ulicą, boję się, że znowu zaatakują. Nie chcę czuć strachu i być przez niego ograniczana w codzienności. Do tej pory często zdarzało mi się wychodzić po zmroku choćby na zakupy. Obecnie to niemożliwe. Biegnę do domu, barykaduję się w nim, zasłaniam okna i trzęsę się na samą myśl, że być może ciągle mnie obserwują.

Annemarie kiwała ze zrozumieniem głową, po czym klasnęła w dłonie.

– Dosyć smutków na dzisiaj. Tym bardziej że chciałam ci właśnie obwieścić fantastyczną wiadomość! Liane dostała sześciomiesięczny kontrakt na uniwersytecie w Amsterdamie. Wraca do kraju!

– Kim jest Liane? – zapytałam. Poczulałam nagły strach. Obawiałam się, że znam odpowiedź na to pytanie. Ogarnął mnie chłód, który wręcz bolał fizycznie.

– Przepraszam, kochanie, przecież ty nie miałaś okazji jej poznać. Liane zadzwoniła do mnie wczoraj z Waszyngtonu. Po długich wahaniach zdecydowała się przyjąć tę propozycję. Właśnie w Amsterdamie zaczęła się jej międzynarodowa kariera. To niezwykle zdolna...

Nie słyszałam już tego, co mówiła Annemarie. W mojej głowie rozbrzmiewał z coraz większą siłą głos, który potwierdzał bezlitośnie, że była żona Stijna wraca do Holandii...

Straciłam ochotę na spacer. Annemarie rozprawiała nadal wesoło o zaletach swojej „wnuczki”, jak ją pieszczotliwie nazywała. Słuchałam nieuważnie jej opowieści i marzyłam o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. W tym momencie dotarła do mnie z całą mocą brutalna prawda. Jeżeli choć przez chwilę marzyłam, że Stijn i ja kiedykolwiek moglibyśmy być razem, właśnie teraz los, pukając się ironicznie w czoło, dał mi do zrozumienia, że jestem naiwną idiotką. Dziedzice rodzin z tradycjami nie popełniają mezaliansów, związując się z ubogimi emigrantkami z Europy Wschodniej. Brzmiało to bardzo staroświecko, ale w pewnych kręgach było ciągle na porządku dziennym.

W pewnej chwili Annemarie zauważyła moją duchową absencję, ale złożyła to oczywiście na karb wydarzeń z ostatnich dni.

– Kochanie, nie będę cię dziś dłużej zatrzymywać. Widzę, że jesteś zmęczona. Jedź do domu, odpocznij i daj mi koniecznie znać, jak się czujesz. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że twoja siostra wraca do Holandii. Będiesz miała obok siebie bratnią duszę, która pomoże ci uporać się z trudną rzeczywistością.

Z ulgą wyszłam na zewnątrz. Po chwili namysłu zawróciłam z drogi na przystanek autobusowy i udałam się w stronę morza. Wydawało mi się przez

chwile, że na drodze minął mnie motor Stijna. Potrząsnęłam z niedowierzaniem głową. Miałam na jego punkcie obsesję. Im prędzej się z nią uporam, tym lepiej dla mnie.

Padało i wiało... Na całej plaży, jak okiem sięgnąć, nie widać było żywego ducha. Mogłam skakać, tańczyć, śmiać się w głos i krzyczeć do woli. Morze szumiało groźnie, ciężkie chmury zbiły się zgodnie w ciemnoszarą masę nad moją głową, wiatr szarpał za cienki materiał kurtki. Pobiegłam w kierunku rysującego się w oddali białą grzywą fal opustoszałego moła. Woda chlupnęła obficie na moje i tak już przemoczone buty. Dotyk lodowatej fali przebiegł dreszczem moje ciało. To był moment szczęścia zrodzonego z absolutu. Stałam samotnie na granicy nieba i ziemi. Za mną cały świat. Przede mną nieskończoność. Odwróciłam się powoli i spjrzałam za siebie. Na drewnianym podeście, hen daleko zobaczyłam niewyraźną figurkę mężczyzny, który machał w moim kierunku czerwonym włóczkowym szalikiem.

Szara, zamazana fotografia z wyraźnym czerwonym akcentem... déjà vu... błysk w głowie... czerwony akcent... Jestem małą dziewczynką urwisem, która wdrapuje się na rozłożystą jabłonkę w ogrodzie pod samą koronę drzewa. Problem pojawia się wkrótce... Nie umiem z niego zejść. Rozmazuję łyzy brudnymi rękami oblepionymi sokiem z jabłek na wykrzywionej od płaczu buzi. Pod drzewem nagle pojawia się mój tata... wyciąga do mnie spracowane, silne dłonie w czerwonych, roboczych rękawicach. Zamykam oczy i skaczę w czerwień jego rąk... Tata łapie mnie i trzyma mocno. Bezwarunkowe zaufanie. Bezwarunkowa miłość. Taka, która stłamsi ogień i roztopi najtwardszy lód.

Otwieram oczy i jestem w ramionach Stijna, który gładzi mnie delikatnie po plecach, a potem czułym gestem zawiązuje czerwony włóczkowy szalik na mojej szyi.

– Babcia stanowczo nakazała, żebym sprawdził, czy dotarłaś na przystanek – powiedział cicho, nie wypuszczając mnie z ramion.

Wysunęłam się z nich ostrożnie sama. Jeszcze tego brakowało, żeby zauważył, że najchętniej zostałabym w nich na zawsze.

– Na szczęście, w ostatniej chwili spostrzegłem, że idziesz w stronę plaży – ciągnął, przyglądając mi się tak, jakby widział mnie po raz pierwszy. – Wszystko w porządku? Zmarzłaś. Dobrze, że zawsze noszę ze sobą ten szalik. Zrobiła go dla mnie mama. To mój talizman. – Na sekundę odwrócił wzrok. – Wracajmy do domu. Napijesz się czegoś gorącego.

– Nie, nie! – zaprotestowałam gwałtownie. – Wieczorem odbieram Julię z lotniska. Muszę jechać do Haarlemu.

Stijn górował nade mną posturą. Biła od niego pewność siebie, spokój i poczucie bezpieczeństwa. Był jak skała, na którą chciałam się wdrapać i poczuć w końcu pod stopami twardy ład. Pozostało mi jednak dryfowanie po

niespokojnym morzu, gdyż w głowie paliła mi się ostrzegawczo lampka z napisem „Liane”.

– Dziękuję za pomoc. Poradzę sobie – powiedziałam zimno i bezosobowo, a po namyśle, zupełnie niepotrzebnie, dodałam: – Słyszałam, że twoja żona wraca z Ameryki. Podobno jest świetnym naukowcem z niezłym dorobkiem literackim. Gratuluję. Z pewnością nie możesz się już doczekać, kiedy ją zobaczysz.

Stijn przecesał dłonią gęstą czuprynę i spojrzał na mnie zagadkowo.

– Liane to bardzo zdolna dziewczyna – odpowiedział w końcu. – Nie widzieliśmy się jakiś czas. Tak, jestem ogromnie ciekawy, co u niej słychać.

Przecież to była żona... Dlaczego mnie nie poprawił?

Gwałtownym ruchem odwiązałam z szyi ciepły szalik i podałam mu.

– Nie będzie już potrzebny – stwierdziłam szybko. – Przestało padać.

– Jesteś pewna? – Próbował się uśmiechnąć.

– Jak niczego na świecie.

Poprawiając torbę na ramieniu, odwróciłam się i odeszłam.

Nieszczęścia chodzą parami. Kolejna mądrość ludowa, która znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Szkoda tylko, że właśnie w mojej...

Rozdział trzydziesty piąty

Nieład panujący w pokoju sugerował przejście przez niego orkanu. Wicher był wyjątkowo silny i przybył prosto z gorącego, afrykańskiego klimatu. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że znowu jest ze mną.

Moja siostra była silną i dominującą osobowością. Każdemu, kto miał okazję przebywać z nią choć przez moment, nasuwało się nieodparte wrażenie, że wszędzie jej pełno. Wypełniała całą przestrzeń wokół siebie swoją niewyczerpaną energią, kipiącym optymizmem, nieposkromioną radością życia. Siedziała ze mną przy stole, będąc jednocześnie w kuchni, wyjadając ciastka z szafki, wypakowując jedną z przepastnych toreb i przymierzając nowy sweter, który dostała ode mnie jako powitalny prezent. Gadała przy tym non stop, prawie nie dopuszczając mnie do głosu. Nie przeszkadzało mi to. Zagłuszało choć na moment myśli, które stały niecierpliwe w poczekalni pamięci, tupiąc głośno nogami i czekając, kiedy w końcu się nimi zajmę. Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Wolałam słuchać beztroskiej paplaniny Julii.

Samolot wylądował wczoraj z ponad dwugodzinnym opóźnieniem. Nie było już szans na wizytę u Prospera. Julia próbowała przekonać Tadzika i mnie, że możemy spróbować nagiąć szpitalny regulamin, tym bardziej że chodziło – w jej mniemaniu – o wyjątkową sytuację. Zapewniłam ją jednak, że północ to zdecydowanie mało odpowiednia pora na odwiedziny u chorego przebywającego na intensywnej terapii. Julia, o dziwo, nie protestowała. Potulnie zgodziła się poczekać.

Tadzik pomógł nam wnieść wszystkie walizki na górę, po czym pożegnał się szybko i wrócił do Amsterdamu. Zaczynał dziś pracę na pierwszej zmianę. Sięgnęłam do torby w poszukiwaniu kluczy, ale Julka powstrzymała mnie, kładąc rękę na mojej dłoni.

– Aga, będę nocować w mieszkaniu Prospera. Mój pokój należy teraz do ciebie. Nie będziemy siedziały sobie na głowie. Wezmę szybki prysznic i za chwilę wpadnę, pogadamy.

– Dobrze. Nastawię wodę na herbatę. Mam też pyszne *stroopwafels*^[65] z twojej ulubionej piekarni!

– Jesteś aniołem! – Julka rozejrzała się po słabo oświetlonym korytarzyku i westchnęła. – Nie uwierzysz, ale było mi brak tej ciasnoty i tych cholernie wąskich schodów, na których można wybić zęby. Holenderskie rozwiązania architektoniczne! Tęskniłam za wami!

Roześmiałam się i popukałam znacząco w czoło.

– *Tot straks!*^[66] – rzuciła Julka i zniknęła za drzwiami mieszkania.

Weszłam do siebie i zapaliłam światło. Na śmierć zapomniałam, że razem z Bożenką ustroiłyśmy pokój na powrót Julii. Na nylonowej żyłce zawieszanej

między oknami migotały wesoło kolorowe literki układające się w napis: *Welcome home!*^[67] Podobał mi się typowy holenderski zwyczaj przyozdabiania domu na cześć dawno niewidzianych bliskich wracających z dalekiej podróży. Zajrzałam jeszcze z ciekawością pod łóżko. Kociołek spał w swoim ulubionym, najciemniejszym kącie w samym rogu. Doszedł już do siebie i codziennie rano prezentował całą gamę kocich fochów. Miałam do niego słabość i sprytny kocur doskonale o tym wiedział.

Zdjęłam gryzący mnie trochę sweter i włożyłam bawełnianą bluzę z kapturem. Na zewnątrz zagrzmiało. Zbierało się na burzę. Jak to dobrze, że Julia jest już w domu.

Na kuchennym blacie stała, przygotowana wcześniej, taca z kubkami i dzbankiem na herbatę. Wyłożyłam na talerzyk karmelowe wafle i dosypałam cukru do cukiernicy.

Moja siostra, podobnie jak Prosper, uwielbiała słodką jak ulepek herbatę. W tych codziennych drobiazgach byli bardzo do siebie podobni, choć mieli tak różne charaktery. Ona bardziej chaotyczna, roztrzepana, on poukładany, starannie planujący każdy krok. Najważniejsze, że te dwa pozornie różne światy, w których żyli, łączył najpiękniejszy most na świecie: miłość. Codzienna uważność na siebie, wspólne celebrowanie drobiazków, czułość, troska, akceptacja, zainteresowanie – to były najważniejsze składowe solidnych przęsła, które utrzymywały most w dobrej kondycji nad rwącym nurtem rzeki. Czas zburzył lub zakonserwował już miliony takich mostów. Oby ten ich przetrwał nawet największą nawałnicę... Tego życzyłam obojgu z całego serca.

Spojrzałam niecierpliwie na zegarek. Gdzie ta Julia? Był prawie środek nocy! Jeżeli chciała skoro świt jechać do szpitala, powinna choć na kilka godzin położyć się spać. Wysłałam na korytarz i zastukałam do drzwi mieszkania Prospera. Cisza. Ostrożnie nacisnęłam klamkę. W pokoju panował półmrok rozjaśniony ciepłym światłem małej, stojącej na parapecie lampki. Julia spała słodko na materacu, przykryta kolorową narzutą w pasy. Schyliłam się nad jej głową i pogładziłam delikatnie jasne, miękkie włosy.

– Śpij dobrze, kochanie – szepnęłam, po czym zgasłam lampkę i na palcach wysłałam z mieszkania.

Całą noc przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Mój umysł wypełniały myśli, które bezskutecznie próbowałam poukładać. Nadal fruwały w nieładzie po głowie, śmiejąc się z mojej bezsilności. Zasnęłam, kiedy na zewnątrz świtało.

Obudziło mnie miarowe stukanie w ścianę. Dwa razy głośno, raz cicho. Roześmiałam się z nostalgią. Julka! To był nasz tajemny kod z prehistorycznych czasów, kiedy krótko mieszkaliśmy razem w domu rodziców na Pomorzu. Szkoda, że dzieliła nas tak duża różnica wieku. Nie miałyśmy zbyt wielu słodkich,

dziewczyńskich wspomnień, tajemnic spisywanych w pamiętnikach, kłótni o chłopaków czy awantur o podbieranie sobie wzajemnie ciuchów.

Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki. Po szybkim prysznicu wciągnęłam na siebie dżinsy i białą koszulę. Wklepałam jeszcze w skórę pod oczy aksamitny i mocno kryjący korektor i pociągnęłam maskarą rzęsy. Nie chciałam straszyć trupim wyglądem dziewczynek van der Vegtów. Obiecałam Charlotte, że dzisiaj wpadnę do nich na dwie godziny. Umówiła się z koleżankami na, jak to nazywałam, zbiorowe wieszanie psów na Henku.

Julia krzątała się w już kuchni obok. Miała na sobie piękną, długą, zieloną sukienkę. Wyglądała zjawiskowo. Usiadłam na jednej z poduch z filiżanką pachnącej obłędnie kawy. Zdecydowanie brakowało mi stołu i krzeseł, żeby normalnie, „po europejsku”, móc zjeść śniadanie. Julia szykowała nam kanapki z serem i pomidorem. Patrzyłam na nią z niekłamaną przyjemnością.

– Jak Prosper zobaczy cię w tym stroju, z pewnością mu się pogorszy. – Upiłam łyk kawy z filiżanki.

Julia odwróciła się i spojrzała na mnie z przestraszeniem.

– Dostanie zawału! – ciągnęłam, nie zważając na przerażenie w jej oczach. – Wyglądasz, jak milion euro w czystym złocie!

Rzuciła we mnie kuchenną ścierką.

– Nawet tak nie żartuj! To nie jest śmieszne.

– Nie żartuję. Biedny Prosper znowu będzie się stresował, że ktoś mu ciebie ukradnie. Dawaj tu te kanapki! Mamy mało czasu! Od dzisiaj możesz mi codziennie robić takie śniadanka.

Julia podeszła do mnie z zapełnionym po brzegi talerzem. Usiadła obok i powiedziała zupełnie poważnie:

– Aga, nie zostaniemy w Holandii. Zabieram Prospera ze sobą do Johannesburga. Jak tylko wydobrzeje i nabierze sił, lecimy z powrotem.

O mało nie zadławiłam się przełykanym właśnie kęsem chleba.

– A... on? O tym wie? – zapytałam kompletnie zastrzelona tą informacją. A już się cieszyłam, że będę ich miała przy sobie.

– Wie – odpowiedziała spokojnie Julia. – Ustaliliśmy wszystko ze szczegółami jeszcze przed wypadkiem.

– I jak zwykle nie raczyliście mnie o niczym poinformować! – prychnęłam ze złością. – Szkoda, że dowiaduję się o tym ostatnia. – Czułam się pominięta i rozczarowana.

– Prosper nie chciał cię absorbować naszymi problemami. Tym bardziej że masz dosyć swoich. – Siostra spojrzała mi uważnie w oczy. Odwróciłam wzrok. – Wiem o twoim rozstaniu z Jeroenem. Bardzo mi przykro. To fantastyczny facet.

– Przestańcie mnie wszyscy w końcu wpędzać w poczucie winy! – wybuchłam. – Każdy mi powtarza bez przerwy, jakim to Jeroen jest cudownym

mężczyzną! Zaradnym! Wrażliwym! Dobrym! Uczynnym! A! Zapomniałabym o najważniejszym: przystojnym i – UWAGA – bogatym!

– Nie bądź cyniczna. To do ciebie niepodobne. – Julia patrzyła na mnie z wyrzutem.

– Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? – ciągnęłam dalej rozgoryczona. – Wręcz przeciwnie! Ja to wszystko wiem! Ale go nie Kocham! Rozumiesz? Nie Kocham! Oczekiwałaś, że będę z nim z wyrachowania? Żeby podnieść poczucie własnej wartości i mizerny status materialny? To nie ja! Pieniądze są ważne w życiu, nie w miłości!

– Nikt nie twierdzi, że jest inaczej. Nie denerwuj się. – Julia odstawiła kubek z kawą. – Przecież wiesz, że stoję murem za każdą twoją decyzją. Najważniejsze, żebyś była szczęśliwa.

Ochłonęłam trochę, ale nadal czułam się źle. Bezustannie uwierała mnie myśl, że skrzywdziłam kogoś, komu naprawdę na mnie zależało. Podniosłam się z podłogi i odniosłam naczynia do kuchni. Byłam nie do zniesienia.

– Przepraszam za ten wybuch – odezwałam się pojednawczo. – Szykuj się. Musimy już iść.

– Tak, tak, oczywiście. – Julia zerknęła na swój telefon i włożyła go do miniaturowej torebki na ramię.

Przed samym wejściem do szpitala złapała mnie za rękę.

– Aga... denerwuję się trochę...

– Czym? – Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Sama nie wiem. Ja też mam swoje wątpliwości. Ech... nieważne. Chodźmy.

Prosper już na nas czekał.

Wzruszyłam się, patrząc, jak moja własna, krnąbrna i szorstka, jak zawsze ją postrzegałam, siostra ciepło wita się z ukochanym. Ich pierwszy czuły dotyk pulsował namacalnym szczęściem. W tym momencie byli tylko we dwoje. Nie chciałam swoją obecnością burzyć tej pięknej, intymnej chwili. Wycofałam się dyskretnie z oddziału, wyszłam na korytarz i usiadłam przy recepcji.

Zadzwoił mój telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer Charlotte.

– Jestem jeszcze w szpitalu – zaczęłam, ale przerwał mi dziecięcy szloch. – Co się stało?! – krzyknęłam. – Kto mówi?

Pielęgniarka siedząca za monitorem komputera rzuciła mi pełne wyrzutu spojrzenie i znacząco położyła palec na ustach.

Ściszyłam głos.

– Kto mówi? – powtórzyłam prawie szeptem. – Kim?

– Nie, tu Jill. – Cichy szloch przeszedł w histeryczny płacz. – Przyjedź szybko! Mama jest chora! Leży w łóżku! Nie chce z nami rozmawiać! Nie rusza się! – Mała zanosila się od łez.

Podniosłam się błyskawicznie z krzesła i zaczęłam biec w kierunku wyjścia.

– Kochanie, spokojnie, już do was jadę. Dzwoniłaś do taty?

– Ma wyłączoną komórkę. Mama umrze?

– Nie, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Za chwilę u was będę. Rozłączę się teraz, ale za moment znowu zadzwonię. Rozumiesz? Nie bój się!

Cholera jasna! Ogarnęła mnie panika. W pośpiechu wybrałam numer Henka. Włączyła się automatyczna sekretarka. *Shit!* Może Charlotte nałykała się jakichś prochów? Kto wie, co strzeliło jej do głowy?

Należało działać metodycznie. Bez wahania zadzwoniłam do Jeroena. Odebrał od razu.

– Wzywaj pogotowie! – zdecydował szybko po wysłuchaniu mojej chaotycznej relacji. – Ja już tam jadę!

Rozdział trzydziesty szósty

Siedziałyśmy z Julią na tarasie, pod czerwonymi markizami naszej ulubionej kafejki w centrum Haarlemu. Po rozświeconym holenderskim niebie przeganiały się niestrudzenie małe pierzaste chmury, nurkując zalotnie w bezkres błękitu nad naszymi głowami.

Zbliżała się pora lunchu. Holendrzy byli zdecydowanie pragmatycznym i poukładanym narodem. Lubili regularny, zaplanowany do ostatniej minuty rytm dnia. Miejsca wokół nas zapełniały się stopniowo chętnymi na popołudniową przekąskę tubylcami. Zamawiano zwykle kanapki i herbatę. Skusiłyśmy się z Julką na specjalność miejscowego lokalu, czyli *uitsmijter*. Dwie kromki chleba obłożone szynką i serem, pod pierzynką z sadzonego jajka smakowały wybornie. Uwielbiałam jedzenie posiłków na zewnątrz, szczególnie kiedy pogoda sprzyjała biesiadowaniu. Nawet najpiękniejszy wystrój lokalu nie mógł wygrać z widokiem rozświeconego rynku, który rozpościerał się w całej krasie przed naszymi oczami. Latte w cieniu katedry nie miało sobie równych.

Julia z nostalgicznym uśmiechem przypatrywała się spacerującym ludziom. Odrywała rękami kawałki chleba i moczyła je w aksamitnie płynnym żółtku, robiąc niewiarygodny bałagan na talerzu. Już od wczesnego dzieciństwa, ku rozpaczycy naszych rodziców, uwielbiała jeść palcami i ta barbarzyńska, jak twierdził tata, miłość do profanowania jedzenia została jej do dziś. Niechybnie musiały tu wchodzić w grę tatarskie geny, gdyż jak głosiła wieść gminna i rodzinna, nasz pradziadek pochodził z Turcji.

Siostra postanowiła wrócić do naszej porannej rozmowy na temat Charlotte.

– Co za akcja! Powinni wam wlepić karę za nieuzasadnione wezwanie karetki!

Zgromiłam ją wzrokiem.

– Fakturę mogą wysłać na nazwisko Henka. Gdyby nie zabawiał się w tym czasie ze swoją flamą, nie byłoby tej całej afery.

Julia kręciła z niedowierzaniem głową.

– Wiedziałam, że z niego niezłe ziółko, ale w życiu nie przypuszczałam, że rozwałą sobie z Charlotte życie w ten sposób. Nie było mnie raptem parę tygodni, a tu takie zmiany. Kto by pomyślał... Moja mała siostra ratuje życie znienawidzonej pracodawczyni. Serio, gdyby nie ty, kto wie, jak by się to wszystko skończyło...

Na podjazd wili państwa van der Vegtów wjechałam równocześnie z range roverem Jeroena. Zrujnowałam się na taryfę, ale nie myślałam wtedy o pieniądzach. Przed domem stał już charakterystyczny żółty ambulans. Właśnie wychodził z niego ratownik medyczny z wypchaną torbą podręczną. Drugi mężczyzna został za kierownicą auta. Wyskoczyłam z taksówki i pobiegłam

w stronę drzwi. Stała w nich zapłakana Kim.

– Gdzie Jill? Na górze? – Zatrzymałam się przy małej i przytuliłam ją. Dziewczynka skinęła głową. – Wszystko będzie dobrze – zapewniłam. – Zaraz sprawdzimy, dlaczego mamusia jest chora. Proszę za mną – zwróciłam się do ratownika.

Jeroen przywitał się chłodno i wszedł do środka razem z nami.

Wbiegłam na górę, potykając się o rozrzucone niedbale po schodach zabawki. W całym domu panował przenikliwy chłód. Na piętrze szalał przeciąg, wszystkie drzwi i okna były otwarte na oścież. Dopadłam do łóżka Charlotte. Leżała na nim roznegliżowana, z rękami rozrzuconymi szeroko nad głową. Ciemne brodawki jej krągłych piersi przebijały się przez cienki materiał kusej koszulki. Pasma jasnych włosów zasłaniały jej twarz w demoniczny sposób. Nachyliłam się nad nią i wtedy to poczułam: odrażającą, upiorną, obrzydliwą woń na wpeł przetrawionego alkoholu.

– Ona jest kompletnie pijana! – krzyknęłam i zajrzałam pod łóżko. Leżały tam dwie puste butelki po ulubionej whisky Henka.

– Proszę się odsunąć – polecił służbowym tonem ratownik. Usiadł obok Charlotte i przyłożył dwa palce z boku jej szyi, w zagłębieniu tuż pod żuchwą. Odczekał chwilę, po czym potrząsnął kobietą energicznie za ramiona i zapytał stanowczo: – Wszystko w porządku? Czy potrzebuję pani pomocy?

Z ust Charlotte wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. Zamachała rękami i obróciła się na drugi bok, odsłaniając nagie pośladki.

– Proszę poszukać koca i zamknąć okno. Kobieta jest znacznie wychłodzona – zwrócił się do mnie ratownik.

Jeroen zajął się oknem, ja wyjęłam z szafy gruby, włochaty pled i okryłam nim starannie Charlotte. Poruszyła się niemrawo i głośno sapnęła. Rzuciłam okiem na szafkę nocną. Oprócz opróżnionej do połowy butelki wódki leżały na niej dwa kartoniki paracetamolu i jakieś niemilosierne zgniecione rachunki. Ratownik podchwycił moje spojrzenie i sprawdził zawartość opakowań leków.

– Spokojnie, brakuje tylko dwóch tabletek – oznajmił bez emocji, po czym spiorunował wzrokiem mnie i stojącego przy oknie Jeroena. – Wygląda na to, że wezwanie ambulansu było zupełnie bezpodstawne. Pani... – zajrzał szybko do oprawionego w skórę notatnika – ...van der Vegt zdecydowanie nadużyła alkoholu. Nie jest on jednak w tym konkretnym przypadku czynnikiem zagrażającym jej zdrowiu ani życiu. W najgorszym z wariantów czeka ją uciążliwa migrena. Kto z państwa wezwał karetkę? – Popatrzył oskarżycielsko na nas oboje, wstał i zasunął zamek torby.

– Porozmawiamy na spokojnie na parterze – zwrócił się do niego Jeroen. – Wyjaśnię panu wszystkie okoliczności tego nieprzyjemnego zajścia. Wszelkie koszty zostaną oczywiście pokryte z ubezpieczenia pana van der Vegta – dodał

z premedytacją, zerkając na mnie znacząco, po czym wyszedł z ratownikiem z pokoju.

Rozejrzałam się zafrasowana po wyziębionym wnętrzu w poszukiwaniu dziewczynek. Powinny gdzieś tu być. Zupełnie o nich zapomniałam. Spojrzałam ze złością na pijaną Charlotte i złapałam stojącą przy łóżku butelkę wódki. Wyniosłam ją szybko do przylegającej do sypialni gigantycznej łazienki i wylałam całą jej zawartość do ubikacji. W najdalszym kącie dostrzegłam skuloną na podłodze Jill. Podeszłam do niej ostrożnie. Była przerażona i zapłakana.

– Chodź do mnie, skarbie – powiedziałam łagodnie do dziewczynki. – Pójdziemy teraz do kuchni. Zrobię ci twoje ulubione *chocomel*. Z całą górą bitej śmietany. – Usiadłam obok niej na zimnych łazienkowych płytkach.

Jill momentalnie złapała mnie za rękę.

– Nie lubię już tego domu – powiedziała pozornie bez emocji. – Ludzie się tu nie kochają. Tylko kłócą i krzyczą. Mama powiedziała, że zmarnowałyśmy jej życie. Gdyby nie my, mogłaby studiować. A tak skończyła w nędzy i upak... upok... orze... niu... Nawet nie wiem, co to znaczy. I nie chcę wiedzieć! Zabierz mnie do babci, proszę. – Złożyła ręce jak do modlitwy.

Czułam się bezradna i bezsilna. Nie miałam pojęcia, co robić dalej.

– Porozmawiamy potem. Teraz poszukamy Kim i zrobimy sobie małe wieczorne party. Załóż ten biały sweterek, na pewno zmarzłaś. Weź też bluzę dla siostry. Czekam na dole, kochanie. – Pogładziłam małą po głowie i wstałam z trudem. Czułam nadchodzący ból głowy.

W kuchni natknęłam się na Jeroena i Kim. Czytali razem ukochaną bajkę dziewczynek *Pippi Langkous*. Jeroen podniósł wzrok znad książki.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– Tak – potwierdziłam. – Wszystko pod kontrolą. – Pomasowałam skronie.

Jeroen patrzył na mnie nieodgadnionym spojrzeniem. Wyciągnęłam z szafki karton mleka czekoladowego i żółte kubki.

– Napijesz się z nami? – Potrząsnęłam zachęcająco kartonem z ulubionym napojem każdego Holendra.

– Chętnie. – Popatrzył dyskretnie na zegarek i dodał: – Mam cały wieczór wolny. Dziś po południu odwożem chłopców do ich matki.

– Kim, kochanie – zwróciłam się do dziewczynki – proszę, idź umyć ręczki. Zaraz siadamy do stołu. Mam dla was pyszne ciacha!

– Z lukrem? – Oczy małej zaświeciły się jak dwie żarówki.

– Oczywiście! – zapewniłam. – No już, szybciotko do łazienki!

Kim w podskokach wybiegła z kuchni.

Jeroen zamknął książkę i odłożył ją na wiszącą nad stołem półkę.

– Masz świetne podejście do dzieci. Te małe potrzebują dużo czułości. Nie przypuszczałem, że Char i Henk zrobią ze swojego życia taki rollercoaster...

– Dla mnie to nie nowość – westchnęłam i spojrzałam na niego z wdzięcznością. – Jeroen... dziękuję ci za pomoc. Gdyby nie ty...

– ...równie dobrze dałabyś sobie radę – dokończył. – Jesteś zadaniowcem. A w ostatnich dniach udowodniłaś, że umiesz działać konstruktywnie nawet w wyjątkowo silnym stresie. Nie poddajesz się łatwo. – Uśmiechnął się blade. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w ostatniej chwili zrezygnował i żeby zamaskować zmieszanie, rzucił wesoło: – Gdzie to obiecane *chocomel*? Chyba wszyscy zasłużyliśmy na osłodzenie sobie życia.

Julia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ile czasu wam zeszło na to wszystko? A potem? Zostawiliście dziewczynki same?

– Zwariowałaś? – obruszyłam się. – Troskliwy tatuś w końcu się odezwał. Zadzwonił skruszony około dwudziestej trzydzieści, kiedy córki leżały już w łóżkach.

– Jak wróciłaś do domu?

– Jeroen mnie odwiózł. Nie chciał nawet słyszeć, że miałabym jechać sama autobusem...

Siedzieliśmy w samochodzie. W ciszy. W tle śpiewał Phil Collins. *Against all odds*. Moja ulubiona piosenka. Jeszcze do niedawna nasza ulubiona piosenka. Kiedyś marzyłam, żeby cokolwiek na tym świecie było „nasze”. Podjęłam jednak decyzję, która teraz odbierała mi do tego prawo.

Nad Holandią zapadła noc. Wyjątkowo jasne niebo rozświetlało drogę milionem gwiazd.

– Bóg całuje nas nocą – powiedział nagle Jeroen. – Każda gwiazda to jeden boski pocałunek.

– A spadające gwiazdy? – zapytałam.

– To pocałunki skradzione Bogu przez ludzi – odpowiedział.

– Czyli wszyscy jesteśmy złodziejaskami? – Uśmiechnęłam się i zerknęłam na niego.

Milczał.

Wjechaliśmy do Haarlemu. Opustoszałe ulice pogrążone były w ciepłym świetle ulicznych latarni. Dotarliśmy do celu. Jeroen zgasił silnik.

– Mam do ciebie jeszcze jedną nietypową prośbę. – Było mi głupio, ale nie miałam wyjścia. – Czy mógłbyś odprowadzić mnie na górę? Po tym wypadku... boję się sama... po zmroku.

– Oczywiście! – błyskawicznie odpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł z auta. Pod drzwiami mieszkania nieoczekiwanie chwycił mnie za rękę. – Aga... chciałbym ukraść z tobą jeszcze niejednego pocałunek Bogu... Wiem, że to niemożliwe, ale pamiętaj... zawsze możesz na mnie liczyć. Chciałbym, żebyś to wiedziała. Dobranoc.

Zasłużyłam na to. Na ten ból, który właśnie w tej chwili rozdarł mi serce na pół...

Rozdział trzydziesty siódmy

Siedziałam w ogromnej pustej poczekalni budynku komendy miejscowej policji w Haarlemie. Dostałam pilne wezwanie w celu rozpoznania hipotetycznych sprawców napadu na tle rasistowskim.

Siedziba policji mieściła się w przepięknym osiemnastowiecznym gmachu byłych koszar. Ceglasty budynek w stylu klasycystycznym składał się z czterech skrzydeł otaczających wewnętrzny dziedziniec. Górną kondygnację fasady wieńczył szeroki trójkątny fronton z umieszczoną pośrodku rozetą. Cechująca styl klasyczny powaga, symetria i harmonia idealnie pasowały do instytucji zaufania publicznego, jaką była policja. Już dawno zauważyłam, że w Holandii wiele zabytkowych budynków przerabiano i przystosowywano do potrzeb lokali użyteczności publicznej. W tym kraju uważano, słusznie zresztą, że nawet najpiękniejsza na świecie architektura, która funkcjonuje tylko dla ozdoby, jest bezużyteczna niczym teatr bez aktorów. W ten sposób zagospodarowywano ziejące pustką kościoły, masowo przerabiając je na dyskoteki, hotele, biblioteki lub przychodnie. Taniec w rytmie techno w monumentalnych wnętrzach średniowiecznych katedr ciągle jeszcze stanowił szok kulturowy dla przybywających z katolickich krajów Europy turystów. Holendrów tańce przy ołtarzu bynajmniej nie gorszyły.

Popijając lurowatą kawę ze stojącego w rogu poczekalni automatu, myślałam o sobie na emigracji. Coraz częściej czułam, że mam teraz dwie ojczyzny, dwa krwiobiegi, dwa serca, które były w różnym, a jednocześnie w tym samym rytmie. Żyłam w dwóch światach, ale żaden z nich nie był dostatecznie blisko, żeby zapuścić korzenie na dłużej ani dostatecznie daleko, aby przestać tęsknić. Polska pulsowała we mnie nadal, polskość była tatuażem na mojej tożsamości, moim przekleństwem i błogosławieństwem. Żyjąc na emigracji, nauczyłam się, że nie istnieją słowa takie jak „nigdy” i „zawsze”. Tęskniłam za Polską, będąc tutaj, i byłam absolutnie pewna, że tęskniłabym za Holandią, będąc tam. Ten wieczny szpagat między sercem a rozumem, między ludźmi, których kochałam, a tymi, których pokochałam na emigracji. Tęskniłam za znanymi mi miejscami, szukałam nowych, oswajałam je, zapisywałam na wewnętrznej mapie pamięci, do której kompasem było moje serce... Wiedziałam jedno: nic nie mogło pozbawić mnie korzeni made in Poland, mojej dumy, kiedy widziałam biało-czerwoną flagę na maszcie ambasady, i moich łez, gdy słyszałam Mazurek Dąbrowskiego. Nikt nie mógł mi tego odebrać, nawet rodacy, którzy napadli na mnie tylko dlatego, że przyjaźniłam się z człowiekiem o innym kolorze skóry.

Nie przerażała mnie konfrontacja z napastnikami. Chciałam mieć to już jak najszybciej za sobą. Niecierpliwie spoglądałam w stronę zamkniętych drzwi. Znajdowali się za nimi być może bezwzględni i przepelnieni nienawiścią młodzi

ludzie, którzy w imię swoich chorych ideałów byli w stanie popełnić najgorsze przestępstwo.

Drzwi otworzyły się nagle. Drgnęłam przestraszona nieuchronnością chwili, na którą przecież czekałam. Podeszedł do mnie ubrany w granatowy uniform policjant i powiedział zwięźle służbowym tonem:

– Proszę za mną.

Weszłam do wąskiego, nieumeblowanego, słabo oświetlonego pokoju z olbrzymim lustrem na ścianie. W pomieszczeniu znajdowała się kamera, monitor, dwa mikrofony i rejestrator audio wideo. Przy kamerze stał drugi policjant. Skinął na powitanie głową i wrócił do podłączania płataniny czarnych kabli.

– Czy jest pani dostatecznie zaznajomiona z procedurą okazania bezpośredniego? – zadał pytanie pierwszy z policjantów i nie czekając na moją odpowiedź, kontynuował: – Czynność ta będzie przeprowadzona z ukrycia za pomocą lustra weneckiego, tak aby wyłączyć możliwość rozpoznania osoby przesłuchiwanej przez osobę rozpoznawaną. Za chwilę zobaczy pani grupę czterech osób, które w przybliżeniu odpowiadają zeznaniom pani i drugiego poszkodowanego. Proszę uważnie, bez pośpiechu przyjrzeć się wszystkim osobom. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości radzę nie podejmować pochopnych decyzji. Kiedy będzie pani pewna, proszę o podanie numeru, którym oznaczony jest rozpoznany podejrzany. Wszystko jasne? Czy jest pani gotowa? – Popatrzył na mnie bez emocji.

Skinęłam głową potakująco. Policjant dał dyskretny znak koledze stojącemu przy aparaturze, a ten włączył kamerę i przyciemnił światło.

Moim oczom ukazało się identyczne pomieszczenie jak to, w którym się znajdowaliśmy. Do środka weszło miarowym krokiem kilku mężczyzn. Jak na komendę wykonali półobrót w moim kierunku i zamarli w oczekiwaniu. Każdy z nich trzymał w wyciągniętych przed sobą rękach karton z przydzielonym numerem od jednego do czterech. Wszyscy byli w zbliżonym wieku, mieli podobny wzrost, budowę ciała i ubiór. Zmrużyłam oczy. Skoncentrowana przypatrywałam się każdemu z nich.

– Czy mogliby stanąć bokiem? – zwróciłam się cicho do policjanta. – Chciałabym zobaczyć każdego z nich z profilu.

Funkcjonariusz wydał polecenie i mężczyźni zmienili pozycję. Raz lewy profil. Raz prawy. I tak dwukrotnie. Podeszłam bliżej tafli lustra. Przewiercałam każdego z nich na wylot wzrokiem, wydobywałam z zakamarków pamięci najdrobniejsze szczegóły i sytuacje, w których widziałam sprawców w akcji. Po dłuższej chwili miałam już stuprocentową pewność. Skinęłam w kierunku policjantów. Grupa podejrzanych opuściła pomieszczenie. W pokoju ponownie rozblęskło światło.

– Wśród zaprezentowanych przed chwilą osób nie było człowieka, który

napadł na mnie i mojego przyjaciela tego feralnego wieczoru – stwierdziłam z pełnym przekonaniem.

Policjant popatrzył w skupieniu na swoje notatki i zanotował coś szybko w notesie podręcznym.

– Jest pani tego najzupełniej pewna?

– Tak – potwierdziłam. – Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– W takim razie to wszystko. Dziękujemy. Jest pani wolna. – Policjanci wymienili między sobą szybko porozumiewawcze spojrzenia. Jeden z nich powiedział po holendersku coś, czego nie rozumiałam.

Pożegnałam się szybko i wyszłam na zewnątrz. Targały mną sprzeczne uczucia ulgi i rozczarowania. Naprawdę miałam nadzieję, że szeroko zakrojona akcja poszukiwawcza przyniosła w końcu pożądaną skuteczną. Byłam przekonana, że czas działał na naszą niekorzyść. Kto wie, może Polacy już dawno przekroczyli granicę i ukrywali się teraz w bezpiecznym miejscu. Nie pozostało jednak nic innego jak cierpliwie czekać.

Spojrzałam na zegarek, zrobiło się bardzo późno. Julia czekała z obiadem. Ciekawiło mnie, czy rozmawiała już z Janem na temat zbliżającego się procesu, w którym miała wystąpić jako jeden ze świadków. Interesowałam się szczegółami tej sprawy i miałam nadzieję, że siostra opowie mi w końcu, w jaki sposób wplątała się w tę nieprzyjemną aferę.

Już na korytarzu wciągnęłam w nozdrza wydobywający się zza drzwi mieszkania Prospera zapach domowego jedzenia. Julia smażyła kotlety schabowe, na które czekałam z niecierpliwością od kilku dni. Poczułam nagły głód. Specjały Julkowej kuchni miały percepcyjnie dowiedzione uzdrawiające właściwości i dałyby radę zreanimować nawet ciężko chorego pacjenta.

Zapukałam dwa razy i nie czekając na zaproszenie, weszłam do środka.

– Wchodź, wchodź, już wszystko gotowe. – Siostra zamachała znad wielkiej patelni drewnianą szpatułką. Na kuchennym blacie stała wielka misa surówki z czerwonej kapusty.

– Pamiętasz o wszystkim – zaśmiałam się, siadając na jednej z kolorowych poduch leżących na podłodze. – Jestem wykończona! – dodałam i ściągnęłam uwierające mnie niemiłosiernie nowe półbuty.

– Co tam? Mów! Rozpoznałaś tego zbira? – Julka zgasiła gaz pod patelnią i wyjęła z szafki talerze.

– A skąd! Podstawili czterech ludzi, ale nie było wśród nich tego chłopaka. Obawiam się, że ta cała akcja to szukanie igły w stogu siana. Zarówno on, jak i jego kompan nie wyróżniali się niczym szczególnym. Kolczyk w uchu to żaden znak rozpoznawczy. Tysiące ludzi w Holandii mają przebite uszy. Żeby jeszcze jakiś charakterystyczny tatuaż albo blizna... – westchnęłam i wyciągnęłam się wygodniej na poduszkach.

Julia przyniosła talerze, które położyłyśmy sobie na kolanach, i zaczęłyśmy jeść.

– Jesteś mistrzynią – zachwalałam siostrę, mówiąc z pełnymi ustami. – Nawet brak stołu i krzeseł tym razem mi nie wadzi. – Mrugnęłam porozumiewawczo i dodałam z nadzieją: – Tylko nie mów, że ugotowałaś kompot.

– Jabłkowy – zaśmiała się szelmowsko Julia. – Wiesz przecież, że u mnie wszystko albo nic.

– Uwielbiam cię! – Spojrzałam na nią z uznaniem i oblizałam widelec. – Kiedy jedziesz do Jana?

– Rozmawialiśmy już przez telefon – odpowiedziała Julia. – Mam się do niego zgłosić pojutrze. Podobno nie będę musiała być obecna podczas samego procesu. Jan przeforsował u sędziego bezpieczniejszy wariant złożenia zeznań na piśmie.

Kamień spadł mi z serca. Ogromnie się bałam, że Julia naprawdę będzie musiała stanąć przed ławą sędziowską.

– Jan jest wyjątkowym człowiekiem. Co byś zrobiła bez jego pomocy? – Pozbierałam talerze z podłogi i odniosłam je do kuchni. Nalałam nam obu kompotu do wysokich szklanek i wróciłam na miejsce.

– To prawda... – Julia zamyśliła się na moment.

Patrzyłam na nią z czułością. Było mi tak ciepło, tak dobrze. Ciągle żywiłam nadzieję, że jednak nie wyemigrują z Prosperem do RPA. Tak bardzo chciałam ich mieć obok siebie. Siostra momentalnie dostrzegła mój smutek i pogładziła mnie delikatnie po ramieniu.

– Nie martw się już, zobaczysz, damy radę ze wszystkim.

Postanowiłam trzymać się kurczowo myśli, że tak właśnie będzie.

Upiłam spory łyk kompotu i zapytałam:

– Julka, opowiedz mi w końcu, jak to się stało, że trafiłaś na trop tej międzynarodowej afery przemytniczej? Chyba możesz mi w końcu zdradzić parę szczegółów?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Julia patrzyła na mnie groźnie, ale w jej oczach błyskały figlarne ogniki.

– Obawiam się, że już dawno tam jestem. – Uśmiechnęłam się z przekąsem i przykryłam nas obie grubym, włochatym kocem. Zapowiadał się długi wieczór.

Siostra poprawiła się na poduszkach i rozpoczęła swoją opowieść.

– Zdawałam sobie doskonale sprawę z tego, że chcąc zrzucić jarzmo fartucha tubylczej pomocy domowej, muszę zabrać się za naukę holenderskiego. W tym czasie mówiłam niezłe po niemiecku i perfekcyjnie po angielsku, to jednak nie wystarczało, aby polepszyć swój status pracownika od czarnej roboty. Jak sama wiesz, jestem zadaniowcem. Dałam sobie pół roku na nauczenie się diabelnie trudnego języka mieszkańców krainy deszczowców. Rano gnałam do pracy jako

wyrobnik holenderskich kapitalistów, a popołudniami siadałam w kafejce internetowej z książkami i małym walkmanem, na którym słuchałam przedpotopowych kaset z nagraniami polsko-holenderskich rozmówek, ucząc się właściwego akcentu i wymowy. Miałam niepisaną umowę z właścicielem lokalu. W zamian za kawę lub ciacho pisałam mu płomienne mejle do dziewczyny, którą poznałam na niemieckim portalu randkowym. Często siadałam z książkami na zewnątrz kafejki, w małym ogródku, który przylegał do terenu luksusowego, pięciogwiazdkowego hotelu. Wymyśliłam sobie też, że będę weryfikować zdobywaną wiedzę w praktyce. Chodziłam na zakupy, dukając przed ladą w piekarni, jaki życzę sobie chleb, w autobusie nieśmiało prosiłam o bilet kierowcę, na targu kupowałam świeże owoce, nie pokazując ich palcem, tylko wymawiając głośno i wyraźnie egzotyczne w brzmieniu nazwy. Po paru miesiącach intensywnej pracy postanowiłam nagrodzić się pyszną kawą i deserem w przepięknym hotelowym ogródku obok mojej internetowej kafejki. Ubrałam jedyną w miarę wyględną kieckę, jaką miałam w szafie, usiadłam przy stoliku i z dumą złożyłam zamówienie. Po holendersku, *of course!* Po chwili przy moim krześle pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna ubrany w białą koszulę i sprane dżinsy.

– Poznaję panią! To pani siedzi codziennie w kafejce obok i pilnie studiuje słowniki. Zawzięta i pracowita dziewczyna! Przepraszam, nie przedstawiłem się... Nazywam się Chris D. i jestem właścicielem tego hotelu. Mam dla pani propozycję nie do odrzucenia...

Patrzyłam w osłupieniu na Julkę i trudno było mi uwierzyć, że ktoś mógł ją podejść w tak perfidny sposób.

– Nie czułaś, że ta cała sytuacja jest co najmniej dziwna? – zapytałam, podciągając koc prawie pod samą brodę.

– Zapomniałam na tę chwilę o intuicji... A wystarczyło wsłuchać się w ten nasz genialnie prosty system wczesnego ostrzegania, który niczym czerwona flaga na maszcie alarmuje, że coś jest nie tak... – Julia po chwili zastanowienia kontynuowała: – Wtedy przy stoliku w hotelowej kawiarni czułam euforię i pewność, że świat należy do mnie. Nie usłyszałam ostrzegawczego szeptu, bo zagłuszył go o wiele głośniejszy okrzyk radości ambicjonalnie połączanej miłości własnej. Właściciel hotelu zaproponował mi pracę na pół etatu na stanowisku koordynatorki obcojęzycznego personelu. Kilka pokojówek i dwóch kierowców hotelowej limuzyny pochodziło z Polski i Słowacji i posługiwało się jedynie łamaną angielszczyzną. Bałam się jak diabeł święconej wody pierwszej konfrontacji z pracownikami, których musiałam nadzorować, bo zdawałam sobie sprawę z kuriozalności całej sytuacji. Miałam czyste sumienie, ogromną chęć do pracy, zapał i życzliwość, które to – jak naiwnie wierzyłam – wystarczały, by przekonać do siebie „podwładnych”. Oczywiście, na dzień dobry zostałam

sklasyfikowana jako „nowa flama szefa”, z którą nie warto zadzierać, ale i – Boże broń – zaprzyjaźnić się. Powoli, dzień po dniu wdrażałam się w nowe obowiązki, chętnie służyłam pomocą, byłam zdyscyplinowana, uśmiechnięta i życzliwa. Nie faworyzowałam nikogo i doceniałam ciężką pracę dziewczyn, na których zaufanie chciałam zasłużyć. Pewnego wieczoru, zamykając cicho drzwi recepcji, usłyszałam rozmowę dwóch polskich pokojówek.

– Myślisz, że się czegoś domyśla? – zagaiła pierwsza z nich.

– Coś ty! Za głupia jest! – prychnęła lekceważąco druga. – Najważniejsze, żeby nie zaglądała do piwnicy. Chris zakazał, ale pilnij jej... – Po czym głosy umilkły.

Ostrożnie wyjrzałam na korytarz, ale dziewczyn już nie było. Rozmawiały o mnie, co do tego nie miałam wątpliwości. Mój wzrok powędrował automatycznie w stronę ogrodzonych fikuśną balustradką schodów prowadzących na najniższą kondygnację hotelu. Szef kategorycznie stwierdził, że nie mam potrzeby zaglądać do piwnicy, gdyż przechowywane są tam głównie szpargały i meble przeznaczone do renowacji. Ale słowa dziewczyn brzmiały nieznośnym echem w mojej głowie. Zbliżyłam się powoli do bocznego wejścia do piwnicy, ogrodzonego barierką z napisem: „No entry!”^[68], zawahałam się przez chwilę, po czym postanowiłam zejść na dół...

Coraz bardziej wciągającą opowieść Julki przerwało pukanie do drzwi.

Spojrzałam pytająco na siostrę, ale ta wzruszyła ramionami i pokręciła przecząco głową na znak, że nie spodziewa się nikogo.

Podeszłam do drzwi i zaciekawiona wyjrzałam na zewnątrz. Przedemną stała Charlotte z gigantycznym koszem kwiatów w dłoniach...

Rozdział trzydziesty ósmy

Doskonale wiedziałam, że podjęcie konkretnych działań na polu nowych, emigracyjnych wyzwań postawi mnie psychicznie na nogi. Powzięłam w końcu ostateczną decyzję, że nie wracam do Polski. Czułam radość i podekscytowanie. Czekano mnie załatwianie mnóstwa formalności związanych z definitywną przeprowadzką, przede wszystkim zamknięcie wszystkich spraw osobistych i zawodowych w kraju (miałam jeszcze kilka niedokończonych zleceń na „po powrocie z Holandii”). Najbardziej cieszył mnie fakt, że mogłam zostać w mieszkaniu Julii. Właściciel bez problemu przedłużył umowę najmu na kolejny rok.

Wracałam właśnie ze spotkania informacyjnego w szkole Talen Training Centrum, która oferowała całą gamę kursów językowych dla obcokrajowców, w tym najbardziej interesujące mnie lekcje holenderskiego w godzinach wieczornych. W ciągu dnia nadal musiałam pracować, żeby opłacić mieszkanie, szkołę i inne wydatki czekające mnie u progu nowego życia. Powoli rozglądałam się również za dodatkowym zajęciem. Wysłałam już swoje CV do redakcji największych gazet polonijnych w regionie Noord-Holland. Nie spodziewałam się tak szybkiego i entuzjastycznego odzewu. Najbardziej interesująca propozycja nadeszła od redaktora naczelnego popularnego tygodnika „Halo Polonia”, który po krótkiej i sympatycznej telefonicznej pogawędce zaprosił mnie na rozmowę kwalifikacyjną do siedziby redakcji w Amsterdamie. Fruwałam i nosiłam różowe okulary. Rozpierzająca energia unosiła mnie parę centymetrów nad ziemią.

Julia całe dni przesiadywała u Prospera. Został już przeniesiony na oddział ogólny, gdzie w błyskawicznym tempie dochodził do zdrowia, zarażając optymizmem i radością życia wszystkich pacjentów na sali. Uśmiechnięty, łagodził traumatyczne przeżycia ostatnich dni i osładzał je jak kostka cukru mocną, gorzką herbatę codzienności.

Przyspieszyłam kroku, przypominając sobie nagle, że obiecałam Julce pomóc w zakupach spożywczych. Siostra zaprosiła Jana i Anneke na uroczystą kolację u mnie w domu. Argumentem ostatecznym przemawiającym za wybraniem tej właśnie lokalizacji był stół i krzesła zamiast poduch i twardej podłogi. Nie wyobrażałam sobie eleganckiego i nobliwego Jana z talerzem na kolanach. Tym bardziej że postanowiłyśmy ugościć go uroczystie smakowitymi specjałami kuchni polskiej.

Weszłam do domu, rzuciłam pęk kluczy na szafkę pod wieszakiem i pobiegłam do kuchni po ulubioną torbę na sprawunki, w którą mieściło się prawie wszystko. Na stole królował, wyglądający nadal świeżo, kwiatowy podarunek od Charlotte. Barokowa, strojna i barwna kompozycja idealnie pasowała do jej krzykliwego gustu. Ciągle jeszcze nie mogłam uwierzyć, że z własnej,

nieprzymuszonej woli postanowiła podziękować za pomoc tego wieczoru, kiedy, jak sama to eufemistycznie określiła, nie była w „najlepszej formie”.

– Kosz z kwiatami to moje dziecko! – oznajmiła dumnie, wchodząc bez pytania do mieszkania i wręczając mi imponującej wielkości prezent. – Postanowiłam zapisać się na kurs florystyczny – dodała rozpromieniona i obrzuciła krytycznym wzrokiem skromne i ciasne wnętrze siedziby Prospera. – Zawsze kochałam układanie bukietów i byłam w tym całkiem nieezła. – Świadomie przeciągała głoski i patrzyła wyczekująco to na mnie, to na Julkę, spragniona komplementów na temat jej spektakularnego dzieła. – Nie wiedziałam, że wróciłaś do Holandii, Juliet – zwróciła się do siostry i ze sztucznym uśmiechem dorzuciła: – Obawiam się jednak, że już nie zrezygnujemy z usług Agnes. Dziewczynki i ja nie wyobrażamy sobie nikogo innego w domu. – Spojrzała na mnie słodkim i przymilnym wzrokiem.

Znałam Julkę i wiedziałam, że w środku cała wrze, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedziała słodko. – Nie zostaję w Holandii długo. Wyjeżdżamy z moim chłopakiem do Johannesburga. Już wkrótce.

– *Goed nieuws!* A ja, jak już mówiłam, zamierzam oddać się w pełni kwiatowej pasji! – trajkotała, jak zwykle, najchętniej o sobie samej. – Moja przyjaciółka Meike ma własną kwiaciarnię tu, w Haarlemie, i zaproponowała mi pracę. *Ik heb groene vingers*^[69]. Poza tym jestem kreatywna, energiczna, operatywna. A co najważniejsze, w końcu przerwę ten łańcuch chorej zależności od Henka. Pamiętajcie, dziewczyny, nigdy nie dopuście do tego, żeby jakkolwiek facet płacił wasze rachunki, bo prędzej czy później perfidnie wam to wypomni.

Julia, która nalewała w kuchni kawę do filiżanek, przewróciła szyderczo oczami. Na szczęście perorująca zawzięcie Charlotte tego nie widziała.

Kiedy wieczorem leżałam już w łóżku, po raz kolejny uświadomiłam sobie, że ta kobieta to mistrzyni autokreacji. Przyszła przeprosić za swoje nietypowe zachowanie, ale z jej ust nie padło ani jedno słowo skruchy. Przyszła i wyszła w glorii chwały.

Wstałam bardzo wcześnie, na wpół przytomna przygotowałam sobie śniadanie i kawę. Obiecałam, że pomogę Anneke w koszeniu trawy za domem. Pracownik Jana chorował już od ponad dwóch tygodni i nie miał kto zająć się zarastającym ogrodem. Od dziecka lubiłam pracę na świeżym powietrzu i kontakt z naturą. Anneke nie umiała posługiwać się elektryczną kosiarką do trawy, ba, nie wiedziała nawet, jak ją uruchomić.

W drodze do Heemstede odebrałam wiadomość od Bożenki. Tadzik miał dziś urodziny i chciała zawieźć mu do pracy tort własnej roboty. Niepisaną tradycją w Holandii było przynoszenie w takim dniu wypieków, którymi częstowano kolegów z firmy. Nikt nie bawił się w pieczenie ciast samemu, popularne były

najtańsze gotowce z supermarketu, szczególnie *vlaai*, czyli słodka tarta zwieńczona owocami i bitą śmietaną. Boženka, jako wzorowa pani domu i doskonała gospodyni, nigdy nie zszargałaby swojej nienaganej reputacji, nabywając gotowe ciasto ze sklepu, tym bardziej że chodziło tu o uczczenie święta jej ukochanego jedynaka. Cały wczorajszy dzień spędziła w kuchni i stworzyła prawdziwe dzieło sztuki cukierniczej – czekoladowy tort węgierski z wiśniami i amaretto. Dałam słowo, że zaraz po uporaniu się z trawnikiem Jana wpadnę do niej i razem zawieziemy ciasto Tadzikowi.

Zaparkowałam rower na podjeździe i zamachałam wesoło do Anneke, która stała przy budynku gospodarczym, obok wielkiej kosiarki spalinowej. Gospodyni była w doskonałym humorze. Po raz pierwszy od kilkunastu lat wzięła w nadchodzącym tygodniu wolne, żeby zająć się przylatującymi w najbliższą sobotę z Rumunii dziećmi. To była pierwsza wizyta rodzeństwa w Holandii i Anneke nie mogła się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczy dzieci.

– Agnes, jak dobrze, że już jesteś! – zawołała w moim kierunku. – Mam nadzieję, że potrafisz okiełznać tego potwora! – Wskazała ręką maszynę i potrząsnęła głową, udając przerażenie.

Roześmiałam się rozbawiona jej bezradnością wobec techniki. Podeszłam bliżej.

– Stoją za mną lata doświadczeń – zapewniłam. – Ten sprzęt wygląda na solidny. – Docisnęłam rączkę kosiarki do ziemi i zajrzałam pod maszynę. Sprawdziłam, czy olej jest wymieniony na świeży i skontrolowałam ilość benzyny. Bak był pełny. Odwróciłam się do Anneke i powiedziałam z dumą: – Mój ojciec nauczył mnie podstawowej zasady prawidłowego koszenia trawników. Pas za pasem, na zakładkę, ale każdy pas w przeciwnym kierunku. Pierwszy od lewej do prawej, a drugi od prawej do lewej i tak dalej. Oczywiście, jeśli mówimy o koszeniu kosiarką. Wszystko jedno, czy najprostszą, pchaną ręcznie, czy ogrodowym traktorkiem, do większych powierzchni zielonych – perswadowałam fachowo, ale Anneke patrzyła na mnie tak, jakbym objaśniała jej zasady działania silnika rakiety międzyplanetarnej. – Okay, oszczędzę ci szczegółów. – Mrugnęłam w końcu porozumiewawczo i zabrałam się ochoczo do pracy.

Gospodyni westchnęła z ulgą i na odchodnym rzuciła:

– Jak skończysz, zapraszam na świeżą szarlotkę!

Zajęcia na świeżym powietrzu zawsze pobudzały mój apetyt, byłam zatem święcie przekonana, że podołam zarówno szarlotce Anneke, jak i tortowi Boženki.

Pracowałam w skupieniu, zostawiając na sobą świeżo skoszone, gładkie i równe pasy trawnika. Słońce grzało mnie przyjemnie w plecy, błędziłam beztrąsko myślami wśród manowców pamięci, wspominając czasy, kiedy moim jedynym zmartwieniem były nieodrobione na czas lekcje. Teraz miałam zdecydowanie więcej lat i więcej trosk, ale w gruncie rzeczy byłam tą samą

dziewczyną, która wciąż jeszcze naiwnie wierzyła, że świat mimo wszystko nie jest taki zły, a dobro powraca jak bumerang.

Myjąc ręce w małej łazience na parterze, przyglądałam się swojej twarzy. Ciemne cienie pod oczami zniknęły, moje policzki były zaróżowione, a cera gładsza i bardziej promienna. Przeczesałam szybko grzebykiem pełne ździebeł trawy włosy i wyjrzałam przez małe okno na tyły domu. Rozległy trawnik prezentował się teraz naprawdę imponująco. Miałam nadzieję, że Jan będzie zadowolony z pracy swojego nowego ogrodnika.

Przed wyjściem zdążyłam jeszcze przebrać się w sukienkę, którą przywiozłam w koszyku przytroczonym do rowerowej kierownicy. Nie chciałam straszyć kolegów Tadzika starym T-shirtem i poszarpanymi džinsami. Porozmawiałam chwilę z Anneke w kuchni, pospiesznie wypiliśmy kawę i z kawałkiem szarlotki na drogę wyruszyłam na spotkanie Bożence.

Wypatrywała mnie niecierpliwie na przystanku przed lotniskiem Schiphol. Ręce miała pełne pakunków. Oprócz tortu upiekła też babeczki, aby na pewno dla wszystkich starczyło słodkości. W ostatniej chwili wsiadłyśmy do autobusu jadącego w kierunku Aalsmeer, gdzie na ponad dziewięciu hektarach mieściła się plantacja potentata w produkcji papryki na rynku holenderskim, firmy Paprikakwekerij Groenveld BV. Tadzik nie wiedział, że mama szykuje mu niespodziankę. W cały spisek wtajemniczony był tylko jeden z jego najlepszych kolegów, który czekał już na nas przed bramą zakładu. Śmiejąc się i przekomarzając, przemknęliśmy do stołówki, zwanej w Holandii kantyną, gdzie za kwadrans mieli pojawić się na późnym lunchu pracownicy z dziennej zmiany, a wśród nich jubilat.

Porozkładałyśmy z Bożenką na stołach kolorowe serwetki i papierowe talerzyki. Tort pysznił się na centralnym miejscu i kusił lśniąca smakowicie w świetle jarzeniówek czekoladową polewą udekorowaną fantazyjnie wiśniami. Tradycji stało się zadość. Naszej krzątanie przyglądał się z ciekawością jeden z pracowników obsługi stołówki, który przedstawił się nam sympatycznie jako Ralf. Z pełnym aprobaty uśmiechem wyjaśnił nam, że w Holandii szczególnie uroczyście obchodzone są tak zwane lata królewskie, które przypadają na piąte, dziesiąte, piętnaste, dwudzieste i dwudzieste pierwsze urodziny. Największą zabawę urządza się jednak na rocznicę pięćdziesięciu wiosen. Holendrzy zwyczajowo wynajmują na tę okoliczność sale bankietowe, gdzie goście uczują przy zastawionych stołach, bawią się przy lokalnej muzyce i piją za zdrowie pięćdziesięciolatka.

Z zainteresowaniem słuchałam opowieści Holendra i ze smutkiem pomyślałam, że to, co tutaj jest powodem do radości i świętowania i co obwieszcza się całemu światu poprzez dekorowanie domu, transparenty, dmuchane, symboliczne, kilkumetrowe podobizny Sary lub Abrahama, ustawiane przez

znajomych pod nieobecność jubilatów w ich ogrodach, w Polsce ukrywa się wstydliwie w obawie przed przyznaniem się do prawdziwego wieku.

– A dlaczego figury właśnie tych biblijnych bohaterów? – zagaiłam zaciekawiona tym nieznanym w Polsce zwyczajem.

Ralf uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Obyczaj ten wywodzi się z Biblii – wyjaśnił pospiesznie – gdzie w Ewangelii świętego Jana Jezus powołał się na Abrahama. – Holender zamyślił się na chwilę, szukając w zakamarkach pamięci cytatu, który chciał przytoczyć. – Na to rzekli do Niego Żydzi: „Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?”. Nasza interpretacja jest trochę na wyrost, ale przyjęło się już to biblijne stwierdzenie, jakoby człowiek pięćdziesięcioletni zdobywał automatycznie tyle mądrości i godności co właśnie Abraham. Sara była jego żoną, więc zwyczaj ten przeszedł automatycznie również na kobiety.

Naszą rozmowę przerwał rumor przy drzwiach. Do kantyny zaczęli schodzić się właśnie pracownicy zakładu. Wypatrywałam Tadzika. Umówiliśmy się z Bożenką, że w momencie, w którym go zobaczymy, zaintonujemy wspólnie po polsku *Sto lat!* Przyjaciółka spostrzegła syna pierwsza i zamachała do mnie ręką dokładnie w momencie, kiedy do środka wkroczył sam jubilat. Wzięłam głęboki wdech i już miałam zaśpiewać pełną piersią, gdy nagle zamarłam. Wśród śmiejących się i klaszczących w dłonie kolegów Tadzika zobaczyłam ducha, który spędzał mi w ostatnich tygodniach sen z powiek. Wykrzywiona nienawiścią i szyderstwem twarz z najgorszych koszmarów teraz uśmiechała się promiennie, jak gdyby nigdy nic... Stałam bez ruchu, kompletnie porażona. Krew odpłynęła mi z twarzy. Nie reagowałam na dobiegający mnie zewsząd gwar. Słyszałam tylko jeden głos, który mówił do mnie z niezachwianą pewnością: w końcu go znalazłaś!

– Aga, co się dzieje? – Obok mnie zmaterializowała się nagle Bożena i z niepokojem przypatrywała mi się uważnie. – Źle się czujesz? Jesteś taka blada...

Otrząsnęłam się w ułamku sekundy i złapałam ją za rękę.

– Dzwon po policję – powiedziałam twardo. – Wśród gości jest człowiek, który próbował mnie zabić...

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Siedzieliśmy z Julką na niewygodnych składanych krzesłach stojących obok łóżka Prospera na oddziale ogólnym szpitala Spaarne Gasthuis w Haarlemie. Było późne popołudnie. Pielęgniarka przyniosła właśnie kartę dań, dzięki której każdy chory przebywający na sali mógł sam skomponować swój ulubiony posiłek. Prosper został przedwczoraj odłączony od sondy z pokarmem, obowiązywała go jednak ścisła dieta. Z utęsknieniem patrzył na ulubione potrawy w karcie, nie pozostawało mu jednak nic innego jak zadowolić się zalecanymi w jego obecnym stanie papkami i jogurtem. Julia pocieszała go i obiecywała, że jak tylko wróci do domu, zacznie go rozpieszczać pysznościami. Prosper łypnął tylko na nią z niedowierzaniem i westchnął żałośnie, poprawiając zsuwającą się z kołdry tacę z przysmakami dla niemowlaków.

– Jedz, jedz, kochany, nie marudź. – Chwyciłam plastikową łyżkę leżącą na tacy i zanurzyłam w obrzydliwie szarej i gęstej papce. – Musisz nabierać sił. Wystarczająco się już należałeś, podczas gdy my, biedne kobiety, musiałyśmy radzić sobie same.

Prosper klasnął w dłonie i szeroko się uśmiechnął.

– Jesteście najlepszym lekiem na wszystkie moje dolegliwości! – Posłał nam w locie pocałunek i zwrócił się do mnie żartobliwie, łapiąc się za serce. – Agnies, a ty podobno masz wiadomość, która, jak zapewniała Julia, błyskawicznie postawi mnie na nogi.

– Też mam taką nadzieję! – Poprawiłam się podekscytowana na twardym krześle. – Nigdy nie przypuszczałam, że ludzie, którzy dokonali napadu, są tak blisko, praktycznie obok nas.

Dzięki opanowaniu i zimnej krwi Bożenki uniknęliśmy niepotrzebnej sensacji i zamieszania. Po dokonaniu szokującego odkrycia stanęłam z boku, ukrywając się za wiwatującymi gośćmi spontanicznie zaimprovizowanej imprezy urodzinowej Tadzika. Nie chciałam psuć momentu radości, chwili, w której rozpromieniony jubilat dumnie zdmuchnie symboliczną świeczkę wyczarowaną przez Bożenę w ostatniej chwili z czeluści jej sławetnej torby. Nie patrzyłam w kierunku Tadzika. Całą moją uwagę przykuwał stojący tuż za nim chłopak, którego charakterystyczny profil wbił się w moją pamięć na zawsze. Bez problemu mogłam ukryć się w cieniu innych ludzi i obserwować jego twarz. Śmiał się, żartował, poklepywał radośnie po ramieniu stojących obok kolegów, wydawał się normalnym, porządnym, sympatycznym młodym człowiekiem, ale ja znałam prawdę. Widziałam w jego oczach drapieżnika, który w imię chorych ideałów był w stanie popełnić najgorszą zbrodnię. Nie pragnęłam zemsty, nie marzyłam o odwecie, nie czułam satysfakcji na myśl, że chłopak zostanie osądzony. Przerazała mnie podwójna moralność ludzi takich jak on. Pozory, które stwarzali.

Za fasadą sympatii i otwartości na innych kryły się przepełnione agresją myśli, które mogły wyrządzić wiele zła. Brzydziłam się kłamstwem, uprzedzeniami i nienawiścią, która nie bała się kary i niczym uporczywy chwast rozpleniała się w umysłach ludzi przekonanych o swojej wyższości, znajdujących potwierdzenie własnej wartości w upokarzaniu i ośmieszaniu innych. Obawiałam się jednak, że żadna kara, żadna pokuta nie zmieni ich spojrzenia na świat.

Korzystając z nagłego zamieszania, gdy koledzy, przekomarzając się nawzajem, ustawili się w długiej kolejce, by złożyć życzenia Tadzikowi, wymknęłam się na zewnątrz kantyny. Nagła cisza dźwięczała mi złowrogo w uszach. Chwilę potem na korytarzu pojawiła się Bożena i zdecydowanym tonem, o który nigdy bym jej nie podejrzewała, zarządziła:

– Idziemy do szefa tego całego bałaganu! Uważam, że to on powinien skontaktować się z policją.

Potarłam rękami twarz i rozmasowałam skronie.

– Masz rację. Musimy działać z głową, dyplomatycznie. Przede wszystkim za wszelką cenę uniknąć sztucznej sensacji i plotek – powiedziałam twardo i spojrzałam na nią z nieukrywaną wdzięcznością. – Dziękuję, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. To ogromnie trudna dla mnie sytuacja. Cieszę się, że mam cię obok.

Bożena wskazała ręką na szerokie schody u wylotu korytarza.

– Nie czas na roztkliwianie się, Aga – odpowiedziała pozornie szorstko. – Musimy działać! Chodź! – Pociągnęła mnie za rękaw swetra. – Pora zająć się tym gagatkiem, który zajada się właśnie tortem jak gdyby nigdy nic. Kanalia! Gdybym wiedziała, że tu pracuje, nadziałabym ciasto xenną i szczyściłoby łobuza zeszłorocznym barszczem wielkanocnym!

Roześmiałam się, choć miałam gulę w gardle.

Dodając sobie spojrzeniami otuchy, szybkim krokiem udałyśmy się na piętro, prosto do gabinetu właściciela firmy.

Prosper wsłuchiwał się w moją opowieść. Próżno było jednak szukać w jego oczach radości, widziałam tam jedynie smutek. Wiedziałam na pewno, że czuł to samo co ja. Bezradność w obliczu ogromu nienawiści.

– Mów dalej! – niecierpliwiła się Julka. – Kto w końcu powiadomił policję?

– Sam *big boss*, który za wszelką cenę próbował zapobiec negatywnemu rozgłosowi i chciał jak najszybciej pozbyć się agresywnego pracownika.

Funkcjonariusz dyżurny miejscowego komisariatu przyjął zgłoszenie i do Aalsmeer natychmiast wysłano radiowóz. Szef wezwał do swojego gabinetu chłopaka pod pozorem omówienia zmian w grafiku pracy. Niczego niespodziewający się wyrostek wpadł prosto w ramiona czekającego już na niego wymiaru sprawiedliwości. Zgodnie z planem uniknęliśmy niepotrzebnego rozgłosu. Praktycznie nikt z personelu nie domyślał się, co się stało. Także w rozgardiaszu

panującym w kantynie nikt nie zauważył zniknięcia jednego z kolegów.

– Skoro jeden z chłopaków wpadł, na pewno od razu naprowadził policję na ślad swojego kamrata. W końcu działali razem – słusznie zauważyła Julia.

– Wyobraź sobie, że ten kamrat, jak go nazywasz, również pracował dla Paprikakwekerij Groenveld. Szef zwolnił go za notoryczne spóźniałstwo i niewywiązywanie się z obowiązków. Podobno podburzał też personel przeciwko rzekomej dyktaturze właściciela firmy. Polak był szczególnie cięty na Afrykanów oraz Azjatów. Po stracie pracy przesiadywał całymi dniami w hotelu pracowniczym, gdzie mieszkał nielegalnie. I preparował przepelnione rasizmem ulotki, które kolportował głównie wśród sfrustrowanych emigrantów z Europy Wschodniej, pracujących masowo w okolicznych szklarniach. Chłopak wygłaszał też płomienne pogadanki na temat zaniżonych płac i wyzysku białego człowieka przez krwiożerczych kapitalistów. Miał wielu zwolenników, jednak sława i popularność w środowisku emigracyjnym nie zapewniały mu żadnych środków do życia. Najprawdopodobniej właśnie brak pracy i frustracje z tym związane powodowały kłótnie pomiędzy kumplami. Ten, który został wydalony z pracy, zarzucał kumpłowi brak lojalności. Oczekiwał, że na znak solidarności zwolni się razem z nim i rozpocznie krwawą krucjatę przeciwko nadmiernej eksploatacji i zmuszaniu białych do niewolniczej pracy ramię w ramię z czarnym personelem. Kumpel jednak nie poczuwał się do winy i wyrzucał mu, że gdyby nie pracował, nie mieliby dachu nad głową ani środków na przeżycie. Eskalacja konfliktu nastąpiła po napadzie na mnie i Prospera. Podobno mieli nas tylko nastraszyć, nie było mowy o czynnej napaści z użyciem noża. Ten, który zaatakował Prospera, tłumaczył się, że „czarnuch” wyprowadził go z równowagi ordynarną butą, wtedy przestał kontrolować swoje zachowanie i bił na oślep. Podczas zeznań jego kompan odciął się całkowicie od przekonań kolegi i stwierdził, że nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Nadal przy tym twardo obstaje.

– Jasne! Strach go obleciał i chce ratować własną dupę, bohater! – prychnęła Julka. – Kontaktowałeś się z Janem? To wybitny karnista. Jeżeli ktoś potrafi w przystępny sposób wyjaśnić wszelkie prawne wątpliwości związane z tą sprawą, to tylko on. – Siostra zmarszczyła brwi i rozmyślała nad czymś bardzo głęboko. Jej ręka gładziła bezwiednie leżącą na kołdrze szczupłą, pokrytą bliznami dłoń Prospera. W tych drobnych, czułych gestach zawierał się cały ogrom miłości, która nie potrzebowała słów.

– Jan jest na sympozjum w Berlinie – odpowiedziałam, kątem oka rejestrując gwałtowne poruszenie na korytarzu i głośne nawoływania personelu medycznego. Fartuchy pielęgniarek i lekarzy migwały białymi plamami na szklanej tafli drzwi do sali. Złowróźbne syreny karetek zbliżały się nieubłaganie, wibrując natrętnym dźwiękiem zwiastującym kolejny poważny wypadek w okolicy. Poczułam pojawiający się zawsze w takich przypadkach paraliżujący lęk o bliskich, których

miałam teraz na wyciągnięcie ręki, ale kto wie, co mogło zdarzyć się kolejnego dnia...

– Mam nadzieję, że pan prokurator wróci na czas – przerwała moje rozmyślania siostra. – Chyba nie zapomniał, że jutro wydajemy uroczystą kolację na jego cześć. Jest czasem taki roztargniony. Pamiętaj! – zwróciła się do mnie, patrząc jednocześnie na zegarek. – Cały dzień sprzątamy, pichcimy i nie uchylamy się od powyższych obowiązków! – Pogroziła mi znacząco palcem i dodała: – Zasiedziałyśmy się. Prosper powinien odpocząć. A ja muszę jeszcze upolować jakąś znośną kieckę w centrum. Dress code, pomimo że to domówka, jak najbardziej obowiązuje.

Wzruszyłam ramionami.

– Spokojnie, jestem w posiadaniu aż dwóch kreacji, które idealnie pasują na ten wieczór. Nie zapomnij, że zostałam zaproszona na urodziny Annemarie i, w przeciwieństwie do ciebie... – nie mogłam się powstrzymać od utarcia złośliwej siostrze nieco nosa – ...już od dawna jestem na ten uroczysty dzień doskonale przygotowana! – Rzuciłam jej triumfujące spojrzenie.

Tak było zawsze między nami. Od kiedy pamiętam, kochałyśmy się bardzo, co jednak nie kolidowało absolutnie z wbijaniem sobie nawzajem od czasu do czasu niewinnych szpilek.

Julia popatrzyła na mnie najpierw z uznaniem, a potem z nagłą troską.

– Myślałam, że z wiadomych względów odwołasz swoją obecność na urodzinach starszej pani?

Podniosłam się z krzesła i położyłam sugestywnie palec na ustach, wskazując na łóżko Prospera. Wymęczony naszą paplaniną zasnął w niewygodnej pozycji, na wysoko uniesionych poduszkach. Jego wymizerowana twarz była zrelaksowana i spokojna. Czuł się już dużo lepiej, musiał jednak nadal wypoczywać w ciągu dnia. Nasze wizyty przedłużały się ostatnio zdecydowanie za często jak na jego możliwości. Cicho wyszłyśmy z sali. A na pytanie Julii odpowiedziałam dopiero na zewnątrz.

– Myślałam o tym, żeby się wycofać, ale tego nie zrobię. Nie jadę tam dla siebie i nie dla Stijna, nie boję się również konfrontacji z jego byłą żoną. Robię to wyłącznie z szacunku do jubilatki. Stała mi się bardzo bliska.

Julia skinęła głową ze zrozumieniem. Nie drażyła więcej tematu.

Ruszyłyśmy w stronę centrum handlowego. Wtedy przypomniałam sobie, o co chciałam ją już od dłuższego czasu zapytać.

– Dlaczego Annemarie ma na ciele rozległe rany? Jak wywnioskowałam z jej enigmatycznych wypowiedzi, chodzi o jakieś dramatyczne wydarzenia z przeszłości. Wiesz może coś więcej? – Nie chodziło bynajmniej o zaspokojenie mojej chorej ciekawości. Chciałam znać prawdę, by zrozumieć i spróbować choć trochę złagodzić jej ból.

Siostra zamyśliła się na moment.

– To historia sprzed kilkudziesięciu lat... – odpowiedziała po chwili. – Państwo de Bruin mieszkali wówczas w południowej Brazylii, gdzie kupili fabrykę niezwykle popularnej w tym regionie arabiki. Pewnej nocy w ich domu wybuchł pożar. Podobno ktoś umyślnie podłożył ogień. O ile wiem, nigdy nie udało się odnaleźć sprawcy tego przestępstwa. Dla starszej pani to nadal niezwykle bolesny i drażliwy temat. W tym pożarze zginął jej ukochany syn, ojciec Stijna...

Przystanąłam gwałtownie na chodniku. Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Przed moimi oczami stanęła Annemarie i jej głębokie blizny po oparzeniach, które każdego dnia przez tyle lat przypominały jej o śmierci dziecka. Trudno było mi wyobrazić sobie ogrom bólu, z którym codziennie od nowa musiała się mierzyć. Mimo wszystko cierpienie nie zabiło w niej tej niewiarygodnej i zaraźliwej pogody ducha ani niewyczerpanego optymizmu, którym hojnie dzieliła się z ludźmi.

– Julia, nie gniewaj się – powiedziałam cicho do siostry. – Poczekam na ciebie na rynku, przysiadę w naszej ulubionej kafejce. Nie mam nastroju na buszowanie po sklepach, wybac mi. – Spojrzałam na nią przeprasząco, delikatnie dotykając jej ramienia.

Julia pokręciła gwałtownie głową.

– Nie gniewam się, głuptasie. Niedługo do ciebie dołączę – zapewniła i poprawiając zsuwającą się z ramienia torbę, pomaszerowała w stronę ulicy De Gouden Straatjes, z ogromną liczbą oryginalnych butików na każdą kieszeń i gust.

Szłam powoli i delectowałam się chwilą tylko dla siebie. Ostatnie dni były tak intensywne i wyczerpujące, że nie miałam właściwie okazji, żeby pobyć ze sobą sam na sam. Lubiłam swoje towarzystwo, ciszę, która pozwalała zatopić się we własnych myślach, przyjrzeć się im i cierpliwie poukładać w przepastnych szufladach niezliczone emocje. Zdecydowanie łatwiej było mi stawić czoła światu z uprzątniętą duszą. Brakowało mi spokoju. Chłonełam go teraz podwójnie, siedząc przy miniaturowym stoliku kawiarni pod czerwonymi markizami. Zamówiłam latte. Sączyłam kawę i napawałam się jej aromatycznym smakiem.

W pewnej chwili podszedł do mnie mały chłopiec i znienacka położył miękką rączkę na ciepłym materiale mojej sukienki. Zauważyłam go już wcześniej. Mój wewnętrzny radar zawsze bezbłędnie wyłapywał ludzi, którzy zachowywali się odmiennie od innych. Chłopczyk miał na sobie czerwoną bluzę w kratę, poplamione na kolanach džinsy i druciane okulary na perkatym nosku.

– Cześć, skarbie! – zagadnęłam przyjaźnie.

Mały milczał zastanawiająco i przyglądał mi się, śmiesznie przekrzywiając blond główkę.

– Masz ładną sukienkę – powiedział w końcu i poprawił opadający na oczy kosmyk włosów. Była w tym ruchu taka nieporadność i zagubienie, że ścisnęło mi

serce. Uważnie popatrzyłam w oczy chłopca.

– Dziękuję, jesteś bardzo miły, kochanie. Jak masz na imię? Ja jestem Aga. – Dotknęłam delikatnie jego pociągłej buzi.

– Mam na imię Bram. – I ledwo słyszalnym szeptem dodał: – Jesteś jak moja mama, wiesz?

– Naprawdę? – Te słowa niczym plaster miodu otuliły mnie od środka. – Bardzo mi miło.

– Mamy nie ma, wiesz? – Bram patrzył mi prosto w oczy, a mnie przeszył nagle znany tak dobrze z przeszłości zimny ból. – Szukam jej tutaj, masz taką samą sukienkę jak ona. Widziałaś mamę? Wiesz, gdzie jest? – W oczach chłopca dostrzegłam morze smutku...

Chciałam coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle. Do stolika podszedł nagle wysoki mężczyzna i chwycił chłopca za rękę.

– Przepraszam panią – powiedział cicho i przykląkł obok dziecka, czule poprawiając niesforny lok opadający na buzię małego. – Hej, szczęściarzu, chodź, zabieram cię na gorącą czekoladę!

– Z bitą śmietaną? – ożywił się momentalnie Bram.

– A jakże inaczej! Biegnij szybciotko do baru!

Mały pojaśniał od środka i zamachał ręką na pożegnanie. Spojrzałam na jego ojca i zobaczyłam tę samą otchłań smutku, która wypełniała oczy jego synka. Mężczyzna odszedł, a ja nie dopiłam już latte. Wchyliłam twarz w kierunku słońca. Musiałam poczuć właśnie teraz jego ciepły pocałunek na swojej twarzy...

Rozdział czterdziesty

Kolacja udała się fantastycznie. Można śmiało powiedzieć, że moja siostra wzniosła się na najwyższy poziom kulinarnej wołyżerki. Ja byłam jedynie szeregowym pomocnikiem, który mógł co najwyżej popisać się zręcznością w krajaniu cebuli czy obieraniu kartofli. Mózgiem i kierownikiem całego przedsięwzięcia została Julia i musiałam przyznać z ręką na sercu, że doskonale sobie poradziła. Już przy uroczym i suto nakrytym stole Jan w piękny, tylko jemu właściwy sposób, ze znanstwem oraz ku kompletnemu zaskoczeniu współbiedników kuchni staropolskiej, wypowiadał się na temat historii naszego kraju.

– Dla mnie potrawy typowe dla tego okresu są zdecydowanie za tłuste – powiedziałam i sięgnęłam po kromkę przepysznego ciemnego pieczywa, doskonale pasującego do aromatycznego żurku z pieczonymi ziemniakami.

– *Fallaces sunt rerum species* – jak mawiał Seneka. Czyli nic innego, moja droga Agnieszko, jak: pozory mylą. – Jan poluzował nieco krawat. Wyglądał jak zwykle nobliwie i statecznie. – Kuchnia staropolska wcale nie ociekała tłuszczem. Ze względu na surowość w przestrzeganiu postów i ogromną ich liczbę w ciągu roku jej podstawą były ryby, najczęściej zresztą gotowane. Staropolscy kucharze niechętnie sięgali po wieprzowinę i nie lubili tak popularnej dzisiaj panierki. Ich ulubionymi przyprawami były szafran, pieprz i gałka muszkatołowa.

Spostrzegłszy malujący się na naszych twarzach niekłamany podziw dla rozległej wiedzy pana prokuratora, Anneke rzuciła żartobliwie:

– Jan jest chodzącą encyklopedią. Chyba nie ma na tym świecie dziedziny, na której by się nie znał!

Tubalny śmiech Jana zawibrował przyjemnym, niskim tonem w wypełnionym dobrą energią mieszkaniu. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był tak rozluźniony i zrelaksowany.

– Nieczęsto zdarza mi się wysłuchiwać takich komplementów pod swoim adresem. Nie przypuszczałem, że w gruncie rzeczy jest to... bardzo mile. Czyżbym na stare lata stał się próżny?

Całe towarzystwo zaczęło gwałtownie zaprzeczać, trochę sztywna atmosfera zelżała, a przy zastawionym stole zrobiło się wesoło i gwarno. Anneke pokazywała nowe zdjęcia dzieci, Julia skrupulatnie pilnowała, żeby każdy miał pełen talerz, ja rozlewałam czerwone wino, chłonąc wszystkimi zmysłami niepowtarzalną atmosferę tej chwili i ludzi, którzy niepostrzeżenie stali mi się tacy bliscy. Z premedytacją unikaliśmy trudnych tematów. Czaiły się pod drzwiami, niestrudzenie próbując dostać się do środka. Jednak dzisiejszego dnia nie miały najmniejszych szans na biesiadowanie razem z nami.

– Najcenniejszy jest czas, który tracimy w dobrym towarzystwie –

powiedział na odchodne Jan, dziękując nam za przemiły wieczór i doskonałe jedzenie. Ucałował z galanterią zarówno moją, jak i Julkową dłoń i z pewnym ociąganiem, co zarejestrowałam z wielką przyjemnością, wyszedł parę minut przed północą, zapowiedziawszy na pożegnanie rychły kulinarny rewanż w swoim domu.

– Jestem wykończona! – Julka zamknęła za gośćmi drzwi, oparła się plecami o wieszak na ubrania i spojrzała z niechęcią i nieskrywanym przerażeniem na górę naczyń piętrzących się malowniczym bałaganem w kuchni.

– Nawet nie waż się o tym teraz myśleć! Zmywanie zostawiamy sobie na jutro! – zastrzegłam od razu nieznoszącym sprzeciwu tonem i pociągnęłam ją w kierunku łóżka. Chwyciłam jeszcze stojącą na stole na wpół opróżnioną butelkę merlota, po czym z ulgą opadłam na poduszki, zzuwając w locie cisnące mnie niemiłosiernie czarne szpilki.

Julka umościła się wygodnie obok mnie i zamknęła oczy. Pogładziłam ją czule po głowie.

– Szkoda, że nie mogło być razem z nami Prospera – powiedziałam cicho i upiłam łyk wina prosto z butelki.

– Też mi go brakuje... ale już niedługo do nas wróci – odparła siostra i przejęła ode mnie merlota. Po chwili zaśmiała się przeciągle jak niesforny urwis.

– Wiesz, jak by nas teraz określił, widząc tę alkoholową rozpustę? Dwie PIJANKI!

– Dobrze, że nie pijawki! – Turlałyśmy się że śmiechu po rozkopanej naszymi długimi kończynami kołdrze. Małe dziewczynki, które czas ukradkiem, bez pytania przepoczwarzył w dorosłe kobiety. Nigdy nie byłyśmy sobie tak bliskie jak teraz. Szkoda, że przegapiłyśmy w głupi sposób tyle czasu, straciłyśmy bezpowrotnie tyle niewypowiedzianych słów, nieumówionych spotkań, niewypitych merlotów, nieprzegadanych do białego rana nocy. Odłożyłyśmy siebie na później, odpuściłyśmy, nieodwracalnie tracąc miliony takich chwil jak ta, bezmyślnie zapominając, że ludzi nie da się odstawić na potem, na za jakiś czas, na zaś, i mieć złudną nadzieję, że będą stali cierpliwie na półkach naszej pamięci, czekając, aż sięgniemy po nich, kiedy zajdzie taka potrzeba. Uwaga na drugiego człowieka ma bardzo krótką datę ważności i nawet najsilniejsze emocje, odnalezione za późno, choć z pozoru wyglądające na całkiem świeże, mogą być już niezdatne do spożycia.

– Julka! – Klepiąc się nagle z rozmachem w czoło, zaprzestałam naszej bitwy na poduszki. – Ty nie dokończyłaś mi przecież swojej mroźnej krew w żyłach opowieści! Charlotte bez pardonu weszła nam w wątek, pamiętasz?

Julia skinęła głową i momentalnie spoważniała.

– Na czym stanęłam?

– Przypadkiem podsłuchałaś rozmowę dziewczyn, które musiały pilnować, żebyś pod żadnym pozorem nie zbliżała się do wejścia do piwnicy.

Siostra zapatrzyła się przed siebie i po chwili zaczęła kontynuować

przerwany przed kilkoma dniami wątek.

– Moja niepohamowana ciekawość i skłonność do brawury już nieraz zaprowadziły mnie na manowce. Nie wiem, czy dzisiaj zdecydowałabym się zaryzykować i wchodzić bez asekuracji w paszczę lwa. Ciekawość jest jednak pierwszym stopniem do piekła i w tym przypadku słuszność tego powiedzenia znalazła odzwierciedlenie w rzeczywistości. Po betonowych schodkach zesłam do wąskiego korytarza na najniższej hotelowej kondygnacji. Pomieszczenie było idealnie wysprzątane, a ściany świeżo odmalowane. Żółtawe światło dochodzące z chyboczącej złowieszczo żarówki na suficie oświetlało czworo solidnych drzwi rozmieszczonych symetrycznie po obu stronach korytarza. Ostrożnie podeszłam do pierwszych z nich i delikatnie nacisnęłam klamkę. Były zamknięte na trzy spusty. Pod kolejnymi nadśluchiwałam przez chwilę, ale nie doszedł mnie nawet najmniejszy szmer. Drzwi numer trzy miały wyraźne ślady zadrapań na ościeżnicy, próbowano je nieudolnie zamalować świeżą farbą, ale w kilku miejscach odchodziła od podłoża. Sprawdziałam właśnie głębokość zadrapań, zastanawiając się, skąd, u diabła, mogły się tu wziąć, gdy wtem dzwoniącą w uszach ciszę przerwał krótki, urywany krzyk. Wzdrygnęłam się wystraszona, zerknęłam szybko w stronę ostatnich drzwi, zza których dochodził hałas, i wtedy zauważyłam tkwiący w ich zamku klucz. Już miałam wziąć nogi za pas, ale wrodzone poczucie obowiązku kazało mi zostać na miejscu. Być może ktoś potrzebował mojej pomocy. Zbliżyłam się ostrożnie do drzwi i delikatnie zapukałam. Po drugiej stronie panował mrozący krew w żyłach spokój. Powoli przekręciłam klucz, klamka ustąpiła lekko pod naciskiem mojej ręki. Otworzyłam drzwi i zamarłam. W tym momencie zgasło słabe światło, a ja usłyszałam szybkie kroki na schodach...

Julka przerwała nagle, a ja zasłoniłam rękami twarz.

– Już się boję!

– To w takim razie możesz sobie wyobrazić, że ja bałam się sto razy bardziej. Do tej pory uważałam za nonsens opowieści o ludziach, którym w momencie silnego stresu posiwiały wszystkie włosy. Ale uwierz mi, Aga, w tamtej chwili, kiedy stałam pod drzwiami w zupełnej ciemności i słyszałam coraz wyraźniej kroki kogoś, kto z pewnością nie miał przyjacielskich zamiarów, wyraźnie czułam, że moja blond grzywka pokrywa się z prędkością światła srebrnym nalotem. Zaklęłam siarczyście pod nosem, po czym błyskawicznie wyrwałam klucz z zamka, wskoczyłam do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Zdyszana oparłam się plecami o framugę i położyłam palec na ustach. Nie byłam tu bowiem sama... Pomimo panującego półmroku bez trudu mogłam dojrzeć wpatrujące się we mnie z przerażeniem czworo par oczu. Zza drzwi dobiegały zdenerwowane męskie głosy, których nie potrafiłam zidentyfikować. Intruzi szarpali brutalnie za klamkę i rozmawiali łamaną angielszczyzną.

– Gdzie masz klucz, durniu?!

- Mogę przysiąc, że zostawiłem go w drzwiach!
- Nie ma! Jak się szef dowie, to wylecimy na zbity pysk!
- Spokojnie! Na górze mam zapasowy, zaraz musimy jechać, pospiesz się!

Mamy pięć minut!

Usłyszałam jeszcze głuchy odgłos uderzenia, po czym zapadła cisza. Mój wzrok przyzwyczaiał się już do półmroku w pomieszczeniu, zidentyfikowałam więc bez trudu dwa metalowe piętrowe łóżka ze skotłowaną pościelą, na których siedziały cztery patrzące na mnie z paniką w oczach dziewczyny.

– Kim wy jesteście? – wyrwało mi się po polsku ze ściśniętego gardła. – I co, u diabła, robicie w tej piwnicy?

– Pomóż nam – odpowiedziała cicho, również po polsku, jedna z dziewczyn. Była drobniutka, miała czarne długie włosy zebrane na ramieniu w piękny warkocz. Wyglądała na góra siedemnaście lat... Reszta z jej współtowarzyszek zaczęła mówić jedna przez drugą, płacząc i żywo gestykulując.

– Cicho! – krzyknęłam. – Nie teraz, ja muszę uciekać, oni tu zaraz będą! Słuchajcie uważnie! Zabieram klucz, ale wrócę. Pamiętajcie, WRÓCĘ TU PO WAS! – Otworzyłam ostrożnie drzwi, rozejrzałam się dookoła i szybko pobiegłam na górę.

– Julka! – Patrzyłam na nią oniemiała z wrażenia. – Jak mogłaś być tak lekkomyślna! Trzeba było od razu zawiadomić policję!

Siostra spojrzała na mnie z politowaniem.

– Po czasie wszystko wydaje się łatwe, a gotowe rozwiązania leżą na wyciągnięcie ręki, ale w momencie silnego wzburzenia, rozgorączkowanych emocji człowiek nie działa racjonalnie.

– Co zrobiłaś?

– Jedną z największych głupot w moim życiu. Poza poślubieniem Eryka, oczywiście, i tolerowaniem jego kręctw. Postanowiłam uwolnić dziewczyny sama, na własną rękę. Wydawało mi się, że jeżeli powiadomię policję, szef w akcie zemsty będzie próbował wciągnąć mnie w swoje brudne sprawy i symulować, że o wszystkim wiedziałam! Trudno przecież uwierzyć w niewinność koordynatorki ślepej, głuchej i nieświadomej dziejącego się tuż obok zła. Piwnica pełna uwięzionych, przerażonych dziewczyn to nie igła w stogu siana. Nie sposób tego przeoczyć. Ostatnie, czego chciałam, to problemy z wymiarem sprawiedliwości. Bałam się kary, wydalenia z Holandii w momencie, kiedy wszystko w końcu zaczęło się układać... Ten strach mnie zaślepił i kompletnie paraliżował zdrowy rozsądek.

Nie mieściło mi się w głowie, że Julka mogła bezmyślnie wierzyć, że mafia odpuści jej taką akcję.

– Co było dalej?

– Ukradłam klucz od piwnicy i wyczekiwałam odpowiedniej chwili, uważnie

obserwując poczynania właściciela hotelu. Często wyjeżdżał w teren, nawet na cały dzień, o czym zawsze skrupulatnie mnie informował. Po tym odrażającym odkryciu jeszcze dwukrotnie rozmawiałam z więzionymi kobietami. Dowiedziałam się, że zostały zwabione do Holandii przez pojawiające się jak grzyby po deszczu agencje pośrednictwa pracy pod pozorem legalnej pracy w luksusowym kurorcie nad Morzem Północnym. Pochodziły z Polski i Słowacji. Nie zaniepokoiła ich konieczność dołączenia do dokumentów, oprócz zdjęcia paszportowego, fotografii w bikini. Naiwnie myślały, że to wymóg formalny, gdyż w pięciogwiazdkowym hotelu wszystkie pracownice powinna cechować nienaganna prezencja. Po przyjeździe na miejsce musiały od razu zdeponować telefony i paszporty w sejfie szefa. Podobno ze względów bezpieczeństwa.

– Dziwne... a bliscy? Nie niepokoił się brakiem wiadomości od dziewczyn?
Julka zaśmiała się złowieszczo.

– Aga, to mafia, wyspecjalizowana w kłamstwach, kręceniu i stwarzaniu pozorów! Dziewczyny musiały podać listę osób z rodziny, z którymi firma mogła się kontaktować w razie niespodziewanego wypadku losowego. To było genialne posunięcie. Po uwięzieniu ofiar co jakiś czas wysyłano z ich telefonów na numery osób z listy SMS-y z przygotowaną wcześniej formułką, że wszystko dobrze, proszę się nie martwić, ze względu na brak czasu i nawał obowiązków nie możemy zadzwonić i tak dalej.

– Niewiarygodne... koronkowa robota!

Julia skinęła potakująco głową.

– No ba! Teraz czekało mnie najtrudniejsze zadanie, czyli wykradzenie szefowi paszportów i zorganizowanie przejazdu dziewczyn do Polski, gdzie musiały już radzić sobie same. Nie chciały zgłaszać sprawy na policję. Bały się upokorzenia, rozgłosu i... zemsty.

Przewróciłam oczami.

– Przecież szef od razu zorientowałby się, że to ty maczałaś w tym palce. Nie myślałaś o tym, ile ryzykujesz, godząc się na te niedorzeczne wymagania? Za głupotę trzeba płacić.

Julia przeciągnęła się, aż chrupnęły kości, i ziewnęła szeroko.

– Przepraszam cię, kochanie, dokończę tę opowieść jutro. To długa historia, a ja ledwo widzę na oczy ze zmęczenia.

Rzeczywiście wyglądała blado i mizernie. I choć zżerała mnie od środka ciekawość, jak zakończyła się ta niewiarygodna międzynarodowa afera, musiałam odpuścić. Nie przypuszczałam, że sporo czasu upłynie, zanim usłyszę jej finał.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Texel... największa i najbardziej znana wyspa należąca do archipelagu Wysp Wschodniofryzyjskich. Od wybrzeży Holandii oddziela je Morze Wattowe. Większość mieszkańców tutejszych wsi żyje wyłącznie z turystyki, zapraszając gości przez cały rok na długie wędrówki po ciągnących się kilometrami malowniczych plażach oraz na słynną w całej Europie wyborną jagnięcinę...

Od kilku dni studiowałam zawzięcie przewodniki po Texel i nie mogłam się doczekać wizyty na tej magicznej wyspie. Ale teraz siedziałam już na ławeczce promu, który odbijał właśnie od brzegu miasteczka Den Helder, wychodząc w morze. Wiało niemiłosiernie. Ciężkie deszczowe chmury wisały nisko nad taflą wody. Zimne, wilgotne powietrze przenikało na wskroś cienki materiał mojej kurtki. Wyciągnęłam z torby ciepły rozpinany sweter i otuliłam się nim, dokładnie zapinając wszystkie guziki. Po chwili zastanowienia po raz kolejny zajrzałam do torby, by sprawdzić, czy karteczka z nazwą hotelu i numerem rezerwacji, którą przykleiłam zapobiegliwie do wewnętrznej kieszonki portfela, nie zawieruszyła się gdzieś pomiędzy licznymi szpargałami w środku.

Rodzina de Bruinów już od kilku dni bawiła na wyspie w wiosce de Cocksdorp. Oczekiwała mnie dziś późnym popołudniem na powitalnym *borrel*^[70]. A wieczorem w jadalni hotelu De Witte Brug zaplanowano uroczystą kolację z okazji osiemdziesiątych ósmych urodzin Annemarie. Wybór tej lokalizacji nie był przypadkowy. Właśnie na wyspie Texel kilkadziesiąt lat temu przystojny archeolog z rodziny z tradycjami z Groningen wyznał swojej młodziutkiej jasnowłosej wybrance miłość. I chociaż ich późniejsze losy obfitowały w liczne egzotyczne podróże i przeprowadzki, na zawsze już ukochali sobie piaszczyste, szerokie plaże Texel, gdzie zaczęła się ich wspólna ziemską wędrówka... na śmierć i życie.

Po około trzydziestu minutach na horyzoncie pojawił się nieregularny cień wybrzeży wyspy. Zmarzłam już solidnie, ale nie żałowałam, że nie weszłam do małej, cieplej kantyny w głębi promu. Wtedy nie mogłabym słyszeć szumu skrzydeł i pokrzykiwań krążących nisko mew i rybitw ani kontemplować rozpościerających się przede mną fantastycznych piaszczystych wydm obrośniętych niską roślinnością. Zarówno lokalsi, jak i turyści zgodnie twierdzili, że Texel to Holandia w miniaturze. Tylko tutaj można było podziwiać wszystkie typowe dla tego kraju krajobrazy: od suchych piaskowych wydm, poprzez bajkowe wrzosowiska i grząskie bagna, aż po lasy sosnowe, łąki i poldery. Szczególnie te ostatnie stanowiły doskonały przykład niezwykłego hartu ducha, siły i umiejętności Holendrów w ujarzmianiu natury poprzez osuszanie nadmorskich terenów. Tylko oni potrafili w tak swobodny sposób przystosować krajobraz do swoich potrzeb, nie ingerując w jego naturalne piękno.

Przy wysiadaniu z promu wdałam się w pogawędkę z małżeństwem

ornitologów z Lejdy, którzy co roku przyjeżdżali na wyspę obserwować kilkaset gatunków żyjących tu ptaków.

– Tylko tutaj znajdziemy fantastyczne kolonie lęgowe warzęchy na słonych mokradłach, wielotysięczne stada biegusów rdzawych, rycyków, kulików, czajek. – Sympatyczny mężczyzna ubrany w zieloną kurtkę i czarne gumowce gestykulował żywo, objaśniając kompletnemu laikowi fascynujący świat lokalnej fauny.

– Kochanie, zapomniałaś napomknąć o naszych ulubionych szablodziobach brodzących po wodach odpływowych Morza Wattowego. – Żona ornitologa zarzuciła jednym ruchem na umięśnione ramiona monstrualnych rozmiarów plecak tak, jakby nic nie ważył. Wystawały z niego zadziornie różnej długości lunety.

– Ależ skąd, duszko! Pamiętam nawet o zimujących tutaj stadach bernikli – zripostował natychmiast jej mąż, przyglądając się z rozrzewnieniem krążącej nad nami popielatej rybitwie.

Słuchałam jednym uchem ich ptasiego przekomarzania, gdyż zaledwie kilkadziesiąt metrów od zejścia z promu zauważyłam zaparkowanego musztardowego citroëna, dokładnie takiego, jakim jeździł sierżant Cruchot, legendarny żandarm z Saint-Tropez. Przy samochodzie stał, machając do mnie czerwonym szalikiem, roześmiany Stijn.

Pożegnaliśmy się serdecznie z małżeństwem z Lejdy miejscowym zwyczajem, życząc sobie udanego dnia i miłego pobytu na wyspie. Przystanąłam jeszcze na chwilę tuż przy zejściu z trapu, szukając w torbie bawełnianej czapki, którą przezornie zabrałam ze sobą. Celowo odwlekałam nieuchronną chwilę spotkania ze Stijnem. Czułam się niezręcznie, wspominając swoje dziecinne zachowanie podczas naszej ostatniej rozmowy.

– Dzień dobry, Agnie... szka – wymówił moje imię z lekkim wahaniem, ale bez śladu obcego akcentu.

– Jesteś drugim ze wszystkich znanych mi Holendrów, który bezbłędnie potrafi wyartykułować słowo „Agnieszka”. – Zabrzmiało to może sztywno i oficjalnie, ale chciałam powiedzieć mu komplement. Stijn na pewno długo ćwiczył i starał się sprawić mi przyjemność.

– Miejsce na podium zawsze jest powodem do dumy. Choć wolałbym być pierwszy. Witaj na Texel! – powitał mnie radośnie, po czym odebrał ode mnie ciężką torbę. Przez cały czas uśmiechał się ciepło. Promieniowała od niego dobra energia, która doszczętnie roztopiła lodową górę mojego dystansu. Nie miało dłużej sensu granie udzielnej księżnej, zdecydowanie lepiej było po prostu dobrze się bawić.

– Nie wiedziałam, że ktoś po mnie wyjedzie. To miła niespodzianka. Miałam w planach podróż busem, który podobno, jak wyczytałam w przewodniku, regularnie przewozi pasażerów do okolicznych wiosek.

– Jestem posłańcem Annemarie! Znasz babcię. Już od kilku dni codziennie

przypomniała mi dokładną godzinę przyplłynięcia twojego promu.

– Rozumiem. Czyli nie przyjechałeś po mnie z własnej i nieprzymuszonej woli? – Miało to zabrzmieć żartobliwie, a zabrzmiało żałośnie. Jak zarzut.

Stijn popatrzył na mnie uważnie.

– Naprawdę tak myślisz?

Zignorowałam jego pytanie. Stchórzyłam. Najchętniej obróciłabym wszystko w żart. Zamiast tego podeszłam do citroëna i czule pogładziłam maskę doskonale utrzymanego auta.

– Piękny samochód! Twój?

Stijn pokręcił przecząco głową.

– Należy do kuzyna babci, wielbiciela takich klasyków. Lata temu założył „klinikę”, w której takie kolekcjonerskie cacka przywracane są do dawnej świetności pod okiem najlepszych specjalistów. Jeżeli chcesz wiedzieć więcej na temat jego pasji, okazją do rozmowy będzie dzisiejsza kolacja. Na szczęście wszyscy goście zameldowali się już w hotelu. Obawialiśmy się trochę, że ze względu na sędziwy wiek większości członków naszej rodziny wielu z nich nie dojedzie. Dla kogoś, kto praktycznie nie wychodzi już z domu, wyprawa na Texel to wycieczka na koniec świata. Średnia wieku rodziny de Bruinów jest mocno zawyżona. Jestem najmłodszy i na razie nie zanoszę się na to, żeby w najbliższej przyszłości ten stan rzeczy miał ulec zmianie. – Stijn szarmancko otworzył przede mną drzwiczki samochodu.

Wsiadłam do środka i z lubością wciągnęłam w nozdrza zapach dobrze wyprawionej skóry, przemieszany z lekką wonią kurzu i trudnym do określenia fascynującym aromatem starych samochodów.

Stijn wskoczył zgrabnie za kierownicę i ruszyliśmy.

– Opowiedz mi o Texel – poprosiłam, nie patrząc na niego. Chciałam zagadać niepokojąco drażniący zmysły moment bliskości z mężczyzną, który nieświadom niczego wypełniał każdą, najmniejszą komórkę mojego ciała.

– Samozwańczą stolicą wyspy jest den Burg, ale osobiście zdecydowanie wolę De Cocksdorp, położoną w północnej części Texel – zaczął Stijn. – Wioska ta słynie z szerokiej na siedemset metrów plaży. Kiedy stoi się na jej środku, ma się nieodparte wrażenie, jakby przebywało się na bezkresnej równinie księżycy. Niekończące się widoki splecione w miłosnym uścisku nieba i ziemi, odzianych w misterny płaszcz uszyty z niespokojnych morskich fal. A wśród nich, na trawiastych, piaszczystych wydmach, wznosi się dumnie białogłowa latarnia morska, której bystre oko z wysokości czterdziestu siedmiu metrów podziwia codziennie, od setek już lat, nieskończone, granatowe połacie Morza Północnego i Wattowego.

– Zabierzesz mnie tam? – To pytanie zadało się same. Nie miałam w tym wypadku absolutnie nic do powiedzenia. Tak naprawdę chciałam wiedzieć coś

zupełnie innego.

– Oczywiście! Kiedy tylko zechcesz! – Miałam wrażenie, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Po chwili wrócił do swojej opowieści. Miał niespotykany dar. Opowiadał tak barwnie, tak plastycznie i poetycko. Marzyłam o tym, żeby nasza podróż trwała wiecznie. Jednak czas płynął nieubłaganie i ani się spostrzegłam, jak zajechaliśmy przed ukryty malowniczo wśród wydm hotel De Witte Brug.

Pierwszą osobą, na którą natknęłam się przy załatwianiu formalności w recepcji, była rasowa długowłosa blondynka ubrana w czarny jedwabny kombinezon i czerwone szpilki. Wyglądała jak milion nowiułkich, szeleszczących euro. Od razu domyśliłam się, kim jest. Spojrzałam krytycznie na własną starą kurtkę, o wiele za duży sweter i przemoczone zamszowe mokasyny, po czym wróciłam do wypełniania formularza meldunkowego. Po chwili wahania blondynka zagadnęła mnie w nienagannej angielszczyźnie z wyraźnie wyczuwalnym amerykańskim akcentem.

– Ty jesteś Agnes, prawda? Ukochana opiekunka, przyjaciółka i dobry duch naszej kochanej jubilatki?

Spojrzałam na nią uważnie. W jej pięknie wykrojonych orzechowych oczach zobaczyłam nieukrywaną sympatię. Albo była doskonałą aktorką, albo po prostu mnie polubiła.

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. – Roześmiała się cicho. – Jestem Liane de Bruin, żona Stijna. Ach... właściwie to była żona – poprawiła się szybko, zauważając moje nieme zdziwienie, którego pomimo usilnych prób nie udało się zamaskować. – Ale cóż to ma za znaczenie? – dodała. – Spędziliśmy ze sobą tyle lat i nadal jesteśmy sobie niezwykle bliscy, prawda, kochanie? – rzuciła pozornie od niechcienia w kierunku Stijna, który stanął właśnie w drzwiach hotelu.

Na jego twarzy pojawił się ledwo zauważalny grymas lekkiego poirytowania, który błyskawicznie przykrył szerokim uśmiechem filmowego amanta.

Wręczyłam recepcjonistce wypełniony formularz wraz z moim paszportem i wymawiając się zmęczeniem po podróży, udałam się do swojego pokoju. Hotelowy boy pomógł mi wnieść mój skromny bagaż na pierwsze piętro. Liane i Stijn zniknęli za szklanymi drzwiami restauracji. Miałam godzinę na krótki prysznic i przebranie się w bardziej pasujący do uroczystej okazji *outfit*. Wzięłam głęboki oddech i dziarsko ruszyłam w kierunku wind. Nadszedł czas na stawienie czoła nowemu wyzwaniu. Miałam nadzieję, że i tym razem doskonale sobie poradzę...

Rozdział czterdziesty drugi

Ogromne szklane okna kameralnej sali hotelu De Witte Brug wychodziły na cztery strony świata, otulały je wyjątkowo dziś spokojne wody morza. Nastrojowy, uroczysty wystrój wnętrza podkreślały ustawione wszędzie wielkie kosze wypełnione świeżymi różami o kremowych płatkach. Łagodne światło długich, srebrnych świec malowało długonogie cienie na wzorzystych, mięsistych tapetach ozdabiających ściany pomieszczenia. Wchodząc do sali, czułam lekkie onieśmienie, które minęło jak ręką odjął w momencie, gdy przy połyskliwej tafli fortepianu Steinway & Sons dostrzegłam Annemarie. Starsza pani ubrana była w białą suknię spływającą łagodnie falą koronki aż do ziemi. Obok niej gawędziła wesoło grupa nieznanymi mi dżentelmenów w kruczoczarnych, eleganckich frakach.

– Agnes, kochanie! Tak się cieszę, że jesteś z nami! – Rozpromieniona starsza pani wyciągnęła do mnie ręce. – Pozwól, że przedstawię ci kuzynów ze strony mojego męża. – I skinęła w stronę trzech wytwornych mężczyzn stojących obok. Wymieniliśmy z należytą atencją grzecznościowe formułki.

Nieznajomi zerkali na mnie z nieukrywaną ciekawością. Błogosławiłam w duchu swoją przezorność w wyborze stroju. Po długich wahaniach zdecydowałam się zrezygnować ze strojnej, falbaniastej kreacji, na którą namawiała mnie Julka, na rzecz klasycznej długiej sukni z udrapowaną na ramieniu aksamitną różą. Przed wejściem na salę z zadowoleniem przejrzałam się w wielkim kryształowym lustrze ustawionym w hotelowym foyer. W ostatnim okresie sporo schudłam, suknia opinała gładko moje szczupłe biodra i delikatnie podkreślała krągłą linię biustu. Wyglądałam skromnie, ale z klasą.

Sala powoli wypełniała się elegancko ubranymi ludźmi. Średnia wieku zaproszonych gości była rzeczywiście wysoka, wynosiła jakieś siedemdziesiąt lat. Chociaż jubilatka była tylko jedna, to, zgodnie z holenderskim zwyczajem, wszyscy składali sobie nawzajem życzenia. Panowała uroczysta, nienapuszona atmosfera. Wśród gości dyskretnie krążyli kelnerzy, roznosząc na srebrnych tacach wysokie kieliszki z musującym prosecco i małymi przekąskami. W pewnym momencie zauważyłam wchodzących do środka Liane i Stijna. Jeżeli kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że wybitni naukowcy to pokryte kurzem mumie, to pani biochemik z Waszyngtonu właśnie w tym momencie wyprowadziła mnie z błędu. Wyglądała przepyszenie. Przy każdym, nawet najmniejszym ruchu jej cekinowa suknia rozsyłała złote, świetliste refleksy. Tak, Liane pretendowała do miana królowej wieczoru. Dla mnie była jednak na straconej pozycji. To miano nosiła dziś wyłącznie Annemarie. Spojrzałam na nią z nagłą czułością ponad głowami dzielących nas ludzi. Podchwyciła od razu moje spojrzenie i dotykając ręką ust, przesłała mi pocałunek. Wzruszył mnie ten gest i uprzytomnił mi, że jestem tutaj

tylko dla niej i nic ani nikt nie był w stanie tego popsuć. Wyprostowałam ramiona, upiłam łyk prosecco z kieliszka i uśmiechając się szeroko, wdałam w pogawędkę z niezwykle sympatycznym kolekcjonerem starych samochodów.

Za oknami powoli zachodziło słońce. Pogłębiający się mrok naturalnie podkreślał nastrojowość uroczystego wieczoru.

Cichy szmer rozbrzmiewających wokół rozmów przerwał nagle głęboki głos Stijna, który stanął obok jubilatki i oficjalnie przywitał wszystkich zaproszonych gości.

– Niezmiernie nam miło gościć was na przepięknej i tak drogiej sercu naszej rodziny wyspie Texel. Dziękujemy, że dzielicie te wyjątkowe chwile razem z nami. Okazją do tego wzruszającego spotkania są urodziny pięknej kobiety, niezwykle człowieka, fantastycznego kompana, wybitnie zdolnej pianistki i mojej ukochanej babci... – Stijn przemawiał pewnie, ale na jego twarzy oprócz radości i wzruszenia dostrzegłam również cień smutku i świadomość nieuchronności upływającego czasu, który bez ostrzeżenia odbiera nam tych, których kochamy.

Jakby na potwierdzenie moich myśli chwycił dłoń starszej pani i trzymał ją w czułym uścisku na przekór wszystkim złym mocom, które mogłyby mu ją odebrać. Miałam wrażenie, że patrzył wprost na mnie, ale zapewne było to tylko złudzenie optyczne lub moje pobożne życzenie. Po jego prawicy stała z uśmiechem Giocondy piękna Liane. Doskonale grała rolę pani tego przyjęcia, sprytnie wykorzystując niekłamana sympatię starszej pani. Pomimo usilnych prób nie mogłam pozbyć się powracającego uparcie wrażenia, że Liane próbuje ugrać z tej całej sytuacji coś dla siebie. Coś albo... kogoś...

– Chciałem wam teraz opowiedzieć historię z dalekiej przeszłości. – Melodyjny, ciepły tembr głosu Stijna wibrował przyjemnie pod rozgrzaną winem skórą. Zamknęłam na chwilę oczy, by chłonąć miękką pieśczość jego słów... – Mała Annemarie łąbuje z kolegami w starym opuszczonym domu. Dostępu do twierdzy bronią solidne drewniane drzwi z mosiężną klamką. Pomimo że na dworze siarczasty mróz, dzieciaki nie czują chłodu. Ogrzewa ich entuzjazm, psotne myśli i ta niepohamowana radość życia, chociaż okrutny świat dopiero co uporał się z wojną i bieda niejednemu zagląda w oczy. Annemarie z rozwianym włosom przewodzi bandzie. Jako jej herszt musi naturalnie świecić przykładem „złego zachowania” i sprostać wielu testom „sprawności i odwagi”. Koledzy obmyślają kolejną próbę. Annemarie musi dotknąć koniuszkiem języka zamrożonej na kość mosiężnej klamki. Dziewczynka nie zastanawia się długo i po chwili nie tylko koniuszek, ale i cały język przywiera do zimnego metalu. Kamraci zamierają w oczekiwaniu, a chowające się za horyzont zimowe słońce oświetla jeszcze ostatnim promieniem ich przepełnione podziwem buzie. Baba, a jednak swój człowiek! Dała radę! Czapki z głów! Problem pojawia się wkrótce. Czerwony język dziewczynki nijak nie chce oderwać się od zamrożonej klamki. Koledzy

próbują odtajać metal, ogrzewając go własnym, ciepłym oddechem, ale próby ratowania uwięzionej Annemarie spełzają na niczym. Po kilkunastu minutach bezowocnych prób dziewczynka podejmuje męską decyzję. Z całych sił odpycha się zziębniętymi rękami od drewnianych drzwi i odskakuje z impetem. Z jej oczu tryskają łzy bólu, ale na jej twarzy widać niekłamaną radość i satysfakcję. Dała radę... nie spękała... nie odpuściła... wygrała! – Stijn ciepło patrzy na Annemarie. – Babciu, ty nigdy nie odpuszczałaś, ani wtedy, ani potem, kiedy na twojej drodze pojawiły się o wiele trudniejsze przeszkody niż ta pechowa zamrożona klamka u drzwi. Zawsze dawałaś radę... zawsze byłaś dla mnie podporą i wzorem. Drogowskazem i światełkiem w mroku. Ciepłem i ostoją. Mentorem i przyjaciółką. Sto lat, urwisie o niebieskich oczach. Kocham cię! Na zawsze! A dziś, kiedy jesteś już taka krucha... jeszcze mocniej... – Teraz patrzył już tylko na nią...

Na sali zapadła nagle pełna wzruszenia cisza, a po chwili zagłuszył ją deszcz rzęśzystych oklasków. Stijn przyklęknął przy wózku Annemarie. Starsza pani objęła go mocno i powiedziała mu coś szeptem do ucha. Stijn pogładził czule jej cienką jak pergamin pomarszczoną skórę twarzy, a opuszkami palców ocierał łzy spływające strużką po zapadłych policzkach. Intymność chwili dwojga ludzi, którzy tak bardzo się kochali, wzruszyła wszystkich gości. Była namacalnym dowodem na to, że miłość jest najpiękniejszym darem, jaki dostajemy od losu.

W momencie kiedy Stijn podniósł się z kolan, Liane położyła mu poufałym gestem rękę na ramieniu, a potem pogłaskała po głowie jak małego chłopca. Roześmiał się głośno, tak jakby sprawiło mu to przyjemność. Nie mogłam powstrzymać kłującego uczucia zazdrości, które zagarnęło czerwoną falą irytacji mój zdrowy rozsądek.

Wymknęłam się ukradkiem na zewnątrz, żeby ochłodzić trochę rozgorączkowane emocje. Panicznie bałam się, że Annemarie, która tak dobrze mnie знаła, może prawidłowo odczytać powód mojego dziwnego zachowania. Nie darowałabym sobie, gdyby cokolwiek zakłóciło ten piękny dzień. Musiał pozostać perfekcyjny.

Łagodne światło pełnego księżyca oświetlało porośnięte niską trawą wydmy. Przysiadłam na chwilę na starej drewnianej ławce. Przedemną rozpościerał się niezmierny granat Morza Północnego. Ogarnął mnie spokój, który kojąco łagodził tętno biegnących we wszystkich kierunkach myśli. Wiatr momentalnie obsypał moją sukienkę zimnymi pocałunkami, ale nie czułam chłodu.

– Agnies... – Wzdrygnęłam się zaskoczona tak dobrze znaną melodią głosu, który przeciął nagle otaczającą mnie ciszę. Poczułam na nagiej skórze ciepły dotyk miękkiego materiału marynarki, która otuliła łagodnie zziębnięte ramiona.

Stijn.

Usiadł obok mnie. Niecierpliwie szukał mojej dłoni, która momentalnie poddała się pieszczocie jego palców. Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się

naprawdę. Chciałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie wydobyć nawet słowa.

Stijn, nie patrz na mnie, zaczął mówić.

Cały świat przystanął, słuchając jego głosu...

Kiedy odeszła, byłem małym chłopcem. Uciekałem od jej śmierci. Od chwili, w której zatrzymał się mój świat, chowałem się w przepastnej szafie wśród jej sukienek, żeby poczuć jej zapach, jej oddech. Dotyk miękkich materiałów, w które się otulałem, był ciepły jak jej ramiona. Suknie jak dłonie, które czułem na twarzy. Szelest falban jak kroki, kiedy przychodziła do mnie na dobranoc. W półmroku szafy wołał mnie kolor jej oczu. Szmaragdowe spojrzenie jedwabiu. „Mamo...” „Synku... jestem tu...” Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy w sypialni babci... mój świat znowu się zatrzymał. Tańczyłaś po pokoju, trzymając w rękach szmaragdową suknię mojej matki. TĘ suknię. Jedyne wspomnienie, które nie zostało mi odebrane przez ten czas, które nie zbladło, nie zatarło się, nie znikło, mimo że minęło już tyle lat. Poruszyłaś statyczny obraz, który spał w zakamarkach mojej pamięci. Pamięci dorosłego mężczyzny. Chłopca z szafy. Mam cię pod powiekami. Wtedy już to wiedziałem. I wiem nadal. Z każdym dniem coraz mocniej. KOCHAM CIĘ. Powiedz, że nie jest za późno.

Rozdział czterdziesty trzeci

Podeszłam do okna i rozsunęłam szeroko pasiaste lniane zasłony, wpuszczając do środka nieśmiało przeciągające się na niebie słońce. Jego cieniutkie jak pajęcza nici promienie momentalnie zawładnęły każdym zakamarkiem hotelowego pokoju. Rozsiadły się nawet na powleczonej w śnieżnobiałą pościel puchowej kołdrze. Otworzyłam na oścież drzwi balkonowe i wyszłam na zewnątrz. Pod stopami poczułam szorstki, zimny dotyk betonowej posadzki. Powietrze nasączone było jodem i wilgocią. Świat zanurzył twarz w welonie mgieł unoszących się melancholijnie nad budzącym się w oddali horyzontem. Z lubością wciągnęłam w nozdrza zapach piasku, soli i lawendy. Fioletowe połacie tego kwiecica pokrywały całą równinę rysującego się w oddali Parku Narodowego Duinen van Texel, nazywanego perłą holenderskiej natury.

Poczułam przenikający mnie na wskroś chłód, więc wróciłam do łóżka i zatonełam w rozgrzanej minioną nocą pościeli. Na poduszce obok mojej głowy leżała piękna róża na długiej, giętkiej łodydze. Musnęłam dłonią mięsistą fakturę jej kremowych płatków. Zamknęłam oczy. Pod opuszkami palców czułam teraz wyraźnie delikatny i miękki rysunek ust mężczyzny, mężczyzny, którego kochałam... Pobudzona zmysłowym dotykiem wspomnień wyobraźnia na nowo zaczęła malować w myślach obrazy wczorajszego wieczoru...

Stijn nadal trzymał moją rękę. Nie zdążyłam powiedzieć nawet słowa, kiedy w rozświetlonych bocznych drzwiach do sali, gdzie odbywało się przyjęcie, dostrzegłam Liane. Jej oczy przesłaniał cień, widziałam tylko wąską kreskę nienaturalnie zaciśniętych warg. Była jak góra lodowa, z którą nie miał szans nawet największy okręt.

– Wszędzie was szukamy! – powiedziała podniesionym nieco głosem, który zabrzmiał jak skrzek. Odkaszlęła szybko i dodała: – Pospieszcie się! Annemarie chce wygłosić przemówienie.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Błyskawicznie podniosłam się z miejsca i nie patrząc na Stijna, ruszyłam do hotelu. Wsunęłam się ukradkiem do środka, stanęłam za plecami kuzynów Annemarie i czekałam na słowa starszej pani. Po chwili obok mnie pojawił się Stijn i czułym gestem zdjął z moich ramion swoją marynarkę. Zupełnie o niej zapomniałam. Otworzyłam usta, ale on znacząco potrząsnął głową i wskazał na jubilatkę, która zaczęła właśnie swoją przemowę.

– Nie wierzę... ciągle jeszcze nie wierzę, że jestem już taka stara! – W sali rozległy się głośne pomruki protestów, ale Annemarie, nie zważając na nie, kontynuowała: – Ciało odmawia mi już posłuszeństwa, ale dusza... moja ognista dusza, jak zwykł mawiać mój ukochany mąż, na przekór okrutnemu przeznaczeniu i nieubłaganemu upływowi czasu pozostała taka sama... Niepokorna, nienasycona, ciągle ciekawa ludzi i niepowtarzalnych melodii ich prawdziwych historii. Ale

jestem już zmęczona, usiłując sprostać nieprawdopodobnemu głodowi życia, który ciągle jeszcze we mnie tkwi...

Chciałam wam dziś powiedzieć co, oprócz bezwarunkowej miłości do Etienne'a, było dla mnie najważniejsze podczas tych wszystkich lat. Co utrzymywało mnie na powierzchni, zapobiegło postradaniu zmysłów po utracie jedyne dziecko... To była wierność sobie i niezachwiane przekonanie, że warto być przyzwoitym człowiekiem. Bez wielkich słów. Zawsze miałam wewnętrzny drogowskaz z zasadami, które oświeślały mi drogę i chroniły od runięcia w przepaść. Przeszłam wiele takich dróg, z niejednego pieca chleb jadłam, życie głaskało mnie po głowie, żeby następnie zdradziecko zadać niespodziewany cios. Nauczyło mnie to samodzielności, wyrobiło wiele potrzebnych instynktów, wyostrzyło szósty zmysł i intuicję. Widziałam najpiękniejsze zachody słońca z tarasów najdroższych hoteli i dno najbrudniejszego śmietnika, z którego wyskrobywałam resztki ludzkiej godności. Czasem to były moje wybory, częściej samego losu, ale ich skutki brałam zawsze na siebie. Zwycięstwa napędzały mnie do działania, niepowodzenia przekuwałam w mądrość życiową i cenną lekcję na przyszłość. Za wszystkie decyzję brałam pełną odpowiedzialność, pokornie przyjmowałam każdą zasłużoną nagrodę i każdą niesprawiedliwą karę. Nigdy nie zrobiłam niczego wbrew sobie. Mój cięty język i południowy temperament nie raz sprowadziły mnie na manowce. Przenikliwość i diabelska intuicja wyratowały z wielu opresji. Szczęście do dobrych ludzi pozwoliło przeżyć, gdy było źle. Bez oceniania, bez wyroków, bez pytań. Dziś mam w sobie tę niekłamaną pewność, że pomimo iż na niezmiernym oceanie ziemskiej egzystencji spotkała mnie największa wichura, ja wyszłam z niej cała. Nie zatonąłam, choć Bóg mi świadkiem, czasem chciałam się poddać, odpuścić... i spotkać w końcu z bliskimi, którzy długo przede mną przeszli na drugą stronę tęczy. Trzymała mnie tu jednak niepomahowana ciekawość życia, której, wiercie mi, kochani, nie zaspokoiliam do dziś dnia... i już nigdy nie zaspokoję.

Z perspektywy tych osiemdziesięciu ośmiu lat mogę wam z całą mocą i przekonaniem powiedzieć: nie inwestujcie nigdy wszystkiego w wielkie łodzie, luksusowe jachty o wielu masztach, wygodne kabiny z designerskim wnętrzem, naszpikowane zawodną elektroniką. Życiowe żywioły zetrą je w pył. Nie zostanie po nich nawet najmniejszy ślad. Inwestujcie w waszą wewnętrzną nawigację, dbajcie o intuicyjny system wczesnego ostrzegania, konserwujcie radar, który w razie potrzeby wychwyci najmniejszy fałsz i największe niebezpieczeństwo. Przeżyjecie wtedy na najmniejszej łupinie świata. Gwarantuję, że tylko ona zacumuje łagodnie w porcie przeznaczenia...

Głos Annemarie załamał się, ale prosząc wymownym ruchem dłoni o chwilę przerwy, wróciła do przerwanej wątku.

– Dziś moim największym szczęściem i radością jest wnuk, całe sto

dziewięćdziesiąt centymetrów miłości. Moja duma i powód, dla którego codziennie rano wstaję, żeby żyć... – Oczy wszystkich zebranych zwróciły się na stojącego obok mnie Stijna.

Poczułam się nagle jak intruz. Nigdzie nie mogłam dostrzec Liane. Chciałam się cofnąć, ustępując jej miejsca, ale Stijn chwycił mnie mocno za rękę. Annemarie zauważyła ten gest. Już wiedziała. Patrzyła na nas uważnie, ze spokojem zatopionym w błękitnie oczu. Jej wzrok osiadł miękko na naszych twarzach, po czym powędrował powoli w kierunku splecionych czule dłoni. Czułam jego oddech na włosach, otulił mnie pulsującym rytmem ciepła, spokoju, harmonii, melodią bicia serc tysięcy motyli, które fruwały teraz w moim brzuchu. Nigdy nikogo nie kochałam tak bardzo, do trzewi, do samego końca duszy. Dalej nie było już nic. Zamknął mnie całą w swoich dłoniach, wywołał erupcję nieczynnego od dawna wulkanu uczuć. Gorąca lava zawładnęła szerokim strumieniem wyschnięte od dawna źródło namiętności i pożądania.

Pokryta siateczką zmarszczek twarz Annemarie rozjaśniła się w uśmiechu. Na ułamek sekundy odbyła podróż w czasoprzestrzeni. Jej ukochany Etienne patrzył na nią kiedyś tak samo jak teraz Stijn na mnie.

Dokładnie. Tak. Samo.

To przecież właśnie tutaj wyznał jej miłość. Los zatoczył koło i po raz kolejny jego wola wypełniała się na jej oczach. To był najpiękniejszy urodzinowy prezent, jaki mogła sobie wymarzyć. Niczego więcej nie chciała. Potrząsnęła głową, odpędzając na chwilę chmurę wspomnień, i dokończyła rozpoczęty wątek:

– Nauczyłam Stijna tego wszystkiego, o czym wam powiedziałam. Wiem, że zawsze kieruje się głosem serca i jestem pewna, że w końcu jest... szczęśliwy... – Zawiesiła na chwilę głos, po czym przełamując tkliwy nastrój, klasnęła w ręce. – A teraz, kochani, koniec tych mądrości! Bawmy się! Zdrowie nas wszystkich! To w końcu mój wieczór i mam nieprzyzwoity, pomimo zacnego wieku, zamiar wychylić karafkę pełną wybornego wina z najlepszej piwniczki na wyspie! W końcu mogę wszystko! – Zewsząd rozległ się śmiech i zgromadzeni goście wzniesli szumnie toast trzymanymi w dłoniach kieliszkami.

– *Proost! Proost!* – rozlegało się raz po raz holenderskie „na zdrowie”.

Stijn odwrócił się do mnie i wykorzystując panujący gwar i zamieszanie szepnął:

– Babcia nam wybaczy... Porywam cię, kochanie... Nie mogę się już ciebie doczekać...

Niczym postne dzieci wybiegliśmy ukradkiem w ciemność rozświetloną pocałunkami tysięcy gwiazd. Nie pamiętam już, kiedy byłam taka szczęśliwa. Nasze zmysły tańczyły w rytm groźnej melodii pomruku morskich fal. Przed nami rozpościerała się szeroką wstęgą plaża w de Cocksdorp. Zdjęłam buty i nie zważając na przejmujące zimno, zanurzyłam bosc stopy w piasku. Stijn bez

zastanowienia zrobił to samo. Nasz śmiech odbijał się szerokim echem od tafli nieba i wody. Biegliśmy przed siebie, goniąc zapadające się w mokrym piasku cienie. Były tak samo niesforne jak my i tak samo niecierpliwie wyczekiwały momentu, kiedy staną się jednością.

Przystanęliśmy zdyszani, trzymając się za ręce na środku bezkresu smaganego bezlitosnym wiatrem od morza. Długi i wąski snop światła z latarni na cyplu padał jasną smugą pomiędzy nas dwoje a ciemność. Świat zamilkł jak przerwana batutą dyrygenta melodia.

– Chodź do mnie... – Przyciągnął mnie mocno i objął zachłannie. Na brzegu rozchylonych ust czułam szorstką pieśczętę jego lnianej koszuli. Patrzył mi w oczy z kilkumilimetrowej odległości. Przenikał na wskroś. Był w każdej najmniejszej komórce ciała. Płynął krwiobiegiem gnany odwiecznym rytmem pożądania. Delikatne dotknięcie jego warg roztopiło moją skórę słodkim aromatem ciepłego oddechu. Ześlizgnął się powoli, miękким ruchem w stronę cienia u wylotu dekoltu sukienki. Zanurzył ręce w chłodnym zaułku koronki oplatającej zarys krągłych piersi. Zagarnął je jednym spojrzeniem. Schroniły się bezpiecznie w jego dłoniach, ożyły pod czułym muśnięciem palców, uwolniły zapach wstydu spod przymkniętych powiek. Odkrywał mnie powoli, oplatając gęstym dotykiem wyczekiwania. Prowadził pewnie, wznosił do góry jak kielich słodczy, aby spaść w końcu ciężką kroplą nabrzmiałego pragnienia na rozgrzane uda. Uniosłam się na fali wzbierającej niemym krzykiem naszych ciał w niebie wyszarpanym biegnącemu na oślep szeptowi:

kocham cię...

W ostatniej chwili zdążył jeszcze chwycić moje włosy, zanim osunęłam się w otchłań... Mój głos wibrował już tam echem rozkoszy tańczącej w rytmie jego oddechu. Zatraciłam się w nim i wpłynęłam miękko do portu spełnienia. Moja łódź czekała tam na niego od zawsze...

Rozdział czterdziesty czwarty

Charlotte przypatrywała mi się ukradkiem podejrzliwym wzrokiem. Udając, że nie zauważam jej natarczywego spojrzenia, segregowałam rysunki Kim i Jill. Różnokolorowe kartki piętrzyły się malowniczo na kuchennym stole. Raz po raz wyławiałam co ciekawsze dzieła z imponującego stosu płodnej twórczości dziewczynek. Trudno było nie zauważyć, że Kim przejawiała ponadprzeciętne zdolności plastyczne. Lubiła malować portrety, niezwykle starannie i udanie oddając charakterystyczne rysy twarzy przedstawianego przez siebie modela. Na jej rysunkach bez trudu mogłam rozpoznać Charlotte, Henka, Jill oraz mnie samą, przebraną w fikuśny strój francuskiej pokojówki. Na nieco nadnaturalnych rozmiarów identyfikatorze widniejącym na mojej piersi wykaligrafowano bezbłędnie imię „Agnieszka”, otoczone misternie wyrysowanymi niezapominajkami. Proporcje przedstawianych przez dziewczynkę postaci były trochę zaburzone, ale parę lekcji z techniki rysunku mogło ten drobny defekt szybko skorygować. Znałam się na tym trochę, w przeszłości lubiłam malować, przeszłam nawet kurs przygotowujący do egzaminów do liceum plastycznego. Ostatecznie zwyciężyła miłość do pisania. Jak to zwykł żartobliwie mawiać mój tata, spektakularne pióro pokonało szary ołówek. Zerknęłam na Charlotte. Widząc jej idealnie pomalowane usta i równiutko poprowadzoną na brzegu powieki kreskę eyelinera, wysunęłam w myślach śmiałe przypuszczenie, że być może Kim odziedziczyła zdolności plastyczne po matce. W końcu perfekcyjnie wykonany makijaż wymagał nie lada zdolności i wprawy w posługiwaniu się kredkami. W życiu nie widziałam takiej liczby kolorowych kosmetyków, które w rękach Charlotte aż furczały, tworząc na jej twarzy prawdziwe arcydzieła.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się nagle. Uśmiechnęła się trochę z przymusem i wydymając pełne wargi, zapytała:

– I jak? Mogę się tak pokazać światu?

Było to pytanie retoryczne, typowe dla jej wybujałego ego, ale odpowiedziałam, w dodatku szczerze.

– Wyglądasz fantastycznie! Prawdziwa... madame!

Charlotte pokraśniała z zadowolenia. Lekko złośliwy docinek puściła mimo uszu. Miała niezwykłą umiejętność wyłapywania z wypowiedzi wyłącznie tych słów, które chciała usłyszeć. Obciągnęła kocim ruchem obcisłą sukienkę odsłaniającą ponętny dekolt. Nie ubierała się jak typowa Holenderka. W kraju tulipanów kobiety ceniły sobie przede wszystkim luz, swobodę, casualowy look, bez nadęcia i nadmiernego eksponowania metek od znanych projektantów. Holenderki zamiast szpilek wolały kowbojskie buty lub tenisówki i wielkie sportowe kurtki, wygodniejsze od sztywnych marynarek. Rzadko kiedy na ulicy można było spotkać dziewczynę w krótkiej spódnicy, z pełnym makijażem

i ułożonymi włosami. Tutejsi mężczyźni zdecydowanie bardziej dbali o wygląd, ubierali się z gustem, dbałością o szczegóły i jakość ubrań.

Pod powiekami mignął mi Stijn i typowa dla jego stylu nonszalancka elegancja. Białe koszule, wytarte džinsy, świetnej jakości zamszowe buty. Zateśkniłam za nim nagle, pomimo że widzieliśmy się zaledwie przed kilkoma godzinami. Ciągłe było mi go mało, ciągle czułam nienasycenie, niedające się zaspokoić pragnienie bliskości i dotyku. Otuliłam się mocniej wełnianym swetrem, na którym czułam delikatnie drażniący zmysły zapach jego perfum.

Od powrotu z Texel byliśmy praktycznie nierozłączni. Do swojego mieszkania nad restauracją wpadłam tylko raz, żeby przepakować walizkę i zetrzeć kurze. Kociołek wrócił do Julii, o jego niedawnej obecności w moim życiu przypominała porzucona w kącie kuchni srebrna miseczka na karmę. Brakowało mi trochę nienachalnej, wiecznie obrażonej kociej osobowości i gniewnego pomrukiwania, gdy coś poszło nie po jego myśli. Stijn ze względu na pracę i związane z nią liczne podróże nie mógł pozwolić sobie na zwierzaka w domu. Byłam absolutnie pewna, że Kociołkowi spodobałby się jego przepiękny apartament z widokiem na morze i szeroką, miękką sofą, która aż się prosiła, żeby złożyć na niej leniwy, puchaty koci ogon.

Charlotte zamarła na moment przed lustrem z pędzlem do cieni w dłoni i odwracając się do mnie, rzekła z wyrzutem:

– W ogóle się nie malujesz, a wyglądasz tak świeżo... Nie wiem, jak to określić?... – Zmarszczyła brwi. – A, mam! Promiennie! Tak jakby od środka oświetlała cię wmontowana na stałe stuwatowa żarówka. To niesprawiedliwe! Wydaję setki euro na pudry rozświetlające, magiczne fluidy, a efekty moich starań widać nie na mojej skórze, ale na twojej twarzy. Jak to możliwe?

Roześmiałam się. Przepęłniało mnie tyle szczęścia, że nie widziałam powodu, dla którego miałabym je ukrywać.

– To nie zasługa przemysłu kosmetycznego – powiedziałam. – To czysta natura. Nie do kupienia w sklepie.

– Wszystko jest do kupienia – prychnęła Charlotte. – To tylko kwestia ceny. De Bijenkorf^[71]?

– Nie. *De Hemel*. Niebo.

– Nie znam. To jakaś nową drogeria? Na PC^[72]?

– To miłość, Charlotte. Miłość, która spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Francuzi mówią na to *coup de foudre*^[73]. To najlepszy fluid, krem, perfumy i seksowna kiecka w jednym. Niestety, twoje butiki nie mają jej w swojej ofercie. To towar deficytowy, niezwykle trudny do dostania. Poza tym takich egzemplarzy, jaki mi się trafił, już nie produkują. Matryca się wyczerpała.

Charlotte nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż do środka wpadły zarumienione i podekscytowane dziewczynki i rzuciły się na nią z impetem.

– Tata kupił nam kucyka! – krzyczały jedna przez drugą, prawie przewracając zaskoczoną matkę.

Charlotte zakryła rękami oczy.

– Jeszcze mi tego brakowało – mruknęła pod nosem i zaczęła uspokajać rozbrykane córki.

Spojrzałam na zegarek. Powinnam już być u Jana. Umówiliśmy się, że wpadnę do niego w drodze powrotnej do domu. Miał dla mnie nowe informacje w sprawie Polaka, który ranił Prospera w Haarlemie. Pożegnałam rozczarowane panny, które aż się paliły, żeby ze szczegółami opowiedzieć mi o nowym członku rodziny. Obiecałam, że w następnym tygodniu przyjadę z wizytą i razem odwiedzimy kucyka w stajni.

Wyszłam na zewnątrz. Czekala tu na mnie niespodzianka. Na podjeździe stał srebrny motor Stijna, a on sam uśmiechał się do mnie, poprawiając roztargnionym ruchem gęste jasne włosy.

– Dzień dobry, kochanie. Myślę o tobie. Tęsknię.

– Przecież stoisz naprzeciwko mnie.

– Wtedy właśnie najlepiej mi się myśli. I najpiękniej tęskni.

Podbiegłam do niego. Zamknął mnie jednym czułym gestem w swoich ramionach. Wszystko inne przestało istnieć. Z okna sypialni na górze przyglądała nam się Charlotte. Stała przez chwilę nieruchomo, po czym ze złością szarpnęła kijek od żaluzji i zamykając je jednym ruchem, odgrodziła się od rzeczywistości.

Wieczorem czekała na mnie obiecana od dawna pyszna kolacja i ulubione włoskie prosecco. Właśnie wyszłam spod prysznic i owinięta męskim szlafrokiem stanęłam na rozświetlonym zachodzącym słońcem tarasie. Stijn zajmował jedno z mieszkań na ostatnim piętrze nowego budynku usytuowanego tuż przy plaży w Zandvoorcie. Dwukondygnacyjny apartament fascynował otwartą przestrzenią bez ścian działowych. Surowy architektoniczny beton ocieplała spora liczba drewnianych elementów idealnie wkomponowanych w wysmakowane i gustownie urządzone wnętrza. Imponująca szklana ściana otwierała mieszkanie na świat, gdzie nieskończone wody Morza Północnego spotykały się z bezkresem nieba.

Stijn rozmawiał z kimś przez telefon. Obserwowałam bawiące się czerwoną piłką na plaży dzieci. Ich radosny śmiech dobiegał mnie raz po raz i odbijał się szerokim echem od tafli szkła na fasadzie budynku. Myślałam o tym, jak zmieniło się moje życie od momentu, kiedy po raz pierwszy wysiadłam z autobusu na dworcu centralnym w Amsterdamie. Zupełnie nie spodziewałam się, że właśnie tutaj odnajdę miłość swojego życia.

Stijn objął mnie nagle od tyłu i przytulił się do moich pleców.

– Masz pozdrowienia od Annemarie... – wyszeptał w gruby splot materiału szlafroka. – Zaprasza nas jutro do siebie. Po raz pierwszy pojawimy się u niej oficjalnie jako para.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego uważnie.

– Jak to przyjęła Liane? Ten nasz... hm... nagły związek? Wydawało mi się, że mimo wszystko nadal jesteście ze sobą bardzo zżyci.

– Nie rozstaliśmy się w gniewie. Zawsze mieliśmy dobry kontakt, co nie zmienia faktu, że jesteśmy już parę lat po rozwodzie i nasze relacje w tym momencie utrzymują się wyłącznie na luźnej, przyjacielskiej stopie. Życzę jej jak najlepiej. To wszystko.

„Ciekawe, czy ona też tak to widzi”, pomyślałam. Moja intuicja podpowiadała mi coś innego. Byłam przekonana, że pani biochemik poczuła się nagle samotna w swoich antyseptycznych, zimnych amerykańskich laboratoriach i postanowiła odświeżyć stare znajomości. Jej niespodziewany powrót do Amsterdamu nie wróżył niczego dobrego. Nie miałam jednak prawa obarczać Stijna wątpliwościami, które bazowały wyłącznie na mojej znajomości natury człowieka (kobiety!) i luźnych, niepopartych faktami obserwacjach.

Nad nami przelatywał właśnie charakterystyczny błękitny samolot holenderskich linii lotniczych KLM. Ciągnął za sobą zjawiskowo kontrastującą na błękitnym niebie białą smugę kondensacyjną. Stijn zmrużył oczy.

– Boeing 747, zwany popularnie jumbo jetem. Długodystansowiec. Leci do Singapuru.

Roześmiałam się i dodałam żartobliwie:

– Chciałabym polecieć kiedyś królewskimi liniami pod warunkiem, że ty zasiądziesz za sterami samolotu.

– Kiedy tylko zechcesz! Pojutrze? Mam w grafiku Nowy Jork.

– Ach, jaka szkoda! Właśnie rozpoczęłam kurs językowy. Nie mogę opuszczać pierwszych zajęć. Ale umowa stoi. Następnym razem lecimy razem! Będę mogła wejść do kabiny pilotów? – Czułam podekscytowanie jak mała dziewczynka w sklepie z cukierkami.

– Oczywiście! Przeszmugluję cię tam na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp!

– *Deal!*

Delikatnie dotknął skrawka mojej nagiej skóry widocznej pomiędzy uwiecznionymi w mięsistym materiale szlafroka piersiami. Powoli rozwiązałam pasek podtrzymujący rozchodzące się poły okrycia, które opadło miękkim ruchem na drewniane deski tarasu. Podniósł mnie, obrysowując dłońmi miękką linię moich bioder i pośladków. Wilgotne kosmyki włosów opadające na policzki wdzierały się pomiędzy nasze usta, drażniąc je ostrym zapachem lawendy. Intensywny obraz szerokiej wstęgi fioletu zawiązał mi oczy, zmysłowo zatapiając w niepamięci dotyku rysującego na płótnie rozgrzanej skóry impresjonistycznie senne krajobrazy...

Obudziłam się wtulona w śliski jedwab poduszki leżącej na szerokim łóżku

Stijna. Nie było go obok mnie. Podniosłam głowę. Mój wzrok momentalnie wychwycił kształt jego sylwetki, rysujący się wyraźnym konturem na zanurzającej się powoli w mroku tafli okna.

Nasze spojrzenia spotkały się w połowie drogi, bezbłędnie odnajdując do siebie ścieżkę na skróty.

– Agnie...eszka... kocham cię.

Jego głos zagarniał mnie całą, unicestwiał rozum, na nowo pobudzał pożądanie.

– Nawet nie w połowie tak jak ja ciebie! – Z premedytacją rzuciłam wyzwanie, wciągając szybko przez głowę dzinsową koszulę. Byłam okropnie głodna. Nie czekając na ripostę Stijna, zbiegłam boso po betonowych schodach do kuchni. Na blacie leżały przygotowane produkty na włoską kolację, której nie zdążyliśmy zjeść. Stijn pojawił się u wylotu schodów i wychylając się w moim kierunku, zawołał:

– Policzymy się potem! Idę pod prysznic!

– Z największą przyjemnością! A teraz zajmę się naszym spaghetti! Ty robisz sos!

Nad moją głową rozbłysło ciepłe światło, a z głośników, dyskretnie wmontowanych w ściany pomieszczenia, popłynął kojący, aksamitny dźwięk saksofonu.

Nastawiłam wodę na makaron i zabrałam się za krojenie pomidorów.

Na zewnątrz bardzo się ochłodziło. Moje nagie stopy zrobiły się lodowate. Zmniejszyłam gaz pod garnkiem, wytarłam dłonie w kuchenny ręcznik i ruszyłam w głąb mieszkania w poszukiwaniu ciepłych skarpet. Garderoba Stijna znajdowała się na tyłach apartamentu. Weszłam do kwadratowego pomieszczenia z otwartymi półkami wypełnionymi poskładanymi starannie ubraniami i licznymi wieszakami, na których w równym rzędku wisiały służbowe mundury pana domu. Na środku garderoby królowała wyspa w formie wolno stojącej komody z ogromną liczbą szuflad. Otworzyłam pierwszą z nich i natknęłam się na ułożone pedantycznie podkoszulki. Spomiędzy białej bawełny wystawał kawałek aluminiowej ramki na zdjęcia. Bez zastanowienia pociągnęłam za róg ramki i wydobyłam ją ze stosu podkoszulków. Moim oczom ukazała się czarno-biała fotografia Stijna i Liane sprzed kilkunastu lat. Obejmował ją mocno ramieniem, całując w czubek jasnej głowy. Ona miała zamknięte oczy i nieprawdopodobną czułość na twarzy. Bezwiednie zerknęłam na tył ramki, gdzie ktoś starannie przykleił małą karteczkę z napisem.

Zawsze będę cię kochać...

Twoja Liane

Rozdział czterdziesty piąty

Komitet powitalny złożony z Julki, Bożeny i Tadzika stał lekko zniecierpliwiony przed wejściem głównym do Spaarne Gasthuis w Haarlemie. Prosper właśnie dzisiaj miał opuścić szpital, ale formalności wypisowe niepokojąco się przedłużały. Dzięki temu zdążyłam niemalże w ostatniej chwili dołączyć do czekających przyjaciół. Udało mi się jeszcze kupić na dworcu bukiet żółtych tulipanów.

Cały ranek spędziłam na rozmowie kwalifikacyjnej z redaktorem naczelnym największej gazety polonijnej w Holandii. Siedziba „Halo Polonii” mieściła się w samym sercu Amsterdamu, przy najdłuższej ulicy tego miasta, malowniczej i niemiłosiernie zatłoczonej Kerkstraat. Redakcja zajmowała dwa połączone ze sobą na stałe pokoje na pierwszym piętrze przepięknej secesyjnej kamienicy. Już od progu ciasnej i zarzuconej prawie pod sam sufit najróżniejszymi papierami oficyny poczułam tak dobrze znany z przeszłości zapach wszechobecnego pośpiechu. Ekrany komputerów łypały na mnie ciekawskim okiem, drukarki szumiały cicho, telefony dzwoniły bez przerwy, a stary ekspres do kawy stojący pod oknem zdecydowanie nie nadążał z produkcją coraz to liczniejszych zamówień na małą czarną. Zateęskniłam nagle za gorączkowym rytmem redakcyjnych kolegiów, terminami na wczoraj, zleceniami na już, nerwowym oczekiwaniem na nowy numer z tekstem, w który włożyłam całe swoje serce.

Szef gazety ubrany z nonszalancką elegancją w granatową marynarkę o płóciennej fakturze (bardzo w stylu Marka Hłaski) mrucał z aprobatą, czytając moje CV. Grono odbiorców polskojęzycznej prasy w Holandii stale rosło, w związku z tym zwiększało się również zapotrzebowanie na posługujących się sprawnie piórem młodych ludzi, znających specyfikę i realia zarówno polskiego, jak i holenderskiego rynku mediów. Moim atutem było solidne wykształcenie i trochę praktyki. Nie byłam żółtodziobem, którego należało od podstaw wprowadzać w arкана zawodu. Naczelný zaproponował mi na początek pracę cztery dni w tygodniu z miesięcznym okresem próbnym. Dowiedziałam się przy okazji, że zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin to w Holandii niemalże standard. Statystyczny Holender spędzał w biurze średnio dwadzieścia dziewięć godzin tygodniowo. Wszyscy, bez względu na formę zatrudnienia, mieli dostęp do w pełni płatnego urlopu, opieki zdrowotnej i świadczeń dodatkowych. Uzbrojona w stos formularzy, ulotek oraz kontrakt, z którym miałam się zapoznać w domu, pełna energii patrzyłam w przyszłość. Wszystko wskazywało na to, że niedługo ponownie miałam zacząć pracować w wymarzonym zawodzie.

Siedząc w pociągu, wysłałam SMS-a do Stijna, który właśnie w tym momencie planowo lądował w Nowym Jorku. Kibicował mi bardzo w staraniach o powrót do pisania. Wprawdzie sam niechętnie się do tego przyznawał, ale

wiedziałam, że jeszcze na studiach wydał debiutancki tomik wierszy. Obiecał mi solennie, że po powrocie ze Stanów poszuka w czeluściach przepastnej biblioteki Annemarie zapomnianego egzemplarza swojej poezji.

Już po kwadransie wysiadłam z pociągu. W biegu udało mi się jeszcze zmienić eleganckie czarne szpilki na ukochane i niemiłosiernie znoszone conversy. Stałam teraz między Bożenką a Julką i podobnie jak one z podekscytowaniem wypatrywałam spóźniającego się Prospera.

– Aga... – Bożena patrzyła na mnie tak pełnym podziwu wzrokiem, że poczułam się co najmniej jak królowa Beatrycze. – Promieniujesz niczym elektrownia atomowa. Bez problemu dasz radę zasilić energią milionowe miasto.

Roześmiałam się i objęłam przyjaciółkę ramieniem.

– Musimy jak najszybciej umówić się na kawę. Tyle u mnie zmian, że nie wiem nawet, od czego zacząć...

Do naszej rozmowy wtrąciła się Julka.

– Aga wyfrunęła nam z gniazda! Prawie nie pojawia się w domu. Już chyba na stałe zakotwiczyła na plaży w Zandvoorcie.

– Kochana sestro, czyżbym wyczuwała w twoim głosie nutę ironii? – Od kiedy pamiętam, uwielbiałam nasze słowne przekomarzenia.

Julka błyskawicznie odbiła piłeczkę.

– Słyszysz tylko nutę? Jestem jednym wielkim potępieniem! Tęsknię za tobą. Po prostu.

Dopadły mnie nagle wyrzuty sumienia, ale nie zdążyłam z pokutą, gdyż w otwartych drzwiach szpitala pojawił się Posper. Siedział na wózku pchanym przez ubranego w niebieski uniform sanitariusza.

Całe towarzystwo rzuciło się w jego kierunku, krzyząc, śmiejąc się i płacząc na przemian. Wyglądaliśmy jak jedna wielka włoska rodzina, pełna werwy i miłości. Kto wie, ile trwałoby to spektakularne pandemonium, gdyby nie Tadzik, który przywołał nas do porządku opanowanym i stanowczym tonem, przypominając, że rekonwalescentowi potrzeba w tej chwili ciszy i spokoju, a nie międzynarodowego harmidru na cały Haarlem z przysiółkami. Nie pozostało nam nic innego jak uspokoić rozedrgane emocje, zapakować się do auta i udać do mieszkania Prospera i Julki, gdzie czekał na nas przygotowany przez moją siostrę powitalny poczęstunek.

Minęło już trochę czasu, odkąd po raz ostatni byłam w ich mieszkaniu. Julia przemeblowała je trochę, zaaranżowała według własnego gustu, zachowując jednak charakterystyczne senegalskie akcenty (zielony, żółty, czerwony!). Ku niepokohowanej radości przyzwyczajonych do spożywania posiłków na europejską modłę przyjaciół pojawiły się w nim stół i krzesła. Picie herbaty na poduszkach rozrzuconych po podłodze miało swój urok, ale jedzenie gorącej zupy na talerzu chyboczącym się niebezpiecznie na kolanach już trochę mniej. Julia

kupiła meble za grosze w niezwykle popularnym w Holandii *kringloopwinkel*, czyli sklepie z artykułami gospodarstwa domowego z drugiej ręki. Można było w nim dostać praktycznie wszystko, od porcelany po przodkach, przez lodówki, staroświeckie, masywne kredensy, po ubrania, komputery czy obrazy. Dla kreatywnych osób, które lubiły majsterkować, sklepy *kringloopwinkel*s stanowiły raj na ziemi. Julia potrafiła wyszukać w tym kłębowisku przeszłości prawdziwe perełki. Specjalizowała się głównie w renowacji starych mebli. Musiałam przyznać, że za pomocą swoich zręcznych palców wyczarowywała cuda. Najlepszym dowodem był przepięknie odrestaurowany bielony stół w ciepłym, słonecznym stylu prowansalskim.

Holendrzy od zawsze wyróżniali się pragmatyzmem i oszczędnością. Nie cierpieli marnotrawstwa i wyrzucania rzeczy, które ciągle nadawały się do użytku i po lekkim liftingu śmiało mogły służyć komuś jeszcze przez długie lata. Stąd idea niezwykle popularnych w tym kraju i organizowanych nagminnie jarmarków i targów staroci oraz licznych punktów skupu, takich właśnie *kringloopwinkel*s, gdzie pieczołowicie zbierano niepotrzebne rzeczy, ofiarowano im drugie życie i wprowadzano w ten sposób do ponownego obiegu. Klientami sklepów „rupieciarni” byli praktycznie wszyscy kreatywni i oryginalni mieszkańcy krainy tulipanów, bez względu na zasobność portfela. Rzeczy zrobione lub przerobione własnoręcznie nabywały bowiem w ten sposób podwójnej wartości. Niebagatelne znaczenie miał tu również sprzeciw wobec rozprzestrzeniającej się w szybkim tempie pladze konsumpcjonizmu i komercji, które coraz bardziej zagrażały środowisku naturalnemu, tak drogiemu każdemu Holendrowi.

– Chodź, pomóż mi w kuchni – przywołała mnie do rzeczywistości siostra, kiedy już wszyscy goście rozsiedli się wygodnie na krzesłach. – Przygotowałam niespodziankę! Senegalskie potrawy, typowe dla regionu, z którego pochodzi Prosper.

Poderwałam się ochoczo, czując dochodzący z nagrzanego piekarnika aromat egzotycznych przypraw. Oprócz miniaturowej kanapki zjedzonej rano w pośpiechu, nie miałam nic więcej w ustach. Nie licząc czarnej jak piekło kawy pitej w kraju tulipanów w ilościach hurtowych.

Julia zaserwowała niezwykle sycące danie złożone z białej ryby, ryżu i różnokolorowych warzyw, zwane w języku wolof *Cé bou Djéen*, i podała do tego narodowy senegalski orzeźwiający trunek Bissap, czyli sok z hibiskusa. Prosper promieniał ze szczęścia. Pałaszował z apetytem ukochaną potrawę i raz po raz zerkał z wdzięcznością i czułością na swoich przyjaciół. W końcu miał obok siebie ludzi, otaczał go gwar, życzliwość, ciepło i dobre wibracje tych, którzy stali mu się tak bliscy. Dla przyzwyczajonego do życia w grupie Senegalczyka nie było nic gorszego niż samotność.

W pewnej chwili wymknęłam się na korytarz, by przeczytać w spokoju

SMS-a, którego wysłał mi Stijn. Zameldował się już w hotelu z przepięknym widokiem na Central Park i właśnie zamierzał pójść do miasta na szybki lunch. Znajdowaliśmy się w różnych strefach czasowych, oddzieleni oceanem, a czułam się tak, jakby był obok mnie. Oswajałam się z tęsknotą, wyobrażając sobie, że w każdej chwili mogę go dotknąć, poczuć, przytulić. Wystarczyło tylko zamknąć oczy. Bujna wyobraźnia była w tym momencie moim największym sprzymierzeńcem.

Kochanie, jeżeli znajdziesz chwilę, mogłabyś wpaść do mnie sprawdzić, czy zamknęłam drzwi balkonowe, i może przy okazji podlać kwiaty? Koniecznie dzisiaj.

Oczywiście. Dam ci znać. Nie martw się, wszystkim się zajmę.

Ik hou van je^[74]

Wróciłam szybko do rozbawionego towarzystwa i szepnęłam do siostry:

– Muszę na chwilę wyjść. Prognostycy zapowiadali na dziś wieczór sztorm, a Stijn nie pamięta, czy zabezpieczył wszystkie okna. Sprawdzę to od razu. Inaczej będę się niepokoić.

– Nie ma sprawy. – Popatrzyła na mnie zaróżowiona od emocji Julka. – Uważaj na siebie!

CMoknęłam ją w skroń i pobiegłam do swojego mieszkania po kurtkę przeciwdeszczową. Po chwili zastanowienia zapakowałam jeszcze do podręcznej torby parę kosmetyków i bieliznę na zmianę. Stijn już kilka razy proponował mi, żebym przeniosła się na stałe do niego, ale ja nie chciałam rezygnować ze swojej niewielkiej, ale jednak niezależności. Mieszkanie po Julii wynajęłam na rok i zamierzałam je zachować. Gdzieś z tyłu głowy uporczywie tkwiła we mnie irracjonalna obawa, że przewrotny los może bez ostrzeżenia przerwać piękną bajkę, w której tkwiłam po uszy. Chciałam mieć wyjście awaryjne w tak zwanym planie B. Nawet największa miłość może się kiedyś skończyć, choć w tym momencie nie potrafiłam wyobrazić sobie dalszego życia bez Stijna. Byłam żywym dowodem na to, że nawet niepoprawne romantyczki potrafią twardo stąpać po ziemi.

Na dworze nagle pociemniało i zaczęło kropić. Uzbrojona w solidną parasolkę pomaszerowałam zwawo na dworzec kolejowy, skąd co pół godziny odjeżdżały pociągi do Zandvoortu. W momencie gdy stałam już przed wejściem do apartamentowca, w którym mieszkał Stijn, uderzyła mnie nieoczekiwana i zaskakująco logiczna myśl. Jego prośba brzmiała wyraźnie: Podlej kwiaty. Moment. Kwiaty? Jakie kwiaty? W całym domu nie zauważyłam ani jednej doniczki. Chyba że mój ukochany poukrywał gdzieś kaktusy! Coś tu się nie zgadzało. Poza tym dlaczego musiałam zrobić to właśnie dzisiaj? Skąd ten nagły pośpiech?

Wbiłam kod przy drzwiach wejściowych i coraz bardziej zaintrygowana weszłam na górę. Zagadka rozwiązała się, gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania. Całe wnętrze wypełniały kosze z czerwonymi różami. Były dosłownie wszędzie. Ich bogaty, sensualny, słodki zapach przenikał mnie na wskroś, otaczał kokieteryjnie ramionami, drażnił namiętnie, pobudzając intensywnością koloru wszystkie zmysły. Zdjęłam kurtkę i podeszłam do przesuwanych drzwi na taras. Były doskonale zabezpieczone przed ewentualnym silnym wiatrem. Roześmiałam się w głos i w tym momencie zauważyłam leżącą na stole białą podłużną kopertę. Na wierzchu widniało staranne, lekko pochylone pismo Stijna: *Voor jou*^[75].

Nagle ściana wody uderzyła o szyby mieszkania. Sztormowa pogoda nad morzem prawie zawsze zaczynała się intensywnym deszczem. Szybko schowałam kopertę do torby i postanowiłam wracać do Haarlemu. Dom bez mojego ukochanego był przygnębiająco samotny, a ja właśnie dzisiaj nie chciałam być sama. Przy wejściu obejrzałam się i jeszcze raz objęłam wzrokiem niczym aparatem fotograficznym nierealny wręcz obraz setek kwiatów, który już na zawsze zapisałam na wewnętrznym dysku mojej pamięci w folderze „Stijn”.

Gdy przekręcałam klucz w zamku, obok mnie, jak biała dama na zamkowej wieży, zmaterializowała się... Liane. Spodziewałabym się tutaj każdego, tylko nie jej! Wzdrygnęłam się kompletnie osłupiała i niezdarnie wypuściłam z dłoni pęk kluczy, które z brzękiem spadły na posadzkę. Liane popatrzyła na mnie z nieukrywanym politowaniem.

– Wydajesz się zaskoczona, tylko nie rozumiem właściwie czym. I uważaj na te klucze, zarysujesz podłogę!

Zgrzytnęłam zębami, ale postanowiłam nie dać się jej sprowokować. Otwarta wojna? Proszę bardzo!

– O ile dobrze pamiętam, już tu nie mieszkasz. To chyba logiczne, że zdziwił mnie twój widok, tym bardziej że Stijn nie ma w domu – odpaliłam pierwszą, ostrzegawczą racę.

Liane roześmiała się pozornie beztrósco.

– Jest w Nowym Jorku – rzuciła od niechcienia, a ja poczułam nagle ukłucie w sercu. Wiedziała, dokąd poleciał, co oznaczało, że ciągle mieli ze sobą regularny kontakt.

– Nadal nie rozumiem, czego tu szukasz? – Popatrzyłam jej prosto w oczy.

Liane postanowiła nagle zagrać w otwarte karty. Zrozumiała, że ma przed sobą równoprawnego przeciwnika.

– Posłuchaj... Aga... czy jak się tam nazywasz. – Nieudolnie próbowała być złośliwa i ironiczna. – To mieszkanie urządzaliśmy razem z MOIM mężem i ciągle jeszcze stoją tutaj MOJE rzeczy. Przyszłam je posegregować i zapakować. Jak widzisz, mam swoje klucze. – Zamachała mi triumfalnie przed nosem identycznym pękiem jak ten, który trzymałam w dłoni.

– Jak już wszystko posegregujesz i popakujesz, nie zapomnij zostawić ich na stole, bo o ile dobrze pamiętam, nie należą do ciebie, a do twojego od jakiegoś już czasu BYŁEGO męża. – Szybkim ruchem zapięłam zamek błyskawiczny kurtki i wypuściłam ostatnią, zatrutą strzałę. – I uważaj, z łaski swojej, na moje róże, które stoją w środku. Ich zakup trochę wymknął się spod kontroli, ale mam nadzieję, że nie będą ci przeszkadzały w wyprowadzce. Miłego wieczoru! *Dag!*^[76]
– Po czym odwróciłam się na pięcie i zostawiłam panią biochemik samą na placu boju.

Choć było to strasznie płytkie, czułam najzwyczajszą babską satysfakcję.
I nie mogłam się już doczekać listu od Stijna.

Rozdział czterdziesty szósty

W domu przy Pasteurstraat w Heemstede panował jak zwykle wzorowy porządek. Szyby w oknach lśniły, świeżo nawoskowane i wyfroterowane podłogi pachniały balsamiczną wonią żywicy, pieczołowicie przetarte lustra odbijały ciepłe światła lamp, które w ciemnym wnętrzu paliły się praktycznie przez cały rok. Pozornie wszystko było jak zawsze. Mój szósty zmysł potrafił wyczuć jednak niezauważalne dla postronnych osób niuanse, które sprawiały, że dom wydawał się ciut mniej niż zwykle dopieszczony i zaopiekowany. Powód był prozaiczny. Wprawdzie Anneke nadal sumiennie i z pełnym zaangażowaniem wykonywała swoje obowiązki, ale nie wkładała już w swoją pracę całego serca. Należało ono teraz do Oany i Daniela. Adoptowane w Rumunii sieroty wywróciły świat jej i jej męża do góry nogami. Przez całe lata byli samotni, skoncentrowani na pracy, której poświęcali praktycznie każdą wolną chwilę. Gospodyni spędzała w domu Jana całe dni, sprzątała, prała, gotowała, piekła i odciażała pana prokuratora w codziennych prozaicznych obowiązkach, na które nie miał ani czasu, ani ochoty. W momencie gdy pojawiły się dzieci, automatycznie odwróciły całą jej uwagę od domu Jana. Pomimo że nadal codziennie przychodziła do pracy, była coraz częściej nieobecna duchem i jak nigdy wcześniej punktualnie wracała do własnego domu, gdzie w końcu ktoś na nią czekał.

Dzisiaj po raz pierwszy, od kiedy zaczęłam sprzątać u Jana, musiałam sama zdecydować, które pomieszczenia wymagają natychmiastowej interwencji moich rąk uzbrojonych w mopa, a które mogą poczekać grzecznie w kolejce na później. Gospodyni nie zostawiła żadnej kartki z instrukcjami, zdałam się więc na własną intuicję i sokole oko. Właśnie przecierałam na mokro podłogę w spiżarni, gdy wtem drzwi wejściowe trzasnęły i usłyszałam tubalny głos Jana:

– *Goedemorgen dames!*^[77]

Wychyliłam głowę z kuchni, odpowiedziałam przyjaźnie na pozdrowienie i dodałam:

– Jestem sama. Anneke nie mówiła, że dzisiaj nie będzie jej w pracy?

Jan uderzył się w czoło i machnął w moim kierunku wypchaną teczką z aktami, którą jak zwykle władczo dzierżył w dłoni.

– Fakt! Wzięła wolne! Jestem kompletnie rozkojarzony!

Pokiwałam znacząco głową i zaproponowałam mu holenderskie antidotum na wszelkie smutki i dolegliwości – filiżankę dobrej kawy.

Jan z wdzięcznością przyjął moją propozycję, usiadł przy stole i westchnął głęboko, poprawiając zgniecione nieco poły za dużej marynarki.

– Coraz trudniej skoncentrować mi się na codzienności... – zaczął, upijając spory łyk gorącego napoju z filiżanki. – Dopiero teraz zdałem sobie tak naprawdę sprawę z tego, że przez te wszystkie lata za bardzo obciążylem sobą Anneke,

przerzuciłem na nią całą odpowiedzialność za swoje decyzje... Bez niej praktycznie nie potrafię funkcjonować. Zbyt beztrosko podzieliłem życie na dwie części: jedno toczy się na sali sądowej i nad nim mam władzę absolutną, a drugie w domu, którego zupełnie nie kontroluję. Przecieka mi przez palce to, co naprawdę ważne.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale Jan wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Po prostu chciał wyrzucić z siebie to, co już od jakiegoś czasu wewnątrz go uwierało.

– *Alteri vivas oportet, si tibi vis vivere.* Trzeba żyć dla innych, jeśli chcesz żyć z pożytkiem dla siebie – dodał cicho po chwili, patrząc niewidzącym wzrokiem na stojącą na stole srebrną cukiernicę.

– Seneka? – zapytałam automatycznie.

Jan skinął głową bez słowa.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, każde skoncentrowane na swoich myślach. Rozumiałam w pełni rozgoryczenie Jana. Zbyt dobrze pamiętałam długie, ciemne wieczory, kiedy wydawało mi się, że jestem najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi. Bez względu na wiek każdy z nas potrzebował kogoś, komu przed snem mógł opowiedzieć, jak mu minął dzień. Potrzeba ciepła, bliskości, wtulenia w drugą osobę nie znała metryki. W kwestii uczuć narodowość i miejsce zamieszkania nie miały znaczenia. Tak naprawdę wszyscy byliśmy tacy sami. Głodni drugiego człowieka.

– Jan... – zagaiłam w końcu. – Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że będę u ciebie pracować tylko do końca miesiąca.

Nie chciałam dłużej czekać z tą informacją. Już od kilku dni szukałam odpowiedniego momentu, ale nie należało się łudzić, że ten kiedykolwiek nadejdzie.

Pan prokurator uniósł w geście zdziwienia krzaczaste brwi.

– Coś się stało? Coś złego? Musisz wracać do Polski?

– Wręcz przeciwnie! Zostaję w Holandii na stałe. Zaczynam pracę w wyuczonym zawodzie, jako dziennikarka popularnej gazety polonijnej w Amsterdamie.

Jan klasnął w rękę z ukontentowaniem i wstał z krzesła.

– Zawsze wiedziałem, że praca w charakterze pomocy domowej to dla ciebie tylko tymczasowe zajęcie. Jesteś ambitna i twarda. A poza tym – to już moje osobiste, całkowicie subiektywne zdanie – ten, kto z pamięci cytuje Senekę, może sięgnąć gwiazd. Jestem z ciebie dumny!

Patrzyłam wzruszona jego niezachwianą wiarą w moje możliwości.

– Jan... dziękuję ci za wszystko. Nie umiem wygłaszać mów pożegnalnych, poza tym nie chcę się z tobą żegnać. Mam nadzieję, że jeszcze niejeden raz wypijemy razem kawę i porozmawiamy o życiu. Już nie jak pracodawca

z podwładnym, ale jak dobrzy znajomi, którzy uwielbiają literaturę klasyczną i... czekoladowe ciasto!

Jan przetaił staromodną, kraciastą chustką wyciągniętą z kieszeni zaparowane nagle okulary. Kawa, którą popijał, już dawno wystygła, wszystko wskazywało więc na to, że niezłomny pan prokurator po prostu się wzruszył.

– Poczekaj chwilę – powiedział. – Mam coś dla ciebie... Zaraz wracam.

Jan wyszedł z kuchni. Pozbierałam ze stołu filiżanki, umyłam dzbanek i przetaiłam automatycznie idealnie czysty blat.

Korzystając z nieobecności Jana, potwierdziłam jeszcze szybko jutrzejsze spotkanie z Charlotte. Wysłała mi rano tajemniczego SMS-a, że musi się niezwłocznie ze mną widzieć. Nie miałam pojęcia, co znowu wymyśliła, ale spotkanie było mi bardzo na rękę. Musiałam również z nią porozmawiać na temat swoich planów związanych z pracą w Amsterdamie. Nie mogłam dłużej pomagać w opiece nad dziewczynkami. Chciałam jednak prosić Charlotte, żeby od czasu do czasu pozwoliła mi się z nimi spotkać. Przywiązałam się do jej córek i nie chciałam, by miały poczucie, że je zostawiłam.

Do kuchni powrócił Jan, niosąc w dłoniach małe granatowe pudełeczko z wyszytym fantazyjnie na wieczku srebrną nicią logo jubilera. Oniemiałam.

– Agnieszka... przyjmij, proszę, ten drobiazg... – rzekł oficjalnym tonem, ale słyszałam w jego głosie melancholię.

Chciałam coś powiedzieć, jednak uciszył mnie jednym gestem ręki.

– Należał do kobiety, którą kochałem. Nosila twoje imię. Pamiętasz, kiedyś wspominałem, że znam trochę polską kulturę i obyczaje. Niechętnie mówię o przeszłości, nie wracam myślami do tego okresu, kiedy byłem najszczęśliwszy na świecie... może dlatego, że wszystko, w co wtedy wierzyłem, zostało mi odebrane wraz z jej śmiercią. Nigdy potem nie byłem w stanie pokochać już żadnej kobiety. Dziś jestem starym, zdziwaczalym człowiekiem, który bez reszty poświęcił się pracy. – Spojrzał na mnie i widząc w moich oczach niemy protest, dodał: – Proszę, nie odmawiaj. Sprawisz mi wielką radość, przyjmując ten prezent. Bardzo mi ją przypominasz... Była tak samo uparta i... piękna jak ty... – Delikatnie ujął moją dłoń i z pietyzmem położył na niej pudełeczko. Wyglądało klasycznie i elegancko. Jego powierzchnię pokrywały drobinki jedwabiu tworzącego welurową, miękką, delikatną strukturę. Z ciekawością uniosłam wieczko. W wyłożonym lśniącym atłasem wnętrzu leżał przepiękny złoty łańcuszek z miniaturową diamentową zawieszka w kształcie litery A.

Dopiero późnym wieczorem, leżąc już w łóżku, znalazłam chwilę, żeby przeczytać w końcu wiadomość od Stijna. Byłam rozpieszczona dobrem i bezinteresowną życzliwością, które spotkały mnie u Jana. Bezwiednie dotknęłam oplatającego moją szyję łańcuszka. Czułam całą sobą dobrą, pozytywną energię zaklętą w tej pamiątce – talizmanie na szczęście. Należał do osoby, która kochała

i była kochana. Tak jak ja.

Powoli otworzyłam kopertę. Gruby papier miał przyjemną w dotyku powierzchnię, gładką i ciepłą... jak uśmiech Stijna. Jego słowa już za chwilę miały objąć mnie czule dłońmi na dobranoc.

Moja ukochana,

nie mam żadnych talentów. Jedyne, co mogę ci teraz dać, to moja bliska obecność w słowach, które splatam w jedwabne sieci zdań, mając nadzieję, że złapię w nie twoje serce. Że będziesz mnie pamiętać i czasem o mnie myśleć. Że te słowa zrodzone w niepokładanej głowie utulą Cię do snu, otrą łzy, pogładzą po policzku, rozbawią, rozgrzeją, rozbudzą wyobraźnię, zatańczą emocjami, skoczą w ogień i roztopią lód. Że będą czesać miękko Twoje włosy, ubiorą Cię w kaszmirowy sweter, do którego przytulisz się, kiedy zimno. Że będą słońcem na Twojej pięknej twarzy, pocałunkiem, westchnieniem, uśmiechem i łzą. Gładkim kamyczkiem, który nosisz w kieszeni i dotykasz na szczęście.

Chcę być dotykiem na szczęście. Nigdy go nie zgubisz.

Wiesz, że jestem trochę starej daty i lubuję się w zapomnianych słowach układanych troskliwie w bukiet ukochanych kwiatów. Nie jestem z ery SMS-ów, komunikatów podanych w formie lingwistycznego hamburgera jedzonego ukradkiem w samochodzie na parkingu.

Moje słowa to listy, których już dzisiaj chyba nikt nie pisze, niepospieszny czas, róża, porcelanowa filiżanka i koronkowa serweta. Tak jak u babci Annemarie.

To książka pachnąca farbą drukarską, piękny album z fotografiami, którego delikatne strony przekładamy ostrożnie myślami odzianymi w jedwabne rękawiczki. Smakuję życie powoli, z rozmysłem. Dlatego piszę do Ciebie ten, niech będzie, że miłosny list, chwilami nieporadny i koślawy.

Bardzo mój. I bardzo dla Ciebie.

Dostaję tyle w zamian... Twój czas, dobro, ciepło, emocje, które zbieram w osobistym albumie zapisanym na twardym dysku mojej pamięci. Wyciszają, uspokajają, spowalniają. Spełniają obietnicę, nie obiecując niczego. Biorą mnie za rękę i prowadzą dokładnie tam, gdzie chcę się znaleźć. Zamykają mnie w miękkich dłoniach. Dłoniach kobiety, która jest moim dyrygentem emocji. Zapisujesz mnie w nutach, a potem grasz na nich najpiękniejsze melodie. Te dźwięki brzmią we mnie długo, nie chcą się zapomnieć. Nie dadzą się ujarzmić. Biją Twoim sercem.

Karmią się jego głębią, teksturą, światłem. Płyną cicho ciepłym strumieniem myśli. Hen pod chmurami, gdzie, jak wiesz, przebywam często. W małej kabinie, gdzie jesteś zawsze ze mną.

A teraz... płynę do Ciebie. Ty sterujesz łódką.

I kiedyś, wierzę w to głęboko, w końcu zakotwiczę na zawsze w Twoich ramionach.

Biję Twoim sercem.

Stijn

Rozdział czterdziesty siódmy

– Aga! To oczywiście skandal, ale uwierz mi, cieszę się, że uwolniłaś się wreszcie od tej toksycznej baby! W końcu zakrztusi się własną żółcią, zobaczysz! – Siostra popukała się znacząco w czoło i zabrała się do prasowania leżącej na łóżku sterty prania.

Temperatura mojego ciała była podobna, jeżeli nie wyższa od temperatury gotującej się w czajniku wody. Kręciłam się bez celu po mieszkaniu Julki i Prospera. Niepohamowana furia nie pozwalała mi nawet na sekundę usiąść spokojnie w jednym miejscu. Jeżeli chciałam przeżyć i nie pęknąć ze złości, musiałam jak najszybciej znaleźć ujście dla negatywnych emocji kipiących niczym czynny wulkan lawą.

Powodem mojej białej gorączki była Charlotte.

Zaatakowała zniechcąca, udowadniając dobitnie swoim zachowaniem, że w przyrodzie równowaga musi być zachowana. Dobro, które otrzymałam od Jana, zostało zneutralizowane podłością zawistnej zazdrośnicy. Cios poniżej pasa. Nie znałam innego określenia, które lepiej mogło oddać to, co zrobiła. Miarka się przebrała. Nawet gdyby zreflektowała się po czasie i przywiozła cały tir kwiatów na przeprosiny, nie dałabym jej kolejnej szansy. W tej kobiecie nie było ani krzty dobra i empatii. W jej żyłach płynęła szeroka falą wyłącznie arogancja i poczucie wyższości.

Już po przekroczeniu progu rezydencji państwa van der Vegtów czułam arktyczny chłód. Nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia, byłam przyzwyczajona do trudnej do opanowania amplitudy nastrojów pani domu.

Charlotte siedziała sztywno w fotelu w salonie. Miała na sobie jeden ze swoich ulubionych, szykownych, biało-czarnych kostiumów Chanel. Kiedyś zdradziła mi, że wkłada go zawsze wtedy, kiedy zamierza zrobić wrażenie na przeciwniku. Według jej modowej teorii te ciuchy zostały zaprojektowane po to, by wygrywać bitwy i ścierać wrogów na pył.

„Ciekawe, kto dzisiaj ma być pokonany”, pomyślałam. Nie poczuwałam się do żadnej winy, dlatego zawartość merytoryczna jej przemówienia kompletnie ścięła mnie z nóg.

– Agnes, nie będę bawić się w dyplomatyczne bzdury – zaczęła, przygotowaną zapewne dużo wcześniej, przemowę. – To niepotrzebne kręcenie lodów i bicie piany, w których to działaniach specjalizuje się Henk, zupełnie nie pasuje do mojej otwartej i prostolinijnej natury – wyrecytowała tekst jak wyuczoną formułkę.

Odchrząknęłam znacząco, ale Charlotte, niezrażona, kontynuowała:

– Właśnie dlatego powiem prosto z mostu: jesteś zwolniona!

Tu nastąpiła dramatyczna pauza, precyzyjnie obliczona w czasie w celu

zwielokrotnienia efektu bomby spektakularnie rzuconej mi pod nogi.

Spojrzałam na nią spokojnie i zadałam jedyne logiczne pytanie, jakie nasunęło mi się po tym żalnym wystąpieniu.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

Charlotte prychnęła z pogardą. Jej twarz brzydko wykrzywiła złość.

– Nie domyślasz się?

Ta gra przestała mnie bawić.

– Nie. Nie domyślałam się – powiedziałam zimno i dodałam: – To nie zabawa.

Czekam na wyjaśnienia.

Charlotte wstała.

– Nie mogę pozwolić, żeby moje córki przebywały w towarzystwie kogoś, kto, delikatnie mówiąc... źle się prowadzi.

Kompletnie mnie zaskoczyła. Przez chwilę straciłam rezon.

– Słucham? Co to za bzdury? Mówisz o mnie? – O mały włos nie dodałam: „czy o mężu”, ale w porę taktownie ugryzłam się w język. Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

– Widzisz tu kogoś innego?! – zagrzmiała. – Długo nad tym myślałam, ale nie mam wyjścia. Masz zły wpływ na moje dzieci. To małe dziewczynki, które wszystko widzą. Jak mam im wytłumaczyć fakt, że ich niania prowadzi się z coraz to innym mężczyzną?!

– O czym ty mówisz? To jakieś pomówienia! – Aż poczerwieniałam z oburzenia. – Ktoś naopowiadał ci kłamstw!

Charlotte roześmiała się makiawelicznie i teatralnym gestem odrzuciła do tyłu włosy.

– Jak wytłumaczysz fakt, że całowałaś się z obcym facetem przed MOIM domem na oczach MOICH dzieci? To niedopuszczalne! *By the way*^[78], czy Jeroen wie o tym, że go zdradzasz? To mój przyjaciel i nie pozwolę, żebyś jawnie go oszukiwała! Właściwie czego należało się spodziewać po dziewczynie ze Wschodu? Jesteście specjalistkami w łowieniu grubych ryb. Polujecie na dzianych facetów z zagranicy. Ale ja od razu cię przejrzałam! Od samego początku wiedziałam, co z ciebie za jedna! – Charlotte odpięła górny guzik obsklej marnarki. Na jej szyi pojawiły się ceglaste plamy. Patrzyła na mnie triumfalnie. Oddała ostatni strzał i czekała, aż się poddam i wywieszę białą flagę albo jeszcze lepiej – posypię głowę popiołem i rzucę się do jej stóp, błagając o wybaczenie. *Mea culpa!*

Im dłużej mówiła, tym mniej jej słuchałam. Czułam złość, ale bynajmniej nie upokorzenie. Ktoś taki jak Charlotte nie był w stanie mnie poniżyć. Nie miałam ochoty tłumaczyć jej faktycznego stanu rzeczy. Każda kolejna minuta w tym domu była czasem straconym.

Bez słowa podeszłam do stołu i ostentacyjnie położyłam na nim klucze od

drzwi wejściowych. Charlotte obserwowała mnie zdumiona niepojętym spokojem, jaki prezentowałam. Z pewnością spodziewała się spektakularnej kłótni, rozdierania szat, wystrzałów armatnich i ścielącego się wokół trupa. To nie tak miało się skończyć! Scenariusz nie przewidywał ciszy!

W końcu nie wytrzymała i odezwała się piskliwym głosem:

– Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie?

Zmierzyłam ją pełnym pogardy wzrokiem.

– Nie zamierzam marnować czasu na rozmowę z zaślepioną nienawiścią i zazdrością kobietą. Powiem ci tylko jedno: ty sama jesteś kowalem swego godnego pożałowania losu zdradzanej i porzuconej żony. Tak naprawdę mi ciebie żal.

Charlotte jak kocica skoczyła na środek pokoju.

– *Kutwijf!*^[79] Natychmiast wyjdź z mojego domu! – krzyknęła z furją.

– Z największą przyjemnością! Od dawna o tym marzyłam!

Trzasnęłam z impetem drzwiami i wybiegłam na zewnątrz. Przystanąłam na chwilę na podjeździe i odetchnęłam parę razy głęboko, żeby uspokoić rozgorączkowane emocje.

Zza rogu willi wychyliły się nagle dwie jasnowłose główki Kim i Jill. Spojrzałam z niepokojem w okna domu, ale nigdzie nie dostrzegłam ich matki. Podeszłam szybko do ukrywających się za żywopłotem dziewczynek. Przez szparę w ogrodzeniu wślizgnęłam się do ogrodu. Przyklękłam przy nich i złapałam je obie za ręce.

– Musimy się pożegnać... Nie mamy dużo czasu. Mama może się na mnie gniewać, że rozmawiamy.

Patrzyły na mnie nic nierozumiejącym i zagubionym wzrokiem.

– Pokłóciłaś się z mamą? – zapytała Jill. – Już do nas nie wrócisz?

Spojrzałam na nią miękko. Teraz chciało mi się płakać.

– Tak. Trochę się posprzeczałyśmy – potwierdziłam cicho i dodałam: – Dziewczynki... posłuchajcie mnie uważnie, nie będziemy mogły się już spotykać. To absolutnie nie jest wasza wina. To trudne sprawy pomiędzy nami, dorosłymi, które was nie dotyczą.

– Nie chcę, żebyś odchodziła! – Kim tupnęła buńczucznie nogą. – Zostań, proszę...

– Nie mogę, skarbie – powiedziałam, po czym objęłam mocno obie siostry. – Opiekujcie się sobą nawzajem i zapamiętajcie na zawsze, że jesteście mądre, silne i wiele warte. I co najważniejsze, macie siebie nawzajem. Wspierajcie się... I nie wierzcie nikomu, kto kiedykolwiek będzie próbował wam wmówić coś innego...

– Nawet mamie? – zapytała jak zwykle pragmatyczna Jill.

„Przede wszystkim jej”, pomyślałam ze złością, ale nie powiedziałam tego na głos.

– Nawet mamie – potwierdziłam dobitnie, wstałam i nie oglądając się za siebie, odeszłam w kierunku miasta.

Julka i Prosper próbowali zatrzymać mnie na kolacji, ale nie miałam dziś ochoty na towarzystwo. Wprawdzie złość na cały podły świat pod tytułem „Charlotte” uszła już ze mnie niczym powietrze z przekłutego balonika, ale mimo to potrzebowałam odosobnienia.

Od kiedy pamiętam, zawsze, niczym ranne zwierzę, lizałam rany w samotności. Zarzuty, które usłyszałam, były absurdalne, jednak nadal czułam się źle. To, co się wydarzyło, było zaprzeczeniem całego dotychczasowego systemu wartości, jaki wyznawałam. Najchętniej szłam przez świat boso. Stąpałam uważnie, stawiając kroki i patrząc pod nogi, żeby kogoś nie przegapić, nie nadepnąć, nie ominąć. Nie tupałam ciężkimi butami, tak żeby każdy słyszał, co mam do powiedzenia, nie wchodziłam w nich bez zaproszenia w czyjeś życie, nie wwierałam się obcasami bez pardonu w cudze poglądy, łóżka, portfele i decyzje. Nie błociłam obcych umysłów swoimi, jedynie słusznymi przekonaniem, racjami, roszczeniami i pretensjami. Z pewnością, co do tego nie miałam złudzeń, wielu nastąpiłam na odcisk lub boleśnie przydeptałam palce, nieporadnie próbując tańczyć w niedobrej parze losu, jednak nigdy nie zrobiłam tego z premedytacją. Zachowanie kogoś, kto umyślnie kopnął mnie stopami obutymi w markowe Loubies, licząc na to, że mnie upokorzy, było ceną nauką na przyszłość. Nie zamierzałam grać ofiary, ale postanowiłam stanowczo i twardo bronić dostępu do twierdzy poczucia własnej wartości przed obcymi, deptającymi swymi buciorami zasady, którym hołdowałam. Nawet jeżeli buty te kosztowały fortunę i pochodziły z butików najlepszych projektantów.

Otworzyłam drzwi swojego zapomnianego ostatnio mieszkania, zapaliłam światło i usiadłam ciężko przy stole. Bezwiednie przejechałam ręką po zakurzonym nieco blacie. Moje palce natrafiły na opadłe płatki tulipanów, które kompletnie zapomniane więdły w wazonie.

Zatęskniłam nagle za Stijnem, który właśnie w tej chwili przelatywał nad niezmiernymi wodami oceanu. Nie mogłam do niego zadzwonić i z nim porozmawiać, zamiast tego wyciągnęłam z torby notes i długopis i postanowiłam odpisać na jego list. W ten sposób choć przez chwilę mogłam poczuć się bliżej niego.

Kochanie, dziękuję Ci za list...

Rozmiękczasz mnie jak płyn do płukania twardą strukturę zabrudzonej tkaniny. Puszczają plamy, niewywabialne, które weszły głęboko we włókno materiału krzywo skrojonej mnie.

Wkładasz mnie potem, taką czystą i świeżą, do koszyka, rozwieszasz na łące,

*powiewam wiatrem, unoszę lekko na tafli krystalicznego powietrza, świat nadyma
nim policzki i wypuszcza powoli, zabawnie mrużąc oczy.*

Jestem ulgą po zmęczonym dniu.

Delektuję się ciszą.

Mam niewymasowane stopy i kieliszek wina w dłoni.

Chcę się przytulić do Twoich ust.

Dobrej nocy, kochany.

Śpij dobrze. Śnij pięknie.

Kocham Cię...

Twoja A.

Rozdział czterdziesty ósmy

Trzymałam w ręku pisemne wezwanie do obowiązkowego stawienia się na rozprawie w sądzie rejonowym w Haarlemie. Identyczne zawiadomienie otrzymał Prosper. Najchętniej na zawsze zapomniałabym o przygnębiającym zdarzeniu związanym z groźbami i pobiciem na tle rasowym, ale żeby ukarać winnych, sędzia potrzebował naszych zeznań.

W drodze do Bloemendaal, do Annemarie, wstąpiłam na chwilę do Jana, by omówić dalszą strategię działania. Byłam ciekawa kary, jaką przewidywał holenderski kodeks karny za tego typu przestępstwo. Za propagowanie rasistowskich treści sędziowie zasądzali w większości przypadków grzywnę, więzienie zaś wtedy, gdy w grę wchodziło pobicie zagrażające życiu lub zdrowiu. Jak się dowiedziałam, wnoszący oskarżenie prokurator, notabene dobry znajomy Jana, domagał się dla sprawcy za ciężkie zranienie Prospera czterech lat pozbawienia wolności.

Przy okazji rozmowy na temat naszej sprawy usłyszałam, że tutejsze więzienia świecą pustkami. Z tego właśnie powodu Holandia stanęła przed koniecznością zamknięcia kilkunastu placówek penitencjarnych. Aby ocalić miejsca pracy w służbie więziennej i zapobiec masowym zwolnieniom, rząd postanowił... wynajmować cele dla skazanych z innych krajów.

– Leasingowane cele? – Nie ukrywałam zdziwienia tym egzotycznie brzmiącym pomysłem. – Jak to wygląda w praktyce?

Jan poprawił zsuwające się z nosa okulary i pospieszył z odpowiedzią.

– Wynajem jest sposobem na uratowanie co najmniej kilkuset miejsc pracy. Mamy w tej materii sporo doświadczenia. W więzieniu w Tilburgu kary odsiaduje ponad pięciuset więźniów z sąsiadującej z nami Belgii. Szykujemy się na przyjęcie kolejnych, tym razem z Norwegii.

– Puste więzienia to chyba dobry znak? Oznacza, o ile prawidłowo dedukuję, nic innego jak spadek przestępczości, prawda?

Pan prokurator potrzęsnał potakująco głową.

– Tok twojego rozumowania jest jak najbardziej prawidłowy. Ale za pustki w holenderskich więzieniach odpowiada nie tylko zmniejszenie liczby przestępstw. Według ostatnich danych ministerstwa sprawiedliwości, co potwierdzają również moje osobiste obserwacje z sali sądowej, coraz częściej zamiast kary więzienia sprawcy dostają elektroniczne opaski pozwalające kontrolować miejsce ich pobytu na wolności. Dzięki temu państwo ma z nich pożytek, mogą na przykład podjąć pracę. To duże oszczędności dla Królestwa Niderlandów.

– Myślę, że ogromnie ważne, tak samo jak karanie za popełnione czyny, jest również zapobieganie przestępstwom?

– *Acu rem tetigisti!*^[80] Podejmujemy i takie nowatorskie dla wielu krajów

działania. Wystarczy spojrzeć na liberalizację prawa narkotykowego czy legalizację prostytucji.

Słuchałam wywodów Jana z zapartym tchem. Wiedziałam już, jaki będzie temat mojego debiutanckiego artykułu w gazecie „Halo Polonia”. Nie mogłam się doczekać, kiedy usiądę do pisania.

Bakcyła dziennikarstwa połknęłam lata temu, ale już dawno nie czułam takiego podekscytowania. Ogarnęła mnie prawdziwa twórcza gorączka. Znowu mogłam i chciałam opisywać świat. Uważniej przyglądałam się otoczeniu, jakbym odkrywała je na nowo, zatrzymywałam się w biegu, potrącana czasem przez niecierpliwie pędzących przechodniów. W autobusie zajmowałam ostatnie miejsce przy panoramicznym oknie, gapiąc się jak dziecko na przesuujące się po drodze krajobrazy. Na targu blokowałam kolejkę, bo w piramidę kolorowych jabłek zaplątał się pająk, którego musiałam uwolnić. Nikt nie rozumiał po co, przecież jemu i tak było wszystko jedno... Mnie też było wszystko jedno, co pomyślą o mnie ludzie, kiedy jadąc rowerem, nagle zawracałam, bo na ceglastej powierzchni ścieżki wypatrzyłam dwie dorodne żaby, których obraz, koniecznie tu i teraz, musiałam utrwalić w kadrze mojej wewnętrznej kliszy pamięci dobrych emocji.

Świat ponownie zaczął mnie napędzać...

Stałam zatopiona w natłoku niepokładanych myśli przed willą w sosnowym lesie. Cieszyłam się, że właśnie dziś będę mogła wtulić się w ciepłe i życzliwe ramiona domu Annemarie. Bezwiednie spójrzałam w górę. Na frontonie budynku, w ozdobnym obramowaniu, widniała data budowy. Anno domini 1890. Oczyma wyobraźni zobaczyłam krzątających się przed dziesiątkami lat przy rusztowaniach robotników, którzy powołali do życia to niezwykle miejsce. Miejsce, które kochałam bez pamięci.

Annemarie drzemała w ogrodzie. Spokój i ukojenie malowały na cienkiej jak pergamin skórze jej twarzy sielski obraz szczęśliwej jesieni życia. Jak na niczym innym na świecie zależało mi, żeby zaakceptowała wybór swojego wnuka. Jej błogosławieństwo było potrzebnym dopełnieniem naszej miłości.

Zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Czekałam na wiadomość od Stijna. Odsypiał nocny lot, ale obiecał, że wieczorem zjemy razem kolację. Już nie mogłam się go doczekać. Czułam tęsknotę w każdej najmniejszej komórce swojego ciała.

Starsza pani poruszyła się nagle i otworzyła oczy. Mój wzrok momentalnie napotkał jej dobre, ciepłe spojrzenie. Podeszłam do wózka, pochyliłam się nad nią i objęłam mocno jej drobne ramiona. Serdecznie odwzajemniła uścisk, gładząc mnie troskliwym gestem po policzku. Nasze cienie tańczące na trawie spotkały się w pół drogi, zabawnie wydłużając szyje i zatapiając się w sobie wzajemnie. Przez chwilę byliśmy jednością.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała Annemarie. – Pięknie wyglądasz.
– Jestem bardzo szczęśliwa. A to najlepszy, naturalny kosmetyk na urodę. Nic nie może się z nim równać. Mam wszystko. Prawie... wszystko. Brakuje mi tylko jednego.

– Czego ci brak, dziecko?

– Akceptacji najważniejszej osoby w życiu mężczyzny, którego kocham.

Annemarie milczała, uśmiechając się tajemniczo. Wiatr zaplątał niewidzialne palce w upięty na jej głowie srebrny kok i bawiąc się włosami, uwolnił kilka pasemek, które łagodnie opadły na jej delikatnie zaróżowione policzki.

– Moją akceptację i pełne poparcie wszystkich planów macie już dawno. Od samego początku, kiedy tylko zobaczyłam jego i ciebie razem, tu, w swoim domu, wiedziałam, że los szykuje wam najpiękniejszą niespodziankę. Miłość. Czekałam na ten moment, kiedy mój wnuk i jedyny spadkobierca nazwiska de Bruin spotka kobietę, która będzie go kochać, wspierać, chronić, łagodzić i rozumieć. Która stworzy mu pełny, ciepły, normalny dom, jakiego nigdy nie miał. Zrobiłam wszystko, żeby nie odczuł braku rodziców, ale nie byłam w stanie być i ojcem, i matką. Choć Bóg mi świadkiem, że bardzo się starałam.

– Annemarie... opowie mi pani, co się wydarzyło? Jak to się stało, że Stijn w tak krótkim czasie stracił ich oboje?

Bałam się siły bolesnych wspomnień, ale nie wyobrażałam sobie nie znać przyczyn traumy, z jaką przyszło się borykać komuś, komu chciałam przychylić nieba.

Pomiędzy nami zapadła cisza. Czułam, że Annemarie zbiera wszystkie siły, żeby zmierzyć się ponownie z duchami przeszłości.

– Mój syn, Wouter, zginął tragicznie, synowa zmarła na raka parę lat po nim. Do dzisiaj obwiniam się o jego bezsensowną śmierć... Gdyby nie nasza emigracja, być może żyłby do dziś... Realizowaliśmy marzenia, za które przyszło nam zapłacić najwyższą cenę. Od kiedy pamiętam, Ameryka Południowa była marzeniem mojego męża... – Drobne dłonie złożone na podolku zaciskała tak mocno, że aż zbieleły jej knykcie. – Wiadomość o podupadającej fabryce kawy, którą wystawiono na sprzedaż w Brazylii, przywiózł nam przyjaciel, wagabunda, Henry, o którym chyba już kiedyś ci opowiadałam... – rozwijała barwnie swoją opowieść jak kinematograficzne kadry. Bez trudu mogłam wyobrazić sobie Henry'ego, angielskiego dżentelmena z gładko zaczesanym na bok przedziałkiem, w jasnym garniturze, pod krawatem z wpiętą w niego zakończoną szlachetną perłą szpilką... – Przyjaciel nie musiał długo namawiać mojego męża. Rozległe interesy, które prowadził, zapewniały nam stabilną płynność finansową, sporą nadwyżkę gotówki gwarantowały udane lokaty w rynek nieruchomości na północy Holandii.

Nie zastanawialiśmy się długo. Postanowiliśmy potraktować wyjazd na inny kontynent jako wyzwanie losu, nowe doświadczenie i... przygodę. W dniu,

w którym nasz synek skończył pięć lat, spakowaliśmy cały dobytek i ruszyliśmy w nieznaną. Plantacje kawy zlokalizowane były wówczas głównie w południowo-wschodniej części Brazylii, w prowincjach Minas Gerais, São Paulo i Parana, gdzie środowisko i warunki klimatyczne sprzyjały uprawie krzewów arabiki. Przeznaczenie zawiodło nas właśnie do Parany.

Na początku było nam trudno. Inne obyczaje, tradycje, kultura. Okres pełnej aklimatyzacji przebiegał u mnie znacznie dłużej niż u męża. Moim sprzymierzeńcem była przyroda. Ten region Brazylii, w którym zamieszkaliśmy, pokrywały ogromne połacie lasów sosnowych, mogłam poczuć się więc jak w domu. Etienne całe dni spędzał na plantacji, gdzie kawę zbierano ręcznie, wybierając tylko dojrzałe owoce. Zatrudnialiśmy wyłącznie okolicznych mieszkańców, niezwykle sumiennych, uczciwych i pracowitych ludzi. Z czasem prawą ręką męża stał się miejscowy zarządca, Rodrigo. Pracował u nas od samego początku, po latach stał się praktycznie członkiem rodziny. Mąż bezgranicznie mu ufał i liczył się z jego zdaniem. Żadna decyzja nie mogła zostać podjęta bez konsultacji z zarządcą. Od początku byłam przeciwna wtajemniczaniu go we wszystkie sprawy firmy, ale mój mąż pozostawał nieugięty. Rodrigo stał się niezastąpiony. Dużo czasu musiało upłynąć w wodach Amazonki, zanim okazało się, że jednak miałam rację...

Moje najpiękniejsze wspomnienia z tego okresu wiążą się z naszym synem. – Twarz Annemarie zapłonęła światłem, które wygładziło głębokie bruzdy na jej twarzy. Przez moment wyglądała jak młoda dziewczyna, ale po chwili w jej oczach ponownie pojawił się cień... – Jestem przekonana, że zapewniliśmy Wouterowi cudowne, sielskie, beztroskie dzieciństwo. Całe dni spędzał na świeżym powietrzu, przesiąknął tamtejszym klimatem, przyrodą i... naszą arabiką. Etienne widział w nim swojego następcę, tym bardziej że syn od początku wykazywał ogromne zainteresowanie rodzinnym biznesem. Skończył miejscowe szkoły, ale na studia wybrał się do ojczyzny. Ukończył prestiżowy Uniwersytet Techniczny w Delft. Zarażał nas swoją energią, entuzjazmem, niepohamowanym głodem życia. Miał tysiące pomysłów na zmodernizowanie i usprawnienie działania plantacji. Planował wprowadzić na niej wiele nowatorskich rozwiązań, które ułatwiłyby pracę całego personelu. Byliśmy z mężem zachwyceni jego zaangażowaniem i spokojnie patrzyliśmy w rysującą się optymistycznie przyszłość. Wychowaliśmy godnego następcę naszego kawowego imperium...

Wouter został w Holandii dłużej, niż planował. Na studiach poznał swoją przyszłą żonę i matkę jedyne go syna. Stijn urodził się w tym domu w Bloemendaal. Szaleliśmy z radości. Wnuk był spełnieniem naszych marzeń, przedłużeniem rodu i iskierką zapalającą nasz zastępy, skostniały nieco świat. Podarował nam najpiękniejsze lata naszego życia, w pełnej, kochającej się rodzinie. Nikt nie przeczuwał nadchodzącego niebezpieczeństwa. Myśleliśmy, że nasz raj będzie

trwał zawsze... Na ziemi to jednak niemożliwe. Inaczej wszyscy bylibyśmy w niebie. To cierpienie ściąga nas w dół, jest bezlitosną grawitacją, która tylko czasem nam odpuszcza i możemy fruwać, naiwnie wierząc, że nigdy nie spadniemy...

Annemarie umilkła na chwilę. Zrozumiałam, że nadszedł najbardziej bolesny fragment jej opowieści.

– Kiedy Stijn miał kilka lat, Wouter i jego żona postanowili definitywnie przeprowadzić się do Parany i przejąć naszą plantację. Etienne i ja na stare lata coraz bardziej tęskniliśmy za ojczyzną i naszym domem w sosnowym lesie. Młodzi łaknęli odmiany, nowych wyzwań, nie bojąc się przy tym ciężkiej pracy. Dokładnie tak jak my przed laty. Teraz role się odwróciły...

Pamiętam jak dziś, kiedy odebraliśmy naszego syna z lotniska. Przyleciał sam, żeby przygotować wszystko na przyjazd żony z dzieckiem. Od razu po przybyciu zagłębił się z ojcem w buchalterię firmy. Od jakiegoś czasu rachunki przestały się zgadzać, odnotowaliśmy spore straty, pomimo że produkcja szła pełną parą. Etienne i Wouter całe noce, cyferka po cyferce, sprawdzali wszystkie operacje finansowe, przeglądali każdy rachunek, wzięli pod lupę wszystkie wpływy i wydatki. Kontrola wykazała rażące niedopatrzienia i uchybienia. Oboje z przerażeniem skonstatowali, że wiele faktur było sfałszowanych lub wystawionych na nazwiska fikcyjnych kontrahentów. W posiadaniu wszystkich pełnomocnictw i pieczęci firmy oprócz mojego męża był... Rodrigo. Okazało się, że przez całe lata byliśmy okradani przez nieuczciwego zarządcę. Wyprowadził z kasy miliony cruzeiro^[81]. Dla mojego męża odkrycie oszustw, jakich dopuszczał się Brazylijczyk, było ciosem prosto w serce. Polegał na zarządcy jak na bracie. Rodrigo został natychmiast zwolniony. Próbował nieudolnie zrzucić winę a to na trudną sytuację finansową, a to na innych współpracowników, kajał się, płakał, rozrywał szaty, na kolanach błagał o wybaczenie, ale Etienne był nieugięty. Ktoś, kto raz nadużył jego zaufania, nigdy nie dostawał drugiej szansy.

Nie zapomnę przepęlnionych nienawiścią oczu zarządcy, kiedy dowiedział się, że już u nas nie pracuje i nie ma szans na rehabilitację. Śnią mi się po nocach, powracają jak bumerang w najgorszych koszmarach i wiem, że nie opuszczą mnie aż do śmierci.

– Co się stało potem? – zapytałam cicho. Niemal namacalnie czułam ból i cierpienie Annemarie, ale nie mogłam zrobić nic, żeby choć trochę jej ulżyć. Mogłam tylko być obok...

– Rodrigo odgrażał się, szantażował męża, mnie, naszego syna. Kilka razy interweniowała lokalna żandarmeria. Po pewnym czasie nastał spokój i wydawało nam się, że zarządca skapitulował. Nic bardziej mylnego. Opętała go chęć odwetu i poprzysiągł sobie, że nie odpuści nam doznanej zniewagi. Miejscowi odwrócili się od niego, nazywali złodziejem i zdrajcą. W takim małym środowisku, gdzie

wszyscy się znają i sobie ufają, łotka złodzieja i oszusta oznacza wykluczenie ze społeczności, zepchnięcie na margines życia, odizolowanie jak kogoś zadżumionego. Tego nie mógł nam darować. Postanowił uderzyć znienacka i odebrać nam to, co kochaliśmy najbardziej...

Tej nocy... – Annemarie zaczęła płakać. – Człowiek, który przez całe lata siedział z nami przy jednym stole, zgotował nam piekło na ziemi. Jak później wykazało śledztwo, zarządca, owładnięty krwawą żądzą zemsty, podłożył ogień pod zabudowania. Gryzący dym i żar poczuliśmy tuż po północy... Zerwaliśmy się z łóżek, w koszulach wybiegliśmy na zewnątrz. Nasza hacjenda tonęła w morzu płomieni. Zostaliśmy porażeni siłą żywiołu, który błyskawicznie i bezlitośnie trawił dorobek ciężkiej pracy pełnej wyrzeczeń, poświęceń, potu, łez i krwi. W pewnym momencie naszych uszu doszedł skowyt Igora... Był to ukochany dog Woutera, który nie namyślając się długo, pobiegł tam, skąd dochodziło rozpaczliwe nawoływanie psa... Ogień buchnął nagle ze zdwojoną siłą i na naszych oczach na syna spadła drewniana belka podtrzymująca wałący się strop. Rzuciłam się jak oszalała w jego kierunku, ale było za późno. Gołymi rękami gasiłam płomienie na skórze mojego jedyne dziecko. Zwierzęcy ryk, który wydobył się z mojej piersi, ciągle dudni mi w głowie, a ciało i serce już na zawsze pokryte są bliznami, których nie jest w stanie zasklepić czas... Mój Wouter jest zawsze ze mną i już niedługo, Anjeska, już niedługo spotkam go znowu... Nie mogę się już doczekać. – Annemarie zamknęła oczy.

Przykryłam ją delikatnie kocem i pogładziłam lekko po twarzy. Byłam zdruzgotana przejmującą i tragiczną historią rodziny de Bruinów.

Zatęskniłam jak nigdy za Stijnem.

W tym momencie mój telefon krótkim dźwiękiem zasygnalizował nadejście nowej wiadomości.

Przytulam się do twoich ust

Ogarniają mnie ramionami

Zatapiają w portowych mgłach

Niezmierzonej tęsknoty

Twoje słowa

Dłonie

Przenikają mnie

Jak żagiel pocałunku

Nadymając policzki

Ciepłym oddechem

Jestem okrętem widmem

Na aksamitnym oceanie

Zaszytym naprędce w kieszeni

Płaszcz niepamięci

Odliczam minuty, liefje...

Już niedługo...

Twój S.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

W mieszkaniu Julki i Prospera panowało istne pandemonium. Większe i mniejsze kartony piętrzyły się chwiejnie pod ścianą, na podłodze pokoju leżały otwarte sfatygowane walizki, a na środku całego chaosu z obłędem w oku krążyła Julia. W życiu nie przypuszczałam, że w takim małym pomieszczeniu można pomieścić tyle rzeczy. Większość kuchennych sprzętów i garstka mebli została już wystawiona na Marktplaats^[82]. Książki, sprzęt stereofoniczny, pięknie odrestaurowany stół oraz miękkie poduchy w kolorach senegalskiej flagi przejęłam ja, może trochę zbyt pochopnie, bo moje własne mieszkanie pękało teraz w szwach.

Julia i Prosper za kilka dni wylatywali do RPA. Kociołek, niepytany o zdanie, emigrował razem z państwem. Wypadek Prospera tylko utwierdził ich w przekonaniu, że postępują słusznie, choć nie był główną przyczyną decyzji o przeprowadzce. Julia nie przyznawała się do tego oficjalnie, ale wiedziałam, że nadal boi się zemsty byłego szefa. W końcu to jej zeznania przyczyniły się do rozbicia międzynarodowej szajki handlarzy żywym towarem i pomimo iż sprawcy siedzieli w areszcie, naiwnie byłoby wierzyć, że ich liczni kamraci tak łatwo odpuszczą. Ze względów bezpieczeństwa emigracja była w tym momencie najrozsądniejszym rozwiązaniem, choć zarówno Julka, jak i Prosper nie wykluczali, że być może za kilka lat powrócą do krainy tulipanów. Rozumiałam ich decyzję, ale w głębi duszy żałowałam, że znowu będziemy tak daleko od siebie. Dopiero co udało nam się na nowo odnaleźć, a los ponownie kazał się rozstawać.

– Kochana, przestań się kręcić między walizkami i przekładać ciuchy bezmyślnie z jednej do drugiej! – zwróciłam się do Julii, chcąc żartobliwą uwagą poprawić swój minorowy nastrój, jaki ogarnął mnie na myśl, że już niedługo zostanę sama. – Wyglądasz jak *kip zonder kop*^[83]! Potrzebujesz mnie, eksperta w pakowaniu. Uporam się z tym chaosem metodycznie w trymiga. – Dumnie wpięłam pierś odzianą w dresiwo na „po domu”.

– W życiu za nic się nie zabierzesz, jeżeli nic z tego nie będziesz miała! – roześmiała się Julka i usiadła zamasyżuje na jednym z kartonów. – Masz rację, nie mogę się zebrać, wszystko leci mi z rąk.

– Pomimo tego skandalicznego pomówienia, jakobym była interesowna, pomogę ci – oświadczyłam łaskawie. – Ale musisz dać mi słowo, że jak tylko ogarniemy ten cały majdan, zrobisz mi kawę i dokończysz swoją opowieść pod tytułem *Julka na kryminalnych holenderskich drózkach*.

– Ha, ha, wiedziałam! – Siostra rzuciła we mnie jedną z największych Prosperowych poduch. – *Deal!*

Zabrałyśmy się ze zdwojoną energią do pracy. Po niespełna dwóch godzinach ubrania spoczywały pedantycznie poskładane w kostkę w walizkach,

a pokój znowu zaczął przypominać normalne miejsce zamieszkania.

Zgodnie z obietnicą Julka zaparzyła nam świeżej kawy. Trzymając w dłoniach wielkie kubki i zaśmiewając się do rozpuku z niczego, usiadłyśmy razem przy stole.

– Opowiadaj! – zarządziłam i upiłam spory łyk aromatycznego napoju.

– Musisz mi przypomnieć, na czym skończyłam. – Julka podwinęła nogi i spojrzała na mnie pytająco.

– O ile dobrze pamiętam, planowałam wykradzenie szefowi paszportów uwięzionych dziewczyn, ale nie wiedziałam jeszcze dokładnie, jak się do tego zabrać.

Julia westchnęła.

– Do dziś nie pojmuję, jak mogłam przypuszczać, że zadzieranie z przestępcami ujdzie mi na sucho... Teoretycznie wszystko wydawało się proste...

Żeby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, postanowiłam upozorować nagłą, niespodziewaną podróż do Polski w sprawach rodzinnych. Poprosiłam o urlop w tym samym czasie, kiedy szef zaplanował ważny wyjazd służbowy. Podczas jego nieobecności chciałam potajemnie wślizgnąć się do jego gabinetu i buchnąć paszporty, mając nadzieję, że nie ukrył ich w sejfie, do którego nie miałam dostępu. Dorobienie klucza do drzwi gabinetu nie było trudne. Oryginał „pożyczyłam” na kilka godzin od sprzątaczek i za parę euro „u Turka” znalazłam się w posiadaniu nowego egzemplarza. Po pracy oznajmiłam, że wracam za trzy dni, pożegnałam się z szefem i koleżankami i poszłam do domu. Mój plan by szalony, nieprzemyślany i bardzo ryzykowny. Napędzała mnie adrenalina i złość na ludzi pokroju właściciela hotelu, którzy za nic mieli ludzką godność.

Wieczorem wróciłam i z ukrycia po drugiej stronie ulicy obserwowałam hotel. Wypasione audi szefa ciągle stało na parkingu przed wejściem. Już prawie straciłam nadzieję, że cokolwiek jeszcze się tego dnia wyjaśni, gdy wtem w drzwiach pojawiła się charakterystyczna barczysta sylwetka właściciela. W rękę trzymał małą torbę podróżną. Rozejrzał się szybko wokół, podszedł do samochodu i z piskiem opon odjechał w kierunku Amsterdamu. Odczekałam chwilę i ostrożnie ruszyłam w stronę jasno oświetlonego wejścia do budynku. O mojej tajnej misji wiedziała tylko jedna osoba. Był to Polak, kierowca hotelowej limuzyny. Nie miałam wyboru. Musiałam komuś zaufać. W pojedynkę nie dałabym rady przetransportować dziewczyn na dworzec autobusowy. Jurek zaparkował białego mercedesa na tyłach hotelu, tuż obok wyjścia ewakuacyjnego, i czekał w pełnej gotowości na mój sygnał. Ukrywając się za jednym z bukszpanów stojących w imponujących kamiennych donicach po obu stronach szklanych obrotowych drzwi, zerknęłam do środka. Hol był pusty. Za szeroką recepcyjną ladą, wpatrując się uważnie w ekran komputera, siedziała najstarsza i najbardziej doświadczona

pracownica hotelu, Miriam, Holenderka. Była niezwykle bystra i miała wyćwiczoną trójdzielność uwagi. Potrafiła ze swadą rozmawiać z klientem po niemiecku, symultanicznie wbijając jego dane do systemu po holendersku i upominać po angielsku plotkując zbyt głośno za jej plecami sprzątaczkę. Na pewno nie przeoczyłaby mojego wejścia. Musiałam na cito wymyślić jakiś podstęp, żeby wywabić ją na chwilę z recepcji. Nie miałam czasu. W każdej chwili w holu mogli pojawić się nowi goście.

Nie zastanawiając się długo, wybrałam hotelowy numer. Miriam odebrała już po pierwszym sygnale.

– *Goede avond, Hotel de Blauwe Lagune, met Miriam ter Schure*^[84].

– Cześć, Miriam! – powiedziałam, przysłaniając lekko dłonią głośnik telefonu. – Mówi Julia. Nie ma mnie na miejscu, dlatego mam do ciebie ogromną prośbę...

Koleżanka wzniosła ostentacyjnie oczy, nie zdając sobie oczywiście sprawy, że ją obserwuję. Jej głos nie zdradzał żadnych oznak zniecierpliwienia. Była jak zwykle profesjonalnie miła.

– Słucham, w czym mogę ci pomóc? – Nigdy mnie nie lubiła.

– Mogłabyś sprawdzić w biurze, czy przyszedł do mnie faks, bardzo ważna sprawa służbowa, z gatunku tajne przez poufne. – Próbowałam ją zainteresować i znając jej ciut zbyt wysokie mniemanie na temat własnej wyjątkowości i bycia niezastąpioną, z pełną premedytacją dodałam: – Nie chciałabym, żeby trafił w niepowołane ręce, a tobie ufam bezgranicznie... – blefowałam jak stary mafioso.

– Sprawdzę to później. Jestem sama w pracy, nie mogę wyjść. – Próbowała grać służbistkę, ale wiedziałam, że złapała się już w rozpostartą misternie sieć pochlebstw.

Biuro znajdowało się na tyłach recepcji. Skontrolowanie, czy mój urojony faks dotarł, zajęłoby jej góra dwie minuty. Dokładnie tyle, ile potrzebowałam na dyskretne przemknięcie schodami na pierwsze piętro.

– Szkoda... to dla mnie naprawdę bardzo ważne... – Zawiesiłam na chwilę głos, w którym pobrzmiwała delikatna nuta rozczarowania.

Miriam rozejrzała się dookoła, wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Zrobię to dla ciebie. Zaraz to sprawdzę. Choć to wbrew regulaminowi! – Nie mogła oczywiście powstrzymać się od niepotrzebnego komentarza. Zapewne po to, żebym bardziej doceniła jej niezwykle poświęcenie.

– Jesteś aniołem. Zadzwoń później! Dziękuję! – Nacisnęłam przycisk z czerwoną słuchawką i z napięciem wpatrywałam się w poczynania nieświadomej niczego Miriam.

Od razu po odłożeniu telefonu, poprawiając przekrzywiony identyfikator z nazwiskiem, udała się na tyły recepcji. Czego jak czego, ale obowiązkowości nie można było jej odmówić. W momencie kiedy jej sylwetka zniknęła z pola

widzenia, błyskawicznie otworzyłam drzwi i najciszej jak umiałam pobiegłam na górę. Gruby dywan tłumił pospieszne kroki. Miałam niesamowitego farta. W środku tygodnia gości było zwykle mniej.

Z duszą na ramieniu stanęłam przed drzwiami gabinetu szefa. Ostrożnie włożyłam klucz do zamka, przekręciłam go gładko dwa razy i nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły pod naporem mojej dłoni. Wrota jaskini lwa stały przede mną otworem. Nie namyślając się długo, podbiegłam do okna, otworzyłam je i gwizdnęłam cicho na palcach. Z dołu odezwał się głos Jurka.

– Wszystko okej, szefowa. Teren czysty! Gdyby coś poszło nie tak, to według umowy stosujemy nasz sygnał! Jeden przeciągły gwizd i dwa krótkie! – Jurek nie okazywał ani śladu emocji. Po sekundzie do mojego wrażliwego nosa doszedł zapach papierosowego dymu.

Zaczęłam otwierać i przeglądać metodycznie wszystkie szuflady masywnego, stylizowanego na Ludwika XV biurka. Ręce drżały mi ze zdenerwowania, serce biło tak, jakby za chwilę chciało wyskoczyć mi z piersi. Ogarnął mnie wręcz paniczny strach i paraliżujące przekonanie, że porwałam się z motyką na słońce. Ta karkołomna misja musiała zakończyć się fiaskiem.

Dokładnie w chwili, gdy chciałam trzasnąć z rezygnacją szufladą i dać Jurkowi znak do odwrotu, natrafiłam na staromodną kartonową teczkę formatu A4, związaną bawełnianą tasiemką. Odwiązałam ją pospiesznie. Ze środka teczki na dywan wysypało się kilkanaście książeczek. Bingo! Znalazłam zaginione paszporty! Zebrałam je błyskawicznie z podłogi, wrzuciłam do torby i podbiegłam ponownie do okna.

– Jurek – syknęłam przeciągle. Pojawił się natychmiast w zasięgu mojego wzroku. – Leć po dziewczyny do piwnicy i odpalajcie silnik – poleciłam. – Mam dokumenty. Spadamy! Szybko!

Więźniarki już od wczoraj siedziały jak na rozżarzonych węglach, wiedząc, że ratunek jest bliski. Miały być spakowane i przygotowane do opuszczenia kryjówki w ciągu pół minuty. Jurek pognął na najniższą kondygnację hotelu – oficjalnie był w pracy, nie musiał się ukrywać – a ja w tym czasie pozamykałam wszystkie szuflady i uporządkowałam z grubsza biurko, na którym poniewierały się stosy powyciąganych przeze mnie dokumentów. W momencie kiedy złapałam za klamkę, chcąc opuścić gabinet szefa, usłyszałam nagle na korytarzu jego podniesiony głos. Nogi ugięły mi się w kolanach. W ataku kompletnej paniki rzuciłam się w kierunku okna, chwyciłam mocno torbę z paszportami, przewiesiłam ją sobie przez ramię i nie namyślając się długo, skoczyłam w dół, prosto na wypielęgnowane różane rabatki. Wieść gminna niesie, że podobno szaleńcy mają szczęście, i coś w tym jest, bo podrapana do krwi, ale cała i zdrowa wylądowałam na trawniku.

Z okna gabinetu szefa na górze dobiegła mnie wiązanka siarczystych

przekleństw, ale bałam się nawet spojrzeć w tamtym kierunku. Poderwałam się błyskawicznie i pognałam w kierunku zaparkowanej na rogu ulicy limuzyny. Samochód stał na światłach awaryjnych. Ledwo wskoczyłam do środka, Jurek ruszył z kopyta. Obejrzałam się za siebie. Z tyłu siedziały wystraszone i płaczące histerycznie dziewczyny. Odetchnęłam z ulgą.

W oddali słyszałam przeciągły ryk policyjnego radiowozu. Jurek spojrzął na mnie z nieukrywanym przerażeniem.

– Szefowa, zmiana planów – zdecydował szybko. – Tu potrzebne są gliny! Sami nie damy rady! A ty musisz na pogotowie. Jesteś ranna!

Na moim swetrze widniały coraz bardziej powiększające się brunatne plamy. Zerknęłam do lusterka zamontowanego w osłonie przeciwsłonecznej nad głową. Moją zadrapaną twarz pokrywała świeża i zakrzepła krew, w zlepionych włosach pełno było połamanych różanych łądyg z kolcami. Wyglądałam jak Jezus z koroną cierniową na głowie. Podwyższony poziom adrenaliny działał niczym narkotyk, kompletnie nie czułam bólu.

– Jedź na posterunek – zgodziłam się potulnie. – Chyba nie mamy już innego wyjścia – dodałam, widząc w lusterku wstecznym dwa radiowozy na sygnale z migającymi na przemian niebieskimi i czerwonymi światłami.

– Sam ich zawiadomiłem... Było za późno, żeby cię ostrzec, że szef wrócił do hotelu. Tak jest lepiej. Ta cała afera mogła skończyć się tragicznie. Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Przyznałam mu rację. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy...

Julka urwała swoją opowieść. W pełnej napięcia ciszy, która zapadła nagle w pokoju, jak wystrzał armatni rozległ się dźwięk mojej komórki.

– Halo! – krzyknęłam zniecierpliwiona.

Pod drugiej stronie usłyszałam cichy głos Stijna.

– *Liefje*... przyjeźdź jak najszybciej, proszę... Przed chwilą umarła babcia...

Rozdział pięćdziesiąty

Do życia nie można się przyzwyczajać. Odejdzie. Do śmierci trzeba przywyknąć. Przyjdzie. Zapuka do naszych drzwi ubrana w kolory zaskoczenia lub oczekiwania. W ciemność bólu, cierpienia, żałości. W jasność ukojenia, spokoju, ciszy. Porwie nas rydwanem zaprzężonym w długowłose fryzycycki, hen aż pod niebieskie wrota, gdzie przyjdzie nam zapłacić ostatnie ziemskie rachunki przed wejściem na łąki wiecznej beztroski. Weźmie nas za rękę, poprowadzi jasną drogą, bezkresem niepośpiechu zamknie oczy i chwyci mocno naszą dłoń. Nie bój się mnie... już nie bój.

Śmierć okryła Annemarie miękkim całunem w momencie, kiedy noc witała się leniwie z porankiem. Zasnęła na zawsze w ciszy, tam, gdzie czekali na nią bliscy. Wypatrywali jej od dawna, pojawiali się w snach, przyzywali do siebie, wołali z coraz bliższej dali na granicy nieba i ziemi. W końcu ich tęsknota znalazła ukojenie.

Odejście ostatniej osoby z bliskiej rodziny było dla Stijna ogromnie trudne. Wiedział, że ta chwila nadejdzie, ale z naiwnością dziecka ufał, że nastąpi to w nieokreślonym czasowo, nieskończonym bezmiarem nadziei słowie „jutro”, które nigdy nie nastanie. Byłam z nim, przy nim, obok, każdego dnia, patrząc na cierpienie, którego nie umiałam złagodzić tak, jak bym chciała. Tak naprawdę każdy z nas w chwilach najgłębszego bólu zostaje sam i w pojedynkę mierzy się ze ścianą płaczu, przez którą wolniej lub szybciej przechodzi na drugą stronę. Tam czekają na niego ci, którzy pozostali. Tam czekałam i ja.

Ceremonia pochówku odbyła się w wąskim gronie przyjaciół rodziny de Bruinów. Pożegnaliśmy starszą panią w dużej auli domu pogrzebowego, gdzie przy dźwiękach jej ukochanego koncertu fortepianowego e-moll Fryderyka Chopina wspominaliśmy niezwykłego człowieka, jakim była. Ciepłe, pełne wzruszeń przemowy przeplatane były czarno-białymi zdjęciami Annemarie, wyświetlanymi na ekranie umieszczonym w centralnej części auli. Na fotografiach uchwycono jej niezwykłą siłę, radość życia, miłość do ludzi i niepohamowaną ciekawość świata. Każde zdjęcie dawało świadectwo wyjątkowości tej kruchej istoty, której życie naznaczyły równoległe biegnące ścieżki miłości i cierpienia. Ciało starszej pani, zgodnie z jej życzeniem, zostało skremowane. Urna z prochami spoczęła w grobowcu rodzinnym na leśnym cmentarzu w Bloemendaal. Kamienne nagrobki tonęły tu w morzu zieleni, malowane bezgłosem cienia stuletnich sosen i dopiero co wypuszczających pąki młodych drzew, przypominających, jak nic innego na ziemi, o sile przemijania i cudzie narodzin.

Nie chciałam zatruwać tego dnia jadem złych myśli, wywołujących erupcje negatywnej energii, ale nie miałam kompletnie wpływu na reakcję mojego umysłu i ciała na żałobne przedstawienie, jakie urządziła Liane. Przybyła na pogrzeb

przebrana za czarnego łabędzia i od razu samozwańczo wcieliła się w rolę głowy rodu de Bruinów. Przyjmowała rozliczne kondolencje, rozdzielala miejsca podczas zwyczajowego poczęstunku po ceremonii pogrzebowej, dyrygowała personelem układającym stosy kwiatów. Ba, wygłosiła nawet mowę do gości, którym w imieniu „rodziny” dziękowała za liczne przybycie. Starałam się nie zwracać uwagi na jej nachalną obecność, najważniejszy był dla mnie Stijn i jego samopoczucie. Liane ignorowałam kompletnie przy zachowaniu pozorów dobrego wychowania. Nie pozostawała mi zresztą dłużna, zwracała się wyłącznie do Stijna, traktując mnie jak powietrze.

Pomimo bólu straty po kimś, kogo pokochałam od pierwszego wejrzenia, od tego pamiętnego dnia, kiedy po raz pierwszy przekroczyłam progi willi w sosnowym lesie, czułam niedającą się racjonalnie wytłumaczyć radość z niezachwianego przekonania, że Annemarie pije właśnie teraz popołudniową herbatę z ukochanym Etienne’em i Wouterem. I że właśnie teraz jest szczęśliwa. Musieliśmy się z nią rozstać dla jej dobra.

Wieczorem usiedliśmy ze Stijnem na kanapie w domu zmarłej. Czekają nas mnóstwo pracy związanej z uporządkowaniem archiwum pełnego pamiętek dokumentujących całe życie rodziny de Bruinów. Pomimo palącego się w kominku ognia czuliśmy przejmujące zimno. Nie było już z nami osoby, która codziennie ogrzewała nasze zziębnięte dusze swoją obecnością. Przewieszony przez oparcie fotela ciepły szal Annemarie przywołał czułe wspomnienia. Delikatnie pogładziłam miękką fakturę materiału. Podniosłam delikatny jak mgiełka materiał i przytuliłam do niego swój policzek. Poczulałam delikatny zapach ulubionych perfum jego właścicielki. Stijn przypatrywał mi się bez słowa. Podeszłam do niego i objęłam go, wtulając się cała w jego silne ramiona.

– Kochanie... wiem, jak ci ciężko. Chciałabym ci pomóc, złagodzić twój ból.

– Łagodzisz go... jesteś ze mną...

Wyjęłam z torby stary, sfatygowany zeszyt, który zawsze nosiłam przy sobie.

– Chciałam ci opowiedzieć niezwykłą historię swojego rodu. Zrozumiesz wtedy, dlaczego dokładnie wiem, co teraz czujesz. Rozpoznaję każdą najmniejszą cząstkę twojego cierpienia, doświadczyłam go wraz z odejściem najbliższej mi osoby, która, tak jak Annemarie, w końcu wróciła do swoich. Mój tata wraz z całą rodziną stracił zdrowie na dalekiej Syberii. Dziadek Władysław i babcia Fela wraz z piątką dzieci: Janką, Irką, Stasiem, Karolem i Władkiem, moim tatą, zostali w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku z dnia na dzień pozbawieni dachu nad głową, załadowani do bydłowych wagonów i wywiezieni w nieznane, gdzieś za Ural, gdzie przeżyli piekło na ziemi. Ojciec niechętnie o tym mówił, pisał pamiętniki, miał lekkie pióro i jego opowieści czytało się z wypiekami na twarzy. Istny kryminał, z tą różnicą, że to była *true story*^[85]. Tata, schorowany, umarł jako

ostatni z rodzeństwa. W ostatnich latach bardzo brakowało mu rodziny, często ją wspominał, wracał pamięcią do lat beztroski, które bezpowrotnie zabrała mu wojna. Z tych wspomnień powstała moja bajka. Pomogła przetrwać mi najgorsze chwile po jego śmierci. Piszę w niej o miłości, która zwycięży wszystko.

– Opowiedz mi ją... teraz – poprosił Stijn, opierając głowę na moim ramieniu.

– Mój tata... nigdy go nie zapomnę – zaczęłam cicho – drzemie nadal w zagnieceniu kołnierzyka pocerowanej kraciatej koszuli. Widzę go w zaparowanych od gorącej kawy szklach okularów, w silnych, spracowanych dłoniach czeszących moje niesforne długie włosy, w wychudzonych, pociętych drobną siateczką sinoniebieskich żyłek rękach, które leżą na szpitalnej kołdrze. Widzę jego jasną głowę na nadniemeńskich, beztroskich śmiechem bulwarach i pochylone syberyjską katorgą i cierpieniem plecy z ranami po kijach stalinowskich oprawców. Trwa w wyblakłych błękitnoszarych oczach, w których czai się strach. W melodii rosyjskich ballad, które kochał, w czerwonej, błyszczącej karoserii wymarzonego skutera, w kubku z kompotem z rabarbaru i ulubionym drożdżowym cieście, jeszcze ciepłym, wyjadanym prosto z blachy. Znajduję go w aksamitnej wstążce żółtych tulipanów na łące za naszym domem. Nadal jest siłą, która odciąga mnie od przepaści, energią, która wciąż mi daje, mimo że już tyle lat go nie ma...

Otworzyłam swój zeszyt. Dotknęłam lekko opuszkami palców zapisanych równym, starannym pismem stron. Poczułam muśnięcie skrzydła anioła z przeszłości.

Dobry, czuły dotyk.

Dotyk ukojenia.

Popołudniowe słońce wcisnęło się z trudem pomiędzy dwie kraciate zasłonki otulające okno i rozlało się świetlistą plamą na wyszorowane do białości deski podłogi. Wesole promyki rozbiegły się po przytulnym wnętrzu, rozgoniły pyłki kurzu w kątach, po czym zamigotały radośnie w srebrnych spinkach wsuniętych ciasno we włosy starszej kobiety stojącej przy kuchni. Ta, odziana w bładoniebieski fartuch, mieszała energicznie drewnianą łyżką w emaliowym garnku. Zapach gotującej potrawy unosił się delikatnie cieniutką chmurką pary aż pod drewniane belki na suficie chaty.

– Felicjo, jak zwykle spisałaś się na medal. Zupa jest pyszna – szepnęła sama do siebie kobieta i roześmiała cichutko, przelewając wielką chochlą zawartość garnka do pękatej wazy, którą postawiła na stole nakrytym białym obrusem. Zdążyła jeszcze wygładzić drobną, spracowaną dłonią prawie niewidoczne zagniecenia wykrochmalonego materiału i wyprostować zgiętą łodygę kwiatka w wazonie, zanim dało się słyszeć głośnie tupanie w sieni.

– Fela, jestem! – Tubalny głos wibrował wesoło w cichym do tej pory

wnętrzu. Wraz z nim pojawił się w izbie starszy, niski mężczyzna w szarym swetrze i roboczych spodniach. – Obiad gotowy? – Popatrzył z nadzieją w stronę porcelanowej wazy pyszniejącej się na środku stołu.

– A jak to tak bez obiadu, Władziu! – oburzyła się Felicja i pogroziła mężowi palcem znad gorącej jeszcze płyty kuchni. – Dzieci tylko patrzeć. – Zerknęła jeszcze ukradkiem przez okno na podwórze i zaczęła kroić miodowy chleb na grube, równiutkie pajdy. Ułożyła je w koszyczku obok wazy, po czym podeszła do kredensu i uśmiechając się tajemniczo, wyjęła z niego talerze na zupę.

W tej chwili do wnętrza wpadły dwie młode dziewczyny, śmiejąc się i przekrzykując jedna drugą:

– Mamo! Tato! Jesteeeeeśmy taaakie głodne! Co na obiad?! Jakie zapachy! Pyszny chleb, mój ulubiony! – Starsza z dziewcząt z błyszczącymi oczyma „zajadała” już stojący na stole posiłek.

– Irka, Janka, a bądźcie wy cicho, papugi! – śmiał się Władysław, pociągając starszą córkę Jankę za gruby, ciemny warkocz. – Zaraz siadamy do stołu, ręce myjcie, dziewczyny! Chłopaków tylko patrzeć!

– Najzdolniejszy syn już jest! – Przez otwarte na oścież drzwi wsunęła się do środka jasna głowa uśmiechniętego od ucha do ucha chłopaka. – Tylko mam nadzieję, że jeść coś tu dostanę.

– Karol, Karol, a jak myślisz? Twoja ulubiona zupa już paruje na stole – obruszyła się Felicja, ponownie zerkając w stronę okna.

– A Stasinek gdzie? Jak zwykle musimy na niego czekać i wszystko wystygnie – białoliła Irka, sadowiąc się już na swoim miejscu przy stole.

– Widziałam go przy drodze, jak umawiał się z tą Marysią od sąsiadów. Znacie przecież Staśka, żadnej dziewczynie we wsi nie przepuści – śmiała się Janka.

– Skaranie boskie z tym chłopakiem – gderała Felicja, przecierając jednocześnie szklanki na świeżutki kwas chlebowy. – Czy on już nigdy się nie ustatkuje i już zawsze ino siano w głowie mieć będzie?

– Czy ja przypadkiem swojego imienia nie słyszałem? Siano w głowie to tylko u mnie być może. – Do kuchni wszedł, śmiejąc się, czarny jak diabeł młody mężczyzna. – Mam nadzieję, że kiedyś docenicie w końcu najprzystojniejszego faceta w całej rodzinie. – Ciemne jak studnia oczy chłopaka błyszczały figlarnie. Urwis doskoczył do matki, galantnie spracowaną dłoń rodzicielki ucałował i zakręcił się zwinnie obok sióstr, łapiąc je jednocześnie za dorodne warkocze.

– Stasiak, wariacie! – piszczały dziewczyny, aż ojciec uszy musiał zatykać, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy pooranej drobną siateczką zmarszczek.

– To co, dzieci, zaczynamy! – oznajmił pan domu, uderzając łyżką o drewniany blat stołu, coby to rozbawione towarzystwo do porządku przywołać.

– Poczekajmy jeszcze chwilkę – zaoponowała Felicja i znowu wyjrzała przez

kuchenne okno.

– Ale Felu, przecież wszyscy już są! Na kogo jeszcze czeka... – Mężczyzna urwał nagle i popatrzył uważnie w oczy żony. – Czyżby to już czas?

– Tak, to już czas – odpowiedziała Felicja i wyjęła z kredensu ostatni, siódmy talerz, który postawiła obok nakrycia męża.

W pokoju zapadła cisza. Nawet migające nieustannie promienie słońca przysiadły na chwilę na białej plamie obrusa.

A tymczasem w oddali pojawiła się na horyzoncie sylwetka młodego, przystojnego mężczyzny z blond czupryną, z przewieszonym przez ramię jasnym prochowcem i małym plecakiem w ręku.

Domownicy wyszli na zewnątrz, na malutki ganek otoczony geranium, i w milczeniu obserwowali zbliżającego się wędrowca.

Felicja wystąpiła krok naprzód i łamiącym się ze wzruszenia głosem wyszeptała:

– Witaj, synku... W końcu jesteśmy już wszyscy razem.

Zamknęłam powoli zeszyt.

Świeca na stole zgasła nagle jak za podmuchem niewidzialnego wiatru.

A może oddechu.

Ciepłego oddechu ludzi, którzy wprawdzie odeszli, ale wciąż pozostawali z nami.

Stijn zasnął ukołyszany melodią moich słów...

– Kocham cię... – szepnęłam, patrząc na jego wypogodzoną spokojem twarz.

Zawsze będę cię chronić...

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Mój debiutancki artykuł do gazety „Halo Polonia” napisałam, siedząc wieczorami na tarasie apartamentu w Zandvoorcie. Tekst nosił oryginalny tytuł: *O! Holender*. Opisywałam w nim pierwsze doświadczenia świeżo upieczonej emigrantki w kraju tulipanów. Równocześnie z pracą nad artykułem numer jeden zbierałam materiały do kolejnego tekstu, o tutejszym wymiarze sprawiedliwości i systemie penitencjarnym. Moim głównym źródłem informacji był oczywiście pan prokurator. Pouczające i mądre rozmowy z Janem dodawały mi animuszu i napędzały do działania. Ogarnął mnie głód nauki, nowych informacji, nieodparta chęć inwestowania w swój rozwój. Obłożona książkami, słownikami i gazetami czułam się jak ryba w wodzie. Coraz lepiej szła mi również nauka języka holenderskiego. Codziennie przed snem Stijn odpytywał mnie z nowych słówek, dopingował i chwalił moje nieprzeciętne, jak sam twierdził, postępy w przyswajaniu tego trudnego języka.

W pracy rozmawialiśmy po polsku, młody i dynamiczny zespół redakcyjny stanowili bowiem głównie emigranci z kraju nad Wisłą, zapaleńcy i pasjonaci dziennikarstwa, którzy nieustannie poszerzali swoje horyzonty, uznając to za najlepszą lokatę kapitału na przyszłość.

Otaczała mnie dobra energia. Czułam całą sobą, że dokładnie teraz jestem we właściwym miejscu swojego życia.

Pakując książki i notatniki do gigantycznej, wiecznie przeładowanej listonoszki, dopiłam kawę i wyjrzałam przez okno oficyny na zatłoczoną jak zwykle Kerkstraat. Moich uszu doszedł jednostajny harmider samochodowych klaksonów i rowerowych dzwoneczków, bez których nie wyobrażałam już sobie melodii tego miasta. Wrósł mi pod skórę i płynął w krwiobiegu. Amsterdam można było albo kochać, albo nienawidzić. Żadne letnie, pośrednie uczucia nie wchodziły w grę.

Wychodząc na kolorową, przepelnioną popołudniowym pośpiechem ulicę, pomyślałam o Bożence. Postanowiłam zrobić jej niespodziankę i wpaść w odwiedzinę. Dawno się nie widziałyśmy, zatęskniłam nagle za jej autentycznością, szczerością i rubasznym humorem. Rozglądając się uważnie wokół, przyspieszyłam kroku i niemalże w ostatniej chwili wskoczyłam do biało-niebieskiego tramwaju numer pięć. Rozsiadłam się przy rozświetlonym słońcem oknie, postawiłam ciężką torbę tuż przy nogach i zatopiłam się w chaotycznie rozbieganych myślach.

Martwiła mnie nieco ciągła nieobecność Stijna. W ciągu ostatniego czasu machina holenderskiej biurokracji i papierologii wciągnęła go bez pardonowo w swoje tryby. Wydawać by się mogło, że skoro był jedynym sukcesorem Annemarie, wszystkie formalności spadkowe powinny zostać załatwione w miarę

szybko. Próżne nadzieje. Rodzina de Bruinów posiadała spory majątek ulokowany głównie w licznych nieruchomościach, rozsianych na północy Holandii. Spotkania z inwestorami, prawnikami, doradcami podatkowymi zajmowały mu mnóstwo czasu i kiedy wracał wieczorami do domu, marzył wyłącznie o łóżku. Wspierałam go duchowo, rozpieszczałam kulinarnie, starając się codziennie przygotować smaczny i pożywny posiłek. W tej kwestii mogłam liczyć na Julkę. Gotowanie było jej pasją, w związku z czym dysponowała olbrzymią liczbą oryginalnych i nieskomplikowanych przepisów. W sam raz dla takiego laika jak ja.

Przedwczoraj, podczas wyjątkowo późnej kolacji, Stijn zadał mi pytanie, które ciągle jeszcze leżało mi kamieniem na sercu.

– Kochanie... – Miałam wrażenie, że był zmieszany i nie bardzo wiedział, od czego zacząć. – Popraw mnie od razu, jeżeli się mylę, ale wydaje mi się, że nie lubicie się z Liane?

Popatrzyłam na niego spokojnie i odłożyłam na bok trzymane w ręku sztuce.

– Popraw mnie od razu, jeżeli się mylę – powtórzyłam dokładnie jego słowa – ale wydaje mi się, że powrót twojej byłej żony do Holandii nie miał bynajmniej na celu dalszego pogłębiania kariery zawodowej na rodzimym gruncie.

Na jego twarzy odmalowało się nieme zdziwienie.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Mogłabyś mi to wyjaśnić? W jakim niby to innym celu Liane miałyby wracać do Amsterdamu? – Jego oczy nagle pociemniały. Widziałam w nich tak obce mi do tej pory znużenie i zniecierpliwienie.

– Nie bądźmy dziećmi! – prychnęłam zażenowana niekontrolowaną niechęcią w głosie, kiedy mówiłam o jego byłej, i nieco zaniepokojona kierunkiem, w którym zmierzaliśmy w tej rozmowie. Nigdy wcześniej nie zwracaliśmy się do siebie takim zimnym tonem. – Wydaje mi się, że wróciła wyłącznie po to, żeby cię odzyskać. – Postanowiłam grać w otwarte karty.

Stijn patrzył na mnie jak na ducha.

– Doskonale to określiłaś – powiedział. – Wydaje ci cię. Bo to kompletna bzdura!

– Skąd ta pewność? – Nadal szłam w zaparte. Nie chciałam opowiadać mu o naszym ostatnim spotkaniu z Liane i otwartej wzajemnej wrogości, której absolutnie nie kryłyśmy podczas słownego starcia. Doskonale wiedziałam, że próbowałby mi wmówić, że to tylko moja wyobraźnia i błędne interpretowanie faktów.

– Wybacz, że to powiem, ale znam Liane o wiele dłużej niż ty. To, co mówisz, kompletnie nie ma sensu. Rozwiedliśmy się nie bez powodu. Pomędzy nami już od dawna niczego nie ma. Owszem, kiedyś bardzo się kochaliśmy, ale to już przeszłość. Żywię do niej ciągle ciepłe, przyjacielskie uczucia, nie zaprzeczam,

ale nigdy już do siebie nie wrócimy. Co ci przyszło do głowy, żeby wysnuwać bezpodstawnie tak niedorzeczne teorie?

„Faceci!”, pomyślałam z rezygnacją. „Nigdy nie zrozumieją, do czego zdolna jest kobieta, kiedy zapragnie, choćby dla kaprysu, odzyskać dawną miłość”. Nie zamierzałam jednak dłużej dyskutować ze Stijnem na ten temat. Postanowiłam obserwować Liane i w momencie, kiedy uznam, że posuwa się za daleko, wkroczyć do akcji. Stijnowi ufałam bezgranicznie. Nie miałam żadnych podstaw do najmniejszych wątpliwości w kwestii jego uczuć do mnie. Nigdy mnie nie zawiódł ani nie okłamał. Zaufanie stanowiło najważniejszą podstawę każdego związku i tej teorii zamierzałam się trzymać.

Przez chwilę byłam nieobecna duchem. Stijn, zaniepokojony moim przedłużającym się milczeniem, wstał nagle i podszedł do mnie. Chwycił delikatnie moje dłonie i powiedział cicho:

– Głuptasie... przecież ty doskonale wiesz, kogo kocham najbardziej na świecie. Jesteś moją dobrą wróżką, oparciem, wyzwoleniem, najlepszym kumplem, moją cudną poetką i wysnioną kochanką. Nikt nigdy nie stanie między nami... obiecuję ci to. A teraz chodź do mnie... tęskniłem za tobą cały dzień i choć twoja lazania nie ma sobie równych, mam w tej chwili ochotę na coś zupełnie innego...

Roześmiałam się z ulgą i zatopiłam cała w jego objęciach.

Znowu było dobrze.

O mały włos, a przegapiłabym przystanek, na którym powinnam wysiąść. Moje roztargnienie było znane. „Typowa śpiąca królewna”, zaśmiałyby się z pewnością redaktor naczelny, który z rozbawieniem przyglądał mi się zawsze, gdy wpadałam w wir myśli i twórczy trans. „Jesteś niecodzienna”, powtarzał i gratulował w myślach sobie i swojej intuicji, która od razu wiedziała, że kogoś takiego jak ja nie można przegapić. Schlebiało mi to i stanowiło bodziec do dalszych starań, by nie zmarnować nieograniczonego kredytu zaufania, jakiego mi udzielił.

Patrząc na zegarek, szybkim krokiem pomaszero wałam w kierunku kamienicy, gdzie mieszkała Bożenka. Miałam nadzieję, że będzie w domu. Według moich obliczeń pracowała dzisiaj na drugą zmianę.

Miałam szczęście. Przyjaciółka otworzyła drzwi od razu po pierwszym dzwonku. Zaskoczona i rozpromieniona zamknęła mnie w miękkim uścisku pulchnych ramion. Pachniała domem i rosółem. Poczułam się jak mała dziewczynka. Momentalnie otuliła mnie jej czułość i poczucie bezpieczeństwa. I grad pytań, którymi, jak to ona, w okamgnieniu mnie zasypała.

– Kochanie, tak się cieszę, że cię widzę! Chodź szybko na górę, właśnie ugotowałam obiad. Jak się czujesz? Zeszczuplałaś! Jak praca? A twój ukochany? No, mów szybko, czemu nic nie mówisz?

Śmiałam się, idąc za nią po karkołomnie wąskich schodach, śmiałam się,

zasiadając przy nakrytym stole, i śmiała się, kiedy stawiała przede mną parujący talerz z domową zupą. Od kiedy pamiętam, Bożenka wywoływała we mnie wyłącznie pozytywne emocje. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo było mi jej brak. Relacjonowałam powoli ostatnie wydarzenia, pogrzeb starszej pani, pierwsze sukcesy w pracy, nowe znajomości oraz zbliżający się nieubłagane wyjazd Julki i Prospera. Przyjaciółka patrzyła na mnie z ciepłym zainteresowaniem w dobrych, życzliwych oczach i co chwila podsuwała mi nowe smakołyki.

– A teraz twoja kolej. Opowiadaj! – zażądałam stanowczo między kęsem wybornej pieczeni okraszonej sownicą ciemnym sosem myśliwskim a łykiem kompotu z rabarbaru.

Bożenka wygładziła dłonią niewidzialne zagniecenie na idealnie wyprasowanym obrusie.

– Co chcesz wiedzieć, kochanie?

– Wszystko! Co u was? Jeroen jest nadal tak samo fantastycznym szefem jak do tej pory? – zagadałam pozornie beztroskim tonem. Tak naprawdę sama przed sobą bałam się przyznać, że ciągle jeszcze nie był mi całkowicie obojętny. Nadal czułam wyrzuty sumienia, że złamałam mu serce. Tak bardzo pragnęłam, żeby czuł się szczęśliwy i w końcu ułożył sobie życie. Zasługiwał na to jak nikt inny.

– Mamy ogromnie dużo pracy. Firma dostała nowy kontrakt. Zleceń przybywa z każdym dniem. Poza tym przeprowadzamy się na dniach do nowego, większego biura. Ale chyba nie to chciałaś wiedzieć? – Bożenka uśmiechnęła się znacząco i bezwiednie dołała kompotu do pustej już szklanki.

– Doskonale mnie znasz, czarownico! Nie, nie to chciałam wiedzieć.

– Jeroen jest bardzo skryty. Wydaje mi się nawet, że od tej historii z tobą jeszcze bardziej chroni swoją prywatność. Cenię go za to, że nigdy przenigdy nie zmienił stosunku ani do mnie, ani do Romków. W końcu trafiliśmy tam na twoją prośbę. Niewielu ludzi potrafi w tak profesjonalny sposób rozdzielić sprawy prywatne od zawodowych. To bardzo dobry szef. Ludzki człowiek. I wybac mi, ale i tak to powiem, Aga. Nadal uważam, że idealnie do siebie pasowaliście.

– Cenię twoją szczerość, Bo. Gdyby w Holandii, tak jak w Senegal, dopuszczalne było wielożeństwo, uwierz mi, że miałabym dwóch mężów.

– Rozczaruję cię, kochana. Ten przywilej dotyczy wyłącznie mężczyzn. To oni mogą mieć dwie, trzy, a nawet dziesięć żon. Ale nie my, kobiety.

– To czysta dyskryminacja! – Udałam oburzenie, wznosząc znacząco oczy, po czym położyłam dłoń na szorstkiej, spracowanej ręce Bożeny i szybko dodałam: – Żartuję oczywiście. Nie interesuje mnie podwójna miłość. Wierzę, że dokonałam słusznego wyboru. I nie zamierzam więcej analizować jego przyczyn ani skutków. Czas pokaże, czy miałam rację.

Bożena wstała nagle od stołu i podeszła do okna. Jej czułe ucho wychwyciło charakterystyczny warkot znajomego samochodu. Na dole zatrzymała się

furgonetka z kolorowym napisem „Paprikakwekerij – Groeneveld BV”, z namalowaną na bocznych, rozsuwanych drzwiach dorodną, śmiejącą się papryką. Z szoferki wyskoczył Tadzik i spoglądając w okna mieszkania, pomachał wesoło matce.

Bożena chwyciła stojący na kuchennym blacie zapakowany starannie w folię plastikowy pojemnik z ciepłym posiłkiem dla syna.

– Nie chcę, żeby jadł jakieś tam ichnie fastfudy. – Popatrzyła na mnie porozumiewawczo. – Nie ma to jak domowy, zdrowy obiadek.

– Rozpieszczasz go! – roześmiałam się i również wstałam od stołu. – W życiu nie znajdzie dziewczyny, która ci dorówna.

Zeszliśmy razem na dół. Tadzik przywitał się ze mną serdecznie, chwycił pakunek z obiadem, ucałował rękę matki i już go nie było.

– Pracuje za trzech! – westchnęła Bożenka. – Ubzdurał sobie ten motor i nie spocznie, póki go nie będzie miał.

Na mnie również przyszła pora. Uściskałam mocno przyjaciółkę i obiecałam, że będziemy spotykać się częściej.

Szłam wolno ulicą, rozkoszując się ciepłym wiatrem, który delikatnie plątał moje włosy. Nie chciało mi się wsiadać do tramwaju. Charakterystyczne uliczki wzdłuż wszędobylskich kanałów wabiły mnie swoim przytulnym klimatem. W oknach krzywych, wąskich kamienic pyszniły się krwistoczerwone pelargonie, na zewnętrznych schodach wiodących na półpiętro siedzieli mieszkańcy domów z kubkami kawy w dłoniach i świeżą gazetą. Znad wody dobiegał wesoły harmider i pokrzykiwania mieszkańców okolicznych barek. Przy amsterdamskich nabrzeżach cumowało ich około dwóch i pół tysiąca. Same barki niewiele różniły się od zwykłego mieszkania. Dysponowały prawie wszystkimi udogodnieniami typowymi dla domu na łądzie. Ich właściciele mieli prąd, ogrzewanie i kanalizację. Barka oferowała jednak coś, czego nie był w stanie zapewnić dom z kamienia. W każdej chwili można było zmienić widok za oknem i ruszyć dalej. Wolność ponad wszystko.

W pewnej chwili przed jedną z eleganckich kamienic z wysokimi białymi okiennicami zobaczyłam zaparkowany srebrny motor. Stijn? Tutaj? Przystanęłam na chwilę zdumiona, a potem pewnie ruszyłam dalej.

Takich motorów było w Holandii tysiące. W końcu wielbicieli legendarnego Harleya Davidsona nie brakowało.

Ale gdzieś na dnie duszy czułam kielkujący nieśmiało niepokój.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Gdyby nie wieczorny SMS od Julki, na śmierć zapomnielibym o czekającej mnie sprawie w sądzie. Dzięki temu nie miałam czasu, żeby stresować się zeznaniami przeciwko Polakom oskarżonym o czynną napaść na tle rasowym. Przed samym wejściem na salę rozpraw zarówno Prosper, jak i ja byliśmy spokojni. Wprawdzie bałam się trochę konfrontacji ze sprawcami, ale postanowiłam twardo nie patrzeć w ich stronę. Najdokładniej jak umiałam odpowiadałam na pytania przesłuchujących mnie prawników. Byłam konkretna, rzeczowa i opanowana. Wprawdzie podczas szczegółowego opisywania momentu, w którym jeden z oskarżonych ugodził Prospera nożem, załamaliśmy się głos, powstrzymałam jednak emocje i udało mi się dokończyć zeznania bez łzawych scen. Sędzia prowadzący rozprawę, ubrany tradycyjnie w czarną togę z białą belfką, zerkał groźnie zza grubych szkieł druczianych okularów, ale dzielnie wytrzymałam jego srogie spojrzenie. Po złożeniu zeznań z ulgą wyszłam na zewnątrz. Adrenalina trzymająca moje nerwy w ryzach opadła błyskawicznie tuż za drzwiami sali. Trzęsły mi się nogi, przysiadłam więc ciężko na wąskiej ławce na sądowym korytarzu i przymknęłam na chwilę oczy. Po dłuższej chwili dołączył do mnie Prosper. Usiadł obok i poklepał mnie przyjacielsko po policzku.

– Cieszę się, że mamy to już za sobą! – powiedziałam, opierając głowę o jego ramię. – Teraz tylko pozostaje nam czekać na sprawiedliwy wyrok. Nie mamy już wpływu na to, czy będzie wystarczająco surowy.

Prosper patrzył bez słowa w przeciwległą ścianę. Wyciągnął przed siebie długie chude nogi, które sięgały prawie do połowy korytarza.

– Agnies... to niezwykle... Ile dobrego i złego wydarzyło się w ciągu tego krótkiego czasu, kiedy się znamy. Ile udało nam się razem przeżyć. A ja ciągle jeszcze pamiętam tę wystraszoną i najeżoną dziewczynę z Centraal Station, która stanowczo odmawiała pójścia ze mną do domu.

– O przepraszam! – zaprotestowałam gwałtownie, uśmiechając się w duchu do wspomnień tego pierwszego dnia w Amsterdamie. – Wcale nie byłam wystraszona. Byłam wściekła!

– To prawda. A ja przerażony! Bałem się ciebie, wiesz?

– Wiem! Trząśłeś się jak listek na wietrze!

Śmialiśmy się teraz oboje z tych zabawnych migawek z przeszłości.

Wspólne przeżycia łączą na zawsze. Prosper był już na zawsze.

– Już za tobą tęsknię... nawet nie wiesz jak bardzo – powiedziałam cicho. – Bez ciebie Holandia nie będzie taka sama. Ty pierwszy mi ją pokazałeś. I właśnie ty wszystkiego mnie tu nauczyłeś. Nigdy tego nie zapomnę.

– Nie żegnamy się na wieki. Poza tym zostawiam cię tu w dobrych rękach. Mam nadzieję, że Stijn zdaje sobie sprawę z tego, jaka wielka odpowiedzialność na

nim ciąży. – Prosper mrugnął porozumiewawczo. – Wiem, że bardzo cię kocha i że nigdy cię nie skrzywdzi. A teraz nie smuć więcej, moja mała siostrzyczko.

Naszą rozmowę przerwała nagle protokolantka, która grzecznie poprosiła świadków na salę rozpraw. Za moment mieliśmy usłyszeć wyrok sądu...

Wieczorem Julka urządziła pożegnalne przyjęcie dla przyjaciół w nowo otwartej restauracji w centrum Amsterdamu. Organizacją całego przedsięwzięcia zajął się Jeroen. To miał być prezent dla Prospera, jednego z jego najlepszych i najbardziej zaufanych pracowników, z którym z wielkim żalem musiał się rozstać. Julka konwersowała bardzo podekscytowana przez telefon, stanowczo przykazując, że mam o niczym nie mówić Prosperowi. To miała być dla niego wielka niespodzianka. Prawdziwe *surprise party*. Jak z filmu.

– Oczywiście przyjedziesz, znaczy... przyjdziecie? – zapytała po chwili wahania.

– Szczerze? Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby Stijn mi towarzyszył. Z wielu względów. To nie byłaby komfortowa sytuacja zarówno dla niego, jak i dla Jeroena.

– Zostawiłam cię na chwilę samą, a ty w tym czasie zdążyłaś złamać serca połowie męskiej populacji zamieszkującej Holandię. Kompletnie nie moja krew.

– Jeżeli zaledwie dwóch facetów nazywasz połową męskiej populacji, to rzeczywiście nie twoja. – Nagle zakręciło mi się w głowie. Przystanąłam na chwilę i wzięłam dwa głębokie wdechy.

– Aga? Wszystko dobrze? – Po drugiej stronie telefonu słyszałam zaniepokojony głos siostry. – Źle się czujesz?

Zawrót głowy minął prawie tak szybko, jak się pojawił.

– Jestem przemęczona. Ostatnio nabierało się trochę stresów i zmartwień. Ale idzie ku dobremu. W końcu mam już za sobą rozprawę, którą tak się denerwowałam.

– Już po? Czemu nic nie mówisz?! Byłam pewna, że skoro nie odzywacie się od rana, to sprawa została odroczone! I jak poszło?

– Dwa lata pozbawienia wolności dla pierwszego napastnika za usiłowanie popełnienia morderstwa i szerzenie rasistowskich haseł i pół roku więzienia w zawieszeniu na trzy lata dla drugiego, który podżegał do przestępstwa i kolportował pełne nienawiści ulotki i foldery – wyrecytowałam jak wyuczoną formułkę. – Jan twierdzi, że możemy być w miarę usatysfakcjonowani tym wyrokiem.

– Ogromnie się cieszę! Prosper jest z tobą?

– Nie. Od razu po ogłoszeniu decyzji sądu rozpląnął się jak kamfora. Pewnie tak jak ty szykuje superniespodziankę. Oby tylko te wasze tajemnice nie weszły sobie nawzajem w paradę!

– Nie ma obawy. Uważaj na siebie! – Siostra cmoknęła w telefon i już jej nie

było.

Ruszyłam wolno w kierunku centrum miasta. Nie powiedziałam Julce całej prawdy. Od kilku dni czułam się słabo. Całą winę za złe samopoczucie zrzuciłam na pospieszny i nerwowy tryb życia, ale utrzymująca się nie najlepsza forma zaczęła mnie niepokoić. Należało trochę przystopować.

Postanowiłam zjeść ciepły posiłek w jednej z licznych kafejek na De Gouden Straatjes. Kiedy poczułam zapach świeżych croissantów z pobliskiej piekarni, złapał mnie nagły głód. Usiadłam na zewnątrz miniaturowej piekarni i zamówiłam sok pomarańczowy oraz dopiero co wyjęte z pieca *chocoladebroodjes*^[86]. Jadłam ze smakiem, delektując się myślą, że już niedługo znajdę się w domu i ponownie usiądę przy komputerze. Mój kolejny artykuł był prawie gotowy. Musiałam nanieść jedynie niewielkie poprawki i sprawdzić parę tekstów źródłowych. Poczulałam ponownie przyływ energii. Upiłam ostatni łyk soku i energicznie wstałam od stolika. Nagle zachwiałam się gwałtownie, a cały posiłek, który przed chwilą zjadłam, podszedł mi mdlącą falą do gardła. Z przerażeniem usiadłam z powrotem na wąskim krzeselku i poprosiłam o szklankę wody. Z trudem przełknęłam kilka łyków. Mdłości powoli ustąpiły. „Co jest, u diabła?”, pomyślałam nerwowo i rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu taksówki. Nagle tknęła mnie zadziwiająca myśl, ale momentalnie zdusiłam ją w zarodku jako kompletnie niedorzeczną. Na wszelki wypadek postanowiłam jednak jeszcze dziś wieczorem, w drodze na *surprise party*, udać się do apteki.

Przed samym wejściem do mieszkania Stijna w mojej torbie zawibrował telefon.

Kochanie, jestem w Bloemendaal, w domu babci. Spotkanie z prawnikiem rodziny. Wrócę późno.

Problem rozwiązał się sam. Poczulałam ulgę, że pojedę do Amsterdamu sama.

Głowa nadal mnie pobolewała, ale łyknęłam tabletkę paracetamolu i wskoczyłam szybko pod prysznic. Otuliła mnie odprężająca, ciepła piana kokosowego żelu do mycia ciała. Przez chwilę poczułam nieodpartą chęć, żeby wymyślić jakąś wymówkę, odwołać wszystko i zakopać się pod puszystym pledem na kanapie, ale wrodzone poczucie obowiązku zwyciężyło. Byłam to winna swoim bliskim.

Ubrałam białą sukienkę z szerokimi rękawami, spięłam włosy na karku i wtarłam odrobinę perfum w nadgarstki. Moje oczy błyszczały nieznanym blaskiem, a skóra promieniała. Przeglądając się pospiesznie w dużym lustrze w sypialni, o dziwo, podobałam się sama sobie. Wbrew pozorom nie zdarzało się to często.

Byłam gotowa na wielkie wyjście.

Amsterdam jak zwykle tętnił życiem. To miejsce cierpiało na permanentny głód nowych ludzi i wrażeń. Barwny tłum zaplątany w pajęczej sieci setek uliczek

rozlewał się szeroką, gwarną falą w centrum miasta. Czułam wibrujące pod skórą pośpiech, nienasycenie i fascynację tym niezwykłym miejscem, zatopionym już na zawsze w moim sercu.

Przed wejściem do restauracji stała podekscytowana Bożenka i elegancy bracia Daltonowie. Weszliśmy razem do środka. W jasno oświetlonym wnętrzu zobaczyłam Jeroena omawiającego coś z barmanem. Na mój widok przerwał rozmowę i uśmiechnął się ciepło tym ujmującym uśmiechem, który tak dobrze znałam.

– *Goedenavond, Aga. Lang niet gezien! Hoe gaat het met jou?*^[87]

– Dobry wieczór, Jeroen! Tak. Długo się nie widzieliśmy. U mnie wszystko w porządku – odpowiedziałam powoli po holendersku. Na szczęście, coraz łatwiej przychodziło mi porozumiewanie się w tym języku.

– Pięknie wyglądasz. Cieszę się, że cię widzę. – Patrzył na mnie prawie tak samo jak kiedyś.

– Uwierz mi, czuję dokładnie to samo. I mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy, tak samo jak ja...

Wnętrze powoli zaczęło zapełniać się zaproszonymi gośćmi. Zerkaliśmy na siebie jeszcze parokrotnie, ale okazja do dłuższej rozmowy już się nie pojawiła.

Ciągle jeszcze nie docierało do mnie, że to już ostatni wieczór z Julką i Prosperem. Cały czas naiwnie miałam nadzieję, że staną nagle na środku restauracji i śmiejąc się, odwołają ten cały wyjazd, stwierdzą, że to wszystko to tylko głupi żart...

Okolo dwudziestej drugiej poprosiłam Romka, żeby odwiózł mnie do domu. Ponownie zaliczyłam nagły spadek formy. Miałam nadzieję, że Stijn wrócił już do domu, choć uprzedzałam go telefonicznie, że będę bardzo późno. Zrobię mu niespodziankę! – cieszyłam się w duchu. Bardzo chciałam się do niego przytulić.

Całą drogę żartowaliśmy z Romkiem na temat holenderskich zwyczajów dotyczących przyjęć okolicznościowych i kolejności serwowanych na nich dań. Byliśmy zgodni co do tego, że podawanie tortu przed innymi przekąskami jest co najmniej dziwne. W doskonałych humorach zajechaliśmy do Zandvoortu. Romek zaparkował zaledwie parę metrów przed drzwiami do apartamentowca. Wejście było jasno oświetlone i doskonale widoczne. Odpięłam pas bezpieczeństwa i odwróciłam się, łapiąc za klamkę na wewnętrznych drzwiach auta. Moje spojrzenie wychwyciło nagły ruch na zewnątrz. To był moment. Dwie postaci stojące blisko siebie. Bardzo blisko. On trzymał rękę na jej plecach, gładząc je długim, pieszczotliwym gestem. Ona zagarniała go łapczywie ramionami, szukając po omacku jego ust. Nagły ból przeszył mnie do szpiku kości, zacisnął pięści gniewu i rozczarowania, otoczył gęstą mgłą niemocy i strachu.

Z powrotem zapięłam pas i rzuciłam głucho w kierunku Romka:

– Wracamy do Haarlemu! – Po czym zwymiotowałam na deskę rozdzielczą

auta.

Rozdział ostatni

Jestem smakiem czekolady z chili. Słodko-ostrym buntem. Gniewną mądrością. Czerwonym, lepkiem winem i cierpkim, zielonym winogronem, które nigdy nie dojrzeje. Poleguję w wygodnym łóżku przykryta puchową kołdrą i stoję naga nad przepaścią smaganą wiatrem. Jestem czuła i sarkastyczna. Kocham i nienawidzę. Wybaczam i nie zapominam. Bywam i odchodzę. Jestem styczniem i sierpniem, drzewem i kłodą, rwącym strumieniem i majestatyczną rzeką biegnącą w nieznaną. Upadam i wstaję. Nie mam i jestem... Otworzyłeś na oścież zardzewiałe drzwi do mnie. I dokładnie w momencie, w którym chciałam wejść do środka, zatrzasnąłeś je brutalnie z powrotem. Tuż przed moją twarzą. To tak, jakbyś mnie w nią uderzył...

Pakowałam chaotycznie i w pośpiechu najpotrzebniejsze rzeczy do wyciągniętej z dna szafy torby podróżnej. Dzięki temu, że ktoś w ostatniej chwili zrezygnował z biletu, mogłam zająć jego miejsce w autobusie relacji Amsterdam–Szczecin. Wracałam do Polski. Nie wiedziałam, na jak długo, czy tylko na teraz, na chwilę, czy już na zawsze... Działałam ad hoc. Zadzwoiłam rano do naczelnego, wymyślając bajkę o chorej mamie i natychmiastowej konieczności powrotu do kraju. Szef prosił mnie o przesłanie skończonych już artykułów i nie krył zawodu, że muszę tak nagle wyjechać. Liczyłam się z tym, że rezygnując z pracy w okresie próbnym, być może zamykam sobie możliwość powrotu do Holandii. Nie chciałam teraz tego analizować, nie umiałam myśleć racjonalnie, ba – w ogóle nie myślałam. Chciałam tylko jednego: uciec jak najdalej od bólu, który paraliżował mój cały świat. Świadomość, że tak naprawdę nie było od niego ucieczki, zostawiłam sobie na później.

Na ekranie telefonu widniało czterdzieści nieodebranych połączeń. Komórka bez przerwy wibrowała nadchodzącymi niestrudzenie SMS-ami. Nie musiałam nawet sprawdzać od kogo. Stijn pojawił się rano pod moimi drzwiami, ale udałam, że mnie nie ma. Schowałam głowę pod poduszkę, przyciskając ją oburącz z całej siły do uszu i wyjąc jak ranny zwierz. Nie mogłam uwierzyć, że mnie zawiódł i okłamał. Nie chciałam na niego patrzeć ani z nim rozmawiać. Wymówki, tłumaczenia i gorzkie żale, jakie już sobie z pewnością doskonale przygotował, nie mogły być wiarygodne. Nie interesowały mnie wyświechtane formułki w stylu: to nie tak, jak myślisz... Bałam się konfrontacji. Bałam się, że rozpadnę się wtedy na milion kawałków i już nikt nigdy nie zdoła mnie posklejać z powrotem.

Spojrzałam na zegarek, a potem rozejrzałam się po mieszkaniu. Musiałam stąd jak najszybciej wyjść. Każdy nawet najmniejszy drobiazg przypominał mi o przeszłości i te wspomnienia jak świder wwiercały się pod czaszkę. Równie dobrze mogłam czekać na autobus na dworcu. Było mi naprawdę wszystko jedno. Po chwili namysłu wyciągnęłam jeszcze z torebki małe kartonowe opakowanie,

spojrzałam na nie z namysłem i zacisnęłam ze wszystkich sił powieki. Nie było wyjścia, musiałam to sprawdzić.

Wychodząc z toalety, natknęłam się na Julkę.

– Aga, na miłość boską, co ty wyprawiasz? Stijn dzwoni do mnie bez przerwy, był tu rano, rwie włosy z głowy. Co się, do cholery, stało? Pokłóciliście się?

Spojrzałam na nią i pękłam. Rozplakałam się gwałtownie i histerycznie jak małe dziecko, któremu nagle wyrwano ulubioną zabawkę.

– Zawieźcie mnie na dworzec centralny. Wracam do Polski!

Gwar, ruch i wszechobecny pośpiech dworca paradoksalnie uspokajały moje rozgorączkowane emocje. Życie toczyło się dalej, nawet jeżeli wydawało mi się, że nie ma już nic. Jeżeli świat istniał, znaczyło to, że i ja istnieję i prędzej czy później nadejdzie kojący moment wyzwolenia, kiedy wstanę, otrząsnę się i pójdę w przyszłość z balastem tego, co podarował mi niepokorny los...

Julka z Prosperem nie mogli zostać ze mną długo, ich samolot do Johannesburga odlatywał za parę godzin. Przyrzekłam, że będzie dobrze i że sobie poradzę. Obiecałam ostrożność i rozważność. Obiecałabym wszystko, byle tylko dali mi spokój. Chciałam w końcu zostać sama.

Wraz z zapadającym leniwie zmierzchem na dworcu rozbłysły jarzeniówki. Wolałam siedzieć w mroku, chować się w nim, zatopić, ukryć w połach jego aksamitnego płaszcza anonimowości.

Na stanowisko numer sześć wjechał w końcu wolno mój autobus. Przy wejściu zaczęli kłębić się ludzie. Złapałam mocno za uchwyt torby i stanęłam w kolejce do drzwi. Wokół mnie panował typowy podróżniczy rozgardiasz. Wszędzie rozbrzmiewał beztroski śmiech pasażerów i pokrzykiwania kierowców. Wsiadłam do autobusu jako jedna z ostatnich i zajęłam jedyne wolne miejsce przy oknie. Drzwi zamknęły się automatycznie z głośnym sykiem i po chwili autobus ruszył w kierunku wyjazdu z dworca.

Za oknem przesuwwały się znajome widoki miasta oświetlonego łagodną poświatą ulicznych latarni. Rytm mojego serca zwolnił. Spojrzałam w dół na zaciśniętą już od kilku godzin dłoń, którą bałam się otworzyć. Gdy autobus zostawił za sobą rozległy, otulony wodami Noordzeekanaal port, powoli rozchyliłam zdrętwiałe palce. W miniaturowym okienku podłużnego plastikowego pudełeczka ujrzałam dwie wyraźne czerwone kreski...

Za oknem zapadła ciemność.

Właśnie wyjechaliśmy z Amsterdamu.

[1] Akcja powieści toczy się przed 21 grudnia 2007 roku, kiedy to nastąpiło przystąpienie Polski do układu z Schengen, znoszącego kontrolę osób przekraczających granice między państwami członkowskimi układu.

[2] Proszę pokazać paszporty! (niem.)

[3] *prosperus* (łac.) – pomyślny, szczęśliwy

[4] Mój wujek (fr.)

[5] Dzień dobry! Dobrze spałaś? (hol.)

[6] Henk! Na szczęście jesteś już z powrotem! Ta głupia dziewczucha, siostra Julii, umyła dzisiaj nasze okna. Odtłuszczaczem! Nie zapłacę jej! (hol.)

[7] kochanie (hol.)

[8] Holenderski numer identyfikacji podatkowej.

[9] Obecnie numer podatkowy nosi nazwę BSN.

[10] Będzie dobrze, dziewczyno! (tu w znaczeniu: dziecko) (hol.)

[11] Koninklijke Luchtvaart Maatschappij (Królewskie Towarzystwo Lotnicze), największe i najbardziej prestiżowe holenderskie linie lotnicze.

[12] bałagan (hol.)

[13] Do szybkiego (zobaczenia) (hol.)

[14] Nazywam się Kim. A ty? (hol.)

[15] trudne (hol.)

[16] Napiję się chętnie ranji. (hol.) (Ranja – lemoniada owocowa, popularna w Holandii)

[17] Umowa stoi! (hol.)

[18] Dziękuję, kochanie (hol.)

[19] Jestem z powrotem! (hol.)

[20] Do widzenia! (hol.)

[21] Czy mogę w czymś pomóc? (hol.)

[22] Szukam Prospera (hol.)

[23] Przepraszam, spóźniłam się (hol.)

[24] Beatrycze była królową Holandii do 2013 roku. Potem obowiązki monarchini przejął syn Wilhelm Alexander.

[25] strój (ang.)

[26] Nie w porę! (ang.)

[27] Jabłecznik, zupa musztardowa (hol.)

[28] Patrzysz na mnie (ang.)

[29] Do zobaczenia, kochanie (hol.)

[30] Kici, kici, kici (hol.)

[31] dosł. smacznie, tu w znaczeniu: chętnie (hol.)

[32] dom starców (hol.)

[33] Holenderski synonim pokrewieństwa dusz, dosł. dwie ręce na jednym brzuchu (hol.)

[34] Tęskniłem za tobą, babciu! (hol.)

[35] Nazwa osoby wpadającej w kłopoty (ang.)

[36] Typowa holenderska pogoda (ang.)

[37] złoty wiek (hol.)

- [38] Mogę państwu w czymś pomóc? (hol.)
- [39] Kochanie, co ty narobiłaś? (hol.)
- [40] urodzony i ochrzczony w Amsterdamie (hol.)
- [41] Dokładnie! (hol.)
- [42] czarownica (hol.)
- [43] Nie do wiary (hol.)
- [44] Niezwykle popularny deser holenderski, przypominający budyń.
- [45] Wszystko wyrzuciłaś? Jak to możliwe? (hol.)
- [46] Proszę mówić po angielsku. (ang.)
- [47] Uczelnia wyższa w Amsterdamie.
- [48] Mówi Jeroen (dosł. z Jeroenem) (hol.)
- [49] Papierowe bilety komunikacji miejskiej zostały w 2011 roku wymienione w całej Holandii na plastikowe karty magnetyczne.
- [50] Wszystko będzie dobrze (hol.)
- [51] Przyjdiesz? Max znowu o ciebie pyta. (hol.)
- [52] Nie chcę cię stracić, potrzebuję cię. (hol.)
- [53] kura bez głowy (hol.)
- [54] Kurwa, co tu robisz? (hol.)
- [55] Czas nie czeka na nikogo! (hol.)
- [56] Dzielnica Amsterdamu.

- [57] na kompletnym pustkowiu (ang.)
- [58] służba drogowa (hol.)
- [59] dosł. umieścić w wacie, tu: wyjątkowo troskliwie o kogoś zadbać (hol.)
- [60] Oddział Intensywnej Terapii (hol.)
- [61] Mogę pani pomóc? (hol.)
- [62] Mówię trochę po holendersku (hol.)
- [63] woda mineralna (hol.)
- [64] Proszę pani (hol.)
- [65] Holenderskie wafelki z karmelem.
- [66] Do zobaczenia! (hol.)
- [67] Witaj w domu! (ang.)
- [68] Wstęp wzbroniony (ang.)
- [69] dosł. mieć zielone palce, w przenośni: mieć rękę do kwiatów (hol.)
- [70] kieliszek (hol.), tu w znaczeniu drinka
- [71] De Bijenkorf – luksusowy holenderski dom towarowy.
- [72] P.C. Hoofstraat – ulica z butikami światowych marek w centrum Amsterdamu.
- [73] dosł. uderzenie pioruna (franc.)
- [74] Kocham cię (hol.)
- [75] Dla ciebie (hol.)
- [76] Cześć! Na razie! (hol.)

[77] Dzień dobry paniom! (hol.)

[78] Nawiasem mówiąc (ang.)

[79] wulg. dziwka (hol.)

[80] Trafiłaś w sedno! (łac.), dosł: dotknęłaś rzeczy igłą

[81] Waluta brazylijska obowiązująca do 1967 roku. 1 cruzeiro to ok. 0,004 zł.

[82] Holenderskie Allegro.

[83] Holenderskie przysłowie, dosł. kurczak bez głowy. Tu: ktoś potwornie roztargniony.

[84] Dobry wieczór, hotel Błękitna Laguna, mówi Miriam ter Schure. (hol.)

[85] prawdziwa historia (ang.)

[86] czekoladowa bułeczka (hol.)

[87] Dzień dobry, Aga. Długo się nie widzieliśmy. Co u ciebie? (hol.)

